

Anne

HOLT

TO CO MOJE

PRZEŁOŻYŁA

ELŻBIETA HYGEN

Jacek Santorski & Co Agencja Wydawnicza

Warszawa 2008

*Tytuł oryginału* DET  
SOMER MITT

*Redakcja*

Ewa

Jastrun

*Projekt okładki*

Sławomir Kawka

*Skład i łamanie*

Maria Kowalewska

*Korekta* Elwira

Wyszyńska

Copyright © 2001 by Annę Holt

Published in arrangement with SALMONSSON AGENCY,  
Stockholm

Copyright © for the Polish edition by Jacek Santorski &  
Co Agencja Wydawnicza, 2008

Wydanie I

Jacek Santorski & Co Agencja Wydawnicza Sp. z o.o.

ul. Alzacka 15a, 03-972 Warszawa

e-mail: [wydawnictwo@jsantorski.pl](mailto:wydawnictwo@jsantorski.pl)

Dział handlowy: tel. (022) 616 29 36, 616 29 28

faks (022) 433 51 51

Zapraszamy do naszego sklepu internetowego:

[www.jsantorski.pl](http://www.jsantorski.pl)

*Druk i oprawa*

Wojskowa Drukarnia w Łodzi

Wydrukowano na papierze eeco book cream70g/m2, vol 2,0

ISBN 978-83-7554-031-4

*Moim rodzicom poświęcam*



*Sufit stał się niebieski. Mężczyzna w sklepie twierdził, że ciemna farba spowoduje, iż pokój będzie wydawał się mniejszy. Pomylił się. Zamiast tego sufit się podniósł, niemal znikając. Kiedy byłem mały, chciałem, żeby tak właśnie było. Sklepienie ciemnej nocy, gwiazdy i cienki sierp księżycy nad oknem. Wtedy babcia i mama wybrały dla mnie chłopięcy pokój w żółtych i białych kolorach.*

*Uczucie szczęścia jest tym, co zaledwie pamiętam, jakby lekkie dotknięcie wśród obcych ludzi; znikające, zanim zdążysz się obrócić. Kiedy pokój był już gotów i pozostało dwa dni do jego przybycia, poczułem się zadowolony. Szczęście jest dziecięcą sprawą, a ja przecież niedługo skończę 34 lata. Ale oczywiście byłem wtedy szczęśliwy. Cieszyłem się.*

*Pokój był gotów. Na sierpie księżycy siedział chłopiec. Jasnowłosa, z bambusową wędką, z przyczepioną żyłką i szałwikiem. W dole, nasadzona na róg: Gwiazda. Kropla złotej farby spływała cieką strugą w stronę ramy okna, tak jakby niebo za chwilę miało się roztopić.*

*Nareszcie przyjedzie mój syn.*



# 1

Wracła ze szkoły do domu. Zbliżało się święto 17 Maja. Po raz pierwszy święto narodowe bez mamy, a tradycyjna sukienka, *bunaden*, za krótka. Mama przedłużała ją już dwa razy.

W nocy Emilię obudził zły sen. Tata spał, słyszała przez ścianę jego lekkie chrapanie. Przyłożyła do siebie sukienkę. Czerwona taśma sięgała ledwie do kolan. Zbyt szybko urosła. Tata często mówił: Rośniesz jak na drożdżach, skarbie. Emilia pogłaskała wełniany materiał, uginając kolana i ściągając ramiona. Babcia często powtarzała: Greta wyglądała jak tyczka, nic więc dziwnego, że dziecko tak rośnie.

Od kurczenia się zdrętwiało jej ciało. To wina mamy, że jest taka wysoka. Czerwona taśma na pewno nie sięgnie dalej niż do kolan.

A może mogłaby poprosić o nową sukienkę.

Tornister był za ciężki. Zaczęła zbierać kwiaty podbiału. Bukiet zrobił się tak duży, że tata będzie musiał wyjąć wazon. Gdy była mała, zrywała same główki i wkładała je potem do kieliszka do jajek. Tym razem łądygi były długie.

Nie lubiła chodzić sama. Ale Martę i Silje zabrała matka Marty. Nie mówiły dlaczego, pomachały tylko do Emilii zza szyby samochodu.

Kwiaty potrzebowały wody. Niektóre z nich już smętnie zwisały nad jej palcami. Emilia próbowała nie ścisnąć tak mocno bukietu. Jeden z kwiatków upadł na ziemię. Pochyliła się, żeby go podnieść.

- Nazywasz się Emilia?

Mężczyzna uśmiechał się.

Spojrzała do tyłu. Teraz, na tej ścieżce, biegnącej między dwiema pełnymi ruchu drogami i skrcającą drogę do domu o ponad dziesięć minut, nikogo nie było widać. Odpowiedziała coś niewyraźnie i cofnęła się.

- Emilia Selbu? To ty, prawda.

Nigdy nie rozmawiaj z obcymi mężczyznami. Nigdy nie idź z kimś, kogo nie znasz. Bądź miła dla każdego.

- Tak - szepnęła, próbując przejść obok.

But, nowy adidas z różowym paskiem, zanurzył się w błocie i liściach. Emilia niemal straciła równowagę. Mężczyzna chwycił ją za rękę. Potem przyłożył jej coś do twarzy.

Półtorej godziny później wpłynął na policję meldunek o zaginięciu dziewczynki.



## 2

- Nigdy nie udało mi się odłożyć tej sprawy na bok. Może wyrzuty sumienia? Z drugiej strony w czasie, kiedy matki małych dzieci powinny zajmować się domem, ja byłam młodym prawnikiem. Niewiele miałam do powiedzenia.

W śmiechu czała się prośba o pozostawienie jej samej. Rozmowa trwała już prawie dwie godziny. Leżąca w łóżku kobieta ciężko oddychała; wyraźnie dokuczały jej mocne promienie słoneczne. Palce zaciskały się wokół pościeli.

- Mam tylko siedemdziesiąt lat - wyszeptwała.

- Czuję się jednak wiekową staruszką. Proszę mi wybaczyć.

Inger Johanne Vik wstała i zasłoniła okno. Nie odwróciła się.

- Lepiej? - zapytała po chwili.

Starsza kobieta zamknęła oczy.

- Wszystko zapisałam. Trzy lata temu. Kiedy odeszłam na emeryturę i myślałam, że teraz będę miała...

- powiedziała i podniosła szczupłą dłoń - ...dużo czasu.

Podniosła szczupłą dłoń - ...dużo czasu.

Inger Johanne Vik wpatrywała się w teczkę, leżącą koło góry książek na nocnym stoliku. Chora kiwnęła słabo głową.

- Proszę to wziąć. Niewiele już teraz mogę zrobić. Nie wiem nawet, czy on jeszcze żyje. Miałby teraz... sześćdziesiąt pięć lat. Coś koło tego.

Zamknęła oczy. Głowa osunęła się na bok. Usta uchyliły się lekko i kiedy Inger Johanne Vik pochyliła się, aby zabrać czerwoną teczkę, poczuła niezdrowy oddech. Bezszelestnie włożyła dokumenty do torby i skierowała się do drzwi.

- Na koniec jeszcze jedna rzecz.

Drgnęła i odwróciła się w stronę chorej.

- Pytano mnie, dlaczego jestem tak przekonana do swej racji. Pewnie niektórzy myślą, że są to urojenia kobiety, której nikt już więcej nie potrzebuje. Przecież przez wszystkie te lata nic z tym nie zrobiłam... Kiedy już pani wszystko przeczyta, chciałabym wiedzieć... - zakasłała słabo. Powieki opadły i zapadła cisza.

- Dowiedzieć się czego?

Powiedziała to szeptem, nie będąc pewna, czy starsza kobieta nie zasnęła.

- Ja wiem, że był niewinny. Jednak dobrze byłoby wiedzieć, czy pani myśli podobnie.

- Ale przecież ja nie tym mam się zająć...

Staruszka uderzyła lekko dłonią o poręcz łóżka.

- Ja wiem, czym pani będzie się zajmować. Panią nie interesuje problem winy czy niewinności. Ale mnie to interesuje. W tej jednej sprawie. Mam nadzieję, że panią to też zainteresuje. Jak Pani już to wszystko przeczyta. Czy może mi pani przyrzec, że przyjdzie ponownie?

Inger Johanne Vik uśmiechnęła się nieznacznie. Był to właściwie niezobowiązujący grymas.

### 3

Emilia gubiła się już wcześniej kilka razy. Zwykle nie trwało to długo, ale raz, było to zaraz po śmierci Grety, nie mógł jej znaleźć przez trzy godziny. Szukał jej wszędzie. Najpierw irytujące wydzwanianie: do przyjaciół, do siostry Grety, mieszkającej dziesięć minut drogi od nich ulubionej cioci Emilii, do dziadków, którzy przecież od wielu dni nie widzieli dziecka. Dzwonił pod coraz to nowe numery, podczas gdy niepokój zamienił się w strach, a palce nie trafiały w cyfry. Później zaczął biegać po sąsiadach, zataczając coraz większe kręgi. Strach zmienił się w panikę, czuł, że zaraz się rozpłaczę.

A ona siedziała na drzewie i pisała list do mamy, list rysunek, który jako papierowy samolocik miał polecieć do nieba. Zdjął ją ostrożnie z gałęzi, po czym ze stromego zbocza puścił samolocik łukiem w dół. Ten poszybował i zniknął za dwiema dużymi brzoziami. Miejsce to nazwali później Drogą do Nieba. Przez dwa tygodnie nie spuszczał jej z oczu. Kiedy jednak skończyły się ferie i rozpoczęła szkoła, musiał puścić ją wolno.

Tym razem sytuacja wyglądała inaczej.

Nigdy wcześniej nie dzwonił na policję. Z takimi krótszymi i dłuższymi epizodami musiał się liczyć. Tym razem było jednak inaczej. Panika pojawiła się nagle, niczym fala. Nie wiedział dlaczego, ale kiedy Emilia nie

wróciła na czas do domu, pobiegł do szkoły, nie zauważając, że po drodze zgubił kapeć. Plecak i duży bukiet podbiału leżały na ścieżce, biegnącej między dwiema głównymi drogami, ścieżce na skróty, którą nigdy nie miała odwagi iść sama.

Greta kupiła plecak miesiąc przed swoją śmiercią. Emilia nigdy nie zostawiłaby go w ten sposób. Podniósł go do góry, jakby z niechęcią. Mógł przecież się pomylić, to mógł być plecak kogoś innego, jakiegoś bardziej nieporządnego dziecka, nic nie było pewne, dopóki, wstrzymując oddech, nie otworzył go i nie zobaczył inicjałów ES. Duże, kanciaste litery pisane ręką Emilii. To był jej plecak, którego nigdy z własnej woli tak by nie zostawiła.

## 4

Mężczyzna, o którym była mowa w dokumentach należących do Alvild Sofienberg, nazywał się Aksel Seier i urodził się w 1935 roku. W wieku piętnastu lat rozpoczął naukę jako czeladnik stolarza. Dokumenty niewiele mówiły o dzieciństwie Aksela. Wynikało z nich jedynie, że w wieku dziesięciu lat przeprowadził się z Trondheim do Oslo. Jego ojciec dostał po wojnie pracę w Warsztacie Mechanicznym Aker. Chłopak, zanim stał się pełnoletni, miał już na swoim koncie trzy wykroczenia. Nie były to jednak poważne sprawy.

Przynajmniej nie według obecnej miary, mruknęła do siebie Inger Johanne Vik, przeglądając dokumenty. Kartki były łamliwe i pożółkłe od starości. W wyroku sądowym była mowa o dwóch włamaniach do kiosku i kradzieży samochodu, zakończonej na drodze Mosseveien, kiedy to w starym fordzie zabrakło benzyny. Ale gdy Aksel Seier ukończył dwadzieścia jeden lat, został aresztowany za gwałt i morderstwo.

Dziewczynka miała na imię Hedvig i w chwili śmierci skończyła zaledwie osiem lat.

Płócienny worek z jej nagim i zmaltratowanym ciałem znalazł przy magazynach portowych w Oslo pewien celnik. Po niecałych dwóch tygodniach intensywnego dochodzenia aresztowano Aksela Seiera. Nie było mocnych dowodów. Żadnych śladów krwi,

żadnych odcisków palców. Żadnych śladów butów lub innych poszlak, które wskazywałyby na sprawcę czynu. Ale na miejscu zbrodni widziało go dwóch wiarygodnych świadków, załatwiających późną nocą swe legalne interesy.

Początkowo młody człowiek kategorycznie wszystkiemu zaprzeczył. Po pewnym czasie musiał jednak potwierdzić, że tej nocy, kiedy Hedvig została zabita, znajdował się w rejonie między Pipervika a Vippetangen. Przyznał się jedynie do pokątnego handlu alkoholem. Nie chciał jednak podać nazwiska klienta.

Kilka godzin po aresztowaniu policji udało się odzyskać stare doniesienie o publicznym obnażeniu się. Miał wtedy osiemnaście lat. Twierdził, że w tamten letni wieczór wysikał się tylko po pijanemu. Mijały go w tym czasie trzy dziewczyny. Chciał trochę się z nimi zabawić. Takie tam głupoty. Bo przecież nie był *taki*. Nie obnażał się publicznie, po prostu chciał się powyglupiać z trzema dziewczynami.

Sprawę umorzono, ale nigdy nie zniknęła z kartoteki. I wynurzyła się z zapomnienia, niczym groźący palec, piętno, o którym myślał, że zostało wymazane z pamięci.

Kiedy nazwisko Aksela pojawiło się na pierwszych stronach gazet, co doprowadziło jego matkę do samobójstwa w przeddzień wigilii 1956 roku, do policji dotarły trzy nowe doniesienia. Jedno z nich zostało dyskretnie odłożone na bok, kiedy prokurator stwierdził, iż jego autorka, kobieta w średnim wieku, miała zwyczaj co pół roku donosić o nowym gwałcie. Dwa pozostałe zostały wykorzystane w sprawie.

Dziewiętnastoletnia Margrete Solli chodziła z Akselem trzy miesiące. Miała mocne zasady. Jak twierdziła, zaczerwieniona i ze spuszczonej oczami, nie podobało się to Akselowi. Przy kilku okazjach zmusił ją do tego, co jest dozwolone po ślubie.

Sam Aksel miał inną wersję tej historii. Pamiętał słodkie noce nad jeziorem Sogsvann, chichot, protesty i klapsy po rękach, kiedy dotykał jej ciała. Pamiętał ciepłe pocałunki na pożegnanie i swoje dość letnie zapewnienia o ślubie, jak tylko zda egzamin na czeladnika. Opowiedział na przesłuchaniu i przed sądem o młodej dziewczynie, którą wprawdzie trzeba było przekonywać, ale nie inaczej, jak to się robi w takiej sytuacji. Przecież chyba wszystkie tak robią, zanim nie dostaną pierścionka na palec.

Trzecie doniesienie było od kobiety, której Aksel, jak cały czas twierdził, nigdy nie spotkał. Do gwałtu miało dojść wiele lat wcześniej, kiedy dziewczyna miała czternaście lat. Aksel energicznie zaprzeczał. Nigdy jej na oczy nie widział. Uporczywie obstawał przy tym przez dziewięć tygodni pobytu w areszcie i w czasie długiej i niszczącej rozprawy sądowej. Nigdy tej kobiety nie spotkał. Nigdy o niej nie słyszał.

Ale przecież wiele razy kłamał.

Kiedy przedstawiono akt oskarżenia, Aksel podał w końcu nazwisko klienta, który mógł mu zapewnić alibi. Klient nazywał się Arne Frigaard i kupił od Aksela dwadzieścia butelek dobrego bimbrowa za dwadzieścia pięć koron. Policja zjawiała się u zdumionego pułkownika Frigaarda, mieszkającego w eleganckiej dzielnicy Frogner. Pułkownik, słysząc te skandaliczne pomówie-

nia, wzniosł oczy do góry, po czym wskazał dwóm przybyłym posterunkowym swój barek. Wyłącznie szlachetne trunki. Żona niewiele się odzywała, jedynie kiwała potakująco głową, gdy jej cokolwiek hałaśliwie zachowujący się mąż zapewniał, że tamtego wieczoru był w domu, kurując migrenę. Wcześniej położył się do łóżka.

Inger Johanne potarła grzbiet nosa i wypila łyk zimnej herbaty.

Wyglądało na to, że nikt nie przyjrzał się dokładniej opowieści pułkownika. Jednak mogła wyczuć ironię, a raczej sarkastyczny dystans sędziego, przytaczającego sucho i rzeczowo relację policjantów. Pułkownik w ogóle nie zeznawał przed sądem. Lekarz stwierdził, że świadek cierpi na migrenę, dlatego też musi zaoszczędzić swemu wieloletniemu pacjentowi nieprzyjemności, które przyniosłaby konfrontacja z pomówieniami o kupnie bimbru.

Inger Johanne drgnęła na odgłos z sypialni. Nawet teraz, po pięciu latach, kiedy zaczęło układać się lepiej - dziecko z reguły spało głęboko i zdrowo przez całą noc, a teraz pewnie było trochę przeziębione - na dźwięk najmniejszego chrząknięcia, najslabszego kaszlu przez sen przebiegał po *jej* plecach lodowaty dreszcz. Ponownie zapadła cisza.

Jeden ze świadków wyróżniał się szczególnie. Był nim siedemnastoletni Evander Jakobsen, sam siedzący w więzieniu. W chwili zamordowania małej Hedvig przebywał jednak na wolności. Twierdził później, że otrzymał od Aksela Seiera pieniądze za przeniesienie jakiegoś worka z dzielnicy Gamlebyen do portu. W pierwszym zezaniu utrzymywał, iż Seier szedł tej



nocy razem z nim, ale nie chciał nieść worka, ponieważ wzbudzałoby to podejrzenia. Później historia uległa /mianie. To nie Seier kazał mu nieść worek, ale ktoś inny, jakiś mężczyzna, którego nazwiska nie podał. W nowej wersji zeznania Seier spotkał go w porcie, gdzie odebrał worek, nie mówiąc zbyt wiele. Worek zawierał prawdopodobnie rozkładające się świńskie głowy i nogi. I'vander Jakobsen nie wiedział tego na pewno, gdyż nie zaglądał do środka, ale świadczył o tym wydobywający się smród. Ciężar worka mógł zgadzać się z ciężarem ciała ośmioletniej dziewczynki.

W tak oczywisty sposób nieprawdziwa historia wzbudziła wątpliwości u dziennikarza gazety „Dagbladet”, zajmującego się sprawami kryminalnymi. Nazwał zeznania Evandera Jakobsena nieprawdopodobnymi i zyskał wsparcie ze strony gazety „Morgenbladet”, której reporter otwarcie kpił z pełnych sprzeczności zeznań młodego niebieskiego ptaszka.

Jednak dziennikarskie wątpliwości niewiele pomogły.

Aksel Seier został skazany za zgwałcenie małej ośmioletniej Hedvig Gasoy. Skazany został również za zamordowanie jej z zamiarem ukrycia poprzedniego przestępstwa.

Dostał dożywocie.

Inger Johanne Vik położyła papiery ostrożnie na jednej kupce. Ten niewielki stos składał się z odpisu wyroku i wycinków z gazet. Żadnych dokumentów z policji. Żadnych przesłuchań. Żadnych raportów biegłych, mimo - iż jak wynikało ze źródeł - takowe istniały.

Kiedy zapadł wyrok, gazety przestały zajmować się sprawą.

Dla Inger Johanne Vik wyrok *na* Aksela Seiera był jednym z wielu. Dopiero zakończenie historii czyniło ją szczególną i nie pozwalało spać. Dochodziło wpół do pierwszej, ale nie czuła się senna.

Ponownie przeczytała dokumenty. Pod wyrokiem leżała, przypięta spinaczem do wycinków z gazet, budząca niepokój opowieść starszej pani.

W końcu Inger Johanne się podniosła. Za oknem się rozjaśniało. Za kilka godzin będzie musiała wstać. Dziecko zamruczało przez sen, kiedy przesuwała je na drugą stronę łóżka.

Pozostawiła córkę na miejscu. I tak by nie zasnęła.

## 5

- To właściwie niewiarygodna historia.
- Czy rozumie to pani dosłownie? Po prostu nie wierzy mi pani?

Pokój był niedawno wywietrzony. Chora wyglądała na bardziej ożywioną. Siedziała w łóżku, a w rogu pokoju stał włączony bezgłośnie telewizor. Inger Johanne Vik uśmiechnęła się i pogładziła nieznacznie koc wiszący na poręczy łóżka.

- Oczywiście, że pani wierzę. Dlaczego miałabym nie wierzyć.

Alvhild Sofienberg nie odpowiedziała. Spojrzenie powędrowało od młodej kobiety w kierunku niemego telewizora. Obrazy na ekranie migały niespokojnie i bez sensu. Starsza kobieta miała niebieskie oczy. Twarz była owalna, a usta jakby się ukryły w grymasach znikającego i pojawiającego się bólu. Kosmyki włosów przylegały do wąskiej głowy.

Dawniej mogła być ładną kobietą. Trudno było to teraz powiedzieć. Inger Johanne przyjrzała się bacznie zniszczonym rysom twarzy, próbując wyobrazić sobie ją taką, jaką mogła być w 1965 roku. Alvhild Sofienberg miała wtedy trzydzieści pięć lat.

- Urodziłam się w 1965 roku - powiedziała nagle

Inger Johanne i odłożyła teczkę na bok. - 22 listopada. Dokładnie dwa lata po zamachu na Kennedy'ego.

- Moje dzieci zaczynały już dorastać. A ja zrobiłam absolutorium.

Starsza kobieta uśmiechnęła się prawdziwym uśmiechem. Zęby przeświecały szaro w wąskim otworze między nosem i brodą. Spółgłoski były twarde, samogłoski zniknęły. Sięgnęła po szklankę i napiła się wody.

Pierwszą pracą Alvhill Sofienberg było stanowisko referenta w Zarządzie Więzień. Jej zadaniem było przygotowanie podań o ułaskawienie, przekazywanych do rozpatrzenia królowi. Inger Johanne wiedziała już o tym. Z dokumentów, z przypiętej do wyroku relacji tej starszej kobiety i z kilku pożółkłych wycinków prasowych, mówiących o Akselu Seierze, skazanym za morderstwo dziecka.

- Nudna praca. Właściwie. Najbardziej nudna, kiedy wracam do niej wspomnieniami. Bo nie przypominam sobie, żebym była z niej niezadowolona. Raczej odwrotnie. Zdobyłam wyższe wykształcenie. Zdałam egzamin ukończenia studiów wyższych, ogromne osiągnięcie. W tamtych czasach. Przynajmniej w mojej rodzinie.

Ponownie ukazała zęby, próbując zwilżyć końcem języka wąskie usta.

- Jak pani zdobyła te wszystkie dokumenty? - spytała Inger Johanne, nalewając wody z karafki do szklanki.

Kostki lodu roztopiły się, woda pachniała lekko cebulą.

- Sądzę, że nigdy tak nie było, iż do podań o ułaskawienie dołączano wszystkie dokumenty sprawy. Przesłuchania na policji i tym podobne papiery. Nie rozumiem, w jaki sposób mogła pani...

Alvhild próbowała wyprostować plecy. Kiedy Inger Johanne nachyliła się, aby jej pomóc, ponownie poczuła zapach starej cebuli. Zapach nasilał się, woń przeszła w smród gnicia, który nappełnił jej jamę nosową i spowodował odruch wymiotny. Odruch ten pokryła kaszlem.

- Śmierdzą cebulą - powiedziała krótko chora.

- Nikt nie wie, skąd to się bierze.

- Może to jest...

Inger Johanne wskazała palcem na karafkę z wodą.

- Czułam lekki...

- Odwrotnie - zakasłała chora. - Woda przejmuje zapach ode mnie. Proszę wytrzymać.

Wskazała na teczkę, która spadła na ziemię.

- Tak jak tam napisałam, nie umiem powiedzieć, co wzbudziło moje zainteresowanie. Może prostota podania. Skazany siedział osiem lat w więzieniu i nigdy przez ten czas nie przyznał się do winy. Już wcześniej występował o ułaskawienie trzy razy i cały czas otrzymywał odmowę. Mimo to nigdy się nie odwoływał od decyzji. Nigdy też nie twierdził, tak jak inni, że jest chory. Nie zapełniał kartek informacjami o słabym zdrowiu, o rodzinie pozostającej w domu, o tęskniących dzieciach i tym podobnych rzeczach. Podanie zawierało jedną linię. Dwa zdania: „Jestem niewinnie skazany. Dlatego proszę o ułaskawienie”. Zafascynowało mnie to. Dlatego poprosiłam o wszystkie dokumenty.

Alvhild spróbowała podnieść rękę.

- To był prawie metr dokumentów. Czytając je, coraz bardziej byłam przekonana.

Jej palce drżały z wysiłku. Opuściła rękę.

Inger Johanne pochyliła się i podniosła teczkę z podłogi. Na jej ramionach pojawiła się gęsia skórka. Ciągnęło z uchylonego okna. Kiedy nagle gwałtownie zakołysała się firanka, drgnęła przestraszona. Z ekranu migał niebieski obraz z wiadomościami. Zirytowała się raptownie niepotrzebnie włączonym telewizorem.

- Czy zgadza się pani? Że był niewinny? On był niewinnie skazany. I ktoś usiłował to ukryć.

Głos Alvhild Sofienberg stał się ostry, agresywny. Inger Johanne bez słowa przerzucała łamliwe kartki.

- To dosyć oczywiste - powiedziała ledwo dosłyszalnym głosem.

- Nie usłyszałam.

- Tak. Zgadzam się z panią.

Wydawało się, że chorą nagle opuściły siły. Opadła na poduszkę, zamykając oczy. Twarz stała się spokojniejsza, jakby ból nareszcie ustał. Jedyne nozdrza lekko drgały.

- To, że został niewinnie skazany nie jest może najbardziej przerażające - powiedziała powoli Inger Johanne. - Najgorsze jest to, że on nigdy... To, co stało się później, po jego wyjściu z więzienia, że on w ogóle... Zastanawiam się, czy on jeszcze żyje.

- Jest jeszcze coś - odezwała się Alvhild zmęczonym głosem i odwróciła głowę w kierunku telewizora; pilotem przymocowanym do łóżka włączyła fonię. - Jeszcze jedno dziecko zostało porwane.

Na amatorskiej fotografii uśmiechał się nieśmiało mały chłopiec z brązowymi lokami. Do piersi przyciskał czerwony samochód strażacki z plastiku. W tle niewyraźnie rysowała się sylwetka dorosłej osoby serdecznie się śmiejącej.

- Może matka. Biedna kobieta. Zastanawiam się, czy nie ma tu jakiegoś związku. To znaczy, z tą dziewczynką. Tą, która...

Metaliczny głos informował, iż ostatniej nocy Kim Sande Oksoy zaginął w Baerum, miejscu swego zamieszkania. Telewizor był stary, obraz zbyt niebieski, a głos zbyt cienki. Sprawca włamał się do domu chłopca, gdy rodzina spała. Kamera przesunęła się po osiedlu, po czym zatrzymała się na jednym z okien na parterze. Lekko powiewały zasłony, kamera zbliżyła się do zniszczonej futryny i zielonego misia stojącego nieopodal na półce. Policjant, młody mężczyzna o nieokreślonym spojrzeniu i w niewygodnym mundurze, poprosił wszystkich świadków, którzy mieliby coś do powiedzenia w sprawie, o telefon pod numer 800 lub o kontakt z najbliższym komisariatem.

Chłopiec miał tylko pięć lat. Od zniknięcia Emilii Selbu, wracającej ze szkoły do domu, minęło sześć dni.

Alvhild Sofienberg zasnęła. Przy jej wąskich ustach rysowała się niewielka blizna, biegnąca ukośnie od kącika ust do ucha. Sprawiało to wrażenie, jakby chora uśmiechała się. Kiedy Inger Johanne wyszła cicho z pokoju i zeszła na dół, zobaczyła idącą naprzeciw pielęgniarkę. Ta nie odezwała się, jedynie zatrzymała się na schodach i przycisnęła do poręczy. Wokół niej też unosił się zapach cebuli, słaby zapach cebuli i środków czystości. Wywołało to u Inger Johanne mdłości. Minęła pielęgniarkę, zastanawiając się jednocześnie, czy kiedykolwiek zechce wrócić do tego domu, w którym woń rozkładu umierającej na piętrze kobiety przyklejała się do wszystkiego.

## 6

Od czasu pojawienia się chłopca, Emilia poczuła się za niego odpowiedzialna. Chłopiec był bardziej przestraszony niż ona. W chwili gdy mężczyzna wepchnął go do środka, narobił w majtki. Chociaż był na tyle duży, iż mógłby prawie chodzić do szkoły. W rogu pokoju, obok muszli klozetowej, umocowana była umywalka. Mężczyzna wrzucił do środka ręcznik i mydło, więc Emilia mogła dokładnie umyć chłopca. Nigdzie jednak nie było czystego ubrania. Brudne majtki wcisnęła pod umywalkę, w szparę między rurą i ścianą. Musiał zatem chodzić bez majtek, nie przestając płakać.

Przestał płakać dopiero, kiedy w końcu zasnął. W pokoju stało tylko jedno łóżko. Było wąskie i stare. Zniszczone, brązowe drewno ktoś porysował ledwo już widocznym tuszem. Kiedy Emilia podniosła prześcieradło, zobaczyła dużo długich kobiecych włosów, przyklejonych do materaca z gumy piankowej. Szybko położyła róg prześcieradła na miejsce. Chłopiec leżał pod kołdrą z głową na jej kolanach. Miał brązowe loki. Emilia zastanawiała się, czy w ogóle potrafi mówić. Kiedy zapytała go na początku, jak ma na imię, wymamrotał coś niewyraźnie pod nosem. Kim albo Tim. Trudno było zrozumieć. Ale wołał swoją mamę, więc nie mógł być niemową.

-Śpi?



Emilia drgnęła przestraszona. Drzwi były uchylone. Trudno było dostrzec w cieniu twarz, ale głos był wyraźny. Kiwnęła lekko głową.

-Śpi?

Mężczyzna nie wydawał się ani zły, ani poirytowany. Nie warknął, tak jak robił to czasami tata, gdy musiał o coś zapytać kilka razy.

-Tak.

- Świetnie. Jesteś głodna?

Drzwi były metalowe i od środka nie miały klamki. Emilia właściwie nie wiedziała, jak długo przebywała w tym pokoju z umywalką i klozetem w jednym rogu, a łóżkiem w drugim. Poza tym były jedynie murowane ściany i metalowe drzwi. Na pewno długo. Co najmniej sto razy dotykała tych błyszczących drzwi. Były gładkie i lodowate. Mężczyzna bał się, że mogą zatrzaskać się za nim. Dlatego, kiedy z rzadka wchodził do pokoju, zaczepiał je hakiem o ścianę. Zwykle, gdy przychodził z jedzeniem i pićm, zostawiał tacę zaraz za progiem.

-Nie.

- Świetnie. Powinnaś też już spać. Jest noc.

Noc.

Odgłos zamykających się ciężkich drzwi sprawił, iż zaczęła płakać. Mężczyzna powiedział, że jest noc, ale nie odczuwała tego. W pokoju nie było okna, a światło paliło się przez cały czas, dlatego nie mogła odróżnić nocy od dnia. Początkowo nie myślała o tym, że kanapki i mleko oznaczały porę śniadania, a ciepłe potrawy lub naleśniki, które mężczyzna przynosił na żółtej tacy, wskazywały porę obiadową. Kiedy w końcu zrozumiała tę zależność, mężczyzna zaczął oszukiwać. Czasami

otrzymywała kanapki trzy razy pod rząd. Dzisiaj, gdy Kim lub Tim został wepchnięty do środka, mężczyzna podał zupę pomidorową dwa razy. Zupa była letnia i bez makaronu.

Emilia próbowała nie płakać. Nie chciała obudzić chłopca. Wstrzymywała oddech, aby nie dygotać, ale nie udawało jej się to.

- Mamo - załkała bezwiednie. - Mamusiu.

Tata szuka jej. Długo już jej szuka. Tata i ciocia Beata na pewno szukają jej w całym lesie, nawet jeśli jest noc. Może dziadek też. Babcię bolały nogi, więc pewnie siedzi w domu i czyta książkę albo robi wafle dla tych, którzy szukają przy Drodze do Nieba i Niebiańskim Drzewie, nie znajdując jej w żadnym miejscu.

- Mama - rozkrzyczał się Kim lub Tim.

- Cicho.

- Mama! Tata!

Chłopiec podniósł się gwałtownie i zaczął krzyczeć. Usta stały się jedną ogromną jamą, a cała twarz przeobraziła się w wielki krzyk. Wcisnęła się w kąt i zamknęła oczy.

- Nie powinieneś krzyczeć - powiedziała bezbarwnie. - Ten pan będzie zły na nas.

- Mamo! Ja chcę do mojego taty.

Chłopcu zabrakło tchu. Zaczął łapać oddech i kiedy Emilia otworzyła oczy, zobaczyła, iż twarz chłopca stała się ciemnoczerwona. Z dziurki od nosa ciekł smark. Chwyciła za róg kołdry i ostrożnie wytarła mu nos. Odepchnął ją.

- Nie chcę - odezwał się i ponownie zaszlochał - Nie chcę.

- Czy opowiedzieć ci jakąś historię? - zapytała Emilia.

- Nie chcę.

Wytał nos rękawem.

- Moja mama umarła - powiedziała i uśmiechnęła się nieznacznie. - Jest w niebie i pilnuje mnie. Cały czas. Na pewno może i ciebie pilnować.

- Nie chcę.

Chłopiec przynajmniej nie płakał już tak gwałtownie.

- Moja mama ma na imię Greta. Ma bmw.

- Audi - powiedział chłopiec.

- Mama ma w niebie bmw.

- Audi - ponowił chłopiec. Ostrożny uśmiech sprawił, że twarz stała się o wiele ładniejsza.

- I jednorożca. Białego konia z rogiem na czole, który może latać. Jeśli mama nie chce używać bmw, może latać na jednorożcu. Może przyleci tutaj. Myślę, że już niedługo.

- Z hukiem - powiedział chłopiec.

Emilia dobrze wiedziała, że mama nie ma bmw. I że wcale nie była w niebie. Jednorożec też nie istniał. Nie istniało też niebo, choć tata mówił co innego. Tata tak lubił opowiadać o tych wszystkich rzeczach, które mama miała w niebie. I o rzeczach, których pragnęła, ale nigdy nie było ich na to stać. W niebie wszystko było za darmo. Tam nawet nie było pieniędzy, mówił tata i uśmiechał się. Mama mogła dostać wszystko, co chciała. To dobrze, że Emilia mogła o tym rozmawiać. Tak uważał tata. Długo mu wierzyła. Cieszyła się na myśl o mamie, która leci w czerwonej sukni na jednorożcu, a w uszach ma kolczyki z diamentami wielkości śliwki.

Ciocia Beata była zła na tatę. Kiedy Emilia zniknęła, bo poszła wysłać list do mamy, a tata ją w końcu znalazł, ciocia Beata krzyczała na niego tak głośno, że aż ściany drżały. Dorośli myśleli, że Emilia już spała. Był środek nocy.

- Najwyższy czas, żeby dziecko dowiedziało się prawdy, Tonnes. Greta nie żyje. Kropka. Jej prochy leżą w urnie i Emilia jest już na tyle duża, żeby to zrozumieć. Skończ z tym. Psujesz ją tymi swoimi bajkami. Utrzymujesz Gretę przy życiu w sztuczny sposób. Nie jestem taka pewna, kogo próbujesz oszukać - siebie czy dziecko. Greta umarła. UMARŁA, rozumiesz!?

Ciocia Beata płakała i złościła się jednocześnie. Była najmądrzejsza na świecie. Wszyscy tak mówili. Była naczelnym lekarzem i wiedziała wszystko o chorobach serca. Ratowała ludzi od pewnej śmierci, bo tak wiele umiała. Jeśli ciocia Beata mówiła, że historie taty są bajkami, to na pewno miała rację. Kilka dni później tata zabrał Emilię do ogrodu, aby popatrzeć na gwiazdy. Tata powiedział, wskazując palcem na niebo, że pojawiły się tam cztery nowe dziury, gdyż mama chciała ją lepiej widzieć. Emilia nic nie odpowiedziała. Tacie zrobiło się przykro. Widziała to po jego oczach, kiedy wyjął książkę i usiadł na łóżku, aby jej poczytać. Nie chciała jednak słuchać zakończenia historii o podróży mamy do Nieba - Japonii, opowiedanej przez trzy ostatnie wieczory i właściwie bardzo ciekawej. Tata był tłumaczem książek i chyba trochę za bardzo lubił zmyślane historie.

- Nazywam się Kim - powiedział chłopiec, wkładając kciuk do buzi.

- A ja Emilia - odpowiedziała.

Kiedy zasypiali, nie mieli pojęcia, że właśnie zaczynało świtać.

Półtora piętra wyżej, na parterze domu stojącego na skraju lasu, siedział mężczyzna i patrzył przez okno. Czuł się dziwnie podniecony, prawie odurzony, jakby stał przed trudnym zadaniem, o którym wiedział, że je wykona. Nie spał dobrze. Przez całą noc miał czasami uczucie, że na chwilę zasnął, po czym budził się z jasnym umysłem.

Okno skierowane było na zachód. Widział ciemność nocy znikającej za horyzontem. Wzgórza po drugiej stronie doliny skąpane były promieniami porannego światła. Wstał i odłożył książkę na stół.

Nikt o niczym nie wiedział. Za niecałe dwa dni jedno z dzieci w piwnicy nie będzie żyło. Nie czuł żadnej radości z tego powodu, jednak ożywienie, wynikające z podjęcia decyzji, sprawiło, że pozwolił sobie na cukier i trochę mleka do kwaśnej kawy z poprzedniego wieczoru.

## 7

- Witamy w studio, Inger Johanne Vik. Jest pani prawnikiem i psychologiem oraz autorką pracy doktorskiej na temat: Dlaczego ludzie stają się przestępcami na tle seksualnym. Po ostatnich wydarzeniach...

Inger Johanne zamknęła na chwilę oczy. Mimo mocnego światła w ogromnym studiu było zimno. Czują jak na ramionach dostaje gęsiej skórki.

Powinna odmówić, kiedy się do niej zwrócono z prośbą o udział w programie. Powinna powiedzieć nie. Teraz jednak odpowiedziała:

- Chciałabym najpierw sprecyzować, że nie pisałam pracy o tym, dlaczego niektórzy stają się przestępcami na tle obyczajowym. Na ten temat, o ile się nie mylę, nikt nic pewnego nie wie. Jeśli chodzi o mnie, to przeprowadziłam porównanie między przypadkowo wybraną grupą skazanych za przestępstwa na tle obyczajowym a przypadkową grupą skazanych za kradzieże i oszustwa. Celem tej pracy było zbadanie różnic i podobieństw środowisk, w których skazani wychowywali się i wchodzili w dorosłe życie. Tytuł pracy brzmiał *Sexually motivated crime, a comp...*
- Przepraszam, ale pojawiło się tutaj zbyt dużo trudnych słów, pani Vik. A więc napisała pani większą pracę naukową na temat przestępców na tle seksualnym. W ciągu niecałego tygodnia dwoje dzieci zostało brutal-

nie oderwanych od swoich rodziców. Czy według pani istnieją jakiegokolwiek wątpliwości, że były to przestępstwa na tle seksualnym?

- Wątpliwości?

Nie miała odwagi chwycić za plastikowy kubek z wodą. Zaplotła ręce, aby nie dopuścić do ich niekontrolowanego drżenia. Pragnęła odpowiedzieć, ale głos odmówił jej posłuszeństwa. Przełknęła ślinę.

- Wątpliwości są tutaj zupełnie na miejscu. Nie mogę pojąć, na jakiej podstawie można wyrażać taką opinię.

Prowadzący program podniósł rękę, a między oczami z irytacji pojawiła się bruzda, tak jakby Inger Johanne zerwała jakąś umowę.

- Oczywiście istnieje taka możliwość - poprawiła się.  
- Wszystko jest możliwe. Dzieci *mogły* być narażone na przemoc, jednak sprawa może też dotyczyć czegoś zupełnie innego. Nie pracuję w policji i znam sprawę jedynie z doniesień prasowych. Przypuszczam również, że dotychczasowe dochodzenie nie wyjaśniło jeszcze, czy te dwa... porwania, chyba tak to trzeba nazwać..., mają ze sobą cokolwiek wspólnego. Zgodziłam się na przyście do studia, ponieważ wydawało mi się, że...

Musiała ponownie przełknąć ślinę. Poczula uścisk w gardle. Prawa ręka drżała tak mocno, iż wsunęła palce pod udo. Nie powinna była tu przychodzić.

- Ale pani - odezwał się energicznie prowadzący program i utkwiał wzrok w kobiecie o długich srebrnych włosach, ubranej w czarny kostium - Solveig Grimsrud, prezes nowo utworzonego stowarzyszenia Chrońmy Nasze Dzieci, pani nie ma żadnych wątpliwości, że ma my do czynienia z gwałcicielem dzieci.

- Jest naiwnością myśleć inaczej, wiedząc o podobnych sprawach w innych krajach. Bardzo trudno wyobrazić sobie inne motywy porwania dzieci, dzieci, jeśli wierzyć prasie, nie mających ze sobą nic wspólnego. Znamy podobne sprawy ze Stanów Zjednoczonych, ze Szwajcarii, nie mówiąc już o tych niesamowitych wydarzeniach sprzed kilku lat w Belgii. Znamy je i znamy ich wynik.

Grimsrud uderzyła się lekko w piersi. W mikrofonie, przypiętym do klapy żakietu, okropnie zazgrzytało. Inger Johanne zobaczyła, jak jeden z kamerzystów złapał się za głowę.

- Co pani ma na myśli, mówiąc o... wyniku?

- Jestem przekonana o tym, co mówię. Porwanie dzieci następuje zawsze z jednego z trzech powodów.

Długie włosy spadły jej na oczy. Solveig Grimsrud odgarnęła je za uszy, zanim zaczęła wyliczać powody na palcach.

- Po pierwsze, może to być czysty szantaż. Nie dotyczy to jednak obecnych spraw. Rodziny tych dwojga dzieci mają przeciętną sytuację materialną i nie posiadają majątków. Drugą grupę stanowi znaczna liczba dzieci porwanych przez matkę lub ojca, najczęściej przez tego drugiego, po rozpadzie małżeństwa. Tutaj też nie mamy z tym do czynienia. Matka dziewczynki nie żyje, a rodzice chłopca są małżeństwem. Pozostaje więc ostatnia możliwość. Dzieci zostały porwane przez jednego lub kilku pedofilów.

Prowadzący program zawahał się.

Inger Johanne przypomniała sobie przytulony do jej płeców nagi brzusek śpiącego dziecka i senne paluszki łaskoczące w szyję.



Mężczyzna pod sześćdziesiątkę, w ogromnych okularach i ze spuszczonego wzrokiem, nabrał powietrza i zaczął mówić jeszcze na wdechu.

- Ja widzę sprawę w ten sposób. Teoria Grimsrud jest jedną z wielu. Sądzę, że powinniśmy być...
- Fredrik Skolten - przerwał redaktor. - Jest pan prywatnym dedektywem z dwudziestoletnim doświadczeniem w policji za sobą. Chcielibyśmy poinformować naszych widzów, że zaprosiliśmy Centralne Biuro Śledcze Kripos do udziału w dziesiątym programie, ale odmówili. Panie Skolten, na podstawie pana bogatego doświadczenia wyniesionego z policji jak pan sądzi, która teoria jest punktem wyjścia dla policji w tych dwóch porwaniach?
- Tak jak chciałem przed chwilą powiedzieć...
- Mężczyzna badał wzrokiem jakiś punkt na stole i pocierał rytmicznie lewą rękę wskazującym palcem prawej. - W obecnej chwili pewnie badają wszelkie możliwości. Ale w tym, co mówiła pani Grimsrud, jest dużo prawdy. Z reguły sprawy porwań dzieci możemy podzielić na trzy kategorie, o których pani Grimsrud... Dwie pierwsze są dosyć...
- Mało prawdopodobne? - spytał prowadzący i nachylił się bliżej, jakby prowadzili ze sobą poufną rozmowę.
- No tak. Ale nie ma podstaw, żeby... Nie można...
- Najwyższy czas, aby ludzie się przebudzili - przerwała Soh/eig Grimsrud. - Jeszcze kilka lat temu patrzyliśmy na seksualne molestowanie dzieci, jak na sprawy nas nie dotyczące. Coś, co działo się gdzie indziej, w USA, daleko od nas. Pozwalaliśmy naszym dzieciom

samym iść do szkoły, wyjeżdżać bez opieki pod namioty, godzinami przebywać w domu bez dozoru. Tak dalej być nie może. Najwyższy czas, abyśmy...

- Najwyższy czas, żebym się wycofała.

Inger Johanne wstała, nie zdając sobie z tego sprawy. Wbiła wzrok w kamerę, elektronicznego cyklopa, wpatrującego się w nią swym pustym, szarym okiem, co sprawiło, że cała zeszytniała. Miała w dalszym ciągu przymocowany mikrofon.

- To do niczego niepodobne. Gdzieś tam, w jakimś miejscu... Podniosła palec w stronę kamery - ...jest wdo wiec, którego córka zniknęła tydzień temu. W innym miejscu jest małżeństwo. Ich chłopiec został ukradziony, zabrany od nich nocą. A tutaj siedzi pani... - Przesunęła drżący palec w stronę Solveig Grimsrud - ...i mówi im, że stało się to, co najgorsze. Pani nie ma żadnych, po wtarzam *żadnych* podstaw, żeby tak twierdzić. To jest bezmyślność, okrucieństwo. *Nieodpowiedzialność*. Jak już mówiłam, znam te dwie sprawy tylko z mediów. Ale mam nadzieję... Jestem nawet pewna, że policja w żaden sposób nie ograniczyła się do jednej teorii, tak jak pani to zrobiła. Tu, na miejscu, mogę wyliczyć sześć, siedem powodów porwań, każdy z nich równie dobry lub zły jak drugi. A na pewno wszystkie mają o wiele lepszą podstawę od pani scenariusza. Od zniknięcia małego Kima minął jeden dzień. *Jeden dzień!* Nie mam słów...

W dosłownym znaczeniu. Zamikła. Po czym zerwała mikrofon i wyszła. Kamera towarzyszyła jej aż do drzwi studia. Poruszała się ciężko i inaczej niż zwykle.

- No cóż - odezwał się prowadzący program. Oddychał z otwartymi ustami, a nad górną wargą po-

jawiły się kropelki potu. - I to też musiało się kiedyś zdarzyć.

W innym miejscu w Oslo siedziało dwóch mężczyzn i oglądało telewizję. Starszy uśmiechnął się lekko, młodszy uderzył pięścią w ścianę.

- Do diabła. Niezłe. Znasz ją? Słyszałeś coś o niej?

Starszy, Yngvar Stubo, komisarz policji z Kripos, przytaknął z roztargnieniem.

- Faktycznie czytałem jej pracę naukową, o której była mowa. Teraz bada sposób, w jaki prasa przedstawia poważne przestępstwa. Jak zrozumiałem z jednego artykułu, który czytałem, porównuje losy grupy skazanych, którymi interesowała się prasa, z grupą, którą media się nie interesowały. Łączyło ich jedno: wszyscy twierdzili, że są niewinnie skazani. W swych badaniach cofnęła się do dawniejszych spraw. Chyba do lat pięćdziesiątych. Dlaczego, nie wiem.

Sigmund Berli zaśmiał się.

- Twarda jest. Chyba nie widziałem jeszcze niko go, kto by tak po prostu wstał i wyszedł. Odważna! Szczególnie że miała rację!

## 8

Dziecko, które ma umrzeć, nie wie o tym. Nie ma żadnego wyobrażenia o śmierci. Z samego instynktu walczy o życie, podobnie jak jaszczurka, gotowa stracić ogon w sytuacji zagrożenia. Każde stworzenie jest genetycznie zaprogramowane, aby przeżyć. Także dzieci. Ale nie mają wyobrażenia śmierci. Dziecko boi się rzeczy konkretnych. Ciemności. Może obcych, utraty rodziców, bólu, budzących lek dźwięków, utraty przedmiotów. Sama śmierć jest niezrozumiała dla niedojrzałych umysłów.

Dziecko, które ma umrzeć, nie wie o tym.

Tak rozmyślał mężczyzna w czasie swoich przygotowań.

Nalał coca-coli do szklanki, dziwiąc się samemu sobie, że w ogóle zajmuje się takimi myślami. Mimo iż chłopiec nie został wybrany przypadkowo, to jednak nie łączyło ich żadne uczucie. Chłopiec emocjonalnie był dla niego zupełnie obcy. Był pionkiem w ważnej grze. Zresztą nic nie zauważy. Właściwie chłopiec tylko zyska na śmierci. Jego tęsknota za rodzicami, ból z tym związany, który można sobie wyobrazić i zrozumieć u pięcioletniego dziecka, wszystko to było z pewnością gorsze od szybkiej i bezbolesnej śmierci.

Mężczyzna rozkruszył tabletkę valium i wrzucił do szklanki. Dawka była niewielka, chłopiec miał jedynie

zasnąć. To było ważne, aby chłopiec umarł we śnie. Tak było łatwiej. Praktyczniej. Samo zrobienie zastrzyku dziecku jest trudne, a co dopiero gdyby miało jeszcze krzyczeć i kopać.

Na widok musującego napoju w szklance z colą poczuł pragnienie. Powoli zwilżył usta językiem. Dreszcz przebiegł mu po plecach. W jakiś sposób cieszył się na to wszystko. Na przeprowadzenie dokładnie przemyślanego planu. Jeśli wszystko pójdzie dobrze, cała sprawa zajmie sześć tygodni i cztery dni.

## 9

Niewiele wskazywało na to, że pozostał tylko miesiąc do pełni lata. Nad jeziorem Sognsvann w okolicy Oslo unosiła się mgła, a drzewa były jeszcze bez liści. Na jednej lub drugiej wcześniej przebudzonej wierzbie pojawiły się pierwsze pączki, a na wzgórzach od południowej strony rosły na długich łodygach kwiaty podbiału. Ale poza tym mógł to być równie dobrze czternasty października lub czternasty maja. Sześciolatka w czerwonym kombinezonie i żółtych kaloszach zerwała z głowy czapkę.

- Nie rób tego, Kristiane. Nie wchodź do wody.
- Pozwól *jej* pobrodzić. Przecież ma kalosze na nogach.
- O Boże, Isak, tam nie jest tak płytko! Kristiane! Nie wolno!

Dziewczynka nie chciała słuchać. Nuciała jakąś monotonną melodię, stojąc w wodzie, wlewającej się już do butów. Dziecko patrzyło przed siebie bez wyrazu, powtarzając cały czas te same cztery tony.

- Cała *jesteś* mokra - narzekała Inger Johanne Vik, wyciągając dziecko z wody.

Dziewczynka uśmiechnęła się łagodnie do swoich stóp i przestała śpiewać. Matka wzięła ją za rękę i obie usiadły na ławce kilka metrów dalej. Inger Johanne wyjęła z turystycznego plecaka suche rajstopy, parę grubych skarpetek i adidasy. Ale Kristiane nie chciała

się przebrać. Siedziała sztywno z mocno ściśniętymi nogami. Spojrzenie utkwiała ponownie w nieznanym punkcie. Z głębi gardła wydobywały się te same co zawsze cztery tony: dam-di-rum-ram.

- Będziesz chora - powiedziała Inger Johanne.

- Przeziębisz się.

- Chora - uśmiechnęła się Kristiane. Jej wzrok zatrzymały się na oczach matki z nagłym błyskiem zrozumienia.

- Tak. Będziesz chora.

Próbowała zatrzymać wzrok dziecka na sobie.

- Dam-di-rum-ram - zanuciła Kristiane i ponownie zeszywniała.

- Pozwól.

Isak chwycił córkę pod ramiona i podrzucił wysoko do góry.

- Tata - krzyknęła Kristiane i wciągnęła powietrze.

- Jeszcze!

- Masz jeszcze - krzyknął Isak, pozwalając dziecku pociągać mokrymi butami po ziemi, nim podrzucił je ponownie w górę. - Kristiane jest samolotem.

- Samolot! Bomba samolot! Pan mewa!

Inger Johanne nie wiedziała, skąd to się brało u córki. Dziewczynka tworzyła zwroty, których ani Isak ani ona nigdy nie używali. Właściwie nikt ich nie używał. W konstrukcjach tych była jednak swego rodzaju logika, rodzaj zależności, początkowo trudnej do zauważenia, mimo to wskazującej na głębsze zrozumienie języka. Był to duży kontrast w porównaniu z krótkimi, prostymi słowami, jakich zwykle używała. I tylko wtedy, gdy sama tego chciała.

- Dam-di-rum-ram.

Lot w powietrzu zakończył się. Powróciła piosenka. Teraz Kristiane siedziała spokojnie na kolanach ojca i pozwoliła się przebrać.

- Lodowata pupa - stwierdził Isak i zanim wciągnął na nogi suche rajstopy, dał jej lekkiego klapsa. Palce od stóp podwijały się nienaturalnie mocno. - Kristiane jest cała lodowata.

- Kristiane lód. Głodna.

Posadził córkę przed sobą, mokre rzeczy włożył do plecaka, po czym z bocznej kieszeni wyjął banana i podał jej.

- Gdzie skończyliśmy?

Włosy, sklejone od wilgotnego powietrza, przecesał palcami. Podniósł twarz. Zawsze wyglądał tak młodo, mimo iż był tylko o miesiąc od niej młodszy. Nieodpowiedzialny i wiecznie młody - włosy zwykle trochę za długie, ubranie, jak na jego wiek, trochę zbyt swobodne. Inger Johanne próbowała zdusić w sobie pojawiające się często uczucie porażki; poczucie, że z ich dwojga ona gorzej radzi sobie z córką.

- Opowiedz mi dalszy ciąg.

Uśmiechnął się zachęcająco, odrzucając nieznacznie głowę do tyłu. Kristiane szła już dziesięć metrów przed nimi charakterystycznymi, nieporadnymi krokami, z których dawno już powinna wyrosnąć. Isak położył na chwilę dłoń na ramieniu Inger Johanne, po czym ruszył za córką. Powoli, jakby miał wątpliwości, czy Inger Johanne nadąży za nimi.

- Kiedy Alvhild Sofienberg postanowiła zbadać bliżej sprawę - zaczęła, śledząc bacznie małą figurkę, ponów-



nie zbliżając się do brzegu wody - napotkała nieoczekiwany opór. Aksel Seier nie chciał z nią rozmawiać.

- O? Dlaczego nie? Przecież występował o ułaskawienie. Fakt, że ktoś z ministerstwa zwrócił się do niego w celu ponownego zbadania sprawy, powinien dodać mu odwagi.

- Tak można było sądzić. Nie mam pojęcia. Kristiane!

Dziewczynka odwróciła się, śmiejąc się głośno. Po chwili podreptała w stronę lasu. Pewnie coś zwróciło jej uwagę.

- W każdym razie nie poddała się. To znaczy Alvhild Sofienberg. Po pewnym czasie nawiązała kontakt z pastorem działającym w więzieniu. Budzący zaufanie facet, który wiele w życiu widział. Był przekonany, że Seier był... niewinny. On także. Dla Alvhild była to oczywiście woda na jej młyn. Nie poddała się, ponownie zwróciła się do swego przełożonego.

- Poczekaj chwilę.

Isak zatrzymał się. Wskazał ruchem głowy Kristiane, która znalazła sobie towarzystwo ogromnego bernardyna. Dziecko objęło go ramionami za szyję, piszcząc z radości. Pies machał leniwie ogonem.

- Powinnaś mieć psa - powiedział cicho. - Kristiane jest fantastyczna z psami. Przebywanie z nimi dobrze jej robi.

- Albo tobie - odpowiedziała Inger Johanne ostrym głosem. - Dlaczego to akurat ja muszę brać na siebie wszystkie obowiązki. Zawsze.

Isak wciągnął głęboko powietrze, po czym wypuścił przez szczelinę między przednimi zębami. Niski, prze-



ciągły gwizd sprawił, że pies podniósł swe ciężkie uszy. Kristiane zaśmiała się głośno.

- Zapomnij o tym - powiedział i lekko pokręcił głową. - I co się później stało?

- Ty wcale nie jesteś tym zainteresowany.

Isak Aanonsen potarł twarz chudą ręką.

- Ależ tak. Nie rozumiem, dlaczego tak twierdzisz. Wysłuchałem prawie całej historii i jestem *bardzo* zainteresowany jej zakończeniem. Co się z tobą dzieje?

Kristiane skłoniła psa, by się położył. Teraz siedziała na nim okrakiem, zanurzając ręce w sierści. Właściciel stał zdumiony obok i patrzył z nieukrywanym niepokojem w stronę Isaka i Inger Johanne.

- Wszystko w porządku - powiedział Isak głośno, po czym pobiegł truchtem w stronę psa i dziecka. -

Ona ma specjalne porozumienie ze zwierzętami.

- Rzeczywiście widać to - przyznał właściciel.

Isak podniósł córkę, a pies wstał. Właściciel wziął psa na smycz i skierował się szybkimi krokami na północ, oglądając się od czasu do czasu za siebie, jakby się bał, że to dziwne dziecko może za nimi pójść.

- Opowiadaj dalej - poprosił Isak.

- Dim-di-rum-ram - zaśpiewała Kristiane.

- Przełożony odmówił rozmowy - powiedziała krótko Inger Johanne. - Powiedział jej, że ma zostawić sprawę w spokoju. Powinna zająć się wyłącznie pracą. Kiedy jednak poinformowała go, że przysłano jej

wszystkie dokumenty, które dokładnie przeczytała, zirytował się w widoczny sposób. A kiedy dodała, że jest przekonana o niewinności Seiera, wpadł we wściekłość. A potem zdarzyło się coś naprawdę... Coś najbardziej przerażającego w całej sprawie.

Kristiane wzięła ją nagle za rękę.

- Mama - powiedziała ciepło. - Moja mama i ja.
- Pewnego dnia, gdy Alvhild Sofienberg pojawiła się w swoim biurze, wszystkie dokumenty zniknęły.
- Zniknęły? Wszystkie?
- Tak. Ponad metr dokumentów. Zniknęły bez śladu.
- Na spacer - odezwała się Kristiane. - Moja mama i ja.
- I tata - dodała Inger Johanne.
- I co dalej ?

Między oczami Isaka rysowała się zmarszczka. Podobieństwo między nim a córką stało się jeszcze bardziej widoczne: szczupła twarz, zrośnięte brwi.

- Alvhild Sofienberg odczuła niemal... strach? W każdym razie nie miała już odwagi nachodzić swego szefa, kiedy dowiedziała się, że teczki zostały zabrane „przez policję”.

Narysowała w powietrzu wyraźny cudzysłów.

- Ale jednocześnie dowiedziała się w zaufaniu, po cichu, że Aksel Seier wyszedł na wolność.
- Jak to?
- Na wiele lat przed końcem kary. Został zwolniony.

Tak po prostu. Dyskretnie, bez rozgłosu.

Doszli do parkingu przy Wyższej Szkole Sportowej. Na miejscu prawie nie było samochodów. Wzdłuż i wszerz widoczne były kałuże błota i głębokie ślady opon. Pod trzema brzożami stał stary opel kadett należący do Inger Johanne i audi TT Isaka.

- Pozwól mi podsumować to wszystko - powiedział Isak i podniósł dłoń, jakby chciał złożyć przysięgę.

- Jest rok 1965. Nie wiek dziewiętnasty. Mamy rok 1965, w którym oboje się urodziłyśmy, Norwegia została odbudowana po zniszczeniach wojennych, biurokracja dobrze funkcjonuje, a bezpieczeństwo prawne jest już dobrze wdrożonym pojęciem. I co? Po prostu został wypuszczony na wolność, tak bez żadnego powodu. Oczywiście uważam, że wypuszczenie na wolność wyraźnie niewinnego człowieka jest słuszne, ale...

- No właśnie. W tym jest wielki znak zapytania.

- Tata samochód - powiedziała Kristiane i poklepała srebrną maskę sportowego samochodu.

- Żuk samochód. Samożukchód.

Oboje roześmieli się.

- Moja ty jedyna - odezwała się Inger Johanne, zawiązując mocniej czapkę pod brodą Kristiane.

- Skąd ona to, do cholery, bierze?

- Nie przeklinaj - ostrzegła Inger Johanne. - Uczy się tego w różnych miejscach. W każdym razie...

Wyprostowała się. Kristiane, nucąc, usiadła w kałuży.

- Od swojego źródła, czyli pastora, dowiedziała się, że jakaś starsza kobieta z Lillestrom pojawiła się w miejscowej komendzie policji. Przez długie lata ukrywała bolesną tajemnicę. Mieszkający razem z nią dorosły syn, lekko upośledzony mężczyzna, wrócił pewnego dnia wczesnym ranem do domu. Poprzedniego wieczoru zniknęła mała Hedvig. Jego ubranie było zakrwawione, a on sam zdenerwowany. Kiedy sprawa Hedvig stała się głośna, kobieta od razu nabrała podejrzeń co do syna. Nie chciała jednak o tym donieść. Chyba nietrudno jest to...

Inger Johanne spojrzała na córkę.

- W każdym razie... Obecnie syn już nie żyje. Jednak w komisariacie potraktowano kobietę jak histeryczkę i sprawa została zatuszowana przez policję i prokuraturę. Bez względu na to, co się za tym wszystkim kryło, nasz przyjaciel Aksel Seier został kilka tygodni później wypuszczony na wolność. Dyskretnie. Żadna gazeta o tym nie pisała. Alvhild niczego więcej o sprawie się nie dowiedziała.

Mgła rozrzedziła się, jedynie niskie chmury przesunęły się wolno na wschód nad wierzchołkami drzew. W miejscu mgły pojawił się rzęsy deszcz. Przemoknięty angielski seter kręcił się wokół Kristiane. Kiedy rzucała przed siebie kamienie, krzycząc z zachwytem, biegł za nimi, szczekając.

- Ale dlaczego Alvhild Sofienberg o tym wszystkim opowiada?

- Hm...

- Dlaczego teraz ci o tym opowiada? Trzydzieści... trzydzieści pięć lat później.

- Dlatego, że coś dziwnego przeżyła w zeszłym roku. Sprawa dręczyła ją przez wszystkie lata. Obecnie, kiedy jest na emeryturze, postanowiła bliżej się temu przyjrzeć. Skontaktowała się z centralnymi archiwami w celu uzyskania dokumentów. Ale ich już nie ma.

- Jak to?

- Zaginęły. Nie ma ich w żadnym z centralnych archiwów. W Komendzie Głównej w Oslo też nie mogą ich znaleźć. Ponad metr dokumentów po prostu zaginął.

Kristiane podniosła się ze swojej kałuży i zbliżyła do nich, przemoczona i ubłocona od stóp do głów.

- Cieszę się, że nie będziesz teraz jechała w moim samochodzie - powiedział Isak i kucnął przed dzieckiem.

- Ale zobaczymy się w święto 17 Maja, prawda?

- Czy tata może dostać buziaka, zanim pojedziemy?

- zapytała Inger Johanne.

Kristiane pozwoliła się bezwolnie objąć. Jej spojrzenie utkwione było w jakimś odległym punkcie.

- Czy sądzisz, Isak, że dasz radę to załatwić?

Nie spuszczać dziecka z oczu, odpowiedział:

- Oczywiście. Wiesz, że jestem czarodziejem. Jeśli Aksel Seier jeszcze żyje, powinienem odnaleźć jego obecny adres w niecały tydzień. Gwarantowane.

- W życiu nie ma żadnych gwarancji - stwierdziła Inger Johanne stanowczym tonem. - Ale dziękuję, że chcesz spróbować. Jeśli komuś miałoby się to udać, to właśnie tobie.

- *Sure thing* - odparł Isak, wsuwając się do audi TT.

- Zobaczymy się w środę.

Patrzyła za nim, aż samochód zniknął, zjeżdżając w dół do Kringsja.

Isak pozostanie na zawsze dużym chłopcem. Nie rozumiała tego wcześniej. W dawniejszych czasach, przed urodzeniem się Kristiane, podziwiała jego energię, zapał, optymizm, tę dziecięcą wiarę, że wszystko da się załatwić. Całą swoją przyszłość zbudował na pełnym zaufaniu do samego siebie. Isak założył firmę internetową typu [dot.com](http://dot.com) wtedy, gdy jeszcze niewielu o tym myślało, po czym miał na tyle rozumu, że sprzedał ją w odpowiednim czasie. A teraz przyjemnie spędza kilka godzin dziennie w świecie komputerowym, przez pół roku bierze udział w regatach żeglarskich,

a w wolnych chwilach pomaga Armii Zbawienia w poszukiwaniu zaginionych osób.

Inger Johanne zakochała się w jego śmiechu, z którym wychodził naprzeciw światu. Wzruszenie ramion, kiedy sprawy stawały się zbyt skomplikowane, czyniło go tak pociągająco odmiennym od niej samej.

Po czym pojawiła się Kristiane. Początkowo czas nie istniał w trakcie trzech operacji serca, nocnego czuwania i ogarniającego strachu. A kiedy w końcu obudzili się po pierwszej przespanej nocy, było już za późno. Jeszcze rok przetrwali w niby małżeństwie. Dwutygodniowy wspólny pobyt w ośrodku Krajowego Centrum Psychiatrycznego dla Dzieci i Młodzieży, w którym daremnie poszukiwali diagnozy stanu Kristiane, doprowadził do ich rozvodu. Rozeszli się może nie całkiem jak przyjaciele, ale z zachowaniem wzajemnego szacunku.

Diagnoza nie została nigdy postawiona. Kristiane krążyła w swym własnym, małym świecie, lekarze kiwali głowami. Może autyzm - mówili, marszcząc jednocześnie brwi na widok umiejętności dziecka przywiązywania się do innych i wielkiej potrzeby fizycznego kontaktu. Czy odgrywa to jakąkolwiek rolę? - pytał Isak. Dziecko jest normalne, jest nasze i g... mnie obchodzi, jaką ma wadę. Nie rozumiał, jak było to ważne. Znalezienie diagnozy. Zastosowanie leczenia. Stworzenie takich możliwości, aby Kristiane mogła rozwinąć pełnię swych zdolności.

Był tak cholernie nieodpowiedzialny.

Problem w tym, że nigdy nie zaakceptował, iż jest ojcem niepełnosprawnego dziecka.



Isak spojrział w lusterko. Inger Johanne wyglądała teraz starzej. Była bardziej zmęczona. Brała wszystko tak poważnie. Najbardziej pragnął jej zaproponować, aby Kristiane zamieszkała u niego na stałe, a nie tak, jak do tej pory, co drugi tydzień. Za każdym razem to dostrzegał: kiedy po tygodniu przywoził Kristiane, Inger Johanne była w dobrym humorze i w miarę wypoczęta. Kiedy przyjeżdżał po córkę w następną niedzielę, Inger Johanne była poszarzała, zmęczona i niecierpliwa. Nie było to dobre dla dziecka. Jak również wieczne bieganie po specjalistach i tak zwanych ekspertach. Nie sądził, aby postawienie córce diagnozy było aż tak ważne. Istotne jest, że jej serce funkcjonuje dobrze, dziecko ma apetyt i ogólnie dobrze się czuje. Jego córka była szczęśliwa. O tym Isak był przekonany.

Inger Johanne zbyt długo była dorosła. Wcześniej, przed pojawieniem się Kristiane, było to pociągające. Sexy. Jej ambicja. Powaga we wszystkim, co robiła. Ambitne plany. Efektywność. Zakochał się w tej dojrzałej świadomości celów, w zasługującym na podziw postępie w studiach, w pracy na uniwersytecie.

I pojawiła się Kristiane.

Kochał to dziecko. To było jego dziecko. Nic córce nie dolegało. Wprawdzie nie była taka, jak inne dzieci, ale była sobą. To wystarczyło. Opinia wszystkich specjalistów na świecie na temat stanu dziecka była całkowicie nieistotna. Ale nie dla Inger Johanne. Zawsze drażyła sprawę do końca.

Była tak cholernie odpowiedzialna.

Problem w tym, że nigdy nie zaakceptowała, iż jest matką niepełnosprawnego dziecka.

## 10

Komisarz policji Yngvar Stubo przypominał byłego zawodnika amerykańskiego futbolu. Silnie zbudowany, z widocznymi znamionami otyłości i o wzroście właściwie nie wyższym od przeciętnego. Te dodatkowe kilogramy rozłożone były równomiernie na ramionach, karku i udach. Klatka piersiowa napinała się pod śnieżnobiałą koszulą. Z kieszeni, tuż nad sercem, wystawały dwie metalowe rurki. Inger Johanne Vik, zanim zrozumiała, czym one są, pomyślała, że komisarz chodzi z amunicją przy sobie.

Wcześniej wysłał po nią samochód. Po raz pierwszy ktoś wysłał po Inger Johanne Vik samochód. Czując się z tym niewygodnie, prosiła o uwolnienie jej z przyjęcia tej przysługi. Istniało przecież metro. Mogła też wziąć taksówkę. Ale Stubo się uparł. Wysłał po nią anonimowe, ciemnoniebieskie volvo, z młodym człowiekiem za kierownicą.

- Można by pomyśleć, że służba wywiadowcza - uśmiechnęła się sztywno, podając Stubo rękę na powitanie. - Ciemnoniebieskie volvo, milczący kierowca w ciemnych okularach.

Jego śmiech był równie mocny jak cała sylwetka, z której się wydobywał. Zęby miał białe i równe, z błyskiem złota w trzonowym po prawej stronie.

- Proszę nie przejmować się Oskarem. Jeszcze wiele musi się nauczyć.

W powietrzu unosił się lekki zapach cygara. Nigdzie nie było jednak popielniczki. Niezwykle duże biurko z uporządkowanymi skoroszytami po jednej stronie i wyłączonym komputerem po drugiej. Na ścianie, z tyłu za krzesłem, na którym Stub0 usiadł, wisiały mapa Norwegii, plakietka FBI i duże zdjęcie kasztanowatego konia. Zdjęcie zrobione było latem, na łące pełnej polnych kwiatów. W momencie fotografowania koń odrzucił głowę, otoczoną grzywą niczym aureolą, a jego spojrzenie utkwilo w obiektywie aparatu.

- Wspaniały koń - powiedziała, wskazując palcem na fotografię. - Pana?

- Sabra - odpowiedział, ponownie uśmiechając się; ten człowiek cały czas się uśmiechał. - Piękne zwierzę. Dziękuję, że zechciała pani przybyć. Widziałem panią w telewizji.

Inger Johanne Vik pomyślała, że ostatnio wiele osób to samo do niej mówiło. Oczywiście Isak był jedynym człowiekiem, który żadnym słowem nie wspomniał tego okropnie wstydliwego epizodu. No tak, ale on nigdy nie oglądał telewizji. W przeciwieństwie do jej matki, która zadzwoniła pięć razy w ciągu pierwszej pół godziny od zakończenia programu. Już w chwili wejścia do domu doleciał do niej z automatycznej sekretarki przenikliwy głos matki. Inger Johanne nie oddzwoniła. Konsekwencją tego były cztery następne telefony, jeden bardziej energiczny od drugiego. Następnego dnia w pracy poklepywano ją po ramieniu. Niektórzy się śmieli, inni byli ogromnie wzburzeni tym, co jej się

przydarzyło. Kasjerka w osiedlowym sklepie nachyliła się do niej poufale i szepnęła tak głośno, że wszyscy wokół musieli usłyszeć:

- Widziałam panią w telewizji!

Liczba widzów oglądających ten cykliczny program musiała być ogromna.

- Była pani bardzo dobra - powiedział Stubo.

- Bardzo dobra? Prawie nic tam nie powiedziałam.

- Powiedziała pani to, co najważniejsze. Opuszczenie przez panią studia było bardziej wymowne od słów, wyciśniętych przez pozostałych... uczestników o bardziej ograniczonej wiedzy. Czy czytała pani mój mail?

Przytaknęła.

- Myślę jednak, że jesteście na fałszywym tropie. Nie bardzo mogę zrozumieć, w czym mogłabym pomóc. Nie jestem właściwie...

- Czytałem pani pracę doktorską - przerwał.

- Bardzo interesująca. W moim zawodzie...

Spojrzał prosto na nią i umilkł. Jego oczy miały przepraszać, tak jakby czuł się zażenowany tym, co teraz robił.

- Nie jesteśmy zbyt dobrzy w aktualizowaniu naszej wiedzy. Zdobywamy jedynie te informacje, które wydają się ważne w wykonywaniu zawodu śledczego. Ostatnie dwie sprawy...

Otworzył szufladę i wyjął książkę. Inger Johanne od razu rozpoznała okładkę ze swoim nazwiskiem, zapisanym małymi literami nad pozbawionym kolorów zimowym krajobrazem.

- Prawdopodobnie jestem tutaj jedynym, który ją przeczytał. Szkoda. Jest bardzo aktualna.

- Dla kogo?

Jego twarz ponownie przybrała trochę niezadowolony, a trochę przepraszający wyraz.

- Dla policji. Dla każdego, kto stara się zrozumieć duszę zbrodni.

- Duszę zbrodni? Czy jest pan pewny, że nie ma pan na myśli duszy zbrodniarza?

- Słusznie, pani profesor. Słusznie.

- Nie jestem profesorem. Jestem wykładowcą uniwersyteckim.

- Czy to ważne? -Tak.

- Dlaczego?

- Dlaczego...

- Czy odgrywa to jakąkolwiek rolę, jak ja panią tytułuję? Kiedy nazywam panią profesorem, oznacza to jedynie, że wiem, iż pani jest naukowcem i wykładowcą na uniwersytecie. Czy nie jest tak naprawdę? Czy nie tym właśnie się pani zajmuje?

- To prawda, ale nie jest to powodem do nazywania siebie...

- Do przedstawiania siebie ważniejszym niż się jest? Żeby nie dbać o formalności? To pani ma na myśli?

Inger Johanne zdjęła okulary i zmrużyła oczy. Powoli wytarła rogiem bluzki lewe szkło. Chciała zyskać na czasie. Mężczyzna, siedzący po drugiej stronie biurka, zredukowany został do szarej mgły, do konturu postaci o niesprecyzowanym charakterze.

- Mój zawód to precyzja. - Usłyszała głos, wydobywający się z zamazanej twarzy. - W dużych i małych sprawach. Dobra praca policyjna polega na układaniu

kamienia na kamieniu. Z milimetrową dokładnością. Jeśli robię to niedbale... Jeśli któryś z moich ludzi przeoczy najmniejszy włos, spóźni się o minutę, pójdzie drogą na skróty, ponieważ uważamy, że wiemy o czymś, mimo iż w rzeczywistości nie jesteśmy tego na sto procent pewni, to wtedy...

Klasnął w dłonie, a Inger Johanne włożyła z powrotem okulary.

- I mamy wtedy problemy - dokończył cicho.

- Zaczynam mieć naprawdę tego dosyć.

Nie była to jednak jej sprawa. Nie obchodził jej fakt, że komisarz policji z Kripos w średnim wieku jest zmęczony swoją pracą. Wyraźnie miał jakiś egzystencjalny problem, a to ją niewiele obchodziło.

- Oczywiście nie pracy jako takiej - dodał nagle, podając jej pudełko dropsów. - Absolutnie nie. Proszę wziąć jeden. Czy przeszkadza pani zapach cygar? Czy mam wywietrzyć?

Pokręciła głową, uśmiechając się lekko.

Odwzajemnił uśmiech. Był przystojny. Przystojny w jakiś ekstremalny sposób: nos był zbyt prosty, zbyt duży. Oczy zbyt głęboko osadzone, zbyt niebieskie. Usta zbyt ostre, za ładnie wyrzeźbione. Yngvar Stubo był za stary na tak śnieżnobiałe zęby.

- Z pewnością zastanawiała się pani, dlaczego chciałem się z panią spotkać - powiedział miłym głosem.

- Kiedy wcześniej korygowała mnie pani... poprawiała duszę *zbrodni* na duszę *zbrodniarza*, to trafiła pani w sedno sprawy. Cała sprawa właśnie tego dotyczy.

- Nie całkiem rozumiem.

- Proszę zaczekać. - Odwrócił się w stronę fotografii

z koniem. - Sebra - zaczął, zaplatając ręce z tyłu głowy - jest dobrym, klasycznym wierzchowcem. Kiedy po sadzi pani na niej pięciolatka, ruszy ostrożnie małymi krokami. Kiedy jednak ja jej dosiędę, to hej! Przez wiele lat uprawiałem z nią skoki przez przeszkody. Oczywiście bardziej jako hobby, nigdy nie byłem naprawdę w tym dobry. Sedno sprawy tkwi...

Nagle nachylił się do niej, tak że poczuła z jego ust słaby zapach miętowych pastylek. Inger Johanne nie była pewna, czy ta nagła poufałość była przyjemna czy odpychająca. Cofnęła się.

- Słyszałem ludzi, którzy twierdzili, że konie nie widzą kolorów - kontynuował. - Może i mają rację. Mogą jednak mówić, co chcą, ale Sebra nienawidzi wszystkiego, co jest niebieskie. Poza tym nie lubi przebywać na deszczu, jest trochę zakochana w narowistych klaczach, ma alergię na koty i zbyt łatwo rozprasza jej uwagę samochody z ponad trzylitrowym silnikiem. - Zawahał się przez chwilę, przechylił nieznacznie głowę, po czym mówił dalej. - Sedno sprawy tkwi w tym, że zawsze mogłem *uzasadnić* jej rezultaty. Na podstawie jej charakteru. Jako... jako konia po prostu. Jeśli na przykład przewróciła jakąś przeszkodę, nie potrzebowałem przeprowadzać głębszej analizy, tak jak to robili zawodowi jeźdźcy. Ja potrafiłem... - spojrzął z ukosa na zdjęcie.

- Widziałem to w jej oczach. W jej duszy, jeśli pani woli. W jej charakterze. Na podstawie tego, co o niej wiedziałem.

Inger Johanne chciała coś powiedzieć. Powinna wystąpić z jakąś uwagą.

Zanim zdecydowała się odezwać, powiedział:

- Tutaj nie pracujemy w ten sposób. Tutaj idziemy inną drogą.

- W dalszym ciągu nie wiem, czego pan ode mnie oczekuje.

Yngvar Stubo splótł ponownie ręce, tym razem w geście prośby, po czym położył je ostrożnie na biurku.

- Dwoje porwanych dzieci i dwie zrozpaczone rodziny. Moi ludzie wysłali już do laboratorium ponad czterdzieści różnych próbek. Mamy kilka setek zdjęć z miejsc przestępstw. Przeprowadziliśmy taką ilość przesłuchań świadków, że od samej liczby dostałaby pani bólu głowy. Prawie sześćdziesięciu ludzi pracuje nad tą sprawą, a właściwie nad *tymi sprawami*. Za kilka dni będę wiedział wszystko, co dotyczy tych *zbrodni*. Obawiam się jednak, że to do niczego nie doprowadzi. Ja chcę wiedzieć coś na temat *zbrodniarza*. Dlatego potrzebuję pani.

- Pan potrzebuje specjalisty od *profilu* - powiedziała powoli.

- Właśnie. Potrzebuję pani.

- Nie - zaprotestowała może trochę za głośno. - To nie ja jestem panu potrzebna.

W jednym z bliźniaków w Baerum pod Oslo kobieta spojrzała na zegarek. Czas zachowywał się całkiem • nielogicznie. Sekundy nie mijały po sekundach. Minuty nie następowały po minutach. Godziny nakładały się na siebie. Najpierw były wiecznością, a potem - chwilą. Wracały, kiedy wydawało się, że stały się przeszłością. Rozpознаwała je, niczym dawnych nieprzyjaciół nie chcących jej zostawić w spokoju.



Strach, który pojawił się tego pierwszego poranka, był dla nich obojga niemal namacalny. Mogli to skanalizować w ciąg telefonów: na policję i do swoich rodziców. Do pracy. Do straży pożarnej, która niepotrzebnie przyjechała, gdyż nie w jej mocy było znalezienie małego pięcioletniego chłopca z brązowymi lokami, który zniknął tej nocy. Lasse zadzwonił do wszystkich, którzy przyszli mu na myśl: do szpitala, który przysłał karetkę pogotowia, ale okazało się, że nie było nikogo do zabrania. Ona sama zadzwoniła do sąsiadów, którzy jednak zatrzymali się sceptycznie przy furtce, kiedy w ogródku przed domem zobaczyli policjantów w mundurach.

Strachu można było jeszcze wtedy do czegoś użyć. Później było już tylko gorzej.

Potknęła się na schodach, prowadzących do piwnicy.

Spadły, zawieszona na ścianie, dodatkowe kółka od dziecięcego roweru. Nie tak dawno Lasse odkręcił je od roweru Kima. Kim był wtedy taki dumny. Popedałował przed siebie w niebieskim kasku. Przewrócił się i podniósł. Ruszył dalej. Bez wspierających kółek. Powiesili je później nad schodami do piwnicy, zaraz przy drzwiach. Jako trofeum.

- Żeby wiedział, co potrafię - powiedział do swojego ojca, poruszając zębem w górnej szczęce, który zaraz miał wypaść. - Niedługo wypadnie. Ile za niego dostanę?

Potrzebowali dżemu.

Bliźniacy potrzebowali dżemu. Dżem znajdował się w komórce w piwnicy. Był z zeszłego roku. Kim pomagał wtedy w zbieraniu owoców. Kim. Kim. Kim.

Bliźniacy mieli w tamtym czasie po dwa lata i potrzebowali dżemu.

Przed komórką coś leżało. Nie wiedziała, co to mogło być. Jakaś długa paczka, jakiś pakunek?

Pakunek nie był duży. Miał może z metr długości. Coś zapakowane było w szary plastik, na którym leżała kartka. Była umocowana taśmą klejącą. Czerwony tusz na dużym, białym papierze. Brązowa taśma. Szary plastik. Z pakunku wystawała głowa, czubek głowy; dziecięcej głowy z brązowymi lokami.

- Kartka papieru - powiedziała martwym głosem.  
- Tam leży kartka.

Kim uśmiechał się. Był nieżywy i uśmiechał się. Dziura po zębie w górnej szczęce jaśniała czerwonym kolorem. Usiadła na podłodze. Czas zataczał kręgi i miała świadomość, że był to początek czegoś, co nigdy się nie zakończy. Kiedy Lasse odnalazł ją na dole, nie wiedziała, gdzie jest. Nie wypuściła swojego synka, aż do momentu, kiedy zawieziono ją do szpitala i dano zastrzyk. Policjant rozwarł zaciśniętą w pięść prawą rączkę chłopca.

Leżał tam kredowobiały ząb z niewielkim, zaczerwienionym od krwi, korzeniem.

Mimo że biuro było stosunkowo duże, to panował w nim zaduch. Jej praca doktorska leżała w dalszym ciągu na biurku. Yngvar Stubo potarł wskazującym palcem okładkę z bladym krajobrazem zimowym, po czym skierował palec na nią.

- Jest pani zarówno psychologiem, jak i prawnikiem  
- upierał się.

- To też nie jest zgodne z prawdą. Niecałkowicie. Uzyskałam stopień z psychologii w college'u. W USA. To nie to samo co ukończenie studiów. Natomiast prawo... To prawda.

Spociała się, więc poprosiła o szklankę wody. Nagle uderzyła ją myśl, że została zmuszona do przyścia tutaj, niemal odkomenderowana wbrew swojej woli, przez policjanta, z którym nie chciała mieć nic wspólnego. Mówił o sprawie, która jej nie obchodziła, która całkowicie przekraczała jej kompetencje.

- Chciałabym już pójść - powiedziała uprzejmie.  
- Niestety nie mogę panu pomóc. Jak widzę, zna pan ludzi z FBI. Proszę ich zapytać. Oni używają specjalistów od tworzenia profili przestępców. O ile mi wiadomo. - Zerknęła na plakietkę na ścianie: była niebieska, kiczowata i rzucająca się w oczy. - Proszę pana, jestem naukowcem. Przy tym jestem matką małego dziecka. Ta sprawa odpycha mnie. Przeraża. W przeciwieństwie do pana mam prawo tak myśleć. Proszę pozwolić mi pójść do domu.

Stubo nalał z butelki bez korka wody do plastikowego kubka i postawił przed nią.

- Chciało się pani pić - przypomniał jej. - Proszę wypić. Czy pani tak naprawdę uważa?  
- Jak uważam?

Wylała jej się woda. Zauważyła, że trzęsą się jej ręce. Strumyk zimnej wody spłynął z kącika ust na brodę i dalej na szyję. Podciągnęła kołnierz swetra.

- Że panią to nic nie obchodzi.

Zadzwoił telefon. Dźwięk był ostry i nagły. Yngvar Stubo chwycił słuchawkę. Jabłko Adama pod-

skoczyło wyraźnie trzy razy, tak jakby zbierało mu się na wymioty. Nie odzywał się. Minęła minuta. Z jego ust wydobyło się ciche przytaknięcie, nie głośniejsze od mruknięcia. Minęła następna minuta. Powoli wyłuskał z kieszeni etui na cygara. Zaczął gładzić matowy metal, **nie** w dalszym ciągu nie mówiąc. Inger Johanne nie wiedziała, co ma robić. Nagle komisarz włożył cygaro I powrotem na miejsce i rozluźnił węzeł krawata.

- Znaleziono chłopca - powiedział ochryłym głosem. - Kima Sande Oksoya. Matka znalazła go w ich własnej piwnicy. Zawiniętego w worek na śmieci. Morderca zostawił wiadomość. *Dostajesz to, na co za służysz.*

Inger Johanne zerwała z oczu okulary. Nie chciała widzieć. Nie chciała słyszeć. Wstała i, nic nie widząc, wyciągnęła rękę w stronę drzwi.

- Tak było napisane na kartce - powiedział Yngvar Stubo. - „Dostajesz to, na co zasługujesz”. Czy uważa pani w dalszym ciągu, że ta sprawa pani nie dotyczy?

- Proszę pozwolić mi wyjść. Proszę mnie stąd wypuścić.

Podeszła niezdarnie do drzwi, szukała klamki, trzymając wciąż okulary w lewej dłoni.

- Oczywiście - usłyszała z oddali. - Oskar odwiezie panią do domu. Dziękuję, że pani przyszła.

Emilia nie mogła zrozumieć, dlaczego Kim miał wyjechać. To było niesprawiedliwe. To ona najpierw powinna wyjechać, gdyż zjawiała się tu pierwsza. A przy tym ona musiała pić letnie mleko i wodę o metalicznym smaku, a Kim dostał coca-colę. Wszystko smakowało metalem. Jedzenie. Jej usta. Cmokała i ssała własny język. Smakowało pieniędzmi; monetami, które długo leżały w kieszeni. Długo, długo. Długo była tutaj. Za długo. Tata już *jej* nie szuka. Przestał szukać. Mama nie jest w niebie, tylko w urnie, gdyż przeobraziła się w popiół i już *jej* nie ma. Było tak jasno. Emilia *zaczęła*, pocierać oczy, próbując odgrodzić się od mocnego światła, padającego z lampy pod sufitem. Mogła spać. Właściwie spała cały czas. Tak było najlepiej. Miała wtedy sny, a poza tym przestała prawie jeść. Żołądek skurczył się i nie było tam miejsca nawet na zupę pomidorową. Kiedy mężczyzna przyszedł po talerze i zobaczył, że są pełne, był zły. Nie aż tak bardzo zły, ale dość zirytowany.

Kim dostał pozwolenie na powrót do domu.

To było niesprawiedliwe i Emilia nie mogła tego zrozumieć.

## 12

Yngvar Stubo musiał opanować się, aby nie dotknąć nagiego ciała. Ręka kierowała się w stronę nóżki chłopca. Chciał pogłaskać to gładkie ciało. Chciał się przekonać, że dziecko było nieżywe. Kiedy chłopczyk tak leżał na plecach, z zamkniętymi oczami i głową lekko przekrzywioną, z rękami wyciągniętymi wzdłuż ciała - jedna rączka częściowo ściśnięta, druga otwarta dłonią do góry, tak jakby czekał na coś, na prezent, na coś dobrego

- wyglądał jakby żył. Rozcięcie obdukcyjne wzdłuż klatki piersiowej, w formie litery T, ciągnące się do małych na rzędów płciowych, zostało starannie zamknięte. Bładość twarzy mogła wynikać z pory roku. Minęła niedawno zima, a na lato trzeba było jeszcze poczekać. Usta chłopca były wpółotwarte. Stubo złapał się na tym, że chciał pocałować dziecko. Chciał swoim oddechem przywrócić chłopcu życie. Chciał prosić o wybaczenie.

- Cholera - powiedział, przyciskając dłoń do ust.

- Cholera, cholera.

Patolog spojrzał na niego zza okularów.

- Nigdy się do tego nie przyzwyczaimy, prawda?

Yngvar Stubo nie odpowiedział. Pobielały mu kostki u rąk. Zasapał lekko.

- Skończyłem - powiedział patolog, ściągając lateksowe rękawice. - Piękne dziecko. Miało pięć lat. Masz prawo kląć. Ale i tak niewiele to pomoże.

Stubo pragnął odwrócić się, ale nie miał na to siły. Powoli opuścił prawą dłoń w kierunku twarzy chłopca. Wydawało się, jakby dziecko uśmiechało się. Stubo dotknął palcem jego twarzy, lekko, powoli, przesuwając palec od kącika oka do brody. Skóra przybrała już woskowy wygląd. Czuł jakby lodowate uderzenia w koniuszki palców.

- Co się stało?

- Nie znaleźliście go w odpowiednim czasie - odpowiedział sucho patolog. - Można właściwie tak powiedzieć.

Przykrył zwłoki białą tkaniną. Ciało dziecka wyglądało teraz na jeszcze mniejsze. Zdawało się, że pod sztywnym przykryciem skurczyło się. Stalowy stół był długi, przeznaczony dla dorosłych, pasował do ludzi, odpowiedzialnych za samych siebie, na przykład zmarłych na atak serca z powodu tłustego jedzenia, palenia zbyt dużej ilości papierosów, z powodu szybkiego życia i niezdrowych uciech. To nie był stół dla dzieci.

- Czy możemy odłożyć na bok ten ton? - powiedział cicho Stubo. - Wszyscy jesteśmy tym poruszeni.

Umilkł, podczas gdy patolog mył dokładnie ręce. Wyglądało to na rodzaj ceremonii, tak jakby próbował pozbyć się mydłem i wodą samej śmierci.

- Masz rację - zamruczał lekarz. - Przepraszam. Wyjdźmy.

Jego biuro znajdowało się w pobliżu prosektorium.

- Opowiadaj - powiedział Stubo i opadł na wytartą, dwuosobową sofę. - Chcę znać szczegóły.

Patolog, zbliżający się do sześćdziesięciu pięciu lat chudy mężczyzna, stał przy swoim biurku z nieobecny,

niemal zdziwionym wyrazem twarzy. Wydawało się przez chwilę, że nie bardzo wie, co ma właściwie robić. W końcu potarł ręką czoło i usiadł.

- Nie ma żadnych.

W pokoju nie było okien. Mimo to powietrze było świeże, niemal chłodne i nieoczekiwanie pozbawione zapachu. Słaby odgłos z urządzenia wentylacyjnego zagłuszyła wyjąca w oddali syrena karetki pogotowia. Stubo ogarnęło uczucie klaustrofobii. Wokół nie było niczego, co mogło pomóc w orientacji. Ani światła dziennego, ani cieni lub umykających chmur, które by mówiły, gdzie się znajduje.

- Poddany obdukcji jest zidentyfikowanym pięcioletnim chłopcem - zaczął wyliczać patolog, tak jakby czytał z niewidzialnego raportu. - Zdrowy. Normalny wzrost, normalna waga. Rodzice nie wspominali o żadnych chorobach i żadnych chorób nie stwierdzono podczas obdukcji. Wewnętrzne organy są prawidłowo rozwinięte i zdrowe. Nie ma żadnych uszkodzeń szkieletu lub tkanki łącznej. Nie ma też śladów po uderzeniu lub innego rodzaju ran. Na skórze nie ma obrażeń, oprócz zadrapania na prawym kolanie, ale już starszej daty. Co najmniej sprzed tygodnia, czyli powstało przed zaginięciem chłopca.

Stubo potarł twarz. Zakręciło mu się w głowie. Musi czegoś się napić.

- Zęby są całe i zdrowe. Cały zestaw mlecznych, oprócz przedniego w górnej szczęce, który musiał wypaść kilka godzin zanim zmarły... - Zawahał się i zdusił coś w sobie. - Zanim mały Kim zmarł - dokończył cicho. - Innymi słowy... *Mors subita*.



- Nieznana przyczyna śmierci - odezwał się Yngvar Stubo.

- Właśnie. Wprawdzie miał...

Oczy patologa były zaczerwienione. Jego chuda twarz przypominała komisarzowi Stubo starego kozła, tym bardziej, że miał spiczastą bródkę, która wydłużała mu twarz.

- Miał w moczu nieco diazepam. Niedużo, ale...

- Jak w valium? Czy został otruty?

Stubo wyprostował plecy i położył rękę na krawędzi kanapy. Miał potrzebę przytrzymania się czegoś.

- Nie, na pewno nie. - Patolog podrapał się palcem w swą krótką bródkę. - Nie został otruty. Uważam przy tym, że zdrowy, pięcioletni chłopiec nie powinien zażyć lekarstwa zawierającego diazepam. Jednak nie mówimy tutaj o jakimkolwiek otruciu. Oczywiście nie jest możliwe ustalenie, jaką otrzymał dawkę, natomiast w chwili śmierci miał minimalną ilość... - Potarł brodę, patrząc przymrużonymi oczami na Stubo. - Na pewno niewystarczającą, aby ucierpiał na zdrowiu. Organizm wydalil z siebie większą część substancji, jeśli przyjmiemy, że chłopiec otrzymał więcej niż tylko tę śmiesznie małą dawkę. Nie bardzo rozumiem, do czego mogło się to przydać.

- Valium - powiedział powoli Yngvar Stubo, tak jakby słowo zawierało jakąś tajemnicę albo wyjaśnienie faktu, iż pięcioletni chłopiec po prostu zmarł, bez żadnej widocznej przyczyny.

- Valium - powtórzył równie powoli patolog. - Albo coś innego zawierającego tę samą substancję.

- Do czego to może służyć?

- Służyć? Masz na myśli: do czego używamy diazepamu?

Po raz pierwszy na twarzy patologa pojawiło się ziry-towanie. Spojrzał szybko i ostentacyjnie na zegarek.

- Przecież dobrze wiesz. Nerwice. W szpitalach używa się tego dość często przed operacjami. Człowieka ogarnia senność. Jest spokojniejszy. Bardziej zrelak-sowany. Również pacjentom z epilepsją podaje się ten środek. Przeciw silnym atakom drgawek. Zarówno u dzieci, jak i u dorosłych. Kim nie miał żadnych tego lypu dolegliwości.
- W takim razie dlaczego ktoś chciałby dać pięciolet-niemu chłopcu...
- Na dzisiaj koniec, Stubo. Byłem w pracy faktycznie jedenaście godzin. Jutro dostaniesz tymczasowy raport. Końcowy będzie pewnie gotowy za kilka tygodni. Zanim go zrobię, muszę dostać wszystkie wyniki. Ale w głównym zarysie... - Uśmiechnął się. Stubo pomyślałby, że sytuacja bawiła patologa, gdyby nie wyraz jego wąskich, blisko siebie osadzonych oczu. - Masz więc cholernie duży problem. Ten chłopiec po prostu zmarł. Bez żadnego konkretnego powodu. To na dzisiaj wszystko.

Ponownie spojrzął na zegarek, po czym zdjął biały fartuch i założył kurtkę-parkę, która już przeżyła swoje najlepsze dni. Kiedy wyszli z pokoju, lekarz zamknął drzwi dwoma kluczami, po czym położył w przyjacielskim geście rękę na ramieniu Stubo.

- Powodzenia - powiedział krótko. - Potrzebujesz tego.

Kiedy mijali prosektorium, Yngvar Stubo odwrócił głowę. Za oknem padał ulewny deszcz. Postanowił pójść

do domu pieszo, mimo że *zajmie* mu to ponad godzinę. Był 16 maja, dzień przed świętem narodowym. Minęła szósta. W oddali usłyszał, jak jakaś szkolna orkiestra ćwiczyła, kulejąco i nieco fałszywie, hymn narodowy *Ja, vi elsker*.

## 13

Coś musiało się wydarzyć. Pokój wydawał się jaśniejszy. Zniknęła przygnębiająca atmosfera staroświeckiego pokoju szpitalnego. Metalowe łóżko przesunięto pod ścianę, dekorując je barwnym kocem i poduszkami w różnych kolorach. Wniesiony został również fotel. Siedziała w nim, ze stopami na podnóżku, ładnie ubrana Alvhild Sofienberg. Spod koca wystawały czubki kapci. Komuś udało się nieco ożywić kosmyki jej siwych włosów. Na czoło opadał miękki lok.

- Odmłodziła pani - wykrzyknęła Inger Johanne Vik. - Pani Alvhild! Jak pani pięknie wygląda w tym fotelu.

Okno było szeroko otwarte. Nareszcie przyszła wiosna. Dzień święta narodowego pozostawił po sobie przedsmak lata, trwającego na razie dwa dni. Nie wyczuwało się zapachu starej cebuli. Zamiast tego Inger Johanne czuła woń wilgotnej ziemi, unoszącą się z ogrodu za oknem. Kiedy przechodziła przez podwórko, jakiś starszy pan uniósł nieznacznie przeciwdeszczowy kapelusz. Dobry sąsiad, wyjaśniła Ah/hild Sofienberg. Ogrodnik amator. Nie mógł patrzeć, jak podczas jej choroby ogród popadał w ruinę. Uśmiechała się teraz łagodniej.

- Właściwie nie liczyłam na to, że panią ponownie zobaczę - powiedziała wprost. - Odwiedzając mnie

ostatnim razem, nie czuła się pani tutaj najlepiej. Zresztą rozumiem to. Nie czułam się wtedy dobrze. A właściwie czułam się bardzo źle.

Odrzuciła głowę do tyłu, po czym zaraz skorygowała ten gest.

- Jestem w dalszym ciągu poważnie chora. Proszę nie dać się zwieść. To dziwna sprawa. Czuję, że przez wiele tygodni śmierć stała i czekała, tam, przy szafie na ubrania, po czym zupełnie bez powodu odeszła na spacer. Może musi zająć się przez ten czas kimś innym. Na pewno niedługo powróci. Kawy?

- Tak, proszę. Czarną. Mogę sama sobie nalać.

Inger Johanne podniosła się, ale wzrok Alvhild posadził ją z powrotem na miejsce.

- Nie umarłam jeszcze - powiedziała sztywno.

- Proszę.

Nalała kawy z termosu, stojącego na stoliku obok, po czym podała filiżankę Inger Johanne. Filiżanka była porcelanowa, niemal przezroczysta. Kawa była również przezroczysta.

- Przepraszam za kawę - rzekła Alvhild. - Dostyc cienka. Mój organizm nie toleruje prawie niczego. Czym zasłużyłam sobie na ten zaszczyt?

Inger Johanne nie mogła tego pojąć. Kiedy powzięła decyzję złożenia starszej pani wizyty, nie była całkiem pewna, czy zastanie ją przy życiu.

- Odnalazłam Aksela Seiera - powiedziała.

- Naprawdę zrobiła to pani?

Alvhild Sofienberg podniosła filiżankę do ust, jakby chciała ukryć swoją ciekawość. Ruch ten wzbudził u Inger Johanne irytację, której powodu nie mogła wyjaśnić.

- Nie odnalazłam go w sensie fizycznym, wiem jednak, gdzie się znajduje. Gdzie mieszka. A przy tym nie ja odkryłam to wszystko, ale mój... No dobrze. Aksel Seier mieszka w USA.

- W USA?

Alvhild opuściła filiżankę, nie ruszając jej zawartości.

- Jak to? Co on tam robi?

- Naprawdę nie wiem!

Alvhild zakryła usta ręką, jakby obawiała się pokazać zęby. Inger Johanne cedziła z niebieskiej porcelany jasnobrazowy płyn.

- Kiedy się o tym dowiedziałam, zdziwiłam się, że osoba z wyrokiem sądowym mogła dostać zezwolenia na wjazd do USA - kontynuowała. - Jeśli chodzi o te sprawy, są niezwykle surowi. Pomyślałam sobie, że może kiedy wyjeżdżał pod koniec lat sześćdziesiątych, zasady były inne. Okazało się, że tak nie było. Aksel Seier był natomiast obywatelem amerykańskim.

- Ten fakt w tamtych czasach nie wynikał z dokumentów...

- Na pewno nie. Ale nie ma w tym nic dziwnego. Urodził się w USA, podczas krótkiej i nieudanej próby rodziców przeniesienia się tam na stałe. Zatrzymał swoje amerykańskie obywatelstwo, posiadając również norweskie. W czasie rozprawy sądowej nikt nie zwrócił na to specjalnej uwagi. Również w czasie sprawy o ułaskawienie. Najprawdopodobniej odpowiedział na formalne pytanie, czy ma obywatelstwo norweskie. Powiedział, że ma, zgodnie z prawdą. Powiedzmy, że ma.

Alvhild Sofienberg zamyśliła się. Przez pokój prze-

szedł anioł. Inger Johanne drgnęła, kiedy otworzyły się drzwi i do pokoju zajrzał mężczyzna w kapeluszu.

- Na dzisiaj wystarczy - mruknął. - Okropny bałagan w ogrodzie. Nie sądzę, żebym poradził sobie z różami. I powiem pani, że najlepsze dni rododendrona już mi nęły. Do widzenia.

Nie czekając na odpowiedź, wycofał się. W pokoju ochłodziło się. Okno zaczęło skrzypieć w zawiasach. Alvhild Sofienberg wyglądała na senną. Inger Johanne podeszła do okna, żeby je zamknąć.

- Mam zamiar go odwiedzić - powiedziała lekkim tonem.

- Czy chce tego? Czy myśli pani, że zgodzi się na wizytę? Na wizytę nieznaney mu zupełnie osoby ze starego kraju.

- Trudno powiedzieć. Sprawa jest jednak interesująca. W stosunku do mojego projektu jest to najbardziej klarowna, najbardziej... Dla mojej pracy naukowej wypowiedź Aksela Seiera znaczyłaby bardzo dużo.

- Rozumiem - odpowiedziała starsza pani. - Nie wiele jednak wiem o szczegółach pani badań. O obecnym projekcie naukowym.

Kiedy Alvhild Sofienberg po raz pierwszy skontaktowała się z Inger Johanne - dzięki jej koledze, znającego prywatnie córkę Alvhild - ta odniosła wrażenie, że chora kobieta jedynie powierzchownie znała zakres jej badań. Alvhild nigdy nie pytała o szczegóły. Nigdy nie okazywała specjalnego zainteresowania projektem. Życie jej miało odmierzony czas i swoje ubywające siły poświęciła na wzbudzenie zainteresowania Inger Johanne dla *jej* sprawy, dla historii Aksela Seiera.

Wszystko inne było nieistotne. Kończyła niedługo siedemdziesiąt lat i nie chciała tracić czasu na okazywanie fałszywego zainteresowania czyjąś pracą.

Teraz twarz jej przybrała nowy wyraz, tak jakby w ogóle nie była chora, a przynajmniej nie była zmęczona. Inger Johanne przysunęła bliżej krzesło.

- Za punkt wyjścia wzięłam dziesięć spraw o zabójstwa z lat 1950-1960 - powiedziała, mieszając machinalnie w filiżance z cienką kawą. - Wszyscy skazani twierdzili, że są niewinni. Każdy z nich utrzymywał tak przez cały okres odsiadki kary. Patrzyli na siebie jako na ludzi niewinnych. Celem moich badań nie jest stwierdzenie, czy mówili prawdę, czy nie. Chcę natomiast zbadać, czy istnieją różnice między dalszymi ich losami, a więc różnice w czasie odsiadki kary i ewentualnego ułaskawienia, w okresie wyjścia na wolność i ewentualnego ponownego rozpatrzenia sprawy przez sąd. Krótko mówiąc, chcę odpowiedzieć na pytanie, czy jeśli w obronę oskarżonego zaangażują się postronne osoby, to ma to wpływ na sposób traktowania go przez sądownictwo. Przykładem może być sprawa Fredrika Fastinga Torgersena, który, jak pani wie...  
-Inger Johanne uśmiechnęła się zmieszana. Kiedy trwała sprawa Torgersena, Alvhild Sofienberg była już dorosłą osobą. Inger Johanne jeszcze się wtedy nie urodziła. - A więc został skazany na dożywocie za zamordowanie młodej kobiety. Przez czterdzieści lat twardo obstawał przy swojej niewinności. Do dzisiejszego dnia grupa osób, początkowo zupełnie obcych dla niego, prowadziła niezmordowanie walkę o oczyszczenie go z zarzutów. Na przykład pisarz Jens Bjerneboe. - Ponownie lekko



się zaczerwieniła, urywając w pół zdania. - Oczywiście sprawa jest pani znana - dokończyła cicho.

Alvhild kiwnęła głową i uśmiechnęła się. Nie powiedziała ani słowa.

- Próbuję właściwie znaleźć odpowiedzi na dwa pytania - kontynuowała Inger Johanne. - Po pierwsze, czy sprawy, które wzbudzają duże zainteresowanie, cechuje coś szczególnego. Czy jest tak, że sprawy te mają słaby materiał dowodowy? A może to osobowość oskarżonego, później skazanego, decyduje o tym, że sprawa przyciąga zainteresowanie innych. Jaką rolę odgrywa obecność mediów publicznych w czasie śledztwa i rozprawy. Innymi słowy, czy jest to *przypadek*, że nad niektórymi sprawami zapada milczenie w chwili ogłoszenia wyroku, o innych natomiast mówi się dalej całymi latami.

Zorientowała się, że podniosła głos.

- Następnie - mówiła dalej, już spokojniejszym tonem - chcę przeanalizować konsekwencje tego, że sprawa zakończona wyrokiem w dalszym ciągu budzi zainteresowanie. Na przykład Torgersen, patrząc na to rzeczowo i cynicznie, nie miał z pewnością żadnej specjalnej pociechy ze wsparcia, które otrzymał od osób postronnych.

Inger Johanne zauważyła intensywne zaciekawienie rysujące się na twarzy Alvhild. Zdawało się, że starsza kobieta wyczerpała wszystkie swoje siły: siedziała wyprostowana niczym dama dworu, nie mrugając niemalże oczami. Inger Johanne mówiła dalej:

- Oczywiście rozumiem, że z czysto ludzkiego punktu widzenia sam fakt, że ktoś z zewnątrz faktycznie ci wierzy...

- Przynajmniej w przypadku, gdy jest się niewinnym
  - przerwała jej Alvhild. - Nie wiemy tego w przypadku Torgersena.
- Tak, to zasadnicza sprawa. W tym ogólnym znaczeniu. Ale nie dla moich badań. Chcę zanalizować konkretne rezultaty, wynikające z konkretnego zaangażowania.
- Fantastycznie - rzuciła Alvhild w powietrze. Inger Johanne nie była pewna do czego to się odnosiło.
- Czy panią to także nie zastanowiło - powiedziała z namysłem, chcąc wypełnić ciszę - to znaczy, czy nie jest to zastanawiające, że wokół sprawy Aksela Seiera po zapadnięciu wyroku całkowicie ucichło, mimo iż w wielu gazetach stawiano bardzo krytyczne pytania

0 przebieg całego procesu sądowego. Dlaczego wypuścili sprawę z rąk? Czy związane to było z samym skazanym, czy w jego charakterze było coś nieprzyjemnego? Czy nie zgodził się na współpracę z przychylnymi mu dziennikarzami? Czy Aksel Seier jest właściwie łajdakiem?

1 na to wszystko sobie zasłużył? Dużo skorzystałabym na rozmowie z tym człowiekiem.

Otworzyły się cicho drzwi.

- Jak samopoczucie? - zapytała pielęgniarka i dodała, nie czekając na odpowiedź. - Już za długo pani siedziała na tym fotelu, pani Sofienberg. Teraz pomożemy pani położyć się do łóżka. Prosiłabym pani przyjaciółkę o...

Alvhild zacisnęła ponownie usta, podnosząc ostrzegawczo rękę w stronę kobiety w białym fartuchu.

- A może lepiej byłoby najpierw napisać do niego? Inger Johanne Vik wstała, wkładając niewykorzystany notatnik z powrotem do torebki.

- W pewnych sytuacjach uważam, że nie powinnam pisać listów - powiedziała wolno i powiesiła torebkę na ramieniu.

- Kiedy?

Pielęgniarka odkryła kołdrę na łóżku, przesuając jednocześnie monstrualną metalową konstrukcję.

- Wtedy, gdy obawiam się, że nie otrzymam odpowiedzi - odrzekła Inger Johanne. - Brak odpowiedzi jest też odpowiedzią. Brak odpowiedzi oznacza „nie”. Nie chciałabym do tego dopuścić. Nie od Aksela Seiera. Wyjeżdżam w poniedziałek.

Pielęgniarka uchwyciła jej wzrok.

- Tak, tak - zamruczała Inger Johanne. - Już wycho

dę. Może zadzwonię do pani. Z Ameryki. Jeśli będę miała coś do opowiedzenia. Tymczasem życzę dobrego samopoczucia, tak dobrego, jak tylko to możliwe.

Nie zastanawiając się, nachyliła się nad starszą panią i delikatnie pocałowała ją w policzek. Skóra była sucha i zimna. Po wyjściu z domu, końcem języka ostrożnie zwilżyła usta. Nie czuła żadnego smaku, jedynie suchość.

## 14

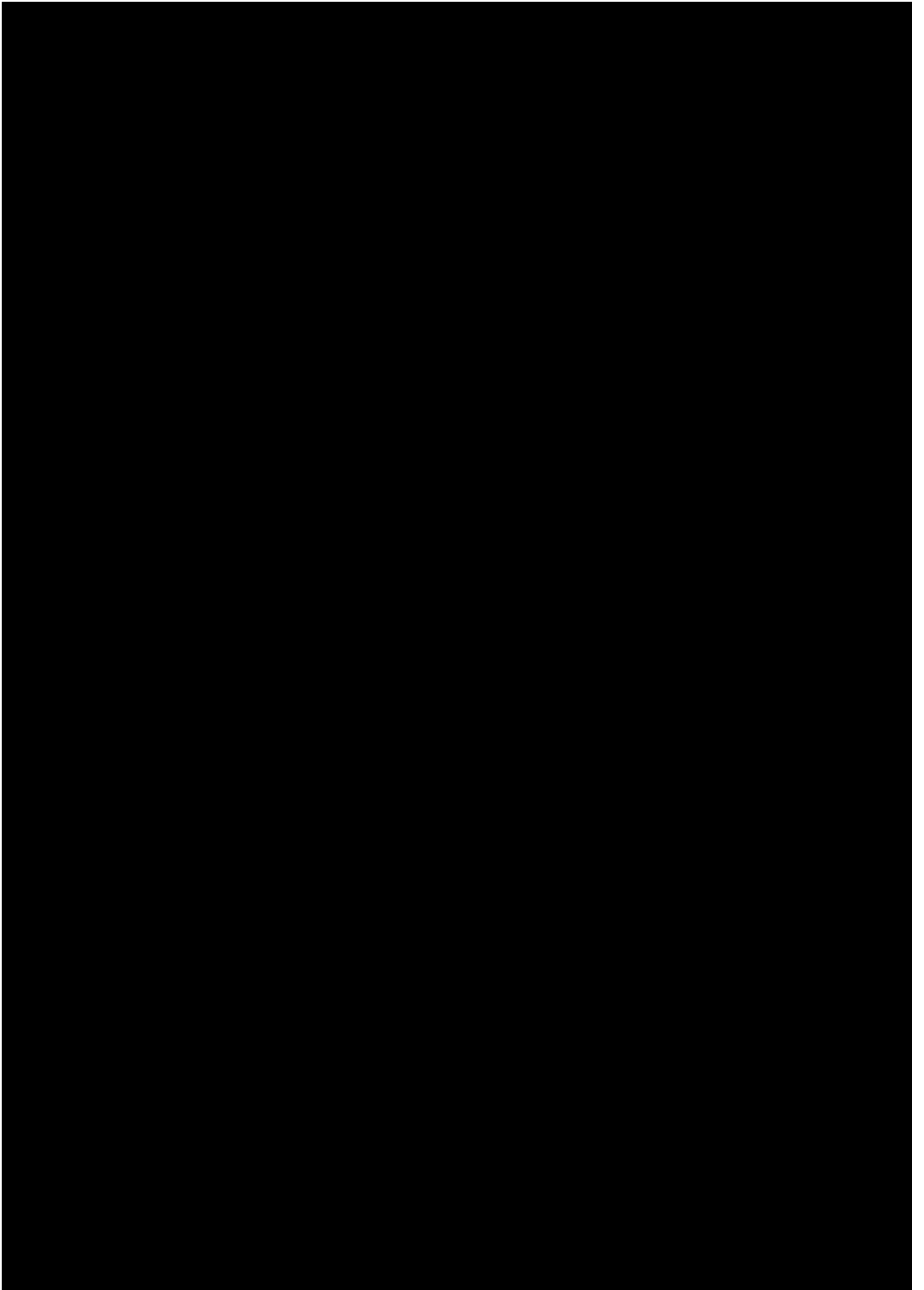
Emilia dostała prezent. Lalkę Barbie z włosami, które można było rozwijać i związać specjalnym kluczem na plecach. Lalka miała ładne ubranko: różową sukienkę z cekinami, leżącą w pudełku razem z nią, i strój kowbojski. Emilia dotknęła kapelusza. Barbie leżała obok niej w łóżku. W domu nigdy nie miała takiej lalki. Mama nie lubiła takich zabawek. Tata również, a poza tym Emilia była już za duża na coś takiego. Przynajmniej tak mówiła ciocia Beata.

Ciocia była na pewno teraz wściekła na tatę. Pewnie uważała, że tata jest winny zniknięciu Emilii. Mimo że wtedy wracała po prostu do domu ze szkoły, tak jak robiła to wcześniej każdego dnia, nie spotykając nikogo, kto by ją chciał ukraść. Przecież tata nie mógł cały czas jej pilnować. Nawet ciocia Beata tak mówiła.

- Tato...

- Ja mogę być twoim tatą.

W drzwiach stał mężczyzna. Był chyba wariatem. Emilia dużo wiedziała o wariatach. Torill pod numerem czternastym piętro niżej była taką wariatką, że wciąż musiała być zabierana do szpitala. Jej dzieci musiały raz zamieszkać u dziadków, gdyż uznała, że jest kanibalem. Rozpaliła ognisko w ogrodzie i chciała Guttorma i Gustawa upiec na rożnie. Innym razem zadzwoniła do nich w środku nocy. Emilia obudziła się i zeszła za



przyjaciele, Beata, rodzice, policja. Myśleli pewnie, że łatwiej mu rozmawiać u siebie w domu. A właściwie wyprawa na komendę policji byłaby pewnym uwolnieniem, wycieczką. Nawet do sklepu nie mógł wyjść. Beata i dawne przyjaciółki Grety zajęły się wszystkim. Ponad miarę. Wczoraj teściowa przygotowała dla niego kąpiel. Wślizgnął się do bardzo gorącej wody, niemal czekając, że pojawi się jakaś kobieta i wyszoruje mu plecy. Wyszoruje go całego. Pozostał w wannie, aż ostygła woda. Wtedy zawołała go Beata. W końcu zapukała zaniepokojona do drzwi łazienki.

Stracił własny czas.

Teraz był sam. Oni nie chcieli pozostawić go w spokoju. Ogarnęła go wściekłość. W końcu. Ogromny gniew - wyrzucił wszystkich za drzwi. Ulżyło mu, gdyż poczuł, że jeszcze istnieje.

Położył rękę na klamce.

Pokój Emilii.

Nie był tam od czasu tego pierwszego popołudnia, kiedy dziecko zniknęło, a on sam przewrócił cały pokój do góry nogami w poszukiwaniu jakiegokolwiek śladu, klucza, kodu, które powiedziałyby mu, że Emilka tylko żartowała. Oczywiście posunęła się za daleko, ale były to tylko żarty i próba niegroźnego przestraszenia go, tylko po to, aby spędzić razem miły wieczór ze świadomością, iż Emilka oczywiście nigdy nie zniknie. Wyrzucił wszystkie rzeczy z szuflad. Książki wylądowały na podłodze, stos ubrań znalazł się w przedpokoju. Na koniec przeszukał pościel i zerwał plakat z Disneyworldu. Nie znalazł żadnej tajemnicy, żadnego rebusu i żadnego śladu. Nic, co

pomogłoby rozwiązać zagadkę. Emilia zniknęła, a on sam zadzwonił na policję.

Zimny metal parzył w rękę. Słyszał bicie własnego serca, tak jakby nie wiedział, co się kryje za dobrze znanymi mu drzwiami z imieniem Emilii, wyrzeźbionym w drzewie. Litera m wypadła pół roku temu, więc przeczytał tylko E-ilia, E-ilia. Jutro dokupi nowe m.

Beata sprzątnęła pokój. Kiedy wszedł do środka, wszystko leżało na swoich miejscach. Książki stały w pięknym porządku na półkach, według kolorów, tak jak układała je Emilia. Łóżko było posłane. Ubrania schowane do szafy. Nawet tornister, zatrzymany przez policję do zbadania, był z powrotem na swoim miejscu przy biurku.

Usiadł ostrożnie na rogu łóżka. Krew w dalszym ciągu pulsowała mu w uszach, próbował się rozluźnić.

Policja uważała, że jest winny.

To nie znaczy, że go o coś oskarżała. Na początku, w pierwszych dniach, czuł się pacjentem psychiatrycznym, z którym należy ostrożnie postępować, i zarazem mocno podejrzanym bandytą. Wydawało się, że wszyscy obawiali się, iż popełni samobójstwo. Dlatego też obchodzono się z nim z przytłaczającą go ostrożnością. Jednocześnie było coś w sposobie patrzenia na niego. I ten ostry ton w zadawanych mu pytaniach.

A potem zniknął ten mały chłopiec.

Wtedy zmienili się, ci z policji, tak jakby nareszcie zrozumieli autentyczność jego rozpaczy.

A później znaleziono chłopca.

Kiedy dwaj policjanci zjawili się, żeby powiedzieć, że chłopiec nie żyje, miał uczucie, jakby stanął do egzami-

nu. Wydawało się, że jeśli nie usłyszą od niego takich odpowiedzi, jakich oczekiwali i jeśli nie przyjmie takiego wyrazu twarzy, jaki należało w takich okolicznościach przyjąć, to uznają, że to on ponosi winę za zabicie Kima Sande Oksoya. W takich okolicznościach?

Poprosili go o zrobienie listy. Wszystkich, których kiedykolwiek znał lub spotkał. Miał zacząć od najbliższych, od rodziny. Następnie bliscy przyjaciele. A potem ci dalsi, znajomi bliżsi i dalsi, były dziewczyny, one-night-stands, koledzy jego i żony. Rzecz niemożliwa do zrobienia.

- To jest niemożliwe do zrobienia - powiedział, rozkładając ręce. Wrócił pamięcią do czasów licealnych i przypomniał sobie nazwiska tylko czterech kolegów.

- Czy to jest potrzebne?

Policjantka okazywała cierpliwość.

- Poprosiliśmy o to samo rodziców Kima - powiedziała spokojnie. - Listy te później porównamy. Sprawdzimy, czy macie wspólnych znajomych. Czy kiedykolwiek takowych mieliście. To jest nie tylko potrzebne. To jest bardzo ważne. Uważamy, że obie sprawy mają ze sobą związek, stąd też istotne jest znalezienie ewentualnych wspólnych punktów łączących obie rodziny.

Tonnes Selbu pociągnął palcem po łóżku Emilii i po literach, które narysowała tuszem na jasnym drewnie w czasie, gdy zaczęła odkrywać alfabet. Pragnął podnieść jej piżamę do twarzy. Było to niemożliwe. Nie zniósłby jej zapachu.

Chciał się położyć do łóżka Emilii. Nie był w stanie. Ale nie mógł też wstać. Odczuwał ból w całym



ciele. Może powinien jednak zadzwonić do Beaty. Ktoś powinien tu przyjść, ktoś, kto mógłby wypełnić tę ogarniającą go pustkę.

Tonnes Selbu pozostał na kancie łóżka swojej córki. Modlił się, intensywnie i bez przerywania. Nie do Boga, będącego obcą postacią, używaną jedynie w bajkach opowiadanych Emilii. Zamiast tego modlił się do swojej zmarłej żony. Nie pilnował dobrze Emilii, tak jak obiecał żonie na godzinę przed jej śmiercią.

## 15

Do domu w szeregowej zabudowie zbliżał się mężczyzna. Odgradzająca teren czerwono-biała taśma, umieszczona tam przez policję, nie została jeszcze usunięta. Jedynie w niektórych miejscach oderwała się od umocowań. Poruszana wiatrem, kołysała się ze świstem w kierunku mężczyzny, który ostrożnie przeszedł przez płot i schował się w krzakach. Wydawało się, że doskonale wie, co ma zrobić, ale nie jest przekonany, czy będzie w stanie to przeprowadzić. Gdyby ktoś przypadkowo go zobaczył, zwróciłby przede wszystkim uwagę na ubranie. Miał na sobie kurtkę, spod której wystawał gruby, wełniany golf. Głowę nakrywała ogromna czapka z nausznikami i daszkiem, spadającym na oczy. Buty pasowały bardziej do żołnierza na wojnie w zimie: olbrzymie, czarne, sznurowane wysoko na łydkach. Z cholewek wystawały grube, wełniane skarpetki.

Była noc 20 maja. Ciepłe powietrze z południowego zachodu przyniosło ze sobą czternaście stopni ciepła. Za dwadzieścia dwunasta. Mężczyzna stał ukryty wśród krzaków agrestu obok dwóch niewysokich brzoź. Nagle zdjął rękawiczkę, wsunął rękę do szerokich spodni, powoli opuszczając ją w dół. Usiłował skupić wzrok na znajdującym się na parterze, zasłoniętym firanką oknie. Nie powinno tam być firanki. Chciał zobaczyć zielonego misia. Nie zdążył się jednak tym zirytować. Wydał

jęk, uginając kolana. Wyjął rękę ze spodni. Przez dwie minuty stał nieruchomo. Szumiało mu w uszach i mimo że bał się, musiał zamknąć oczy. W chwilę potem założył z powrotem rękawiczkę, przeszedł przez ogrodzenie i nie oglądając się za siebie oddalił małą uliczką.

## 16

Kiedy Inger Johanne Vik obudziła się w sobotę 20 maja, był już środek dnia. Przynajmniej dla Kristiane. Dziecko budziło się bardzo wcześnie, zarówno w ciągu tygodnia, jak i w weekend. Choć sześciolatka najwyraźniej lubiła być sama wczesnym rankiem, to jednak nie wiedziała, jak się zachować, aby uniknąć obudzenia mamy. Dla Inger Johanne budzikiem stało się rytmiczne *dam-di-rum-ram*, dochodzące z gościnnego pokoju. Kristiane nie chciała jednak jej towarzystwa. Od szóstej do ósmej była niekomunikatywna. Kiedy życiu Kristiane nic już nie zagrażało i Inger Johanne mogła wrócić do pracy, ubieranie dziecka do przedszkola stało się po prostu piekłem. W końcu się poddała. Przez te dwie godziny musiała pozostawić córkę samej sobie. Uniwersytet okazał się wyrozumiałym miejscem pracy. W odpowiedzi na swoje podanie, otrzymała hojną propozycję prowadzenia wykładów jedynie co drugi semestr, aż do chwili ukończenia przez Kristiane dziesięciu lat. Przyjaciółki zazdrościły jej - miło spędzaj czas, radziły, masz teraz możliwość czytania w spokoju porannych gazet i powolnego wstania z łóżka. Jednak problem polegał na tym, że Kristiane potrzebowała opieki. Nikt nie mógł przewidzieć, na jaki pomysł wpadnie. Inger Johanne wiedziała, że Isak był dla siebie bardziej pobłażliwy. Przy dwóch okazjach zauważyła,

te spał w najlepsze, podczas gdy Kristiane wędrowała Bo mieszkaniu na własną rękę.

A teraz przytrafiło jej się to samo.

Zdezorientowana popatrzyła na zegarek. Za piętna-  
U ie dziewiąta. Zerwała z siebie kołdrę.

- Mama - powiedziała ciepło Kristiane. - Mama wstała do Kristiane.

Córka stała w drzwiach do pokoju gościnnego. Już ubrana. Wybrała okropny różowy sweterek, który dostała od babci, a na zielone aksamitne spodnie wciągnęła spódnice w szkocką kratkę. Włosy splecione były w pięć warkoczyków. Ale miała przynajmniej na sobie ubranie. Inger Johanne próbowała się uśmiechnąć.

- Jak to ładnie zrobiłaś - wymamrotała. - Mama zasnęła.

- Zasnęła piżama. Dam-di-rum-ram.

Kristiane podeszła i wdrapała się na kolana matki. Położyła głowę na jej piersi i włożyła kciuk do buzi. Inger Johanne zaczęła prawą ręką gładzić spokojnie plecy córki. W takich chwilach bliskości, których nigdy nie można było ani sprowokować ani przewidzieć, Inger Johanne nie miała wręcz odwagi oddychać. Czuła ciepło, płynące spod różowego sweterka, słodki zapach unoszący się z włosów córki, jej oddech, jej skórę. Musiała zapanować nad sobą, aby jej mocniej nie przytulić.

- Moja Kristiane - wyszeptała w warkoczyki.

Zadzwonił telefon. Kristiane drgnęła, zsunęła się z kolan matki i drepcząc wyszła z pokoju.

- Słucham.

- Nie obudziłam cię?

- Oczywiście, że mnie nie obudziłaś, mamó. Przecież w tym tygodniu mam Kristiane u siebie.

Inger Johanne próbuje dosięgnąć szlafroka. Za krótki przewód od telefonu. Zarzuciła więc na ramiona kołdrę. Ciągnęło od okna.

- Twój ojciec się martwi.

Inger Johanne miała ochotę krzyknąć: Ty się martwisz. Stłumiła westchnienie, starając się zrobić wrażenie wesołej:

- O? Mną zmartwiony? Nie ma powodów.

- Twoje niedawne zachowanie w telewizji, a poza tym... Tak, właściwie to nie śpi po nocach i zastanawia się... Czy wszystko u ciebie w porządku, kochanie?

- Daj mi tatę.

- Ojca? On *jest*... Jest zajęty. Ale posłuchaj mnie trochę. Doszliśmy do wniosku, że dobrze by ci zrobiły maleńkie wakacje. Tak dużo się ostatnio wydarzyło, z Kristiane, z twoją pracą. Czy nie chciałabyś pojechać dzisiaj z nami na działkę? Z pewnością możesz wziąć wolne w poniedziałek, może i we wtorek. Ty i ojciec moglibyście łowić ryby, moglibyśmy też odbyć kilka przyjemnych spacerów. Rozmawiałam z Isakiem i on chętnie zajmie się Kristiane już od dzisiaj.

- Rozmawiałaś z Isakiem?

To, że Inger Johanne i Isak dobrze współpracowali jako rodzice Kristiane, to była jedna sprawa. Rozumiała, że dla dobra wszystkich, szczególnie dla dobra córki, było korzystne, iż Isak miał dobre kontakty z byłymi teściami. Istnieją jednak pewne granice. Podejrzewała go, że wpadał do nich raz w tygodniu z Kristiane albo sam.

- Ach, mój Boże! Czy wiedziałaś, że zastanawia się nad kupnem nowego jachtu? Tym razem nie łodzi regatowej, którą, jak sam mówi, już się znudził. No tak, to ma też związek z Kristiane. Ona po prostu uwielbia przebywać na wodzie i te szybkie łodzie nie nadają się do pływania z dziećmi. Był u nas wczoraj po południu. Rozmawialiśmy trochę o tobie, o tym, że się martwi...

- Mamo!

-Tak?

- Nie martwcie się. Czuję się znakomicie. A poza tym jadę do...

Jeśli powie matce, że ma jechać do USA, dobrym radom na temat trasy i środków bezpieczeństwa nie będzie końca. A na koniec matka przyjedzie, aby spakować jej walizki.

- Mamo, jestem w tej chwili zajęta. Niestety nie mam czasu na działkę, ale dziękuję za propozycję. Pozdrów tatę.

- Ale czy nie mogłabyś chociaż przyjść do nas dzisiaj wieczorem? Zrobiłabym coś dobrego do jedzenia, a ty mogłabyś z ojcem pograć...

- Sądziłam, że wybieracie się na działkę.

- Tylko wtedy, gdy ty z nami pojedziesz.

- Do widzenia, mamo.

Pilnowała się, aby odłożyć słuchawkę starannie i ostrożnie na miejsce. Matka zarzucała jej często, że rzuca słuchawką. Miała rację. Jednak ładniej to wyglądało, jeśli nie wykonywała tego z trzaskiem.

Prysznic pomógł jej. Kristiane siedziała na klapie od sedesu i rozmawiała z Sulamitą, samochodem

strażackim z namalowaną twarzą i mrugającymi oczami. Sulamita miała prawie tyle samo lat co Kristiane i zgubiła już drabinę i trzy koła. Nikt poza Kristiane nie wiedział, skąd wzięło się to imię.

- Sulamita uratowała dzisiaj konia i słonia. Dzielna Sulamita.

Inger Johanne rozczesła mokre włosy i przetarła zaparowane lustro.

- Co się stało z koniem i słoniem? - zapytała.
- Sulamit i dynamit. Słońkoń.

Inger Johanne wróciła do sypialni i włożyła na siebie dzinsy i czerwoną, ciepłą bluzkę. Na szczęście już wczoraj, zanim przywiozła Kristiane z przedszkola, załatwiła wszystkie sprawy zaplanowane na weekend. Mogły teraz pójść na daleki spacer. Żeby córka była spokojna wieczorem, musiała przebywać w ciągu dnia kilka godzin na powietrzu. Zapowiadało się na ładną pogodę. Odsloniła zasłony w sypialni i mrużąc oczy wyjrzała przez okno.

Rozległ się dzwonek u drzwi.

- Do diabła, mammo!
- Do diabła - powtórzyła poważnie Kristiane.

Inger Johanne poszła szybkimi krokami do przedpoju i gwałtownie otworzyła drzwi.

- Dzień dobry - powiedział Yngvar Stubo.
- Dzień dobry.
- Dzień dobry - powiedziała Kristiane. Wystawiła głowę zza bioder matki, szeroko się uśmiechając.
- Jak ty pięknie dzisiaj wyglądasz!

Yngvar Stub© wyciągnął rękę w stronę dziewczynki. Chwyciła ją, w co trudno było uwierzyć.



- Mam na imię Yngvar - powiedział z powagą. -A jak ty masz na imię?

- Kristiane Vik Aanonsen. Dzień dobry. Dobranoc. Mam kota.

- O? Czy mogę się z nim przywitać?

Kristiane pokazała mu Sulamitę. Kiedy chciał wziąć samochód, cofnęła się o krok .

- Uważam, że to najpiękniejszy kot, jakiego w życiu widziałem - stwierdził.

Dziecko zniknęło.

- Właśnie przechodziłem tędy i...

Wzruszył ramionami. To wyraźne kłamstwo sprawiło, że zwęził oczy w niemal filuternym uśmiechu. Poczula w ciele jakiś obcy dreszcz, który ją zaskoczył, rodzaj ucisku na płuca powodujący, że spuściła oczy i wymamrotała zaproszenie do środka.

- Nie mam tu szczególnego porządku - powiedziała automatycznie, zauważając, że ogarnął wzrokiem go ścinny pokój.

Usiadł na sofie. Była zbyt głęboka i miękka dla tak dobrze zbudowanego mężczyzny, jakim był Yngvar Stubo. Kolana znalazły się za wysoko i wydawało się, że siedzi niemal na podłodze.

- Może lepiej by się panu siedziało na krześle - zaproponowała, zdejmując z siedzenia książkę z obrazkami.

- Siedzę bardzo wygodnie - odpowiedział. Dopiero teraz zauważyła, że przyniósł ze sobą dużą kopertę, którą położył na ławie.

- Muszę tylko...

Zrobiła nieokreślony ruch w stronę dziecięcego pokoju. Za każdym razem pojawiał się ten sam problem.

Ponieważ Kristiane wyglądała i okresami zachowywała się jak zdrowa, normalna czterolatka, Inger Johanne miała zawsze wątpliwości, co należy powiedzieć. Kiedy powinna poinformować, że dziecko było zbyt małe w stosunku do swojego wieku; że miało sześć lat i poza tym uszkodzenie mózgu, którego nikt nie mógł zdiagnozować. Powiedzieć o tych wszystkich dziwnych słowach, padających z ust dziecka, które nie były świadectwem ani głupoty, ani bezczelności, a jedynie błędem w funkcjonowaniu mózgu, którego żaden lekarz nie potrafił naprawić. Zwykle czekała z tym zbyt długo. Wydawało się, że za każdym razem czekała na jakiś cud. Że córka zacznie zachowywać się racjonalnie. Logicznie. Przewidywalnie. Albo że nagle pojawi się u dziecka widoczna oznaka: gruby język i skośne oczy w płaskiej twarzy, sprawiające, iż wszyscy wokół uśmiechają się ciepło i przyjaźnie. Zamiast tego powstawała przykra sytuacja.

Pozwoliła dziecku obejrzeć *101 dalmatyńczyków* w swoim gabinecie.

- Nie mam zwyczaju...

Ponownie zrobiła przeproszający gest w stronę pokoju, gdzie przebywała córka.

- Nie ma sprawy - odezwał się policjant na sofie. - Muszę przyznać, że czasami sięgam po te same metody. To znaczy z wnukiem. Potrafi być sporym wyzwaniem. Wideo może być dobrą nianią. Czasami.

Inger Johanne poczuła rumieniec na twarzy i wyszła do kuchni. Yngvar Stubo był dziadkiem.

- Z jakiego powodu jest ta wizyta? - zapytała po powrocie z kuchni, skąd przyniosła kubek z kawą, który postawiła na serwetce przed nim.

- Jak sądzę, wytłumaczenie, że „przechodziłem tę dy” nie jest wystarczające. A więc powodem jest nasza sprawa.

- Sprawy.

Uśmiechnął się.

- Dokładnie. Sprawy. Ma pani rację. Mam uczucie, że pani mogłaby nam pomóc. Po prostu. Proszę nie pytać dlaczego. Sigmund Berli, mój przyjaciel i kolega z pracy, nie może zrozumieć, dlaczego panią prześladowę.

Ponowne zwięzienie oczu sprawiające wrażenie flirtu. Inger Johanne mocno się koncentruje, aby się ponownie nie zaczerwienić. Ciastka. Nie ma ciastek. Herbatniki. Ostatnie zjadła Kristiane wczoraj.

- Mleko?

Zaczęła wstawać, kiedy zamachał przecząco prawą ręką.

- Proszę posłuchać - zaczął, wyjmując jednocześnie plik zdjęć z koperty, leżącej na ławie. - To jest Emilia Selbu.

Zdjęcie pokazywało piękną dziewczynkę z wiankiem kwiatów podbiału we włosach. Była bardzo poważna, a jej ciemnoniebieskie oczy miały niemal smutny wyraz. W wąskiej brodzie zaznaczał się mały dołek. Usta małe, ale z pełnymi wargami.

- Zdjęcie zrobione niedawno, trzy tygodnie temu. Ładna dziewczynka, prawda?

- Czy to ta, której nie odnaleziono?

Przełknęła ślinę, załamał się jej głos.

- Tak. A to Kim. Zbliżyła fotografię do oczu. Tę samą, którą pokazywano w telewizji. Chłopiec trzymał kurczowo czerwo-

ny wóz strażacki. Czerwony wóz strażacki. Sulamita. Nagle upuściła zdjęcie na podłogę, po czym je podniosła i przesunęła w stronę Yngvara Stubo.

- Emilii wciąż nie znaleziono, a Kim został... Co sprawia, że uważa pan, iż dotyczy to tego samego sprawcy?

- Również zadaję sobie to pytanie.

Zdjęć było więcej. Wydawało się przez chwilę, że chciał jej wszystkie pokazać. Zmienił jednak zdanie i resztę włożył do koperty. Fotografie Kima i Emilii pozostały obok siebie na ławie. Były zwrócone twarzami w stronę Inger Johanne.

- Emilia została porwana w czwartek - powiedział z namysłem. - W środku dnia. Kim zniknął we wtorek w nocy. Emilia ma dziewięć lat i jest dziewczynką. Kim był pięcioletnim chłopcem. Emilia mieszka w Asker. Kim w pobliskim Baerum. Matka Kima jest pielęgniarką, a ojciec hydraulikiem. Matka Emilii nie żyje, a ojciec jest filologiem i utrzymuje się z tłumaczenia literatury pięknej. Nie znają się. Przeświatliliśmy wszystko, aby znaleźć jakieś punkty łączące obie rodziny. I jedyne, co stwierdziliśmy, to fakt, iż zarówno ojciec Emilii, jak i matka Kima mieszkali na początku lat dziewięćdziesiątych w Bergen. Ale nie znali się. W ogóle...

- Ciekawe - odezwała się Inger Johanne.

- Tak. Albo tragiczne. W zależności od tego, jak na to spojrzeć.

Próbowała omijać zdjęcia wzrokiem. Wydawało jej się, że mają do niej żal, iż nie chce z nimi mieć nic do czynienia.

- W Norwegii zawsze znajdzie się jakieś wspólne punkty między ludźmi - powiedziała. - Przynajmniej

wtedy, gdy mieszkają tak blisko siebie jak w Baerum i Asker. Na pewno spotkał się pan z tym. To znaczy, myślę o sytuacjach, kiedy zaczynamy z kimś rozmowę. Prawie zawsze pojawia się jakiś wspólny znajomy, dawny przyjaciel, miejsce pracy, z którym oboje są związani, jakieś wspólne przeżycia. Prawda?

- Tak...

Powiedział to z wahaniem. Sprawiał wrażenie, że nie jest tym zainteresowany. Wciągnął gwałtownie powietrze, jakby chciał zaprotestować, jednak powstrzymał się. Zamiast tego powiedział:

- Potrzebuję specjalisty od profilu przestępcy. *Profilem*.

Jego angielska wymowa była szeroka, jak w amerykańskim serialu telewizyjnym.

- Nie sądzę - odpowiedziała szorstko; rozmowa szła w kierunku tematu, o którym nie chciała rozmawiać.

- Jeśli miałby pan otrzymać pomoc *profilera*, musiałby pan mieć więcej spraw niż obecnie. Zakładając oczywiście, że chodzi o tego samego sprawcę.

- Niech Bóg broni - powiedział Yngvar Stubo. - To znaczy przed większą ilością spraw.

- Oczywiście, zgadzam się z panem. Jednak niemal niemożliwe jest wyciągnięcie jakichkolwiek wniosków tylko z tych dwóch spraw.

- Czemu pani tak sądzi?

Już nie flirtował.

- Elementarna logika - powiedziała szorstko.

- Oczywiście jest, że profil nieznanego przestępcy budowany jest na podstawie cech charakteryzujących jego sposób postępowania. Podobne to jest do rysunku

tworzonego od jednego punktu do następnego. Jest to rysowanie ołówkiem linii, łączącej numerowane punkty, po czym otrzymujemy konkretny rysunek. Jednak dwa punkty to za mało. Potrzebna jest większa ilość. I oczywiście ma pan rację: miejmy nadzieję, że to się nie stanie. To znaczy, że nie pojawi się więcej punktów.

- Czemu pani tak sądzi?
- Czemu *twierdzi* pan, że sprawca jest ten sam?
- Myślę, że nieprzypadkowo wybrała pani psychologię i prawo. To rzadkie. Musiała pani mieć jakiś plan. Jakiś cel.
- Właściwie zupełny przypadek. Rezultat młodzieńczej zmienności. A przy tym chciałam pojechać do USA. I wie pan...

Złapała się na tym, że przygryza kosmyk włosów. Dyskretnie odgarnęła wilgotne pasmo za ucho i poprawiła okulary.

- Uważam, że pan się myli. Emilia Selbu i mały Kim nie zostali porwani przez tego samego mężczyznę.
- Albo kobietę.
- Albo kobietę - powiedziała z rezygnacją w głosie.
- Ale muszę niestety, bez względu na to jak nieuprzejme to się wydaje, poprosić pana o... Muszę dzisiaj załatwić pewne sprawy, ponieważ mam... Przepraszam.

Ponownie pojawił się ucisk na płuca; nie była w stanie spojrzeć na mężczyznę, siedzącego na sofie. Podniósł się nieoczekiwanie lekko ze swojej niewygodnej pozycji.

- Jeśli znowu to się zdarzy - powiedział, zbierając zdjęcia - jeśli znowu zniknie jakieś dziecko, czy wtedy pomoże mi pani?

Z gabinetu dochodził krzyk Cruelli deVille. Kristiane piszczała z radości.

- Nie wiem - odpowiedziała Inger Johanne Vik. - Zobaczymy.

Ponieważ była sobota, a projekt realizowany według planu, mógł sobie pozwolić na kieliszek wina. Jeśli się dobrze zastanowił, to był to jego pierwszy kieliszek alkoholu od wielu miesięcy. Zwykle bał się konsekwencji. Po kieliszku lub dwóch był osowiały. W połowie trzeciego ogarniał go gniew, a na dnie czwartego czekała wściekłość.

Tylko jeden kieliszek. Na dworze było jeszcze jasno, uniósł więc kieliszek pod światło.

Emilia była dziwna. Niewdzięczna. I choć pragnął zachować dziewczynkę przy życiu, przynajmniej tak długo, jak to możliwe, to jednak istniała jakaś granica.

Pił dalej. Ciemny smak wina pachnący piwnicą.

Uśmiechnął się na myśl o swoim sentymentalizmie. Jest po prostu zbyt uczuciowy. Jest zbyt miły. Dlaczego Emilia miałaby dalej żyć? W jakim celu? Co właściwie zrobiła takiego, że zasługuje na to? Dostaje jedzenie, dobre jedzenie. I często. Czystą wodę ma z kranu. Nawet kupił dla niej lalkę Barbie. Nie zauważył jednak u niej jakiegoś specjalnego zadowolenia.

Na szczęście przestała się skarżyć. Na początku, a szczególnie po zniknięciu Kima, zaczynała płakać, jak tylko otwierał drzwi na dole. Wydawało się, jakby brakowało jej powietrza, co oczywiście było bzdurą. Już dawno temu zainstalował dobre urządzenie wentylacyjne. Przecież

nie miał zamiaru dusić dzieci. Teraz była spokojniejsza. Przynajmniej nie płakała.

Decyzja o pozostawieniu Emilii przy życiu pojawiła się nagle. Tego nie było w jego planach, nie tych początkowych. Było w niej coś szczególnego, o czym ona sama nie wiedziała. Zobacz, jak długo to będzie trwało. Powinna jednak trochę uważać. Jest wprawdzie sentymentalny, ale i dla niego istnieje pewna granica.

Niedługo będzie miała towarzystwo.

Odstawił kieliszek i zaczął myśleć o ośmioletniej Sarze Baardsen. Nauczył się na pamięć jej rysów. Ćwiczył się w zapamiętywaniu jej twarzy tak długo, aż mógł ją przywoływać w wyobraźni w każdej chwili. Nie miał zdjęć. Mogły wpaść w niepowołane ręce. Zamiast tego obserwował ją na szkolnym boisku, w drodze do babci, w autobusie. Raz siedział obok niej podczas całego seansu filmowego. Wiedział, jak pachniały jej włosy. Słodko i ciepło.

Zakorkował ponownie butelkę i odstawił na niemal pustą półkę w kuchni. Wyrzął przez okno i zamarł. Zaraz za oknem, zaledwie kilka metrów od domu, stał dorodny jeleń. Piękne zwierzę uniosło głowę, przez chwilę wpatrywało się w niego, po czym leniwie skierowało się do lasu. Łzy napłynęły mu do oczu.

Na pewno Sara i Emilia będą się razem dobrze czuły - jak długo to będzie konieczne.



Logan International Airport w Bostonie był gigantycznym placem budowy. Pod niskim sufitem unosił się zapach pleśni i widoczny kurz. Wokół ostrzegały ją czarnymi literami na czerwonym tle liczne plakaty. Należało zwracać uwagę na kable na podłodze, belki wystające luźno ze ściany, plandeki zakrywające betoniarki i materiały budowlane. W ciągu niecałej pół godziny wylądowały cztery samoloty z Europy. Kolejka do kontroli paszportowej była długa, więc Inger Johanne Vik próbowała w czasie czekania czytać dość już podniszczoną gazetę. Od czasu do czasu posuwała nogą podręczny bagaż. Stojący za nią Francuz w płaszczu z wielbłądziej wełny szturchał ją w plecy za każdym razem, gdy choć na sekundę spóźniała się z posuwaniem w kolejce.

Wczoraj wieczorem pojawiła się nagle Linę z trzema butelkami wina i dwiema płytami CD. Kristiane oddana była w bezpieczne ręce Isaka, przyjaciółka miała więc rację, że Inger Johanne nie musiała myśleć o następnym dniu, gdyż na lotnisku Gardermoen powinna zjawić się dopiero około dwunastej w południe. A do pracy i tak nie było sensu wstępować przed wyjazdem. Butelki Liny zniknęły razem z ćwiartką butelki koniaku i dwiema Irish Coffee. Następnego dnia po wjeździe pociągu na peron, znajdujący się pod nowym portem lotniczym,

Inger Johanne pobiegła do toalety, aby wyrzucić z siebie resztki po miło spędzonej nocy. Podróż okazała się ciężkim przeżyciem.

Na szczęście zaraz na początku podróży zasnęła.

W końcu przyszła na nią kolej pokazania paszportu. Próbowwała zasłonić usta. Czuła się niepewnie z powodu wyczuwalnego zapachu snu i zakrapianego alkoholem wieczoru. Sprawdzanie paszportu zajęło kontrolującemu urzędnikowi niepotrzebnie dużo czasu; długo wpatrywał się w nią, następnie w dokument, wahał się. W końcu, zrezygnowany, przybił pieczętkę na wkładce w paszporcie. Po czym za pomocą machnięcia ręką wpuszczono ją do USA.

Zazwyczaj było całkiem inaczej. Przyjazd do Ameryki łączył się zwykle z poczuciem ulgi po zdjęciu plecaka. Uczucie wolności było namacalne, czuła się lżejsza, młodsza, szczęśliwsza. A teraz napotkała opór przenikliwego wiatru, nie mogła sobie przypomnieć, gdzie znajdował się przystanek. Tym razem, zamiast wynajmować na lotnisku samochód, postanowiłajechać do Hyannis autobusem. W ten sposób uniknie ruchu miejskiego w Bostonie, a w Hyannis czekał już na nią ford taurus. Musiała jedynie znaleźć ten cholerny przystanek. Wokół panował chaos, czasowe skrzyżowania ulic i prowizoryczne znaki drogowe. Czuła ogarniające ją niezadowolenie, odzywał się żołądek. Do jej ubrania przyczepił się zapach perfum popędliwego Francuza.

Dwóch mężczyzn opierało się o ciemny samochód. Ubrani w charakterystyczne, czarne kurtki przeciwdeszczowe, na głowach nasunięte czapki z daszkiem.

Nie musieli wcale się odwracać, aby Inger Johanne wiedziała, że na ich szerokich plecach widniały trzy dukt, odblaskowe litery FBI.

Ona sama miała podobną kurtkę. Wisiała w domku letniskowym rodziców, używana jedynie podczas ulewnych deszczów. Litera F była w połowie starta, u B prawie zniknęło.

Agenci FBI śmiali się. Jeden z nich włożył do ust gumę do żucia, po czym, poprawiając czapkę, otworzył drzwi do samochodu kobiecie na wysokich obcasach, przechodzącej szybko przez ulicę. Inger Johanne odwróciła się plecami. Powinna się pospieszyć, jeśli chciała zdążyć na autobus. Wciąż czuła się zmęczona i było jej niedobrze. Miała nadzieję, że w czasie dalszej podróży zaśnie. Jeśli nie, powinna znaleźć w Hyannis jakieś miejsce do przenocowania. Nie była w stanie jechać nocą samochodem.

Zaczęła biec truchtem. Walizka podskakiwała na zbyt małych kółkach. Zadyszana oddała bagaż kierowcy i wspięła się do autobusu.

Nagle uświadomiła sobie, że od chwili wyjazdu z lotniska w Gardermoen nie poświęciła Akselowi Seierowi najmniejszej myśli. Może już jutro go spotka. Z jakichś nieznanых powodów stworzyła sobie jego obraz. Był całkiem przystojny, ale niezbyt wysoki. Mógł mieć brodę. Bogowie jedynie wiedzieli, czy zechce ją przyjąć. Wyjazd do USA, prawie na łeb na szyję, bez umówienia się, bez szczegółowych informacji oprócz adresu w Harwichport i starej historii o człowieku, który został skazany za coś, czego prawdopodobnie nie zrobił. Wszystko to było tak impulsywne i nietypowe dla niej,

że musiała uśmiechnąć się do swego odbicia w szybie.

Była w USA. W jakimś sensie wróciła do domu.

Zasnęła jeszcze przed wyjazdem autobusu z Ted  
Williams Tunnel.

Przed zaśnięciem pomyślała o Yngyarze Stubo.

Kiedy Inger Johanne Vik obudziła się we wtorek rano, nie miała poczucia czasu.

Poprzedniego wieczoru zabrała samochód z Barnstable Municipal Airport. Lotnisko składało się z kilku wąskich pasów startowych, obok niskiego i długiego terminalu. Kobieta, obsługująca biuro Avis, z dyskretnym ziewnięciem podała jej kluczki do samochodu. Do północy były jeszcze dwie godziny, a do zamówionego wcześniej pokoju hotelowego w Harwichport niecałe pół godziny jazdy, ale nie chciała ryzykować. Zamiast tego wynajęła pokój w motelu w Hyannisport, znajdującym się pięć minut drogi od lotniska. Wzięła prysznic, po czym wyszła w nocny mrok.

Nad bulwarami unosiła się atmosfera oczekiwania na przyjscie lata. Prawie dorośli chłopcy, wynudzeni podczas ubogiej w wydarzenia zimy, przerywali teraz nocną ciszę krzykami i śmiechem, czekając aż miasto eksploduje. Młodzież, najmłodsi mogli mieć po dziesięć lat, uciekała przed matkami i spaniem na hulajnogach, zygzakiem między knechtami do cum i starymi beczkami. Za kilka dni święto Memorial Day. W ciągu jednego weekendu liczba mieszkańców Cape Cod zwiększała się dziesięciokrotnie, utrzymując się na tym poziomie aż do wrześnieowego Labor Day i początku nowego, beczynnego sezonu zimowego.

Inger Johanne zaczęła szukać po omacku zegarka, który upadł na podłogę.

Minęła dopiero szósta rano. Spała pięć godzin. Mimo to czuła się wypoczęta. Wstała i włożyła na siebie za duży T-shirt, w którym miała zwyczaj spać. Urządzenie klimatyzacyjne wydało z trudem westchnienie i zamarło. W pokoju musiało być dwadzieścia pięć stopni ciepła. Kiedy odsłoniła zasłony, do środka wdarło się poranne światło. Zmrużyła oczy i skierowała wzrok w stronę południowego zachodu. Przy przystani stał odnowiony biały wodolot do Marthas Vineyard. Wiejący od brzegu wiatr napinał cumy między brzegiem a statkiem. A dalej, za promem, w cieniu zagajnika, stał duży, szary pomnik, poświęcony Kennedy emu. Wczoraj tam była. Posiedziała na ławce, wpatrując się w wody oceanu. Powietrze prze-sycone wczesną letnią nocą. Słone i słodkie. Za jej plecami stał pomnik, masywny kamienny mur z umocowaną pośrodku mosiężną płaskorzeźbą. Pozbawiony wyrazu profil zmarłego prezydenta niczym podobizna na mone-cie - król na gigantycznym pieniądzu.

- Król Ameryki - mruknęła Inger Johanne i podłączyła notebook do sieci.

Tylko jeden mail zasługiwał na opłatę - rysunek Kristiane. Trzy zielone figury w kole. Kristiane, mama i tata. Ręce, za które się trzymali, były ogromne, a palce splatały się ze sobą niczym korzenie mangrowców. W środku koła stała figura z ogromną ilością zębów, której początkowo nie mogła zidentyfikować. Przeczytała dopisek Isaka.

- Dał dziecku psa - jęknęła i wyłączyła gwałtownie Internet.

Kiedy krótko po dziewiątej wsiadła do samochodu, ogarnęło ją uczucie rezygnacji. Nie było jej w domu jeden dzień i Isak zdążył kupić psa. Kristiane na pewno będzie się upierać, aby zabierać bestię ze sobą do Inger Iohanne, kiedy wypadał ich tydzień. A ona z całą pewnością wie, że nie chce żadnego psa.

Isak mógł przynajmniej zapytać ją o zdanie.

Uczucie irytacji nie malało. Jechała wzdłuż wybrzeża drogą numer 28, snującą się od miasteczka do miasteczka, z nagłymi błyskami zatoki Nantucket Sound, widocznej za przystaniami żeglarskimi i ujściem rzeki. Słońce raziło w oczy. Zatrzymała się przed pełnym jaskrawych kolorów sklepikiem dla turystów, aby kupić parę tanich okularów przeciwsłonecznych. Swoje przeciwsłoneczne korekcyjne zapomniała zabrać z domu. Miała do wyboru dwie możliwości: widzieć dość słabo w okularach bez szkieł korekcyjnych albo w ostrym świetle prawie niczego nie widzieć bez okularów. Sprzedawca próbował sprzedać jej kapelusz kowbojski - tak jakby w okolicach Yarmouth w Massachusetts kiedykolwiek pojawił się jakiś kowboj. W końcu uległa. Trzydzieści dolarów dosłownie do śmieci. Miała nadzieję, że jej nie widział, kiedy wciskała nakrycie głowy do zielonego kosza. Mężczyzna nie miał prawej nogi. Pewnie w 1972 roku miał dziewiętnaście lat i był żołnierzem.

Autostrada Mid-Cape, przecinająca wzdłuż półwysep byłaby pod każdym względem bardziej odpowiednia. Kiedy jednak wybrała drogę wzdłuż wybrzeża, zaczęła siebie podejrzewać, że pragnie przedłużyć podróż. Wczoraj śmiała się ze swojej impulsywności. Dzisiaj nie było to już takie śmieszne.

Odniosła wrażenie, że nie wszystko jest w porządku ze skrzynią biegów.

Co powinna powiedzieć?

Isak mógł się pomylić. Kiedy poprosiła go o ponowne sprawdzenie, położył rękę na sercu i wzniosł oczy do góry. Na pewno istniało więcej Akselów Seierów. Może nie tak wielu, ale kilku z pewnością. Isak mógł się pomylić. Może Aksel Seier z Harwichport nigdy nie mieszkał w Oslo. Może nigdy nie siedział w więzieniu. A może siedział w więzieniu, ale miał niewielką ochotę na to, aby ktoś mu o tym przypominał. Mógł mieć rodzinę. Żonę, dzieci, wnuki, nie mających pojęcia, iż *pater familias* siedział w przeszłości pod kluczem. Rozdrapywanie tego nie było w porządku. Nie było w porządku wobec Aksela Seiera. Wczoraj śmiała się ze swojej impulsywności. Dzisiaj zrozumiała, że celem podróży do USA było zarówno poszukiwanie prawdy, jak i oderwanie się od czegoś. Uspokoiła się szybko myślą, że nie było to nic poważnego. Nie było tu mowy o żadnej ucieczce. W Ameryce była bliżej siebie i przede wszystkim dlatego tu przyjechała. Jednocześnie nie bardzo wiedziała, w czym potrzebowała przerwy. Zanim dojechała do Dennisport (do miejsca, którego adres włożyła za zdjęcie Kristiane w portmonetce, została niecała mila), postanowiła zawrócić. Powie, że była to nieudana podróż. Alvhild Sofienberg na pewno zrozumie. Inger Johanne nie może zrobić więcej niż do tej pory. Jej praca badawcza będzie kontynuowana bez Aksela Seiera. Poradzi sobie bez jego sprawy. Ma wiele innych do analizy, wiele zbrodni, których sprawcy oddaleni są od jej biura o zaledwie kilka przystanków metra albo krótką podróż samolotem.



Skrzynia biegów zazgrzytała.

Jechała dalej.

Może wystarczy popatrzeć na jego dom. Nie musi nawiązywać kontaktu. Zrobiła tak długą drogę, to powinna przynajmniej zobaczyć, jak Aksel Seier dał sobie radę w życiu. Dom z ogrodem i zaparkowanym obok samochodem też mogą opowiedzieć historię, której warto byłoby posłuchać po tak dalekiej podróży.

Aksel Seier mieszkał przy Ocean Avenue 1.

Dom znalazła łatwo. Był mały. Jak wszystkie wokół był obłożony drzewem cedrowym, szarym ze starości i odpornym na pogodę. Typowy dla okolicy. Okiennice pomalowane na niebiesko. Poruszany wiatrem kurek na dachu obracał się z oporem. Wzdłuż wschodniej ściany domu krępej budowy mężczyzna dźwigał drabinę. Nie była to pora na lunch, ale Inger Johanne poczuła głód.

Aksel Seier potrzebował nowej drabiny. Miał wejść na dach, a stara niebezpiecznie trzeszczała i brakowało jej trzech stopni. Musiał jednak wejść. Kurek poruszał się zbyt wolno. Aksela budził w nocy świst wiatru, napierającego na stawiającego opór ptaka. Ten zaś pisał przeraźliwie, kiedy wiatr nadciągał z południowego wschodu.

- *Hi, Aksel! Pretty thing you've got there!*

Młody człowiek w kraciastej flanelowej koszuli oparł się ze śmiechem o płot. Aksel trzymając przed sobą świnkę, kiwnął sąsiadowi. Przechylił na bok głowę i lekko wzruszył ramionami.

- *Kind of original, I guess. I like it.*

Zrobiona z oksydowanego mosiądzu chuda świnka przymocowana była do skrzyżowanych ze sobą strzałek, wskazujących cztery strony świata. Aksel Seier wymienił kilka swoich barwnych pływaków do sieci rybackiej na świnkę wiatromierz. Pływaki były wilgotne i bezużyteczne, jednak w dalszym ciągu wartościowe na rynku pamiątek.

- *Help me with this ladder, willyou!*

Matt Delaware miał dużą nadwagę. Aksel miał nadzieję, że ten sporo od niego młodszy mężczyzna nie zaproponuje mu, że wymieni koguta na świnkę. W końcu udało im się ustawić drabinę.

- *I would have helped you, you know. But...*

Matt zerknął na drabinę. Uderzył lekko w jeden ze stopni i przesunął baseballówkę na tył głowy. Aksel chrząknął, po czym postawił ostrożnie stopę na pierwszym stopniu. Stopień wytrzymał. Powoli zaczął wspinać się w górę. Kogut był tak zardzewiały, iż złamał się, kiedy Aksel próbował go odkręcić. Ale umocowania na dachu były jeszcze dobre. Wiatr szybko pogodził się ze zmianą kurka, a ustawienie kierunku strzałek zajęło kilka minut.

- *Awesome* - uśmiechnął się szeroko Matt, wpatrując się w świnkę. - *Just awesome, you know!*

Aksel podziękował pod nosem. Matt odstawił drabinę na miejsce. Aksel słyszał jego chichot jeszcze długo po tym, jak tamten zniknął za zakrętem na drodze prowadzącej do domu O'Connora, który był jeszcze zamknięty przed sezonem letnim.

Ktoś zaparkował na Ocean Avenue. Aksel popatrzył obojętnie na forda. W samochodzie siedziała jakaś

kobieta. Tutaj nie wolno było parkować. Będzie musiała, podobnie jak inni odwiedzający, zostawić pojazd na parkingu przy Atlantic Avenue. Nie była tutejsza. Dostrzegł to od razu, mimo iż nie całkiem wiedział dlaczego. Okres letni był piekłem. Wszędzie goście / dużych miast. Z wypchanymi portfelami. Przekonani, że wszystko jest na sprzedaż.

- Za odpowiednią cenę - powiedział deweloper wiosną. - *Name your price, Aksel.*

Ale on nie chciał sprzedawać. Jakiś bogacz z Bostonu gotów był zapłacić milion dolarów za jego mały dom nad brzegiem oceanu. Milion. Na samą myśl parsknął śmiechem. Dom był nieduży, a pieniędzy starczało mu jedynie na najbardziej konieczne naprawy. Większość prac wykonywał sam, ale materiały kosztowały. Podobnie jak hydraulicy i elektrycy. W zimie musiał założyć nową rurę doprowadzającą wodę. Stara pękła. Ciśnienie spadło i z kuchennego kranu jedynie kapało. Wodociągi Miejskie oświadczyły, że jeśli nic z tym niezwłocznie nie zrobi, założą mu sprawę. Po przeprowadzeniu wymiany i zapłaceniu rachunku na koncie oszczędnościowym Aksela Seiera zostało sześćdziesiąt pięć dolarów.

Milion!

Bogacz chciałby pewnie dom rozebrać. Potencjalnych kupców przyciągało położenie. Pas nadmorski. *Prywatna* plaża. Z prawem do postawienia ogromnych szyldów z napisami *No trespassing* i *Police take notice*. Aksel Seier odprawił dewelopera z kwitkiem, zaznaczając, że powinien sobie zaoszczędzić dalszych wizyt. Wprawdzie od czasu do czasu potrzebował paru setek dolarów, ale

tylko takich, które sam zarobił. Nie miał pojęcia, na co byłby mu potrzebny milion.

Pochował narzędzia. Kobieta w taurusie nie ruszała się z miejsca. Irytowało go to. Zwykle o tej porze roku wchodził w stan pobłażliwości. Bez tego nie mógłby przeżyć żadnego lata. Ale z tą kobietą było coś nie tak. Wydawało mu się, że wpatrywała się w niego. Samochód nie był zaparkowany w ten sposób, aby mieć dobry widok na zatokę. W głębi ulicy. Zbyt blisko dużego dębu, rozpościerającego się nad domem Piccola. Latem powinni coś z nim zrobić: może ściąć, a przynajmniej obciąć kilka gałęzi. Zwisały ciężko nad dachem, szorując po gonce. Pewnie niedługo zaczną przeciekać.

Kobieta w samochodzie nie interesowała się zatoką. Jej zainteresowanie skierowane było na niego. Przeszył go dawny strach. Aksel Seier załkał i odwrócił się gwałtownie. Po czym wszedł do środka i zamknął drzwi na klucz, mimo że nie było jeszcze południa.

Aksel Seier wyglądał tak, jak go sobie Inger Johanne wyobrażała. Krępy i silnie zbudowany. Z odległości trudno było zobaczyć, czy był gładko ogolony, na pewno jednak nie miał brody. Odnosiła wrażenie, że widziała go wcześniej, już pierwszej nocy, kiedy czytała dokumenty Alvhild Sofienberg, próbując sobie wyobrazić starszego Aksela Seiera, trzydzieści pięć lat po wyjściu na wolność. Ciemnoniebieska kurtka była wytarta. Mimo że na dworze było ponad dwadzieścia stopni ciepła, chodził w ciężkich kaloszach. Miał siwe, nieco za długie włosy. Tak jakby nie zwracał uwagi na swój wygląd. I mimo stumetrowej odległości, łatwo można było zauważyć, że miał duże ręce.

Kilkakrotnie patrzył w jej kierunku. Próbowwała skulić się na siedzeniu w samochodzie. I choć nie robiła nic nielegalnego, to jednak zaczerwieniła się lekko, kiedy po raz drugi wyprostował się i spojrzał na nią. Jeśli zdołał zapamiętać jej wygląd, to znalazłaby się w przykrym położeniu, gdyby później doszło do spotkania.

Nie będzie z nim rozmawiać. Widzi przecież, że ułożyło mu się dobrze. Mieszkał nieźle. Wprawdzie dom był mały i dość zniszczony słońcem i wiatrem, jednak sama działka musiała mieć sporą wartość. W ogrodzie stała mała ciężarówka w niezłym stanie. Jakiś młody mężczyzna zatrzymał się na pogawędkę. Kiedy odchodził, śmiał się i machał ręką. Aksel Seier był u siebie.

Inger Johan nie poczuła głód. W samochodzie było nieznośnie ciepło, mimo że zaparkowała w cieniu dębu. Powoli odkręciła szybę.

*- You cant park here, sweety!*

Ogromny, jasnoróżowy sweter z angory sprawiał, że starsza pani wyglądała jak wata cukrowa. Uśmiechała się szeroko wśród całej swej różowości. Inger Johanne przepaszając kiwnęła głową. Włączyła silnik, mając nadzieję, że skrzynia biegów wytrzyma jeszcze jeden dzień. Zauważyła, iż zegarek wskazywał dokładnie jedenastą. Był wtorek, 23 maja.

Z jakiegoś powodu spostrzegł nagle, że jest piąta po południu. Na ścianie w stajni ktoś zawiesił stary zegar kolejowy. Krótka wskazówka była ułamana, jedynie kikut wskazywał na coś, co prawdopodobnie było cyfrą pięć. Yngvar Stub0 poczuł w całym ciele niepokój i sprawdził jeszcze raz godzinę na swoim zegarku.

- Tutaj, Amund. Chodź do dziadka.

Chłopiec stał między przednimi nogami kasztanowatego konia. Zwierzę schyliło łeb, lekko rżąc. Yngvar Stubo chwycił wnuka i posadził na grzbiecie nieosiodlanej kasztanki.

- Musisz pożegnać się z Sabrą. Jedziemy do domu na obiad. Ty i ja.

-1 Sabra.

- Nie. Sabra nie. Sabra mieszka tu, w stajni. U dziadka w mieszkaniu nie ma dla niej miejsca.

- Do widzenia Sabra!

Amund nachylił się i wtulił w grzywę.

- Do widzenia!

Niepokój w ciele nie ustępował. Sprawiał niemal ból. Po plecach przebiegł mu lodowaty dreszcz i wbił się w kark, sprawiając, że cały zeszywniał. Przytulił mocno chłopca i skierował kroki w stronę auta. Kiedy zapinał Amunda pasami, czuł się nieswojo. Dawniej, przed wypadkiem, uważał, że ma dar jasnowidzenia. Mimo iż nigdy nie wierzył w takie rzeczy. Podobało mu się jednak, że inny zaczęli to dostrzegać: tę czujność, która czyniła go wyjątkowym. Zdarzało się, że nagle przez ciało przebiegały lodowate fale i wtedy sprawdzał godzinę. Notował ją. Wcześniej uważał to za przydatne. Teraz odczuwał wstyd.

- Opanuj się - mruknął do siebie i włączył silnik samochodu.

## 19

Później okazało się, że nikt nie zauważył Sary Baardsen w autobusie. Była godzina szczytu i ludzie tłoczyli się w przejściu. Wszystkie miejsca były zajęte. Wśród pasażerów było wiele dzieci, większość w towarzystwie dorosłych. Jedyne, co było pewne po przesłuchaniu ponad czterdziestu świadków to fakt, iż Sara jak w każdy wtorek wsiadła do autobusu numer 20 za pięć piąta. Potwierdziły to dwie koleżanki matki, czekające z nią na przystanku, kiedy machała odjeżdżającemu dziecku na pożegnanie. Sara miała osiem lat i od ponad roku jeździła samodzielnie do babci, mieszkającej w dzielnicy Toyen. Podróż nie trwała długo, zaledwie kwadrans. Świadkowie mówili, że Sara była samodzielnym i spokojnym dzieckiem. I choć matka była teraz załamana, nie mogąc sobie wybaczyć, że nie pojechała razem z nią, to jednak niewiele osób chciało obwiniać samotną matkę, iż pozwoliła swej ośmioletniej córce na tę podróż.

I jeszcze jeden fakt można było stwierdzić. Sara nigdy nie dojechała do celu podróży. Na przystanku czekała na nią babcia. Sara dobrze wiedziała, w którym miejscu powinna wysiąść. Zwykle, zaraz po otwarciu się drzwi, wyskakiwała z autobusu prosto w ramiona oczekującej na nią babci. Tym razem dziecka nie było. Kobieta okazała się na tyle przytomna, że zatrzymała autobus,

po czym przeszła po nim dwa razy, powoli, nie zważając na zirytowanego kierowcę. Sara nigdzie nie było .

Dwaj świadkowie twierdzili, że widzieli ją wysiadającą na placu Carl Berner. Obaj oświadczyli zdecydowanie, że miała na głowie niebieską czapkę. Stali przy tylnym wyjściu i dziwili się, że tak mała dziewczynka mogła jechać sama przepełnionym autobusem.

Sara nie miała żadnej czapki.

Jakaś starsza kobieta twierdziła, że zwróciła szczególną uwagę na małą, sześciolletnią dziewczynkę w towarzystwie dorosłego mężczyzny. Dziecko miało jasne włosy i trzymało szmacianą lalkę. Kobieta twierdziła, że płakało żałośnie. Odnosiło się wrażenie, że mężczyzna był zły na dziewczynkę. Natomiast grupa nastolatków zapewniała, iż autobus był pełen wrzeszczących dzieciaków. Pewien komputerowy guru, będący swego rodzaju medialną gwiazdą, co jego zdaniem czyniło go szczególnie wiarygodnym świadkiem, dowodził, iż na przodzie autobusa siedziała samotnie jakaś dziewczynka z butelką coca-coli. W pewnym momencie dziewczynka wstała i wyszła z autobusu, bez towarzystwa dorosłej osoby, tak jakby na przystanku przy Muzeum Muncha zobaczyła coś niezwykłego.

Sara miała ciemne włosy i nie wzięła ze sobą butelki coca-coli. Nie miała też nigdy szmacianej lalki, a przy tym miała osiem lat i była duża jak na swój wiek.

Gdyby w tamten majowy wtorek pasażerowie autobusu numer 20 obserwowali lepiej, mogliby zauważyć mężczyznę, zbliżającego się do siedzącej z tyłu autobusu dziewczynki. Zobaczyliby, jak ustępowała miejsca starszej pani, tak jak uczyła ją matka. Zobaczyliby, jak się



uśmiecha. Może dostrzegliby także mężczyznę, który przykucnął przed nią w tłumie pasażerów, uśmiechnął się, coś powiedział, po czym chwycił mocno za rękę. Gdyby nie była to piąta po południu, kiedy wszyscy byli głodni, mieli niski poziom cukru, a jedyną ich myślą było zjedzenie obiadu, może mogliby opowiedzieć później policji, że chociaż dziewczynka wyglądała na zdezorionowaną, to jednak bez oporów wyszła z mężczyzną na przystanek.

Policja miała zeznania ponad czterdziestu świadków z autobusu numer 20. Żadne jednak nie zawierało istotnej informacji o tym, co stało się z małą Sarą Baardsen.

## 20

Tym razem przyszła piechotą. I choć wielu rozpoczęło przedwcześnie sezon letni, a w Harwichport dominowali już turyści i stali letnicy, to jednak rozpoznała ją od razu. Szła swobodnie ulicą Atlantic Avenue, tak jakby miała określony cel. Stała w miejscu do parkowania, gdzie widoku na plażę nie zasłaniały ani domy, ani ogrody i odwróciła się na południe, w stronę zatoki. Mimo to nie podeszła do ogrodzenia. Choć miała na twarzy słoneczne okulary, mógłby przysiąc, że patrzyła na jego dom. Na niego.

Aksel Seier zamknął furtkę. Strach zaczynał przechodzić w uczucie złości. Jeśli rzeczywiście chciała czegoś od niego, to powinna mieć na tyle *guts*, aby podejść. Obciągnął sweter, zbliżało się popołudnie i było ciepło. Od strony plaży dochodziły krzyki grupy młodzieży, kąpiącej się w Nantucket Sound. Woda była jeszcze lodowata. Od dwóch dni słupek rtęci stał na sześćdziesięciu stopniach w skali Fahrenheita. Sam zmierzył przed wypłynięciem na połów ryb. Ubrana w wiatrówkę kobieta przeszła powoli, mijając go, drugą stroną ulicy.

- *What do you want, dammit!*

Aksel trzymał młotek tak mocno, że nie miał odwagi na nic innego, jak tylko upuścić go na ziemię. Zadźwięczała płyta łupkowa, na której stał. Krew

pulsowała mu w skroniach. Strach był teraz obcym mu uczuciem. Uczuciem pozostawionym w dalekiej przeszłości. Wiele lat minęło od chwili, kiedy udało mu się opanować ten nieopisany lęk, który pojawił się po raz pierwszy w areszcie w styczniu 1957 roku.

Od chwili aresztowania minęło kilka tygodni. Matka Aksela odebrała sobie życie. Aksel nie otrzymał pozwolenia na udział w pogrzebie. Stary policjant, wpatrując się w niego, pobrzękiwał pękiem kluczy. Wszyscy wiedzą, że jesteś winny, warknął do niego. Klucze uderzały miarowo o ścianę celi. Aksel nie miał żadnej szansy na uniewinnienie. Czy nie może po prostu się przyznać, choćby po to, aby ulżyć cierpieniu rodziców małej Hedvig? Czy nie dość biedacy się nacierpieli? Wzrok policjanta przepełniony był pogardą. Przetarł mocno oczy rękawem kurtki, a Aksel zrozumiał, że nie było już dla niego żadnej nadziei. Strach nie pozwalał mu zasnąć przez całe cztery doby. W końcu zaczął mieć halucynacje, więc dostał lekarstwa na sen.

Stał się nocnym markiem, śpiącym kilka godzin po południu i liczącym gwiazdy przez kraty, podczas gdy inni spali. Lęk zabrał ze sobą do wynajętego pokoju o powierzchni ośmiu metrów kwadratowych, do którego się wprowadził po nieoczekiwanym zwolnieniu. Towarzyszył mu za ocean i pojawiał się systematycznie co jakiś czas. Aż do pewnego marcowego dnia 1993 roku. Aksel Seier obudził się wtedy w środku dnia, zdziwiony, że przespał całą noc. Po raz pierwszy od trzydziestu sześciu lat policjant z pękiem kluczy i rozbieganymi oczami pozostawił go w spokoju.

- *What the heli do you want?*

Kobieta zatrzymała się. Wyglądało, że się waha. I choć waliło mu serce, sprawiając, że nie mógł swobodnie oddychać, zdołał zauważyć, iż jest ładna. W jakiś bezbarwny sposób, tak jakby nie zależało jej na wyglądzie. Mogła mieć ponad trzydziestkę, ubrana była w dość neutralne ubranie. Dżinsy i czerwona bluzka w serek. Adidasy. Aksel zorientował się, że przygląda jej się bacznie, zapamiętując szczegóły do późniejszego użytku. Miała brązowe oczy. Dostrzegł to, kiedy niezdecydowanie zbliżała się do niego, zmieniając równocześnie słoneczne okulary na zwykłe. Włosy ciemne, do połowy ramion, falujące, które mogły skręcać się w loki przy wilgotnej pogodzie. Miała wąskie dłonie. Długimi palcami przecesała niepewnie włosy. Aksel ugryzł się w język. - Aksel Seier?

Czuł, że zaczyna go dusić lęk. Kobieta wymówiła jego nazwisko w sposób, którego nie słyszał od 1966 roku. Teraz nie nazywał się Aksel Seier. Był obecnie *Axelem Sayerem*, o przeciągniętej i okrągłej wymowie, a nie twardym i krótkim Akselem Seierem.

- *Who's asking?* - powiedział przez zaciśnięte zęby.

Podala mu rękę. Nie przyjął.

- Nazywam się Inger Johanne Vik. Prowadzę badania. Przyjechałam, żeby z panem porozmawiać o tym, że swego czasu został pan niewinnie skazany za gwałt i morderstwo. Jeśli zgodzi się pan na to. Jeśli zechce pan na ten temat porozmawiać, po tak wielu latach.

Rękę trzymała w dalszym ciągu wyciągniętą. Było w tym coś z przekory, gest uporu, sprawiający, że otworzył usta, wciągnął powietrze głęboko do płuc i ujął jej dłoń.

- *Axel Sayer* - przedstawił się ochryplym głosem.

- Teraz tak się nazywam.

Od strony plaży dreptała w ich kierunku kobieta w różowościach. Okrążyła parkan i zaczęła wpatrywać się w nich demonstracyjnie, wykrzykując w końcu:

- *Female visitor, Aksel! VII say!*

- Proszę wejść do środka - odezwał się Aksel, odwracając się do różowego swetra tyłem.

Inger Johanne nie wiedziała, co ją mogło czekać. Wprawdzie stworzyła sobie wyraźny obraz postaci Aksela Seiera, jednak nigdy nie myślała o tym, jak wygląda jego otoczenie i jakie życie prowadzi w USA. Zatrzymała się w drzwiach. Pokój stołowy, tworzący jedną całość z kuchnią, przepełniony był rzeczami. Samych mebli było niewiele: stolik, niewielka sofa, grubo ciosany stół kuchenny z samotnym krzesłem obok. Mimo to trudno jej było znaleźć miejsce na postawienie stopy. W jednym kącie stał ogromny pies. Drgnęła przestraszona. Przy drugim spojrzeniu zobaczyła, że sierść wyrzeźbiona była włos po włosie w drewnie, a żółte oczy zrobiono ze szkła. Po przeciwnej stronie, pod niskim sufitem, wisiała figura galionowa. Przedstawiała kobietę o dużym biuście, z nieobecny wzrokiem i ciemnoczerwonymi, niemal fioletowymi ustami. Złoto-żółte włosy falowały wzdłuż wyprężonego ciała. Figura była zbyt duża w stosunku do rozmiarów pokoju. Wydawało się, że w każdej chwili może oderwać się od ściany i spaść na ziemię. A wtedy zgmiotłaby armię czegoś, co wyglądało na ołowiane żołnierzyki, toczące gwałtowną bitwę

na przestrzeni dwóch metrów kwadratowych. Inger Johanne zrobiła ostrożnie krok w stronę armii, po czym uklękła. Żołnierze zrobieni byli ze szkła. Ręcznej roboty figurki w niebieskich mundurach z bagnetami i działami, czapkami i naramiennikami w walce z żołnierzami z Południa w szarych mundurach.

- Jakie... Jakie to piękne.

Podniosła generała, siedzącego bezpiecznie na koniu w znacznym oddaleniu od głównej bitwy. Nawet oczy były wyraźne, jasnoniebieskie z lekkim śladem czarnych źrenic w środku.

Wokół pyska konia piana i wrażenie ciepła, płynącego ze spoconego zwierzęcia.

- Gdzie... Czy pan to zrobił? Nigdy w życiu nie widziałam czegoś podobnego!

Aksel Seier nie odpowiedział. Do Inger Johanne dochodziły odgłosy przestawianych garnków. Schowany był za kuchenną szafką.

- Kawę? - zapytał z wysiłkiem.

- Nie, dziękuję. Albo... Jeśli będzie pan dla siebie robił. Specjalnie dla mnie nie trzeba.

- Piwo.

Nie zabrzmiało to jak pytanie.

- Tak, poproszę - odpowiedziała z ociąganiem.

- Chętnie wypiję piwo.

Aksel Seier podniósł się, zamykając kopnięciem drzwi od szafki. Wydawało się, jakby poczuł ulgę. Lodówka zachrobotała opornie, gdy wydobywał z niej dwie puszki. Irytujący szum zamarł z odgłosem wessania. Promienie słońca z trudem przedzierały się przez brudne szyby. W jasnej smudze, padającej na

podłogę, tańczył kurz. Przy kuchni pojawił się jakby znikąd kot. Mruczając, zaczął ocierać się o jej nogi. A potem wyszedł przez otwór dla kota w drzwiach wyjściowych. Obok figury galionowej, z tyłu za żołnierzami, stała beczka na ryby z zardzewiałymi obręczami. Na pokrywie siedziała plastikowa lalka w lapońskim stroju. Kolory, czerwony i niebieski, żółty i zielony, które kiedyś musiały być mocne i wyraziste, teraz spłowieły do mdłego pastelu. Lalka wpatrywała się bezmyślnie w przeciwną ścianę. A ta przykryta była imponującą haftowaną tkaniną, zbliżającą się swymi rozmiarami do dywanu. Motyw haftu zaczynał się w jednym z rogów tkaniny figuratywnie (średniowieczny rycerz w pełnym rynsztunku i z podniesioną lancą, gotowy do turnieju), dalej przechodził w abstrakcyjną orgię kolorów, ciągnącą się na prawo w górę.

- Muszę... Czy to pan zrobił te wszystkie fantastyczne rzeczy?

Aksel Seier wpatrywał się w nią. Powoli podniósł puszkę z piwem do ust. Wypił, po czym wytarł usta rękawem.

- O co pani pytała?

- Czy to pan...

- Kiedy pani przyszła. Powiedziała pani wtedy, że ja...

- Mam podstawy myśleć, że został pan niewinnie skazany.

Popatrzyła na niego, próbując powiedzieć coś więcej. Cofnął się o krok, tak jakby przeszkadzały mu promienie słoneczne, padające z kuchennego okna

z kratami. Kiwnął nieznacznie głową, a później ukrył się pod ciężką, siwą i spadającą na oczy zasłoną włosów. Popatrzyła na niego i pożałowała swoich słów.

Nie miała mu nic do zaproponowania. Żadnej rehabilitacji. Przywrócenia honoru. Odszkodowania za utracone lata, zarówno w więzieniu, jak i poza nim. Inger Johanne udała się w daleką podróż, częściowo pod wpływem impulsu, mając w walizce tylko święte przekonanie starej kobiety i stos pytań bez odpowiedzi. Jeśli jest prawdą, że Aksel Seier został niewinnie skazany za najbardziej podłe przestępstwo, najbardziej brutalny gwałt, to co mógł teraz odczuwać? Jakie miało się uczucie, kiedy w końcu, po tych wszystkich latach, padły słowa: Myślę, że jest pan niewinny! Inger Johanne nie powinna była tu przyjeżdżać.

- Uważam... Pewni ludzie dokładniej zbadali sprawę... Pewna osoba... Ona jest... Czy możemy usiąść?

Stał jak sparaliżowany. Jedno ramię zwisało bezwładnie. Zobaczyła ledwie dostrzegalny wahadłowy ruch, w takt serca, do przodu, do tyłu, do przodu, do tyłu. Lewa ręka trzymała puszkę piwa. Ciągle chował się za przetłuszczonymi włosami. Oczy były wąskim błyskiem czegoś, czego nie mogła odgadnąć.

- Myślę, że lepiej będzie, jeśli usiądziemy, panie Seier.

Z gardła wydobył się ochrypły dźwięk. Bezwiedny ucisk, tak jakby chciał przełknąć, ale coś utknęło mu w krtani. Z początku myślała, że próbował zdusić płacz. Ponowne ochryple westchnienie, niczym napad czkawki, wstrząsnęło całym ciałem. Odstawił puszkę piwa.



- Panie Seier - powtórzył szorstkim głosem. - Od wielu lat nikt mnie tak nie nazywał. Kim pani jest?

Zaczęła ostrożnie wycofywać się ze sceny bitwy na podłodze.

- Mam ochotę zaprosić pana do restauracji. Zjemy trochę, a później porozmawiamy na temat mojego tu przybycia. Myślę, że mam panu dużo do powiedzenia.

*Kłamstwo, pomyślała. Nie mam mu nic do powiedzenia. Przyjechałam tutaj z tysiącem pytań, a odpowiedź na nie jest ważna dla mnie. Dla mnie i dla pewnej starej kobiety, którą oczekiwanie na odpowiedź utrzymuje przy życiu. Wprowadzam go w błąd. Mydlę oczy. Wykorzystuję.*

Zamiast tego powiedziała lekko:

- Gdzie w tym mieście można zjeść posiłek?

Kiedy szła za nim, nadepnęła na jednego z generałów.

Rozległ się przyciszony dźwięk rozgniatania o twardą podłogę. Zrozpaczona podniosła stopę. Figurka obróciła się w proch. Niebieskie i złote kawałki przykleiły się do jej buta.

Aksel Seier wbił wzrok w podłogę. Po czym odwrócił twarz w jej stronę.

- Czy wierzy pani w to? Czy naprawdę wierzy pani w moją... niewinność?

I zaraz odwrócił się, nie czekając na odpowiedź.

Nowa dziewczynka miała na imię Sara. Mimo że o rok młodsza od Emilii, była jej wzrostu. Trochę trudno było ją pocieszyć. Podobnie jak tatę. Kiedy mama umarła, Emilia bardzo chciała pocieszyć tatę. Po pogrzebie i po tym, jak dom przestał być pełen ludzi, chcących im pomóc, nie chciał płakać w jej obecności. Wiedziała jednak, jak się czuł. Słyszała go nocą, kiedy myślał, że ona śpi i przykrywał twarz poduszką, aby być pewnym, iż go nie usłyszy. Chciała go pocieszyć, co było jednak trudne, gdyż był dorosły. Był większy od niej. Nie mogła nic powiedzieć ani zrobić. A kiedy jednak próbowała, uśmiechał się szeroko, wstawał z łóżka i zaczynał robić wafle, mówiąc jednocześnie o wakacjach, na które mieli pojechać latem.

Podobnie było z Sarą. Płakała i płakała, ale była trochę za duża, żeby ją pocieszać. Właściwie Emilia ucieszyła się, kiedy tamta się pojawiła. We dwie było o wiele lepiej. Szczególnie fajnie, że obie były dziewczynkami, a jeszcze lepiej, że Sara była niemal w tym samym wieku co ona. To było jedyne co wiedziała o Sarze. Jak się nazywa i ile ma lat. Za każdym razem, kiedy próbowały rozmawiać ze sobą, Sara zaczynała płakać. I niewyraźnie opowiadała coś o autobusie i babci. Może babcia była kierowcą autobusu i Sara myślała, że przyjedzie i ją uratuje. Podobnie jak ona sama wierzyła czasami, że pilnuje jej mama w czerwonej sukni i diamentowych kolczykach w kształcie śliwki.

Sara nie rozumiała, że należy być miłym dla mężczyzny. Przecież przychodził z jedzeniem i piciem, a niedawno przyniósł konia dla lalki Barbie. Gdy Emilia uśmiechała się, mówiąc dziękuję, gdy była miła i uprzejma, mężczyzna odwzajemniał się uśmiechem. A kiedy na nią patrzył, wydawał się szczęśliwy, a przynajmniej bardziej zadowolony. Sara ugryzła go w ramię, gdy wchodził do pomieszczenia. Zaczął krzyczeć, uderzył Sarę mocno w głowę. Nad jej okiem pojawiła się krew. Wciąż widoczna była rana, w której krew nie zaschła.

- Musisz być do niego miła - powiedziała Emilia i usiadła na łóżku obok Sary. - On przynosi jedzenie i prezenty. Trzeba być uprzejmym. Ja myślę, że on jest całkiem miły.

- On mnie u... ude... on mnie uderzył - wyszlochała Sara, ocierając oczy. - Powiedział, że jest nowym...

Trudno było zrozumieć resztę. Emilii zakręciło się trochę w głowie. Powróciło dawne uczucie, to okropne, przyprawiające o mdłości uczucie, że w piwnicy brakowało tlenu. Najlepiej było wtedy położyć się i zamknąć oczy.

- Powiedział, że jest nowym przyjacielem mamy - wyszeptała Sara przez łyzy.

Emilia nie wiedziała, czy zasnęła. Mlasnęła językiem. Język smakował snem, a powieki były ciężkie.

- Mama znalazła nowego przyjaciela i ja miałam go spotkać w...

Emilia powoli wyprostowała się. Było jej teraz łatwiej oddychać.

- Spróbuj spokojnie oddychać - odezwała się. Tak mówiła zawsze mama, kiedy Emilia tak gwałtownie płakała, że nie mogła mówić. - Oddychaj spokojnie. Wdech, wydech. Tu jest dużo tlenu. Czy widzisz ten otwór w suficie? - Wskazała palcem, a Sara skinęła głową. - Tamtędy przysyła do nas powietrze. To znaczy, ten pan. On wysyła mnóstwo tlenu do nas na dół, żebyśmy mogły oddychać, mimo że nie ma tutaj okna. Nie musisz się bać. Możesz pożyczyć moją Barbie. Czy twoja babcia jest kierowcą autobusu?

Sara wyglądała na zupełnie wykończoną. Miała bladą twarz z czerwonymi plamkami. Jej oczy były tak spuchnięte, że wydawały się niemal zamknięte.

- Babcia jest elektrykiem - odrzekła. Po raz pierwszy odezwała się, nie płacząc.
- Moja mama umarła - powiedziała Emilia.
- Moja mama ma nowego przyjaciela - odpowiedziała Sara, wycierając nos.
- Czy jest fajny?
- Nie wiem, miałam go spotkać...
- Nie płacz już więcej.

Emilia wpadła w irytację. Mężczyzna mógł je słyszeć. Mimo że nie było go tutaj, to mógł mieć w którymś miejscu mikrofony. Myślała o tym wiele razy. Widziała coś takiego na filmie. Na początku wydawało się, że nie miała odwagi dobrze poszukać. Na samym początku, w pierwszych dniach, kiedy tutaj się znalazła, dokładnie oglądała cały pokój, chociaż nie wiedziała dokładnie, czego szuka. Niczego nie znalazła. Istnieją jednak mikrofony tak małe, że mieszczą się w trzonowym zębie. Były takie małe, iż nikt nie był

w stanie ich zobaczyć. Potrzebny był wtedy mikroskop. Mogło być tak, że siedział w jakimś miejscu i zarówno je słyszał, jak i widział. Istniały też maleńkie kamery. Takie małe jak główka gwoździa, a w ścianach było dużo takich główek. Emilia oglądała raz film pod tytułem: *Kochanie, zmniejszyłem dzieciaki*, który opowiadał o trochę zwariowanym, ale bardzo kochanym tacie, przeprowadzającym różne eksperymenty na strychu. Pewnego dnia dzieci dotknęły czegoś, czego nie powinny, i zrobiły się maleńkie. Niczym insekty. Nikt nie mógł ich zobaczyć. Mężczyzna mógł ją jednak widzieć. Na pewno siedział ze słuchawkami na uszach przed ekranem telewizora i widział dokładnie, co robią.

- Uśmiechnij się - wyszeptwała.

Sara ponownie zaczęła gwałtownie płakać. Emilia zakryła jej usta.

- Musisz się uśmiechać - rozkazała, wykrzywiając usta w szerokim uśmiechu. - On nas widzi.

Sara wyrwała się.

- On powiedział, że jest przyja... przyja... przyjacielem...

Emilia zamknęła oczy i położyła się do łóżka. Właściwie nie było miejsca dla nich obu. Popchnęła Sarę i odwróciła się twarzą do ściany. Kiedy zamykała mocno oczy, pojawiała się w głowie światło. Mogła widzieć wtedy rzeczy. Mogła widzieć tatę, który jej szukał. Miał na sobie flanelową koszulę. Szukał jej z tyłu za domem, wśród polnych kwiatków. Miał ze sobą szkło powiększające, gdyż myślał, że ktoś ją zmniejszył.

Emilia chciała teraz, aby Sara nigdy tu się nie zjawiała.

Na ścieżce, biegnącej między dwiema ruchliwymi ulicami, tam gdzie został znaleziony tornister Emilii Selbu, leżało mnóstwo kwiatów. Niektóre były nieco zwiędłe, inne całkowicie uschnięte. Wśród nich stały małe plastikowe wazony pełne świeżych róż. Dziecięce rysunki kołysały się cicho, poruszane łagodnym wieczornym wiatrem.

Na rowerach zbliżała się grupa nastolatków. Krzyczeli i śmieli się, zniżyli jednak głosy, kiedy zatoczyli koło wokół kwiatów i listów. Jakaś czternastoletnie dziewczyna postawiła nogę na ziemi, postąpiła kilka sekund, po czym zaklęła głośno i ruszyła gwałtownie za pozostałymi.

Mężczyzna naciągnął czapkę mocniej na oczy. Drugą rękę wsadził do spodni. Może mogły jeszcze bardziej się zbliżyć. Myśl o nachyleniu się nad miejscem, skąd Emilia została zabrana, dokładnie tam, gdzie została porwana, spowodowała, że poczuł palenie w kroku. Jęknął i ugryzł się w wargę.

- Co ty do cholery tu robisz?

Dwie osoby pojawiły się zniemacka z tyłu. Zjawyły się nagle, z gęstych zarośli. Zdumiony odwrócił się do nich, w dalszym ciągu trzymając penis w ręku. Penis zwiędł między palcami; próbował uśmiechnąć się.

- Nic... nic - jęknął się, sparalizowany.

- On... On się, *do cholery*, onanizuje!

W ciągu dwóch minut został obezwładniony.

Kiedy mężczyzna w paramilitarnym ubraniu pojawił się na komisariacie, prowadzony przez dwóch przedstawicieli nowo utworzonej obrony obywatelskiej, jego prawe oko zdążyło spuchnąć na fioletowo. Z nosa ciekła krew i wszystko wskazywało na to, że miał złamaną rękę.

Nic nie mówił, nawet wtedy, gdy policjanci spytali, czy potrzebuje lekarza.

## 23

- Czy jest pan pewny, że nie powinniśmy mówić po angielsku?

Zaprzeczył głową. Kilkakrotnie wyglądało na to, że nie wszystko rozumiał, co do niego mówiła. Powtarzała wtedy, ale prostszymi słowami. Tylko trudno było stwierdzić, czy coś to pomagało. Wyraz jego twarzy nie zmieniał się. A on sam mówił bardzo mało.

Aksel Seier zamówił filet mignon i piwo. Inger Johanne Vik zadowolila się sałatką Cesar i szklanką wody z lodem. Byli jedynymi gośćmi The 400 Club, będącego połączeniem restauracji i baru, do którego było siedem minut spacerem z Ocean Avenue. Aksel Seier początkowo skierował się do samochodu, po czym wzruszył ramionami i dołączył do Inger Johanne, upierającej się, aby pójść piechotą. Było za późno na lunch, ale za wcześnie na obiad. W kuchni pracowano na zwolnionych obrotach. Zanim jedzenie pojawiło się na stole, Inger Johanne zdążyła opowiedzieć o Alvhild Sofienberg, o tej starej kobiecie, która swego czasu zainteresowała się sprawą Aksela Seiera, później jednak musiała ją odłożyć na bok. Jak również o tym, dlaczego Alvhild, wiele lat później, pragnęła znaleźć powody, dla których został skazany, po czym po prawie dziewięciu latach nieoczekiwanie zwolniony. Inger Johanne omówiła bezskuteczne poszukiwa-



nia dokumentów dotyczących sprawy. A na koniec przedstawiła, w niemal bagatelizujący sposób, swoje własne zainteresowanie.

Na stole pojawiło się jedzenie. Aksel Seier wziął do ręki widelec i nóż. Jadł wolno, żując powoli. Ponownie pozwolił grzywce spaść na oczy. Był to chyba jego stary trik. Nieuczestane, siwe loki utworzyły mur między nią a nim.

*Niezainteresowany, pomyślała. Me wyglądasz na zainteresowanego. Dlaczego w ogóle przyszedłeś tutaj ze mną? Dlaczego mnie nie wyrzuciłeś za drzwi? Zaakceptowałabym to. Albo mogłeś wysłuchać, co miałam do powiedzenia w sprawie, a później podziękować i pożegnać się. Mogłbyś wyjść teraz. Mogłbyś zjeść, przyjmąc darmowy posiłek z przeszłości, o której całkowicie zapomniałeś, a później odejść. To twoje prawo. Potrzebowałeś tak wielu lat, żeby zapomnieć. Niszczę cię. Unicestwiam. Idź swoją drogą.*

- Czego oczekuje pani ode mnie?

Na talerzu pozostała połowa sztuki mięsa. Aksel włożył ostrze noża między zęby widelca i opróżnił szklankę z piwem. Po czym oparł się o poręcz krzesła i skrzyżował ręce na piersiach.

*Oczekuję jakiejś formy zachwyty, pomyślała. To absurd. Czulam się jak anioł, przynoszący dobrą nowinę. Oczekuję... Czego właściwie pragnę? Od chwili, kiedy zaczęłam czytać twoją historię, od chwili, kiedy zrozumiałam, że Alvhild ma rację, widziałam siebie w roli dobrej wróżki. Tej, która ma naprawić niesprawiedliwość. Miałam przybyć tutaj i powiedzieć ci to, co sam od zawsze wiedziałeś: że jesteś niewinny. Potwierdzam to*

*tobie, przybywam z tym aż z Norwegii, a ty masz być...  
Wdzięczność. Ja chcę wdzięczności, do cholery.*

- Nie oczekuję absolutnie niczego - powiedziała ci cho. - Jeśli pan chce, mogę odejść.

Uśmiechnął się. Jego zęby były równe i szare, i nie pasowały do twarzy. Wydawało się, jakby ktoś wyciął zużyte usta i wkleił w miejsce, do którego zupełnie nie pasowały. Uśmiechał się jednak, kładąc ręce przed sobą na stole.

- Wyobrażałem sobie tę chwilę, kiedy mógłbym zo stać...

Szukał odpowiedniego słowa. Inger Johanne nie była pewna, czy powinna mu pomóc. Przerwa trwała zbyt długo.

- Zrehabilitowany - powiedziała.

- Właśnie. Zrehabilitowany.

Zajrzał do pustej szklanki. Inger Johanne poprosiła o dolewkę. Miała tysiące pytań, a teraz nie mogła sobie przypomnieć żadnego.

- Dlaczego - zaczęła, nie wiedząc do czego zmierza.

- Czy zdawał pan sobie sprawę z tego, że prasa była kry tycznie nastawiona do tego, że został pan skazany? Czy

wiedział pan, że wielu dziennikarzy wyśmiewało się... robiło sobie żarty z prokuratora i świadków, mających świadczyć przeciwko panu?

-Nie.

Uśmiech zniknął, grzywka miała zaraz opaść na oczy. Jednak nie wyglądał na agresywnego. Nie wyka zywał również zainteresowania. Jego głos był całkowicie bezbarwny. Może powodem był fakt, że nie był przy- zwyczajony do norweskiego. A może musiał desperacko

panować nad sobą, żeby w ogóle być w stanie wysłuchać jej słów.

- Nie dostawałem gazet.
- A później? Przecież musiał być pan informowany o tym przez innych, przez kolegów w więzieniu, przez...
- Nie miałem tam żadnych kolegów. To nie było szczególnie., *friendly place*.
- Czy nie pojawili się żadni dziennikarze, którzy chcieli z panem rozmawiać? Zabrałam ze sobą kilka wycinków prasowych, które może pan zobaczyć. I jak rozumiem, kilku z nich próbowało się z panem po ogłoszeniu wyroku skontaktować. Ja sama próbowałam dotrzeć do najbardziej krytycznych dziennikarzy, niestety obaj już nie żyją. Może pan jednak przypomni sobie, czy próbowali rozmawiać z panem.

Szklanka z piwem ponownie została opróżniona do połowy. Wskazującym palcem przejechał po brzegu.

- Mogło tak być. Tyle czasu już minęło. Myślałem, że wszyscy... Myślałem, że wszyscy...

*Myślałeś, że wszyscy życzyli ci źle, pomyślała Inger Johanne. Me chciałeś z nikim rozmawiać. Zamurowałeś się, w podwójnym znaczeniu tego słowa, nie mając do nikogo zaufania. Mnie też nie musisz ufać. Nie myśl, że mogę cokolwiek naprawić. Twoja sprawa jest przedawniona. Nie zostanie ponownie rozpatrzona. Jestem jedynie ciekawa. Mam do zadania kilka pytań. Chciałabym notować. W torbie mam notatnik i magnetofon. Jeśli je wyjmę, podejmę ryzyko, że odejdiesz. Że się nie zgodzisz. Że zrozumiesz, iż przyjechałam tutaj we własnych interesach.*

- Jak już mówiłam...

Skinęła w stronę szklanki. Czy chciałby jeszcze jedno piwo? Pokręcił przecząco głową.

- A więc jestem naukowcem. Pracuję nad pewnym projektem, w którym porównuję...

- Już pani o tym mówiła.

- Właśnie. Zastanawiałam się, czy będzie w porządku, jeśli zanotuję trochę?

Tęga kobieta rzuciła przed Akselem na stół rachunek. Inger Johanne chwyciła go zbyt szybko. Kobieta odrzuciła głowę do tyłu, i nie patrząc na nich, odeszła do kuchni. Aksel spochmurniał.

- Ja zapłacę - powiedział. - Proszę mi dać rachunek.

- Nie, nie... Proszę mi pozwolić. Dostanę zwrot. To znaczy, ja pana zaprosiłam.

- *Give me that!*

Upuściła rachunek, który spadł na podłogę. Podniósł go. Wyjął portfel i zaczął powoli odliczać banknoty.

- Może się zdarzyć, że będę chciał z panią porozmawiać później - odezwał się, nie odrywając oczu od pieniędzy. - Muszę się zastanowić. Jak długo pani tu zostaje?

- Przynajmniej kilka dni.

- Kilka dni. *Thirty-one, thirty-two.*

Plik pieniędzy był spory, a banknoty w nim wytarte.

- Gdzie się pani zatrzymała?

- Na Augustus Snów.

- Skontaktuję się.

Odsunął krzesło i ciężko wstał. Niewiele przypominał mężczyznę, który wcześniej wdrapywał się po zniszczonej drabinie, aby wymienić koguta na świnię.

- Czy mogłabym zapytać tylko o jedno? - powie-

działa szybko Inger Johanne. - Jedno pytanie, zanim pan odejdzie.

Nie odpowiedział, ale nie zrobił również gestu, że zamierza odejść.

- Czy coś mówiono, kiedy wypuszczano pana z więzienia? To znaczy, czy otrzymał pan jakieś wyjaśnienie zaistniałej sytuacji? Czy powiedziano panu, że został pan ułaskawiony, czy też...
- Nic. Nic nie powiedzieli. Otrzymałem jedynie walizkę, abym mógł włożyć swoje rzeczy. Kopertę ze stu koronami i adres kawalerki. Ale nic nie powiedzieli. *Except*, pojawił się pewien mężczyzna, pewien... Nie miał na sobie munduru. Powiedział, że mam trzymać język za zębami i uważać się za szczęściarza. „Trzymaj język za zębami i uważaj się za szczęściarza”. Dobrze to zdanie zapamiętałem. Ale wyjaśnienie? Nie.

Obnażył zęby. Grymas był odrażający i spowodował, że spuściła oczy w dół. Aksel Seier skierował się do drzwi wyjściowych, po czym zniknął, ani nie czekając na nią, ani nie umawiając się na następne spotkanie. Kręciła w ręku szklankę. Próbowała sobie coś przypomnieć. Nadaremnie.

W domu Aksela Seiera znajdowało się coś, co nie pasowało do całości. Coś zobaczyła. Na coś zareagowała, ale wtedy, kiedy było już za późno. Była to jakaś rzecz, która nieźle wpasowała się w to dziwaczne otoczenie, wyróżniając się jednocześnie. Zamknęła oczy i spróbowała odtworzyć jego pokój stołowy. Figura galionowa. Pole bitwy. Smutna lalka w wyblakłym stroju. Rycerz na ścianie. Zegar ścienny z obciążnikami zrobionymi z podków. Regał z czte-

rema książkami, których tytułów nie zapamiętała. Stojąca przy drzwiach stara puszką po kawie z drobnymi pieniędzmi. Telewizor z anteną. Stojąca lampa w kształcie rekina kęsającego podłogę, z żarówką w ogonie. Wyglądający jak żywy labrador z pomalowanego na czarno drewna. Absurdalne, przyciągające oko przedmioty, które w niezrozumiały sposób tworzyły całość.

Plus jeszcze coś. Coś, na co zareagowała, ale zbyt późno.

Aksel Seier szedł szybkim krokiem. Wracał myślami do tego wiosennego dnia 1966 roku, kiedy po raz ostatni widział Oslo. Nad fiordem rozpościerała się mgła. Stał przy burcie M/S Sandefjord, płynącego do USA z nawozem sztucznym. Kiedy Aksel szczerze i bez ogródek opowiedział kapitanowi o swojej sytuacji, o długim wyroku i braku nadziei w Norwegii, ten kiwnął nieznacznie głową. Kapitan mógł być całkiem spokojny, Aksel Seier miał amerykańskie obywatelstwo. Paszport wylądował na stole i był absolutnie prawdziwy. Aksel pragnął jedynie robić coś pożytecznego po drugiej stronie Atlantyku. Jeśli otrzyma zgodę.

Miał pracować w kuchni. Kiedy mijali latarnię morską Dyna Fyr w pobliżu Oslo, zdążył obrać cztery kilo kartofli. Po czym uciekł na chwilę na pokład. Zdał sobie sprawę, że wyjeżdża na zawsze. Zaczął płakać, nie wiedząc dlaczego.

Od tamtej chwili nigdy już nie zapłakał. Dopiero teraz.

Przybiegł do domu. Oporny zamek w furtce nie dawał się otworzyć. Listonosz zatrzymał samochód, wyjrzał przez okno i zaczął się śmiać, wskazując na świnię. Aksel Seier przeskoczył niski płot i wszedł do środka. Starannie zamknął za sobą drzwi i położył się do łóżka. Za oknem miauczał kot, ale on tego nie słyszał.

## 24

- I na to marnujecie czas?

Yngvar Stubo potarł twarz. Ręka zaszorowała sucho po zaroście. Była godzina druga w nocy, w środę 24 maja. Przed okręgową komendą policji w Asker i Basrum zebrało się dwudziestu pięciu dziennikarzy i prawie tylu fotografów. Para studentów z Wyższej Szkoły Policji, trzymająca w ręku pałki, przez ostatni kwadrans nie dopuszczała ich do krytego dachówką budynku. Studenci przechodzili powoli wzdłuż frontu, uderzając ze złością pałkami w dłonie, podobni do karykatur policjantów z filmów Chaplina. Fotografowie cofnęli się o krok. Niektórzy z dziennikarzy zaczęli spoglądać na zegarki. Dziennikarz z „Dagbladet”, rozpoznany przez Yngvara Stubo, ziewał głośno i bez żenady. W pewnym momencie warknął coś do fotografa i ruszył w kierunku samochodu marki saab, zaparkowanego niezgodnie z przepisami. Wsiadł do środka. Samochód nie ruszył.

Yngvar Stubo opuścił zasłony i odwrócił się twarzą do pokoju.

- O Boże, Hermansen, biedak nigdy nawet muchy nie skrzywdził!

- A kto powiedział, że nasz porywacz nie może mieć czystej kartoteki?

Hermansen wytarł nos palcami i przeklął.

- Nie to miałem na myśli.



- A co w takim razie, kurde, miałeś na myśli? Na miejscu pierwszego zaginięcia stoi facet, cztery godziny po zniknięciu nowego dziecka, tak zakamuflowany, że można pomyśleć, iż planuje karierę zawodową w CIA, i onanizuje się, wyjękując imię dziewczynki! A teraz, po zatrzymaniu, nie potrafi powiedzieć, co robił w czwartek 4 maja, kiedy zaginęła Emilia Selbu i w środę 10 maja, kiedy porwano Kima. On nawet nie pamięta, do cholery, co robił dzisiaj o godzinie piątej.

- Bardzo proste wyjaśnienie. On nie jest w stanie niczego wyjaśnić - powiedział suchym tonem Yngvar Stubo. - Facet jest idiotą. Niemal w dosłownym znaczeniu. Przynajmniej psychicznie niedorozwinięty. On jest przerażony, Hermansen.

Hermansen podniósł brudną filiżankę z kawą do ust. Kwaśny zapach potu wypełniał cały pokój. Yngvar nie był pewny, od kogo ten zapach pochodził.

- Jest z zawodu kierowcą - zamruczał Hermansen.

- Nie może być całkowitym idiotą. Jeździ samochodem kurierskim. I ma już sporo spraw na swoim koncie. Nie mniej niż...

Chwycił skoroszyt i wyrwał stamtąd jakiś dokument.

- Pięć grzywien i dwa wyroki za przestępstwa na tle obyczajowym.

Yngvar Stubo udał, że go nie słyszy. Ponownie zerknął dyskretnie na dziennikarzy. Nie było już ich tak wielu. Przycisnął palcami grzbiet nosa, usiłując jednocześnie obliczyć, która godzina jest na wschodnim wybrzeżu USA.

- Obnażanie się.

Yngvar próbuje być neutralny. Jest to niemożliwe. Słowo zawierało samo w sobie odrazę dla czynności, którą nazywało. Można było je jedynie szyderczo wypluć. Mężczyzna w kamuflażu skurczył się do kupki ubrania. Spływał z niego pot. Jego ramiona były tak wąskie, że rękawy kurtki zakrywały ręce. Wokół szyi wisiała chustka, której jednak nie używał. Krok spodni sięgał niemal kolan.

- Pięćdziesiąt sześć lat - powiedział wolno Yngvar Stubo. - Zgadza się?

Mężczyzna nie odpowiedział. Yngvar przysunął do niego krzesło i usiadł. Oparł łokcie na kolanach, usiłując wytrzymać zapach moczu i starego potu. Teraz już wiedział, skąd dochodził zapach.

- Posłuchaj - powiedział cicho. - Czy mogę nazywać cię Łazikiem? Tak cię nazywają, prawda?

Lekkie kiwnięcie głową wskazywało, że człowiek ten przynajmniej był w stanie słyszeć.

- Łazik - uśmiechnął się Stubo. - Ja mam na imię Yngvar. To musiał być dla ciebie męczący wieczór.

Ponowne lekkie kiwnięcie.

- Zaraz wszystko załatwimy. Muszę jedynie otrzymać odpowiedzi na parę pytań. Okej?

Znowu kiwnięcie, tym razem prawie niezauważalne.

- Czy pamiętasz, gdzie zostałeś zatrzymany? Gdzie ci dwaj mężczyźni... Gdzie cię znaleźli?

Mężczyzna nie reagował. Oczy, wyraźne z bliska, wyglądały jak dwie czarne kule osadzone w wąskiej czaszce. Yngvar położył ostrożnie rękę na kolanie mężczyzny, w dalszym ciągu nie uzyskując żadnej reakcji.

- Jeździsz samochodem, prawda?

- Ford escort, rocznik 1991. Niebieski metalik, silnik 1,6 litra, ale wzmocniony. Stereo kosztowało je denaście tysięcy czterysta dziewięćdziesiąt koron. Fotele rajdowe i spoilery. Sam to zrobiłem.

Głos stał się mocno chrapliwy. Brzmiało to, jakby ktoś wrzucił monetę do starej szafy grającej, szczególnie gdy mężczyzna wciąż powtarzał:

- Sam to zrobiłem. Sam to zrobiłem. Fotele rajdowe i spoilery.

- W porządku.

- Nic złego nie zrobiłem.

- A dlaczego tam byłeś?

- Bez powodu. Ja tylko... Ja tylko tam stałem.

Patrzyłem. To nie jest zabronione.

Mężczyzna podwinął lewy rękaw kurtki. Ukazał się kredowobiały gips.

- Złamali mi rękę. Ja nic nie zrobiłem.

Była czwarta rano. Yngvar Stubo nie spał przez ostatnie dwadzieście jeden godzin. Bogowie tylko wiedzą, kiedy aresztowany ostatni raz zmrużył oko. Yngvar poklepał go lekko po kolanie i wstał.

- Spróbuj pospać na tej pryczy - powiedział przyjacielskim tonem. - Jak tylko nastanie dzień, załatwimy całą sprawę. A potem pójdziesz do domu.

Kiedy ostrożnie zamykał za sobą drzwi, uświadomił sobie, że mężczyzna w kamuflażu może być problemem. On nie był w stanie czegokolwiek zaplanować. A już na pewno nie przeprowadziłby trzech precyzyjnych uprowadzeń i skomplikowanego podrzucenia zwłok. Miał wprawdzie prawo jazdy, więc prawdopodobnie

posiadł umiejętność czytania i pisania. Jednak dużą przesadą było przypisywanie mu przez Hermansena zawodu kierowcy. Łazik S0rnes miał rentę inwalidzką i zajmował się dostarczaniem ciepłego lunchu przez dwa popołudnia w tygodniu do domu starców w Stabekk. Bez wynagrodzenia.

Obnażanie nie było problemem samym w sobie. Problemem był fakt, że policja nie miała nikogo innego. Zaginęło troje dzieci. Chłopiec już nie żył. Po trzech tygodniach śledztwa policja miała w swoich rękach jedynie starszego ekshibicjonistę w fordzie escorcie.

Ekshibicjonista mógł być w przyszłości ogromnym problemem.

- Wypuść go - powiedział Yngvar Stubo.

Hermansen wzruszył ramionami.

- Dobra. Tylko wtedy nic nie mamy. Nic. Powiedz to tym sępom na dworze.

- Wypuść go, jak tylko nastanie dzień - odpowiedział ziewając Stubo. - I załatw na Boga człowiekowi innego adwokata. Kogoś, kto przypilnuje, aby nie trzymano jego klienta przez całą noc bez snu. To moja rada. To nie jest nasz człowiek. A ty...

Wyłuskał z kieszonki na piersi cygaro i podniósł wskazujący palec.

- Ja nie decyduję o tym, co wy tutaj w Asker i Baerum macie robić. Ale gdybym był na twoim miejscu... Nałóż tym skurczybykom, którzy złamali mu rękę, grzywnę. Jeśli nie, to będziesz miał tutaj Dziki Zachód nim minie tydzień. Uwierz mi. Cholerny Teksas.


## 25

W domu, stojącym na stoku góry, wznoszącej się nad doliną na północno-wschodnich terenach w okolicy Oslo, siedział mężczyzna z pilotem w ręku. Sprawdzał telegazetę. Lubił ją. Miał wiadomości wtedy, kiedy chciał, podawane w taki sposób, jaki lubił: krótko i obiektywnie. Było wcześnie. Jasne światło niewykorzystanego jeszcze dnia, wpadające przez okno do kuchni, sprawiało, że czuł się jak nowo narodzony. W każdy poranek. Zaśmiał się głośno, mimo że był sam.

*Mężczyzna (56) został aresztowany w związku ze sprawą Emilii.*

Zabawiał się przyciskami na pilocie. Litery stawały się większe, mniejsze, szersze. Węższe. Mężczyzna aresztowany. Czy oni myślą, że jest amatorem? I że będzie teraz wściekły? Że straci rozum tylko dlatego, iż aresztowali niewłaściwą osobę, że jego czyny przypisali komuś innemu? Czy policja sądziła, że zacznie działać w pośpiechu, robić błędy, stanie się nieostrożny?

Ponownie zaśmiał się głośno, niemal radośnie. O puste ściany odbiło się echo. Dokładnie wiedział, w jaki sposób myślała policja. Sądziła, że był psychopatą. Zakładali, że był próżny i dumny ze swoich przestępstw. Chcieli go zranić. Chcieli go sprowokować, aby popełnił błąd. Aby zaczął się chwalić swoimi dokonaniem. Mężczyzna z pilotem w ręku wiedział o tym, czytał



i studiował na ten temat. Wiedział, co policja zamierzała zrobić, gdy uświadomiła sobie, że ktoś taki jak on istnieje, ktoś, kto kradnie i zabija dzieci z powodu, którego nie mogli zrozumieć. Teraz chcieli go sprowokować.

Wyobrażał ich sobie. Na wielkiej tablicy wszystkie informacje o dzieciach. Zdjęcia, dane. Komputery. Wiek, płeć, przeszłość. Przeszłość rodziców. Daty. Szukali punktów stycznych. Jakiegoś wspólnego rytmu. Z pewnością zrobili wielki numer z faktu, że Emilia zniknęła w czwartek, Kim w środę, a Sara we wtorek. Sądził, iż sprawa stała się jasna i oczekiwali czegoś w poniedziałek. Kiedy ten dzień minie, a następne dziecko zniknie w niedzielę, ogarnie ich panika. Tu nie ma żadnego rytmu, powiedzą do siebie. Żadnej rutyny. Sparaliżuje ich rozpacz, która stanie się nie do zniesienia, gdy zniknie jeszcze jedno dziecko.

Mężczyzna podszedł do okna. Niedługo musi iść do pracy. Najpierw jednak zanieś dzieciom jedzenie. I wodę. Płatki kukurydziane i wodę, gdyż mleka już nie było.

Emilia poprawiła się. Była teraz słodka. Miła i uprzejma. Dokładnie taka, jakiej oczekiwał. Mimo że miał wątpliwości, czy zasługiwała na to, żeby ją zabrać, był teraz z tego zadowolony. Było w niej coś szczególnego. Kiedy zorientował się, że jej matka nie żyje, postanowił zostawić ją w spokoju. Na szczęście rozmyślił się. Emilia jest pełna wdzięczności. Dziękuje grzecznie za jedzenie, okazała radość z podarowanego konia, choć nie powiedziała wiele, gdy podarował jej lalkę Barbie. W dalszym ciągu nie wiedział, co ma zrobić z Emilią na sam koniec, kiedy już będzie po wszystkim. Nie miało to jednak spe-

cialnego znaczenia. Miał przed sobą dużo czasu.

Sara była małą wiedźmą.

Mógł to powiedzieć już na samym początku. Ślad po ugryzieniu był zaczerwieniony i spuchnięty. Ostrożnie potarł palcem skórę, zły na siebie, że nie był bardziej czujny.

Kiedy spoglądał na góry, mrużąc oczy od promieni porannego słońca, zadał sobie ze zdziwieniem pytanie, dlaczego nie zaczął wcześniej. Zbyt długo zgadzał się na zbyt wiele. Ze zbyt wielu rzeczy zrezygnował. Za wiele znosił. Za mało otrzymał. Za często poddawał się. A zaczęło się w chwili, gdy miał cztery lata. Prawdopodobnie jeszcze wcześniej, ale tego nie pamiętał.

Ktoś przysłał mu prezent. Nie wiedział kto. Matka przyniosła z poczty paczkę.

Mężczyzna z pilotem w ręku lubił wspominać. Powracanie do przeszłości było dla niego ważne. Wyłączył telewizor i nalał kawy do garnuszka. Właściwie powinien przygotować płatki i wodę. Jednak pamięć była jego siłą napędową i musiał o nią dbać, jeśli wymagała tego chwila. Zamknął oczy.

Klęczał na czerwono pomalowanym krześle, stojącym przy kuchennym stole. Rysował. Przed nim stała szklanka mleka. Jeszcze teraz pamiętał ten słodki smak, przyklejający się do podniebienia i ciepło dochodzące z pieca w rogu. Była wczesna zima. Do pokoju weszła matka. Babcia wyszła przed chwilą do pracy. Paczka zawinięta była w szary, pomięty papier. Sznurek z mnóstwem supłów okręcał paczkę wszerz i wzdłuż. Matka musiała rozcinać go nożyczkami, mimo iż zwykle zachowywali sznurek i szary papier.

Prezenterem był kombinezon. Niebieski, z suwakiem zakończonym kółkiem. Na piersi umieszczone było



zdjęcie ciężarówki z dużymi kołami. Spodnie miały gumki na buty i szelki skrzyżowane na plecach. Matka ubrała go. Stał na kuchennym stole. Czuł w ustach smak słodkiego mleka. W głowę uderzyła go lampa, kołysząca się wolno tam i z powrotem. Matka uśmiechnęła się. Niebieski kombinezon był lekki. Nic nie ważył. Podniósł ręce, gdy matka zasuwała suwak. Kucnął, przekonany, że może teraz fruwać. Ubranie było ciepłe, szczelne i śliskie. Chciał na dwór, na śnieg, ze zdjęciem ciężarówki na piersi. Śmiał się do matki.

Mężczyzna odłożył pilota. Zbliżała się godzina ósma i pozostało mu niewiele czasu. Oczywiście dzieci w piwnicy nie umarłyby z głodu, gdyby opuścił jeden posiłek. Jednak lepiej było tego nie robić. Otworzył kuchenną szafkę i spojrzał w lusterko, wiszące na wewnętrznej stronie drzwiczek.

Wróciła babcia. Czegóż zapomniała. Na jego widok zeszczywniała.

Kombinezon otrzymał ktoś inny. Jakies inne dziecko. Jak powiedziała babcia, ktoś, kto na to bardziej zasłużył. Zapamiętał to dobrze. Matka nie protestowała. Ktoś przysłał mu prezent. To był jego prezent, ale nie on go otrzymał. Miał wtedy cztery lata.

Jego twarz, odbita w lusterku, wyglądała okropnie. Odczuwał jednak coś całkiem innego. Czuł się silny i zdecydowany. Pudełko z płatkami kukurydzianymi było puste. Dzieci będą musiały poczekać, aż wróci do domu. Dadzą sobie radę.

## 26

Inger Johanne Vik pracowała, niezbyt skoncentrowana, cały wieczór. Nocnym portierem w Augustus Snów Inn był chłopak, który z pewnością kłamał na temat swego wieku, aby dostać pracę. Wąsy miał wyraźnie przyczernione tuszem do rzęs. Z upływem wieczoru stawały się coraz bardziej niewyraźne. Wokół nasady nosa pojawiły się czarne plamy, gdyż nie potrafił swego trądziku pozostawić w spokoju. Od niego otrzymała kody, potrzebne, aby mieć dostęp do hotelowego łącza internetowego. Inger Johanne mogła podłączyć się ze swojego pokoju. Gdyby miała jakieś problemy, wystarczyło zadzwonić po obsługę hotelową. Chłopak uśmiechał się szeroko, pocierając kciukiem i wskazującym palcem swoje wąsy, które teraz niemal zniknęły.

Powinna czuć się zmęczona. Na samą myśl zaczęła ziewać. Była śpiąca, ale nie tak jak zwykle. Zwykle bardziej dokuczała jej różnica czasu. Była już druga w nocy. Zaczęła liczyć, która to godzina może być w domu. Ósma. Kristiane z pewnością się już obudziła. Biegała pewnie po całym mieszkaniu ze swoim nowym psem, podczas gdy Isak na pewno jeszcze spał. Pies obsika wszystkie kąty, czym się Isak nie przejmie, zostawi do wyschnięcia, nawet nie myśląc o wymyciu podłogi.

Z irytacją pomasowała kark i przeleciała wzrokiem po pokoju. Na podłodze pod drzwiami leżała kartka.

Musiała tam leżeć jeszcze przed jej powrotem. Schody na trzecie piętro były stare i mocno trzeszczące. Nie słyszała nikogo. Nikt inny nie mieszkał na tym piętrze. Pokój po drugiej stronie korytarza był pusty i ciemny. Ona sama schodziła trzy razy po kawę, wchodziła i wychodziła, nie zauważając żadnej kartki.

Wiadomość otrzymano o szóstej po południu.

*Please, cali Ingvard Stubborn. Important. Any Time.  
Dont mind the time difference.*

Stubborn. Stubo. Yngvar Stubo. Na kartce zapisane były trzy numery telefonów. Domyślała się, że były to numery do domu, do pracy i komórka. Jednak nie zamierzała dzwonić pod żaden z nich. Ostrożnie przesunęła kciukiem po jego nazwisku. Po czym zmięła kartkę. Nie wyrzuciła jej jednak, tylko wsadziła szybko do kieszeni spodni i weszła na stronę internetową gazety „Dagbladet”.

Zaginęła dziewczynka. Jeszcze jedna. Ośmioletnia Sara Baardsen została porwana z pełnego pasażerów autobusu w godzinie szczytu. Jechała do babci. Policja nie miała na razie żadnego śladu. Ludzie byli wzburzeni. Wszystkie zajęcia pozalekcyjne dzieci z okolic Oslo, od Drammen do Aurskog i od Eidsvoll do Drobak, zostały tymczasowo zawieszane. Zorganizowana ochrona towarzyszyła uczniom w drodze do szkoły i do domu. Niektórzy rodzice domagali się rekompensaty za pozostanie z dziećmi w domu. Świetlice nie gwarantowały, iż uczniowie będą mieli zapewniony stu procentowy dozór. Nie było dość pracowników, aby wzmocnić dyżury. Centrala taksówek w Oslo zorganizowała specjalne taksówki dla dzieci z kierowcami kobietami, gdzie pierw-

szeństwo w przewozie miały matki z dziećmi. Premier wzywał do spokoju, a rzecznik praw dziecka rozplakał się w programie telewizyjnym. Pewna jasnowidzka widziała Emilię w zagrodzie dla świń, w czym poparł ją szwedzki kolega. Norweski Związek Zawodowy Rolników stwierdził, iż są rzeczy na ziemi i niebie, o których nie śniło się filozofom i obiecał dokładne przeszukanie do weekendu wszystkich zagród w całym kraju. Pewien polityk z prawicowej partii z południowej Norwegii domagał się w parlamencie całkiem poważnie przywrócenia kary śmierci. Inger Johanne poczuła gęsią skórę na rękach i naciągnęła sweter.

Oczywiście nie chciała pomóc Yngvarowi Stubo. Porwane dzieci stały się jej dziećmi, podobnie jak na zdjęciach głodujących dzieci z Afryki czy siedmioletnich prostytutek z Tajlandii widziała zawsze Kristiane, swoją własną córkę. Wyłączyć telewizor, wyrzucić gazetę. Nie widzieć tego wszystkiego. Inger Johanne nie chciała mieć z tym nic wspólnego. Nie chciała nic o tym wiedzieć.

A jednak nie było to takie proste.

Sprawa nie dawała jej spokoju. Dręczyła ją z takim uporem, że musiała zaczerpnąć powietrza, kiedy nagle zrozumiała, jakby w niechcianym objawieniu, iż właściwie pragnęła uwolnić się od tego wszystkiego. Inger Johanne chciała zapomnieć Aksela Seiera, zostawić nowy projekt badawczy, odwrócić się od Alvhild Sofienberg. Tak naprawdę pragnęła wsiąść w pierwszy samolot do domu, pozwolić Isakowi w dalszym ciągu zajmować się Kristiane i skoncentrować się tylko na jednym: na znalezieniu tego człowieka, tej kreatury krążącej wokół i porywającej ludziom dzieci.

Praca została już rozpoczęta. Jedyne w krótkich chwilach potrafiła skupić całą swoją uwagę na innych sprawach. Od chwili, kiedy Yngvar Stubo po raz pierwszy nawiązał z nią kontakt, nieświadomie próbowała stworzyć prowizoryczny obraz sprawcy. Z lękiem i niechętnie, gdyż nie miała dostatecznych podstaw, wystarczających materiałów. Jeszcze przed podróżą, pod pozorem porządkowania, przeszukała stare pudła. Notatki z okresu studiów w USA znajdowały się teraz na metalowych półkach w jej biurze. Miały być przeniesione w inne miejsce. Prawdziwe porządki. Nic innego, powiedziała cicho do siebie, układając na biurku stosy książek.

Inger Johanne nie chciała niczego bardziej jak pomóc Yngvarowi Stubo. Sprawa była wyzwaniem. Intelktualna próba. Rodzaj zawodów między nią a nieznanym sprawcą. Inger Johanne wiedziała, że zbyt łatwo zostałaby w to wciągnięta, w pracę dzień i noc, wyczerpującą rywalizację o to, kto jest silniejszy: ona czy przestępca. Kto jest sprytniejszy, mądrzejszy, odważniejszy. Kto wygra. Kto będzie lepszy.

Poszperała palcami w kieszeni i wyciągnęła kartkę.

Położyła ją na kolanie i rozwinęła. Kantem ręki rozprostowała ją, przeczytała od nowa, a potem podarła nagle na trzydzieści dwa małe kawałki i wrzuciła do muszli klozetowej.

## 27

Aksel Seier wstał od razu, gdy zrobiło się jasno, chociaż nie spał całą noc. Głowa była dziwnie lekka. Potarł skronie, a kiedy podniósł się z łóżka, omal nie upadł. Kot zaczął ocierać się o jego gołe nogi, miaucząc słabo. Podniósł go do góry. Ponownie usiadł na łóżku i długo gładził zwierzaka po karku, wpatrując się niewidzącym wzrokiem w okno.

Istniał jeden człowiek, który mu wierzył. Na długo przed pojawieniem się tej Inger Johanne Vik z jej ładnymi słowami i brakiem zrozumienia, istniał ktoś, kto zrozumiał, że on nie zrobił tego, za co został skazany. Istniała inna kobieta, w całkiem innym czasie.

Spotkał ją, kiedy po wypuszczeniu na wolność poszedł, z pewnym wahaniem, po raz pierwszy do baru. Prawie dziewięć lat bez alkoholu zrobiło swoje. Po wypiciu pół litra piwa zawirowało mu w głowie. W drodze do toalety potknął się i zranił o róg jakiegoś stolika. Siedząca przy nim kobieta ubrana była w kwiecistą, letnią sukienkę i pachniała bzem. A ponieważ krwi nie można było tak łatwo zatamować, zaprosiła go do swojego domu. To zaraz, za rogiem, zapewniała żywo. Był jeszcze wczesny wieczór. Uśmiechając się lekko, mówiła, że powinien po prostu z nią pójść i że wygląda tak sympatycznie. Jej palce delikatnie opatrywały ranę. Wata i jodyna, pachnąca ostro i spływająca brązowymi

strugami po karku. Bandaż. Zatroskane oczy kobiety; może powinni jednak pojechać na pogotowie, może przydałby się jeden szew albo nawet dwa. Czuł zapach bzu i nie chciał odejść. Trzymała go za rękę, a on opowiedział swoją historię. Dokładnie tak, jak naprawdę było. Na wolności był dopiero od półtora tygodnia. Był jeszcze młody i miał nadzieję, że w życiu mu się ułoży. Dostał cztery odmowy na podania o pracę. Mimo to istniały możliwości. Przy odrobinie cierpliwości rzeczy powrócą na swoje miejsce. Był młody, silny i pracowity. A przy tym zdobył w więzieniu kilka umiejętności.

Kobieta miała na imię Ewa i miała dwadzieścia trzy lata. Kiedy wybiła godzina za pięć jedenasta, musiał wyjść ze względu na właścicielkę domu, Ewa wyszła razem z nim. Przez wiele godzin spacerowali po ulicach miasta. Idąc bardzo blisko, Aksel czuł jej ciało przez materiał sukienki. Ciepło z niego płynące przebijało przez grubą, wełnianą kurtkę, którą po pewnym czasie zdjął i założył na jej ramiona. Słuchała go z powagą. Wierzyła mu i zanim zniknęła w bramie domu, w którym mieszkała, szybko go pocałowała. W połowie drogi zatrzymała się i zaśmiała głośno. Przecież zapomniała oddać mu kurtkę. Zaczęli ze sobą chodzić. Aksel nie dostał pracy. Po upływie czterech miesięcy zrozumiał wreszcie, że prawda w niczym mu nie pomoże. Stworzył więc swoją przeszłość w Szwecji. Kłamał, iż był przez dziesięć lat stolarzem w Tarnaby, a później dostał pracę jako pomocnik kierowcy. Trwało to trzy miesiące. Ktoś w magazynie znał kogoś, kto znał jego. Wyrzucono go natychmiast z pracy, jedynie Ewa go nie opuściła.



Kot zeskoczył z kolan, a on sam postanowił wyjechać z Harwichport.

Nie wyjedzie daleko. Krótka podróż na północ, do Maine. Tylko na kilka dni. W tym czasie badaczka z Norwegii na pewno zrezygnuje. Nie miała tutaj nic do roboty. Chociaż sprawiała wrażenie, iż zna okolice, była jednak Norweżką. Miała do czego wracać. Kiedy odkryje, że wyjechał, da sobie spokój. Nie był ważny. Aksel postanowił wyjechać do Old Orchard Beach, gdzie Patrick obsługiwał karuzelę i w letnim sezonie dobrze na tym zarabiał. Patrick i Aksel byli przyjaciółmi z Bostonu, gdzie Aksel w początkowym okresie pobytu w USA pracował przy zmywaniu naczyń we włoskiej knajpie w North End. Patrick załatwił mu pracę na kutrze z Gloucester. Po dwóch dobrych sezonach poczuli się bogaci. Patrick zaciągnął pożyczkę i kupił karuzelę, o czym zawsze marzył. Aksel miał natomiast wystarczającą ilość pieniędzy na kupno domu w Harwichport. Było to jeszcze przed pojawieniem się nowobogackich, które spowodowało ogromny wzrost cen. Wtedy dla zwykłych ludzi kupno domu na wybrzeżu Cape Cod stało się niemożliwe. Starzy przyjaciele widywali się rzadko, a kiedy już dochodziło do spotkania, niewiele ze sobą rozmawiali. Ale Aksel był mile widziany u Patricka. Co do tego nie było wątpliwości.

Kot miauczał rozdzierająco. Kłapa w drzwiach była zamknięta. Aksel uchylił drzwi do ogrodu i poszedł szukać walizki. Znalazł ją w szafie w sypialni.

W komodzie leżały cztery pary czystych slipów. Złożył je starannie i położył na dno walizki. Do tego cztery pary skarpetek. Dwie koszule. Niebieski sweter.

Kilka bawełnianych koszulek bez rękawów. To było wszystko, czego potrzebował. Ubrania wyglądały smętnie i płasko w walizce, niewypełnionej nawet do połowy. Naciągnął pasy, przyciskając leżący na wierzchu niebieski sweter i zamknął walizkę, zanim mógłby się rozmyślić. Chciał ze sobą wziąć listy. Nigdy ich wcześniej nie zabierał podczas swych rzadkich, krótkich podróży do Bostonu lub Maine. Związane w jeden plik sznurkiem leżały tam, gdzie zawsze, na szachowym stoliku, którego nigdy nie używał, gdyż nikt go nie odwiedzał. Tym razem lepiej było zabrać je ze sobą.

Ponownie zamknął walizkę.

Z siatką z trzema puszkami jedzenia dla kota w jednej ręce i walizką w drugiej wyszedł z domu i zamknął drzwi na klucz. Jak zwykle o tej porze dnia pani Davis już nie spała. W chwili, gdy zbliżał się do samochodu, ukazała się w drzwiach kuchni i zawołała wesoło: Jaki piękny dzisiaj dzień! Aksel spojrzał w górę. Pani Davis mogła mieć rację. Zapowiadała się ładna pogoda. Mewy nurkowały w kierunku plaży w poszukiwaniu jedzenia. Z Allen Harbor wypłynęły dwie łodzie. Wysoko na horyzoncie świeciło już słońce. Pani Davis w swym wiecznym różowym sweterku przeszła drobnym krokiem przez trawnik i odebrała siatkę z jedzeniem dla kota. Jak wyjaśnił, jedzenia było za mało, gdyż nie będzie go przez dłuższy czas. Powinna notować wydatki. Jak tylko wróci, natychmiast jej zwróci. A kiedy wróci? Prawdę powiedziawszy, nie wiedział. Musiał kogoś odwiedzić. Na południu. New Jersey, wymamrotał i splunął. To może zabrać trochę czasu. To dobrze, że mogła w tym czasie przypilnować kota.

- Dziękuję - powiedział, nie zauważając, iż powiedział to po norwesku.

- *Sorry, sweety, he's gone.*

Pani Davis przechyliła głowę na bok, a jej twarz przybrała taki wyraz, jakby uczestniczyła w pogrzebie.

- *Left this morning, I'm afraid. For New Jersey, I think. Don't know when he'll be back. Might take weeks, you know.*

Inger Johanne wpatrywała się w kota leżącego leniwie w ramionach kobiety i pozwalającego się głaskać. Jego oczy były przeraźliwie żółte, niczym świetłówki. Wzrok był arogancki, tak jakby zwierzę kpiło z niej, intruza wyobrażającego sobie, że Aksel będzie stał na schodach, oczekując niecierpliwie na jej słowa, gotowy do odpowiedzi na pytania, świeżo ogolony i z przygotowaną kawą. Kot ziewnął. Błysnęły białe małe siekacze, a oczy zamieniły się w dwie szparki, głęboko ukryte w rudym futerku. Inger Johanne cofnęła się i odeszła w stronę samochodu.

Jedynie, co mogła zrobić, to pozostawić swoją wizytówkę. Przez chwilę zastanawiała się, czy nie powinna dać wizytówki tej drobnej kobiecie. Jednak myśl o budzącym grozę kocie skierowała ją do domu Aksela. Szybko napisała jakąś wiadomość na odwrocie wizytówki i wsadziła ją do skrzynki pocztowej. Na wszelki wypadek drugą włożyła przez szparę w drzwiach.

- *He seemed kind of upset, you know!* - Sąsiadka najwyraźniej chciała rozmawiać. Zaczęła się zbliżać, mając

wciąż na rękach kota. - *He's not used to visitors. Not very friendly, actually. But his heart...* - Kot zeskoczył leni-

wie na ziemię. Kobieta położyła rękę teatralnie na sercu.  
- *His heart is pure gold. I tell you: pure gold. How do you know him, miss?*

Inger Johanne uśmiechnęła się z roztargnieniem, tak jakby nie wszystko zrozumiała. Oczywiście powinna porozmawiać z tą starszą panią. Z pewnością nic się przed nią nie ukryło na tej małej uliczce. Mimo to zrezygnowała z rozmowy i wsiadła do samochodu. Czuła złość i jednocześnie ulgę. Była zirytowana faktem, iż pozwoliła Akselowi opuścić restaurację bez umówienia się na następne spotkanie. Czuła się sprowokowana i oszukana jego wyjazdem. Równocześnie zniknięcie to było szczerym oświadczeniem: Aksel Seier nie życzył sobie spotkania z Inger Johanne, bez względu na to, co miała mu do powiedzenia. Chciał, aby pozostawiono go w spokoju. Poczowała się wolna.

Nastał czwartek, 25 maja. Właściwie mogła wracać do domu. Powinna zadzwonić do Alvhild. Kiedy jednak wsiadła do samochodu i skierowała się w stronę drogi numer 28, zrezygnowała z tego pomysłu. Tak niewiele miała do opowiedzenia. Nawet nie pamiętała tego, co zobaczyła w małym domu Aksela Seiera. Tego czegoś, co ją tak zaskoczyło, iż później nie mogła zasnąć przez pół nocy.

## 28

Do wieżowca zbliżał się samochód kurierski. Mżyło. Ruch na obwodnicy zamarł przy Ullevaal z powodu wypadku. Chaos powiększał się niczym złośliwy guz. Samochód kurierski potrzebował godziny na przejechanie odcinka, który zwykle pokonywał w ciągu dwudziestu minut. W końcu zaczął zbliżać się do miejsca dostawy. Kierowca zatrąbił, zirytowany na taksówkę, stojącą w poprzek drogi i tarasującą dojazd. Z taksówki wygramolił się jakiś młody człowiek z nogą w gipsie i o kulach. Pokazał mu w obraźliwym geście palec, po czym wskazał ze złością na wóz policyjny, stojący piętnaście metrów dalej.

- Do jasnej cholery - ryknął. - Nie widzi pan, że ulica jest zamknięta!

Tego tylko brakowało. Kierowca nie zamierzał jednak nieść paczki aż do samego bloku. Jeździł od siódmej rano. A do tego był przeziębiony. Chciał mieć już wolny weekend. Piątkowe popołudnie było prawdziwym piekłem. Teraz chciał jedynie dostarczyć tę cholerną przesyłkę i pojechać do domu. Położyć się do łóżka. Pić piwo i oglądać wideo. Niech tylko ten zasrany radiowóz przesunie się. I chociaż tarasował całą drogę, nie wyglądało na to, że wydarzyło się coś dramatycznego. Dwaj umundurowani mężczyźni stali przy samochodzie i prowadzili pogawędkę. Jeden z nich palił papierosa i zerkał

na zegarek, tak jakby też od dawna tęsknił za powrotem do domu. Wreszcie taksówce udało się zawrócić, choć nie obyło się bez złamania kilku krzewów, rosnących przy chodniku. Kurier uruchomił silnik i odkręcając szybę, ruszył wolno do przodu.

- Zatrzymać się - odezwał się policjant ostrym tonem. -

Pan nie może tu wjeżdżać.

- Mam tylko paczkę do oddania.

- Niestety, nie wolno.

- Dlaczego nie?

- Właściwie nie jest to pańska sprawa.

- Ale do cholery...

Kierowca uderzył się w czoło.

- To moja praca! Ja mam tutaj paczkę, cholernie dużą paczkę, którą mam dostarczyć do...

Zamachał ręką w stronę bloku, po czym zaczął grzebać w bałaganie na siedzeniu obok. Wypełniona do połowy puszka z napojem, stojąca w schowku w desce rozdzielczej, wywróciła się. Na podłogę wylała się żółta ciecz. Głos kierowcy przeszedł w falset.

- To tam na górze. Lena Baardsen. 10 b, druga klatka.

Czy mógłby pan być tak miły i powiedział mi...

- Co pan powiedział?

Drugi policjant zbliżył do niego twarz.

- Prosiłem o instrukcję, w jakim sposób, do cholery, miałbym wykonać swoją robotę, jeśli...

- Dla kogo miała być ta paczka?

- Dla Leny Baardsen, 10 b. To jest...

- Proszę wyjść z samochodu.

- Wyjść z samochodu?

- Proszę wyjść z samochodu. Natychmiast!



Kierowcę ogarnął strach. Młodszy policjant wyrzucił papierosa i cofając się o kilka metrów, zaczął rozmawiać przez krótkofalówkę. Kierowca nie słyszał wyraźnie słów, ale ton rozmowy wskazywał, iż sytuacja była poważna. Drugi policjant, około czterdziestoletni mężczyzna z czarnym wąsem, chwycił go zdecydowanie pod ramię, gdy, nie mając odwagi na nic innego, otworzył drzwi od samochodu. Kierowca podniósł ręce do góry, tak jakby już został aresztowany.

- Niech pan się opanuje, do cholery. Ja miałem tylko dostarczyć paczkę. Paczkę!
- Gdzie ona jest?
- Gdzie jest? Oczywiście w samochodzie. Leży tu z tyłu.
- Klucze.
- Drzwi są otwarte, do cholery. Ale ja nie mogę każdemu obcemu pozwolić...

Policjant wskazał punkt na asfalcie, oddalony o trzy metry od samochodu. Kierowca powłókł się na wyznaczone miejsce, powoli opuszczając ręce.

- Proszę o numer służbowy i nazwisko - powiedział ze złością. - Nie macie prawa.

Policjant nie zwracał na niego uwagi. Kierowca wzruszył ramionami. Przynajmniej nie będzie to jego wina, że paczka nie zostanie dostarczona na czas. Firma powinna



zająć się tą sprawą. Wyciągnął papierosa, który nie chciał się jednak zapalić. Deszcz i wiatr nasilały się. Nachylił się nad zapalką, osłaniając dłońmi płomień. Nagle wyprostował plecy, po których przeszedł lodowaty dreszcz.

- Do cholery - warknął pod nosem. Papieros upadł na ziemię.

Wyrzucą go z pracy. Powinien oczywiście zawrócić, kiedy po raz pierwszy zobaczył wóz policyjny. Gdyby był bardziej uważny, trochę mniej przeziębiony i zmęczony, zawróciłby od razu. Na wszelki wypadek.

Nie, nie mogli go wyrzucić. Z powodu takiej bagateli? Mógł dodać, że przytrafiającej się po raz pierwszy. Przynajmniej nigdy przedtem nie został na niczym złapany. Musiałoby się więcej wydarzyć, żeby stracił pracę! Policjanci zaglądali do środka samochodu przez tylne drzwi, nie ruszając jedynej leżącej tam paczki, ostatniej przesyłki do dostarczenia tego dnia. Była całkiem długa, miała może ze sto trzydzieści centymetrów, a jednocześnie dość wąska.

- Czy jest ciężka?

Mężczyzna z wąsami odwrócił głowę w jego stronę.

- Tak. Dosyć. Proszę sprawdzić samemu.

Próbował teraz być uprzejmy. Może mieli zamiar jedynie popatrzeć na tę cholerną paczkę. Posłuchać jakimś technicznym urządzeniem albo czymś innym, żeby stwierdzić, iż w środku nie ma żadnej bomby. Jeśli będzie miło odpowiadać i pozwoli im zrobić to, co zamierzali, na pewno puszcza go wolno. Paczka zupełnie przestała go obchodzić. Mógłby ją nawet zostawić na rogu ulicy. Jedyne czego chciał, to zniknąć stąd.

Oni jednak nie dotykali paczki.

Nie mieli też ze sobą żadnych przyrządów pomiarowych.

Za to kierowca samochodu kurierskiego mógł usłyszeć zbliżający się dźwięk syreny. A kiedy zobaczył cztery radiowozy i więźniarkę, zrozumiał, że popełnił cholerną pomyłkę. Wewnętrzny głos wzywał go do

ucieczki: uciekaj, uciekaj, do diabła, oni interesują się paczką, a nie tobą, uciekaj! W końcu westchnął zrezygnowany i wysmarkał palcami nos. Najgorsze, co mogło się stać, to utrata pracy. Oprócz tego mogły być problemy z urzędem podatkowym. W najgorszym wypadku. Nie mogli jednak nic udowodnić.

- Nie mogą mi nic udowodnić - zamruczał pod nosem w chwili, gdy został w uprzejmy sposób zaprowadzony przez policjantkę do więźniarki.

Trzy godziny później leżąca na stole paczka została otwarta. Wokół stołu stali patolog z kocią bródką, komisarz Yngvar Stub0, podkomisarz z Kripos Sigmund Berli i dwaj pracownicy z oddziału kryminalno-technicznego. Paczka nie zawierała bomby. To stwierdzono. Miała wymiary 134 x 30 x 45 centymetrów i ważyła trzydzieści jeden kilo. Na razie wyglądało na to, że na paczce znajdowały się odciski palców jednej tylko osoby. Najprawdopodobniej pochodziły od kierowcy samochodu kurierskiego. W każdym razie prznosił ją bez rękawiczek. Ostateczna ekspertyza będzie gotowa za parę dni, jednak można było przypuszczać, że paczka przed dostarczeniem kierowcy została niemal klinicznie wyczyszczona. Jeden z techników zaczął rozcinać tekturę, robiąc długie i proste cięcie od góry w dół, podobne do cięcia przy obdukcji. Na twarzy patologa nie malowało się żadne uczucie. Technik ostrożnie odgiął brzeg rozcięcia. Na podłogę spadły dwie kulki styropianu. Otworzył paczkę całkowicie.

Spośród styropianowych kulek wystawała dziecięca ręka.

Była lekko ściśnięta, tak jakby przed chwilą od czegoś się oderwała. Na paznokciu kciuka widniały obgryzione resztki czerwonego lakieru. Na palcu serdecznym połyskiwał pierścionek ze sztucznego złota. Kamień był koloru jasnoniebieskiego.

Nikt nie powiedział ani słowa.

Yngvar Stubo myślał jedynie o tym, że będzie musiał rozmawiać z Leną Baardsen. Zamigotało mu przed oczami. Wstrzymał oddech. Po czym zaczął ostrożnie usuwać śnieżnobiałe kulki, odnosząc wrażenie, że zanurza się w suchym śniegu. Ukazała się cała ręka. Sara Baardsen leżała na brzuchu, z lekko rozsuniętymi nogami. Kiedy dwaj funkcjonariusze przewrócili ją ostrożnie na plecy, ukazało się przesłanie. Do brzucha dziecka przymocowana była duża kartka z czerwonymi literami.

*Dostajesz to, na co zasługujesz.*

- Na czarno? Zarabiałem jedynie trochę na boku!
- Kierowca pociągnął nosem, a z oczu popłynęły łzy.
- I czy mógłbym dostać jakąś chusteczkę? Może tego do tej pory nie zauważyliście, ale jestem cholernie przeziębiony!
- Radzę panu trochę się uspokoić.
- Uspokoić się? Siedzę tutaj już pięć godzin! Pięć godzin! Nie dostaję ani chusteczek do nosa, ani adwokata.
- Nie potrzebuje pan adwokata. Nie jest pan zatrzymany. Jest pan tutaj z własnej nieprzymuszonej woli. Żeby nam pomóc.

Yngvar Stubo wygrzebał swoją własną chusteczkę do nosa i podał kierowcy.



- W czym wam pomóc?

Kierowca naprawdę wyglądał na zdezorientowanego. Miał przekrwione oczy. Widać było, że miał gorączkę, ciężko oddychał.

- Proszę posłuchać - zaapelował. - Chciałbym wam pomóc, ale powiedziałem wszystko, co wiem! Ktoś do mnie zatelefonował. Przecież o tym już powiedziałem. Na moją własną, prywatną komórkę.

Głośno wysmarkał się i pokręcił z rezygnacją głową.

- Miałem zabrać jakąś paczkę, która miała znajdować się w bramie na ulicy Urtegata. Brama jest otwarta, gdyż obecnie burzą tam dom. Na paczce miała leżeć kartka z adresem odbiorcy i koperta z dwoma tysiącami koron. *Piece of cake!*

- Rozumiem. I pan uznał, że cała sprawa jest w porządku.

- Czy w porządku? Nasze zlecenia powinny być kierowane przez centralę i wiem, że...

- O tym nie myślałem. Zastanawiam się jedynie nad tym, że zupełnie obca osoba, nie przedstawiając się, mogła poprosić pana o dostarczenie paczki, kusząc paroma tysiącami koron. Właśnie nad tym się zastanawiam. Jeśli mam być szczerzy, uważam to za bardzo zastanawiające.

Yngvar Stubo uśmiechnął się. Zdezorientowany kierowca również się uśmiechnął. W tym policjancie było coś

zastanawiającego.

- A co by się stało, gdyby w paczce znajdowała się na przykład bomba. Narkotyki.

Yngvar Stubo wciąż się uśmiechał, teraz nawet szerzej.

- Nigdy czegoś takiego nie było.
- No dobrze. Nigdy. Więc wykonuje pan często takie zlecenia.
- Nie, nie. Nie to miałem na myśli!
- A co pan miał na myśli?
- Proszę posłuchać - powiedział kierowca.
- Cały czas słucham.
- No dobrze, od czasu do czasu mam jedno albo dwa zlecenia na boku. Nie ma w tym nic podejrzanego. Wszyscy...
- Nie. Nie wszyscy. Większość firm kurierskich jest tak zorganizowana, że kierowcy prowadzą własną działalność gospodarczą. Ale nie BigBil. Pan jest u nich zatrudniony. Jeśli robi pan coś poza ich plecami, to oszukuje pan BigBil. Mnie też. W pewien sposób społeczeństwo - powiedział Yngvar Stubo i zaśmiał się krótko. - Jednak pozostawmy tę sprawę na boku. A więc nie zauważył pan z jakiego numeru dzwoniłono?
- Nie pamiętam. Naprawdę. Po prostu odebrałem telefon.
- Czy nie zareagował pan, że mężczyzna... Bo to był mężczyzna, prawda?
- Tak.
- Młody, stary?
- Nie wiem.
- Jasny głos? Czy może ciemny? Jaki dialekt?
- Ale na te pytania ja już *odpowiedziałem!* Nie *pamiętam* barwy głosu. Nie *zareagowałem* specjalnie na to, że nie powiedział, jak się nazywa. Potrzebowałem *pieniędzy!* To proste. Łatwo zarobione dwa tysiące koron. Po prostu.

- A czy nie mógł pan wziąć pieniądze i nie brać paczki?

Yngvar Stubo podniósł brwi i potarł brodę.

-Ja...

Kierowca kichnął. Chusteczka do nosa była całkowicie mokra. Yngvar Stubo odwrócił wzrok.

- Że co pan?

- Jeśli bym to zrobił, to tacy ludzie nie zadzwoniliby ponownie. Mam na myśli nowe zlecenia.

Był teraz bardziej skrepowany, a głos miał bardziej przyciszony.

-Właśnie. Więc pan rozumie, że tego rodzaju przesyłki z konieczności nie mogą być dostarczane przy świetle dziennym. Pan rozumie, że nikt nie płaciłby bez powodów dwóch tysięcy koron za przewiezienie paczki trzy kilometry, jeśli mógłby to zrobić w legalny sposób, płacąc jedynie stówkę. Przecież wszystko jest w porządku z pana zdolnością rozumowania?

Uśmiech zniknął z twarzy policjanta. Kierowca schował twarz w chusteczce do nosa.

- To co było w tej cholernej paczce - wymamrotał. - Co było w tej paczce, do cholery.

- Sądzę, że nie chciałby pan wiedzieć - odezwał się Yngvar Stubo. - Może pan już iść. Odezwiemy się do pana. Życzę powrotu do zdrowia. Proszę zatrzymać chusteczkę. Do widzenia.



## 29

Sara zniknęła nagle. Emilia obudziła się i była sama. Bardzo bolała ją głowa. Na szczęście po raz pierwszy w pokoju było zupełnie ciemno. Pewnie oślepla. Długo leżała nieruchomo z szeroko otwartymi oczami. Zaczęła otwierać oczy i zamykać, otwierać i zamykać. Nie było żadnej różnicy. A nawet, gdy się bardzo starała, przy zamkniętych oczach było może trochę jaśniej. Przed oczami pojawiły się kropki. A gdy mocniej zaciskała powieki, zamieniały się w ogromne bańki w kolorach czerwonym, niebieskim i zielonym. Pragnęła dłużej po- spać. Bolała ją głowa, ale uśmiechnęła się. Chciała spać. Nagle przypomniała sobie Sarę.

- Sara - powiedziała głośno. - Gdzie jesteś?

Nikt nie odpowiedział. Nikt też przy niej nie leżał. Dobrze. Łóżko było dla nich obu zbyt wąskie. Sara nie była przy tym fajna. Okropnie się chwaliła. Cały czas chwaliła się i płakała. A kiedy pojawiał się Mężczyzna, nie wytrzymała. Zaczynała krzyczeć, przyciskając się do ściany. Nic nie rozumiała. Nie rozumiała, że Mężczyzna był tym, który pilnował, aby miały wy- starczającą ilość powietrza. A kiedy Emilia wylała do ubikacji supę pomidorową, żeby Mężczyźni nie było przykro, że jedzenie *jej* nie smakowało, Sara zagroziła, że naskarzy.

- Sara? Sarasarasarasara!

Nie. Nie było *jej* tutaj.

Światło pojawiło się niczym potężna eksplozja. Spadło na nią z sufitu. Emilia jęknęła i skuliła się, zakrywając głowę rękami. Światło, jak strzała, wbijało się w twarz, oczy ukryły się głęboko w czaszce, znikając zupełnie.

- Emilio?

Mężczyzna zawołał ją. Chciała odpowiedzieć, nie mogła jednak otworzyć ust. Światło było zbyt mocne. Pokój stał się zupełnie biały, mnóstwo białości, srebra i złota. Iskry rozcinające skórę.

- Emilio, śpisz?

- Nnie...

- Pomyślałem sobie, że będzie dla ciebie dobrze, jeśli choć raz pokój będzie ciemny. Bardzo mocno spałaś.

Jego głos nie brzmiał przy łóżku. Dochodził z otwartych drzwi, tych lodowatych drzwi. Bał się, że mogą się zatrzasać. Tak było prawie zawsze. Rzadko wchodził do środka. Emilia opuściła powoli ręce na materac. Oddychaj. Wydech, wdech. Otwórz oczy. Trafiły ją iskry. Spróbowała jeszcze raz. Nie była już oślepią. Kiedy odwróciła głowę w stronę głosu, zobaczyła, że Mężczyzna wystroił się.

- Ładnie pan wygląda - powiedziała cicho. - Bardzo ładna kurtka.

Uśmiechnął się.

- Tak uważasz? Wyjeżdżam. Zostaniesz na jakiś czas sama.

- Spodnie też są ładne.

- Nic się nie stanie, jeśli zostaniesz sama. Zostawiam tutaj dużo wody, chleb, dżem i płatki kukurydziane.

Położył na ziemi dwie torby.

- Wytrzymasz bez mleka. Szybko się psuje.

- Mmm.

- Jeśli będziesz grzeczna i nic nie wykręcisz, kiedy mnie tu nie będzie, to w któryś wieczór pozwolę ci przyjść na górę i pooglądać ze mną telewizję. Dostaniesz coś dobrego i pooglądasz telewizję. Może w którąś sobotę. Ale tylko może. Zależy to od twego zachowania. Światło zostawić zapalone, czy wyłączyć?

- Zostawić zapalone - odpowiedziała błyskawicznie.

- Proszę.

Jego śmiech był dziwny. Zabrzmiął jak śmiech małego chłopca, który nie bardzo wie, z czego się śmieje. Wydawało się, że zmusił się do śmiechu z czegoś, co nie było dla niego zabawne. Zaśmiał się głośno i twardo.

- Mogłem tak przypuszczać - odezwał się krótko i odszedł.

Emilia próbowała usiąść. Nawet jeśli wyjeżdżał, to nie powinien wyłączać wentylatora. Czowała się tak słabo, że zdołała jedynie przewrócić się na drugą stronę łóżka.

- Niech pan nie wyłącza wentylatora - zapłakała.

- Proszę. Niech pan nie wyłącza wentylatora!

Gdyby wiedziała, który gwóźdź jest kamerą, złożyłaby ręce do modlitwy. Zamiast tego przywarła ustami do niewielkiej plamy na ścianie w pobliżu łóżka.

- Proszę - płakała do małej kropki, mogącej być mikrofonem. - Proszę, niech pan da mi powietrze. Jeśli pan nie wyłączy wentylatora, będę najbardziej grzeczną dziewczynką na świecie!

Ponieważ pierwsze bulwarówki były gotowe już o drugiej w nocy z piątku na sobotę 27 maja, dzienniki ukazały się w dwóch dodatkowych wydaniach. Inger Johanne, skręcając do sklepu ICA obok stadionu Ullevaal, rzuciła wzrokiem na stację benzynową, skąd krzyczały do niej pierwsze strony gazet. Trudno było znaleźć miejsce do parkowania. Sklep zwykle miał wielu klientów, zwłaszcza w sobotnie przedpołudnie, dzisiaj jednak panował po prostu chaos. Zdawało się, że ludzie nie wiedzieli, co mają robić. W domach najwyraźniej nie chcieli przebywać. Musieli wyjść. Szukali towarzystwa innych, którzy byli podobnie przestraszeni i wściekli. Matki trzymały swoje dzieci mocno za rękę, a najmłodsze z nich były przypięte pasami w wózkach i spacerówkach. Ojcowie zaś na wszelki wypadek brali większe dzieci na barana. Była dokładnie godzina dwunasta. Znajomi i nieznajomi stali w grupkach i dyskutowali. Wszyscy mieli ze sobą gazety. Niektórzy mieli w uszach radiowe słuchawki i słuchali wiadomości. Skoncentrowani wpatrywali się w przestrzeń i powoli powtarzali informacje stojącym wokół ludziom.

- Policja nie ma jeszcze żadnego śladu.

Zebrani wydali jęk. Nad parkingiem rozległo się westchnienie, wyrażające rezygnację.

Inger Johanne prześlizgiwała się przez tłum. Chciała zrobić zakupy. Po podróży lodówka była pusta. Miała za sobą nieprzespaną noc i irytowały ją dziecięce wózki, tarasujące duże, automatyczne drzwi. Lista zakupów upadła na ziemię, po czym przykleiła się do podeszwy buta mijającego ją mężczyzny i zniknęła.

- Przepraszam - powiedziała, wyszarpując dla siebie wolny wózek na zakupy.

W każdym razie musi kupić banany. Płatki śniadaniowe i banany. Mleko, chleb i wędlinę. Coś na dzisiejszy obiad, który będzie dość lekki, gdyż jest w domu sama. I coś na obiad jutrzejszy, kiedy przyjdzie Isak z Kristiane. Kotlety mielone. Ale najpierw banany.

- Dzień dobry.

Rzadko się czerwieniła. Teraz poczuła ciepło na policzkach. Przed nią stał Yngvar Stubo z kłębkiem bananów w ręku. Cały czas się uśmiecha, pomyślała, a właśnie w tej chwili nie powinien się tego robić. Niewiele ma obecnie powodów do radości.

- Nie zadzwoniła pani do mnie - odezwał się.

- A skąd pan wiedział, gdzie jestem? W którym hotelu?

- Jestem policjantem. Zdobycie tych informacji zajęło mi godzinę. Pani ma dziecko. Nie wyjechałaby pani nigdzie bez pozostawienia za sobą całej masy śladów.

Włożył banany do jej wózka.

- Chciała je pani?

- Mhm.

- Muszę z panią porozmawiać.

- Skąd pan wiedział, że będę tutaj?

- Przecież musiała pani zrobić zakupy. Wyjeżdżała

pani. I o ile wiem, jest to najbliższy sklep spożywczy od pani domu.

*Wiesz, gdzie robię zakupy, pomyślała. Sprawdzaleś, gdzie robię zakupy i musiałeś być tutaj już od dłuższego czasu. W przeciwnym wypadku musiałbyś mieć niezwykle szczęście. Tutaj jest mnóstwo ludzi. Mogliśmy się minąć. Ty wiesz, gdzie robię zakupy i tu mnie szukałeś.*

Z góry owoców wybrała cztery pomarańcze i wsadziła do plastikowej torebki. Trudno jej było zawiązać supeł.

- Pomogę pani - powiedział Yngvar Stubo i złapał torebkę. Jego palce były grube, ale precyzyjne. Szybkie.

- Gotowe. Naprawdę muszę z panią porozmawiać.

- Tutaj?

Rozłożyła ręce, próbując zrobić wrażenie sarkastycznej. Zbyt trudne, gdy twarz przybiera kolor pomidorów leżących w skrzynce obok niej.

- Nie. Czy chciałaby pani udać się do mojego biura? Leży po drugiej stronie miasta, więc jeśli sądzi pani, że prościej byłoby...

Wzruszył ramionami.

*Chciałbyś pójść do mnie do domu. O mój Boże, on chce pójść do mnie do domu. Kristiane jest... Będziemy w domu sami. Nie. Tylko nie to.*

- Możemy pójść do mnie do domu - powiedziała lekko.

- Mieszkam tu niedaleko. Ale przecież o tym pan wie.

- Proszę dać mi listę zakupów i zrobimy je w parę minut.

Wyciągnął do niej rękę.

- Nie mam żadnej listy zakupów - odpowiedziała natychmiast. - Dlaczego pan sądził, że ją mam?

- Takie sprawia pani wrażenie - odpowiedział i opuścił dłoń. - Jest pani typem osoby robiącej listę zakupów. Byłem o tym całkowicie przekonany.
- No to się pan pomylił - powiedziała i się odwróciła.
- Bardzo przyjemnie pani mieszka.

Stał na środku pokoju gościnnego. Na szczęście wcześniej posprzątała. Zrobiła nieokreślony ruch w stronę sofy, sama zaś usiadła na fotelu. Minęło kilka minut, zanim dostrzegła, że siedzi ze sztywno wyprostowanymi plecami na brzegu fotela. Powoli, tak aby ruch nie był zbyt widoczny, przechyliła się do tyłu.

- Żadnej wyraźnej przyczyny śmierci - powiedziała wolno. - Sara po prostu umarła.

- Tak. Jedynie niewielkie rozcięcie nad okiem. Żadnych wewnętrznych uszkodzeń. Tylko ranka zupełnie bez znaczenia, przynajmniej jeśli mówimy o niej w związku ze śmiercią. Zdrowa i silna ośmiolatka. Również i tym razem on... morderca, tak sądzę, bo nie wiemy jeszcze czy jest to mężczyzna.

- Myślę, że może pan spokojnie mówić o mężczyźnie.

- A dlaczego? Wzruszyła ramionami.

- Po pierwsze prościej jest tak mówić, niż cały czas używać „on lub ona”. Po drugie jestem dość pewna, że mówimy tutaj o mężczyźnie. Proszę nie pytać mnie dlaczego. Nie umiem tego uzasadnić. Może są to tylko uprzedzenia. Może nie mogę sobie wyobrazić kobiety, która w taki sposób traktowałaby dzieci.

- A kto według pani mógłby w ten sposób traktować dzieci?

- Co pan chciał powiedzieć?
- Pytałem...
- Nie, przerwałam wtedy panu. Zaczął pan mówić, że również tym razem...
- Ach tak. To dziecko też miało w moczu diazepam. W mikroskopijnej ilości.
- Jaki jest sens podawania dzieciom środków uspokajających?
- Żeby je uspokoić, jak sędzę. Może przetrzymuje je w miejscu, gdzie muszą być cicho. Musi spowodować, żeby spały.
- Jeśli jego zamiarem jest uspienie dzieci, to powinien dać im środek nasenny.
- Tak. Istnieje jednak możliwość, że nie ma do nich dostępu. Może tak być, że ma jedynie valium.
- A kto ma dostęp do valium?
- Zaskakująco wielu - odpowiedział i westchnął. Zdusił w sobie ziewanie i gwałtownie potrząsnął głową. - Po pierwsze, ci wszyscy, którzy faktycznie otrzymali receptę od lekarza. Dotyczy to tysięcy, a nawet kilkunastu tysięcy ludzi. Mamy też farmaceutów, lekarzy, pielęgniarki. I choć panuje porządek, zarówno w szpitalach, jak i w aptekach, to mówimy tutaj o tak niewielkich ilościach, iż prawie nie ma granicy dla... Po prostu każdy może być brany pod uwagę. Czy wiedziała pani, że ponad sześćdziesiąt procent ludzi, kiedy są u kogoś gośćmi, zagląda do szafek w łazienkach? Ukradzenie dwóch, trzech tabletek jest najprostszą sprawą w świecie. Jeśli kiedykolwiek uda nam się złapać tego typu, to z pewnością nie z powodu posiadania valium albo vivalu.



- *Jeśli* kiedykolwiek? - zareagowała Inger Johanne.

- Brzmi to pesymistycznie.

Yngvar Stubo przesunął samochód zabawkę. W końcu spuścił go po grzbiecie dłoni. Gdy ruszyły kółka, zaświeciły słabo przednie światła.

- Lubi tylko czerwone samochody - odezwała się Inger Johanne. - Mam na myśli Kristiane. Nie lalki i nie pociągi. Nic poza samochodami. Czerwonymi samochodami. Strażackimi, dwupiętrowymi autobusami. Nie wiemy dlaczego.

- A co jej dolega?

Ostrożnie odłożył samochód na stolik. Mała oś, pozbawiona jednego z gumowych kółek, zaskrobała po szklanym blacie.

- Nie wiemy.

- Jest słodka. Bardzo słodka.

Wyglądał w tym momencie na szczerego. Ale przecież widział ją jedynie raz. I to przelotnie.

- Jak rozumiem, w wyjaśnieniu sprawy nie pomogła także przesyłka z... Myślę, że musiał pojawić się na ulicy Urtegata albo wysłać kogoś. Co wiecie na ten temat?

- Samochód kurierski. *Samochód kurierski* Yngvar położył wskazujący palec na dachu samochodu i pchnął go powoli do przodu. Oś bez koła na rysowała cienką kreskę na blacie stołu. Inger Johanne otworzyła usta. Po czym zrezygnowała z powiedzenia czegokolwiek.

- To jest takie, takie *bezczelne* - powiedział Yngvar z hamowaną wściekłością, nie zważając na to, *co* robi.

- Ten typ oczywiście zrozumiał, że nie pozwolimy na ponowne dostarczenie ciała dziecka bezpośrednio

matce. Postawiliśmy wszędzie ludzi. Naturalnie był to błąd. Gdzie kucharek sześć, tam nie ma co jeść. Wraz z zamordowaniem Sary pojawiła się na scenie Okręgowa Komenda Policji w Oslo, a jej stosunki z CBS są... Mniejsza z tym. Powinniśmy być bardziej dyskretni. Zastawić na niego pułapkę. Przynajmniej spróbować. Rozszyfrował nas i użył kuriera! *Samochód kurierski!* A na Urtegata nikt nie widział nic podejrzanego, nikt nic nie słyszał i nie zrozumiał nic. Skrzynka z Sarą była prawdopodobnie zostawiona tam w biały dzień. Właściwie stary trik, gdyż ...

- Człowiekowi najłatwiej się ukryć w tłumie - do-kończyła Inger Johanne. - Sprytnie. Mimo to trochę dziwne, gdyż paczka musiała być... - Zawahała się, po czym dodała cicho: - Całkiem duża.
- Tak. Na tyle duża, aby pomieścić ciało ośmioletniego dziecka.

Inger Johanne znała siebie dobrze. Była przewidywalnym człowiekiem. Na przykład Isak z czasem uznał ją za dość nudną. Od chwili, gdy stan zdrowia Kristiane zaczął się polepszać, a życie potoczyło się swym ciężkim trybem, Isak zaczął narzekać. Inger Johanne był za mało spontaniczna. Coraz częściej powtarzał, żeby się bardziej rozluźniła. Kiedy patrzyła sceptycznie na zamówioną pizzę, którą karmił dziecko, gdy nie chciało mu się gotować obiadu, wzdychał zrezygnowany, twierdząc, że przecież nic się nie stanie. Isak uważał, że była nudna. Linę i pozostałe koleżanki częściowo się z nim zgadzały. Oczywiście one również nie mówiły tego bezpośrednio. Przeciwnie. Chwały ją. Mówiły z uznaniem o tym, że jest tak bardzo niezawodna. Że jest taka zaradna

i odpowiedzialna. Na Inger Johanne można było zawsze polegać. Innymi słowy, była nudna.

Ona musiała być przewidywalna. Była odpowiedzialna za dziecko, które nigdy nie będzie naprawdę dorosłe.

Inger Johanne знаła siebie dobrze.

Obecna sytuacja była absurdalna.

Zaprosiła do domu mężczyznę, którego ledwie znała. Pozwoliła mu przedstawić sobie szczegóły, dotyczące śledztwa, z którym nie miała nic wspólnego. Złamała zasadę zachowania tajemnicy zawodowej. Powinna go ostrzec. Uprzejmie przerwać dalszą rozmowę. Decyzję podjęła już w pokoju hotelowym w Harwichport, kiedy podarła kartkę na trzydzieści dwa kawałki i spuściła z wodą w ubikacji.

Prawdę mówiąc, nie powinien mi pan o tym mówić.

Yngvar Stubo wciągnął głęboko powietrze, po czym powoli wypuścił przez zaciśnięte zęby. Jakby zmałał. A może zapadł się głębiej w sofę.

- Prawdę mówiąc, nie powinienem. Na pewno nie przed sformalizowaniem naszej współpracy. Ale zaczął nam odnosić wrażenie, że nie życzy pani sobie tego.

Uśmiechnął się, tak jakby chciał okazać ironię. Spoważniał jednak i mówił dalej:

- Cała ta sprawa jest piekłem. - Ponownie wciągnął gwałtownie powietrze. - Ponad dwa lata temu zmarły moja żona i jedyna córka - powiedział szybko. - Pewnie nie wiedziała pani o tym.

- Nie. Proszę przyjąć wyrazy współczucia.

Nie chciała nic na temat wiedzieć.

- Absurdalny wypadek. Moja córka miała na imię Trine, dwadzieścia trzy lata, Amund był wtedy nie mowlakiem. Mój wnuczek. Miała... Czyja panią męczę? Męczę panią.

Nagle się wyprostował. Poruszył ramionami, jakby ponownie chciał wypełnić swoją szarą tweedową kurtkę. I uśmiechnął się przelotnie.

- Ma pani z pewnością rozsądniejsze rzeczy do zrobienia.

Nie podniósł się jednak. Nie zrobił żadnego gestu, że chce się pożegnać. W stojącym na tarasie karmniku pojawiła się sikorka.

-Nie.

Kiedy spojrział na nią, nie mogła odgadnąć, czego oczekiwał. Najbardziej wydawał się wdzięczny. Może poczuł ulgę, gdyż opadł ponownie na sofę.

- Moja żona denerwowała się zapchaną rynną - powiedział, patrząc przed siebie. - Obiecywałem coś z tym zrobić. Przez dłuższy czas. Nigdy jednak nie zabrałem się za to. Pewnego przedpołudnia odwiedziła nas córka. Oznajmiła, że jest gotowa wejść na dach i przeczyszczyć rynnę. Moja żona prawdopodobnie trzymała drabinę. Trine musiała stracić równowagę. Spadła, pociągając za sobą część rynny. W jakiś sposób ta część musiała znaleźć się pod córką, gdyż przeszła ją na wskroś. Na moją żonę zvaliła się drabina, na której znajdowała się Trine. Jeden ze szczebli trafił żonę w twarz. Kości nosa wbiły się w mózg. Kiedy po kilku godzinach wróciłem do domu, obie leżały na ziemi. Obie nie żyły. Amund jeszcze spał.

Inger Johanne słyszała swój własny oddech, krótki

i płytki. Próbowwała zmienić rytm, zmusić się do spokojniejszego oddechu.

- Byłem szefem wydziału - kontynuował spokojnie.  
- Jeśli mam być szczery, to od dawna widziałem siebie na stanowisku nowego szefa CBS. Ale po tym... Poprosiłem o ponowne przeniesienie na stanowisko komisarza. Nigdy już nie zostanę kimś innym. Jeśli w ogóle wytrzymam. Bo nad tym się zastanawiam, kiedy pojawiają się takie sprawy jak obecnie. No tak.

Zamrugnął oczami. Miał zażenowany uśmiech, niemal głupi, tak jakby zrobił coś złego i nie bardzo' wiedział, jak ma poprosić o wybaczenie. Otworzył kilka razy usta, wyraźnie chcąc coś powiedzieć. Zamiast tego spojrzał w dół na swoje ręce.

- No tak - odezwał się wreszcie, kręcąc młynka palcami. - Powinienem się pożegnać.

Jednak i tym razem nie wstał. W dalszym ciągu siedział, bez żadnego znaku, iż zamierza iść.

*U mnie nie ma miejsca na coś takiego, pomyślała Inger Johanne. W moim życiu nie ma miejsca na taką sprawę. Nie chcę. U mnie nie ma miejsca...*

- ...dla ciebie - powiedziała to półgłosem.

- Słucham?

Yngvar siedział plecami do dużego okna. Silne światło w tle utrudniało zobaczenie rysów jego twarzy. Jedynie oczy były wyraźne. Patrzyły prosto na nią.

- A może przygotuję lunch - zapytała, uśmiechając się lekko. - Musi pan być głodny. Ja na pewno.

Wypełniał sobą niemal całą przestrzeń.

Isak, jedyny mężczyzna, który kiedykolwiek przebywał w jej kuchni dłużej niż trzydzieści sekund, wydawał się przy nim mały, niemal wąty. Stubo wypełniał cały pokój. Dla Inger Johanne nie było prawie miejsca. Zdjął kurtkę i powiesił na poręczy krzesła. Po czym bez pytania zaczął robić omlet. Inger Johanne nie mogła się wręcz poruszyć, nie potrącając go. Wokół niego unosił się zapach świeżej kąpieli i cygara. Był to zapach człowieka starszego od niej. Kiedy podciągnął rękawy koszuli, aby pokroić cebulę, zauważyła, że włosy na jego rękach są jasne. Pomyślała o wakacjach i odwróciła się.

- Jak pani myśli, co oznacza kartka? - odezwał się, podnosząc nóż do góry. - *Dostajesz to, na co zasługujesz. Kto na to zasługuje? Dziecko? Matka? Społeczeństwo? Policja?*
- Obie kartki skierowane były w jakiś sposób do matek - odpowiedziała Inger Johanne. - Mimo iż morderca nie mógł wiedzieć, że ciało Kima znajdzie jego matka. Do piwnicy mógł przecież zejść ojciec. A jeśli chodzi o Sarę, to jest podstawa, żeby wierzyć, iż morderca zdawał sobie sprawę, że paczka nigdy nie dotrze do adresata. On nie jest głupi. Nie wiem. Sądzę, że należy zastanowić się nad treścią przesłania, a nie spekulować, dla kogo było przeznaczone.
- Co pani ma na myśli, mówiąc o treści?

Yngvar włączył kuchenkę i z dolnej szafki wyjął patelnię, nawet nie pytając się o miejsce jej przechowywania. Inger Johanne usiadła na taborecie i wpatrywała się z uwagą w szklankę zimnej wody z kostkami lodu.

- Nawiasem mówiąc, uważam, że należy zacząć od zupełnie innej strony - powiedziała wolno.

Wytał oczy.

- Zawsze należy zaczynać na samym dole - odezwała się ponownie, prawie nieobecna duchem, jakby szukając czegoś w pamięci. - Zobaczyć, co się ma. Fakty. Obiektywne informacje. Od fundamentów układać kolejne kamyczki. Nie spekulować, zanim się nie zbuduje fundamentu. To niebezpieczne.

- Więc tak należy robić.

-Tak.

Wyprostowała plecy i odstawiła szklankę. Od kuchni dolatywał przyjemny zapach. Yngvar wyjął talerze, szklanki, noże i widelce. Kiedy wycinał piękną dekorację z pomidora, wydawał się głęboko skoncentrowany.

- Proszę spojrzeć - powiedział z zadowoleniem, stawiając patelnię na stole. - Omlet z cebulą. To nazywam prawdziwym lunchem.

- Troje dzieci - odezwała się, wolno żując. - Jeśli założymy, że Emilia została porwana przez tego samego sprawcę co Sara i Kim. Właściwie nie możemy tego założyć, ale powiedzmy. Na razie tak zakładamy. Zniknęło troje dzieci. Dwoje zostało przekazanych z powrotem. Nieżywych. Nieżywe dzieci.

- Nieżywe dzieci - powtórzył Yngvar i odłożył widelce. - I nawet nie wiemy, z jakiego powodu one nie żyją.

- Proszę poczekać! - Podniosła do góry rękę i mówiła dalej: - Kto zabija dzieci?

- Przestępcy na tle seksualnym i kierowcy - zamruczał ponurym głosem.

- Właśnie.

-Hm?

- Te dzieci nie zostały zabite przez kierowcę. I nic nie wskazuje na to, że zostały zamordowane przez przestępcę na tle seksualnym. Czy nie tak?

Kiwnął nieznacznie głową.

- A jeśli to byłby czyn seksualny, to taki, który nie zostawia żadnych śladów - odpowiedział. - Coś takiego też można sobie wyobrazić.

- W takim razie, jeśli nie dotyczy to ani seksu, ani wypadku samochodowego, to co poza tym mamy?

- Nic - odpowiedział i ponownie nałożył sobie omlet.

- Pan je za szybko - powiedziała. - I pan się myli. Mamy bardzo dużo informacji. Macie, mam na myśli. Macie bardzo dużo informacji.

Omlet jej smakował. Może trochę za dużo cebuli, ale kropla tabasco zmieniła smak.

- Faktem jest, że zabijamy dzieci w sytuacjach krańcowych. Zarówno pan jak i ja wiemy, że większości zabójstw w tym kraju dokonuje się w afekcie. Bardzo rzadkie jest dokonanie powtórnego zabójstwa. Zabójstwo jest z reguły rezultatem przedłużającego się konfliktu w rodzinie, okrutnej zazdrości albo czystego przypadku. Kłótnia po pijanemu. Od jednego słowa do drugiego. Pod ręką leży jakaś broń, nóż, śrutówka. Paf. I niektórzy zostają zabójcami. Tak to wygląda. Oboje o tym wiemy. Niezwykle rzadko zamieszane są w to dzieci, a już na pewno nie jako ofiary. Oczywiście, nie w sensie przenośnym.

- Naturalnie jeśli nie bierzemy pod uwagę nastolatków. Coraz częściej zabijają się nawzajem. Coraz



młod-

si. Myślę, że nazwałbym czternastolatka dzieckiem. Ten, którego zatrzymano w styczniu, był w tym wieku. Chyba ze szkoły na Mollergata.

Inger Johanne zamrugnęła z lekką rezygnacją. - Tak. Ale również w sprawach dotyczących młodzieżowych gangów mówimy o rywalizacji. Źle rozumiane pojęcie honoru. Zabijają się nawzajem, rzadko innych. Z zewnątrz. A jeśli chodzi o przestępców na tle seksualnym, to najczęściej zabijają, aby ukryć swój czyn. Samo wykorzystanie. Bardzo rzadko zabójstwo jest elementem przestępstwa na tle seksualnym. Tacy przestępcy zabijają, bo po prostu muszą. Rozmawiałam z wieloma z nich i niektórzy prawie nie są w stanie żyć z myślą o swoich czynach. Mogą odczuwać skruchę. Wstyd. Smutek. Nie w stosunku do samego czynu seksualnego. Ten w zastanawiający sposób potrafią przed sobą racjonalnie usprawiedliwić. W stosunku do zabójstwa. Do faktu, że dziecko musiało umrzeć.

- Dokąd pani zmierza?

Wypił do końca mleko i uderzył się lekko po brzuchu.

- Osoba, która jest w stanie zabić zupełnie niewinne dziecko... Która je porywa, zabija i odsyła do rodziców z groteskowym listem... Tak postępować może tylko człowiek o psychice, która daje mu prawo do podejmowania takich działań.

- W jego oczach, takie postępowanie jest całkowicie usprawiedliwione. Jest po prostu wariatem.

Yngvar dotykał palcami etui, schowanego w kieszeni koszuli.

- Nie. On nie jest wariatem. Przynajmniej nie w tym

najbardziej tradycyjnym znaczeniu. Nie jest psychotyczny. Gdyby miał psychozę, nie byłby w stanie przeprowadzić tego wszystkiego. Proszę nie zapominać, w jaki wyrafinowany sposób dokonuje swych przestępstw. Jak wszystko jest przemyślane. Pytanie, co pan rozumie przez bycie wariatem. Zniszczona dusza? Tak. Chory psychicznie? Nie sądzę.

- Ale zabicie dziecka jest dla niego w porządku. Czy to chce pani powiedzieć? To znaczy, nie jest chory psychicznie, ale uważa, że może zabić dziecko?

- Tak. A właściwie nie. Może być tak, że w gruncie rzeczy żałuje, iż dziecko musi umrzeć. Ale przed sobą ma wyższy cel. Może powiem: *misję*. Rodzaj zadania do wykonania?

- W imieniu kogo?

Etui przesuwano się między jego palcami. Słysząc było lekki chrobot metalu, pocieranego o suchą skórę.

- Nie wiem - odpowiedziała krótko.

*Zwodziś mnie, pomyślała. Ja tutaj siedzę i opowiadam o sprawach oczywistych, które ty już od dawna rozwiązałeś na własną rękę. Iłoma morderstwami się zajmowałeś? Z iloma mordercami o ograniczonej poczytalności się zetknąłeś? Pewnie czytałeś wiele tomów na ten temat. Zarzucasz wędkę. Myślisz, że już mnie złapałeś. Z takiego czy innego absurdalnego powodu jest dla ciebie ważne, żeby mieć mnie po swojej stronie. Nie dam się zwieść.*

- Kawy? - zapytała beztrasko i zaczęła napełniać pojemnik zimną wodą.

- Pani wie, jak pracuje *profiler* - odezwał się Yngvar.



Nie zauważyła, że woda zaczęła się jej lać po rękę. Pojemnik był już od dawna pełny.

- Najpierw przeczytałaby pani wszystkie nasze dokumenty - mówił dalej Yngvar. - Nasze wszystkie techniczne ślady i obiektywne fakty. Później zrobiłaby pani profil psychologiczny każdej ofiary. W tym wypadku byłoby to całkiem proste, gdyż ofiarami są dzieci. I niezwykle skomplikowane, ponieważ aby uzupełnić obraz, musiałaby pani zrobić również portrety psychologiczne rodziców dzieci. Po czym powoli zaczęłaby pani budować od podstaw profil naszego człowieka. Jeśli ma pani rację. Co do tego, że jest to mężczyzna. Tak, to wszystko zrobiłaby pani. *Oczywiście, jeśli byłaby pani gotowa mi pomóc.*

Intensywność ostatniego zdania przestraszyła ją. Wyłączając wodę, bliska była upuszczenia pojemnika na ziemię.

- Dlaczego? *Dlaczego?* - spytała. Odwróciła się nagle, uderzając wolną ręką w kuchenny blat. - Czy mógłby mi pan podać choć jeden dobry powód, dla którego doświadczony komisarz z CBS poświęca tak dużo siły i używa, łagodnie mówiąc, tak dziwnych metod w stosunku do dość przeciętnego naukowca, aby ten pomógł mu w rozwiązaniu sprawy tak dziwacznej, że nie ma sobie równej w tym kraju. Czy mógłby pan? Czy może mi pan wyjaśnić, dlaczego nie jest pan w stanie zrozumieć, że nie znaczy nie?

Zapadła cisza. Yngvar studiował swoje dłonie, Inger Johanne odwróciła się do niego tyłem. Bulgotał ekspres do

kawy.

Widoczną

przez kuchenne okno niewielką ulicą, zamkniętą właściwie dla samochodów, jechał powoli,

od jednej skrzynki pocztowej do następnej, czerwony golf.

- Ryzykuję - odezwał się Yngvar cicho, szukając od powiednich słów - że uzna mnie pani za równie zwariowanego, jak...

W dalszym ciągu nie odwracała się. Mężczyzna jadący czerwonym golfem zatrzymał się przed numerem szesnastym.

- Kiedy byłem młodszy, byłem w pewien sposób dumny z tego - kontynuował Yngvar cichym głosem. - Faktycznie się tym chwaliłem. Moją intuicją. Chłopaki nazywali mnie JS. Jasnowidzący Stubo. Nie oznacza to, że rzeczywiście jestem jasnowidzem. Nie wierzę w coś takiego. Nie mogę na przykład zobaczyć, gdzie znajdują się zaginione osoby. Ale przestałem na ten temat rozmawiać. Koledzy zaczęli dziwnie na mnie patrzeć. Szeptali po kątach i za moimi plecami. Nie odzywałem się. Ale ja mam tę zdolność... nie, nie zdolność. Tendencję. Ja mam tendencję do *wyczuwania* spraw, nad którymi pracuję. Właściwie trudno to wytłumaczyć. Wytwarza się pewien stan nadwrażliwości. Moje sprawy śnią mi się. Widzę rzeczy.

Kierowca czerwonego golfu wyrzucił przez okno niedopałek papierosa i zawrócił samochód. Inger Johanne nie mogła zobaczyć, co dostarczył, jedynie to, że kłapa skrzynki pocztowej przed numerem szesnastym nie domykała się teraz.

- Nie ma w tym naprawdę nic złego - powiedziała prosto. - Wszyscy dobrzy śledczy powinni mieć intuicję. Nie ma w tym nic paranormalnego albo nadprzyrodzo-

nego. Intuicja nie jest niczym innym, jak podświadom-

isoe

*mmm*



aiss



mym badaniem szeregu odkrytych faktów. Daje nam odpowiedź w sytuacji, kiedy nie możemy sformułować świadomej konkluzji. Wreszcie odwróciła się.

- Niektórzy nazywają to mądrością - uśmiechnęła się lekko. - Może dlatego z reguły uznaje się to za kobiecą cechę. Ale co to ma wspólnego ze mną?

- Widziałem panią w telewizji - odpowiedział. - Zaimponowała mi pani. Wtedy naszła mnie myśl, aby z panią porozmawiać. Następnego dnia zupełnie o tym zapomniałem. Tego samego dnia zadzwonił do mnie przyjaciel ze Stanów. Warren Scifford.

- Warren Sci...

- Właśnie. FBI.

Poczuła, jak na ramionach pojawia się gęsia skórka. Nagle i nieprzyjemnie.

- Rutynowo podaliśmy informację o porwaniu do Interpolu. Warren natrafił na to przy okazji innej sprawy. Zadzwonił. Nie rozmawiałem z nim od ponad pół roku. Pod koniec naszej rozmowy zapytał, czy nie znam przypadkiem kobiety o nazwisku Inger Johanne Vik. Kiedy opowiedziałem mu o pani epizodzie i jego finale, poradził mi, abym skorzystał z pani pomocy. Była to najbardziej gorąca rekomendacja, jaką kiedykolwiek usłyszałem. Upłynął dzień, ja miałem dużo pracy. Tej samej nocy miałem sen. A właściwie koszmar senny. Nie będę pani męczył, opowiadając jego treść. Wtedy na pewno pomyślałaby pani, że jestem wariatem. - Zaśmiał się krótko i z wysiłkiem. - Ale w tym śnie odgrywała pani rolę i z tego powodu jest dla mnie ważne, żeby z panią porozmawiać. Musi mi pani pomóc. Ale pani nie chce. Pójdę już.



-Nie.

Ponownie usiadła na taborecie naprzeciwko Yngvara.

- Mam nadzieję, że Warren nie wprowadził pana w błąd - powiedziała cicho. - Nie jestem *profilerem*.

Uczęszczałam tylko na kurs i...

- I była pani najlepsza.

- Proszę zaczekać - przerwała, patrząc mu prosto w oczy. - Pan mnie oszukał. Pan mnie cały czas zwodził, nie mówiąc mi o tym, że cały czas pan wiedział, czym się zajmuję. To nie jest specjalnie dobra podstawa do dalszej współpracy.

Mogłaby przysiąc, że się zaczerwienił. Lekki rumieniec zaraz pod oczami.

- Ale poświęcę pięć minut, aby wysłuchać, co ma pan do powiedzenia - mówiła dalej, rzucając okiem na zegar w kuchence. - Pięć minut.

- To śledztwo jest chaosem - wyznał szczerze. - Na pewno jest w tym chaosie jakiś porządek, w którymś miejscu, ja jednak tracę to z oczu z coraz większą częstotliwością. Po pierwszym dziecku, po zniknięciu Emilii, wszystko wydawało się jasne. Byłem odpowiedzialny za całość. Tworzyliśmy

małą grupę  
śledczych. Później  
nastąpiła eksplozja.  
Z tym samym  
ekstremalnym  
zainteresowaniem  
mediów, które teraz  
przeżywamy,  
wszystko zostało

podniesione na  
wyższy stopień.  
Wszystkie  
wypowiedzi muszą  
najpierw  
przechodzić przez

szefa CBS. A ponieważ nie robi prawie nic innego, jak tylko rozmawia z mediami, nie jest nigdy z dochodzeniem na bieżąco. Czasami mówi coś na wyrost, a później dostaje się nam, siedzącym niżej w systemie. Moją intencją nie jest krytykowanie. Naprawdę nie. Nikomu nie zazdrozczę odpowiadania

HHJHHHHMHB

*mmmmm*

*m*

na pytania społeczeństwa, kiedy dzieci umierają jak muchy.

Spojrzał w stronę ekspresu do kawy. Podniósł się i wlał zawartość pojemnika do niebieskiego termosu.

- Przecież, do cholery, nie mamy ani jednego pieprzonego śladu - dokończył dosadnie.

Inger Johanne nigdy nie słyszała go przeklinającego. W jakiś sposób było mu z tym do twarzy.

- Albo mamy milion śladów. Tylko że prowadzą do nikąd.

Nalał kawę do kubków dla nich obojga.

- Sprawę komplikuje fakt, iż do śledztwa włączyła się Okręgowa Komenda Policji w Oslo. Zwykle nie pomagamy im w śledztwie technicznym. Sami mają mnóstwo zdolnych ludzi. Teraz jednak powstaje większy bałagan niż w przedszkolu w dzień św. Łucji.

- Ale przy wszystkich tych kucharkach, do czego ja jestem jeszcze panu potrzebna?

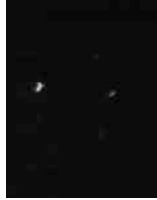
Powoli opuścił kubek. Uchwyt był zbyt mały dla jego grubych palców.

- Widzę panią w roli w pewnym sensie doradcy. Kogoś, z kim mógłbym przerzucać piłkę. Przekazanie pani myśli dalej do systemu byłoby łatwiejsze dla mnie. Na pewno wobec takiej osoby jak pani byłby du

ży - sceptycyzm. Korzystne byłoby istnienie pośrednika.  
Mnie.

Uśmiechnął się krzywo, jakby uznał za konieczne  
usprawiedliwienie swoich kolegów.

- Potrzebuję kogoś do przerzucania piłki - powie  
dział otwarcie. - Kogoś spoza systemu. Spoza chaosu,  
jeśli tak pani odpowiada.



!M^&S^i^0^--

- I jak pan by chciał zapoznać mnie z dokumentami tych wszystkich spraw, jeśli nie miałabym formalnej zgody na jakąkolwiek współpracę z CBS? - spytała chłodnym tonem.

- Tę sprawę biorę na swoją odpowiedzialność.

- Ale ja odpowiadam za to, aby nie pokazano mi materiałów z klauzulą tajności.

Pokręcił z rezygnacją głową.

- Czy nie mogłaby pani po prostu mi odpowiedzieć? Pytam ostatni raz. Nawet dla mnie istnieje pewna granica. Chociaż na to nie wygląda.

Inger Johanne położyła na język kostkę cukru. Rozpuściła się na podniebieniu, słodki smak zazgrzytał w zębach. On teraz odejdzie. Widziała to po nim. Nigdy go już więcej nie zobaczy.

- Tak - powiedziała lekkim tonem, jakby nie pytał jej już wcześniej. - Jeśli będę mogła, to pomogę panu.

W pierwszej chwili Inger Johanne sądziła, że Yngvar klaśnie w dłonie. Na szczęście tego nie zrobił. Zamiast tego zaczął sprzątać, jakby był u siebie w domu.

Yngvar Stubo opuścił mieszkanie Inger Johanne Vik dopiero o siódmej wieczorem.

Inger Johanne otworzyła drzwi. Nie wiedziała, co ma zrobić z rękoma. Wsadziła więc kciuki za pasek.

- Przypomina mi ją pani - stwierdził spokojnie



Yngvar i zapiał kurtkę.

**MK** - Pana córkę? Przypominam  
**SSSS** panu Trine?

-Nie.

Poklepał się lekko po piersi.

- Przypomina mi pani moją żonę.

■ *sim&mgk*

■ MBHI

■ ■

HI ■ ■

^ifs ^^^^^^^i^pi^i

H HI

mtfs

4 ■

■ ■

Na schody wbiegła Linę.

- O! Hej!

Przyjaciółka spojrzała z zaciekawieniem na obcego mężczyznę.

- Yngvar Stubo - mruknęła Inger Johanne. - Linę Skytter.

- Miło mi!

- Do widzenia.

Yngvar Stubo wyciągnął rękę. Zanim jednak Inger Johanne zdążyła ją uścisnąć, schował ją niezdecydowanie do kieszeni kurtki. Po czym kiwnął głową i odszedł.

- O rany! - wykrzyknęła Linę, zamykając za sobą drzwi. - Co za mężczyzna! Ale to nie dla ciebie. Absolutnie nie.

- Masz całkowitą rację - stwierdziła Inger Johanne z irytacją. - Dlaczego przyjechałaś?

- Jest za silny dla ciebie - paplała dalej Linę w drodze do pokoju gościnnego. - Po tej historii z Warrenem nie ma żadnych typów macho dla Inger Johanne Vik.

Rzuciła się na sofę i usiadła podwijając pod siebie nogi.

- Ty musisz mieć takich jak Isak. Słodkich, nieporozumiałych mężczyzn, którzy nie są mądrzejsi od ciebie.

- Przestań.

Linę wciągnęła powietrze i skrzywiła się.

- Pozwoliłaś mu... Dostał pozwolenie na *palenie* tutaj? I jutro ma przyjechać Kristiane?

- Przestań, Linę! Co chciałaś?

- Posłuchać o podróży do Ameryki, oczywiście. Przynajmniej ci o snofkaniu literackim w śróde. Cz

\*

T



zdajesz sobie sprawę, że ostatnim razem nie było cię po raz trzeci z rzędu? Pozostałe dziewczyny zastanawiają się, czy nie zrezygnowałaś już całkowicie. Po piętnastu latach. Ha!

Linę poprawiła się na sofie.

Inger Johanne zrezygnowała z dalszej dyskusji i udała się do chłodnej sypialni, żeby przynieść wino ze znajdującego się tam stojaka. Najpierw chwyciła za butelkę barolo. Potem jednak włożyła ją ostrożnie z powrotem na miejsce. Obok stało wino w kartonie.

*Ona i tak nie zauważy różnicy -*

plą do pokoju, gdzie czekała oLinę, zastanawiała się czy nYngvar Stubo jest yabstynentem. Mógł na takiego wyglądać. Miał gładką i świeżą cerę, bez arozszerzonych porów. A ł białka oczu były tak jasne. aMoże Yngvar Stubo w . ogóle nie pił.

K - Tu masz swoje wino - ie powiedziała do Linę. - Ja dy zadowolę się chyba w filiżanką herbaty.

ra  
ca

o^^o^^^\$S^4

*wwm*

{  
J  
S  
^  
E  
&  
g



fpfft



*^em^mmm^mems*

ss'



S«»^Kaiw! ^rolfiis



**H**



Podróż upływała mu w przyjemnej atmosferze. I choć samochód był sześćioletnim oplem vectrą, to siedziało mu się wygodnie. Nie tak dawno wymieniał amortyzatory. Samochód był w dobrym stanie. Odtwarzacz był dobry. Muzyka była dobra.

- Dobra. Dobra. Dobra.

Ziewnął i przetarł czoło. Nie może zasnąć. Jechał, nie robiąc przerw, a teraz zbliżał się do Lavangsdalen. Od wyjazdu z garażu upłynęło dwadzieścia pięć godzin. No dobrze, garaż albo nie garaż. Stara stodoła dobrze funkcjonowała zarówno jako miejsce postoju dla samochodu, jak i magazyn na rzeczy, których nie miał serca wyrzucić. Człowiek nigdy nie wiedział, kiedy mu dana rzecz będzie potrzebna. Na przykład w tej chwili był bardzo szczęśliwy, że nie pozbył się starych kanistrów, należących do poprzedniego właściciela domu. Na pierwszy rzut oka wydawały się całkowicie zardzewiałe. Jednak po porządnym wyszorowaniu metalową szczotką

wyglądały jak nowe. Przez wiele tygodni zbierał do nich benzynę. Tankował też samochód, jak miał w zwyczaju, na stacji benzynowej u Bobba w pobliżu miejscowej spółdzielni. Nie za często, nie za dużo; ani mniej, ani więcej niż zwykle tankował po wprowadzeniu się do tego niewielkiego gospodarstwa. A kiedy wracał do domu, przelewał kilka litrów do kanistrów.

Z czasem uzbierał dodatkowo dwieście litrów. W drodze na północ nie musiał kupować benzyny. Żadnego postoju, podczas którego mógłby być obserwowany. Żadnych pozostawionych pieniędzy z odciskami palców. Jadąc odpowiednio zabrudzonym, ciemnoniebieskim oplem vectrą, mógł być kimkolwiek. Nieznajomy w podróży. Tablice rejestracyjne były również zabrudzone i trudno było je odczytać. Nic się nie rzucało w oczy. W północnej Norwegii panowała wiosna.

W Lavangsdalen brudnoszary śnieg leżał wokół pni drzew. Była niedziela, siódma rano. Przez wiele minut nie spotkał żadnego samochodu. Zwolnił na łagodnym zakręcie. Wjechał wolno na mokrą, polną drogę, gdzie spod kół rozpryskiwały grudki ziemi. Na szczęście poszło dobrze. Zatrzymał się za kamienistym wzgórzem. Wyłączył silnik. Czekał. Nasłuchiwał.

Nikt nie mógł go zobaczyć. Zdjął z ręki zegarek. Wielki, czarny zegarek do nurkowania. Z funkcją budzika. Będzie teraz dwie godziny spał.

Potrzebował jedynie dwóch godzin.



## 32

wac. Niczego innego nie można się było chyba spodzie-

Alvhild Sofienberg przyjęła historię o zniknięciu Aksela Seiera zadziwiająco spokojnie. Podniosła nieznacznie do góry cienkie brwi. Po czym dyskretnie przetarła pokrytą meszkiem górną wargę i prawie niezauważalnie mlasnęła, tak jakby wypadła jej sztuczna szczeka.

- Bogowie tylko wiedzą, w jaki sposób ja bym przyjęła taką wiadomość. Trudno wczuć się w taką sytuację. Niemożliwe. Ale wygląda na to, że ułożył sobie życie.

- Definitywnie. To znaczy... Właściwie trudno jest cokolwiek powiedzieć po tak krótkim spotkaniu o tym, jak wygląda jego życie. Ale fantastycznie mieszka. Nad morzem. Piękna plaża. Ma ładny dom. Wygląda na to, że się przystosował. Myślę o otoczeniu.

Sąsiedzi znają go i interesują się nim. To wszystko, co mogę powiedzieć.

- Nadzwyczajne - mruknęła Alvhild.

- Przynajmniej jeśli bierze się pod uwagę całą sytuację - odezwała się Inger Johanne.

- Mam na myśli te nowoczesne komputerowe rzeczy.

- Alvhild zamachała niezdecydowanie palcami.

- Proszę pomyśleć, że znalezienie miejsca zamiesz-

kania Seiera zajęło mniej niż tydzień. Nadzwyczajne.

Absolutnie fantastyczne.

- Internet.

Inger Johanne uśmiechnęła się.

- Czy pani nigdy nie myślała o zainstalowaniu sobie Internetu? Byłoby to dla pani na pewno dobre, tutaj gdzie...

- Leżę i niedługo umrę - powiedziała Alvhild lakonicznie. - Ładnie by to wyglądało. Ja mam swoją maszynę do pisania, IBM z 1982 roku. Trochę ciężka do trzymania na kolanach, ale jeśli trzeba, to trzeba. - Spojrzała na biurko przy oknie, na którym stała maszyna z czystą kartką papieru. - Nie koresponduję już tak często. Nie odgrywa to więc żadnej roli. Rozporządziłam swoim majątkiem. Moje dzieci odwiedzają mnie codziennie. Mają zapewnioną przyszłość i na ile mogę ocenić, są całkiem szczęśliwe. Wygląda na to, że wnuki są dobrze wychowane. Faktycznie zdarza się, że mnie odwiedzają, bez wyraźnego okazywania, iż zostali odkomenderowani. Ja nawet nie potrzebuję telefonu. Ale gdybym była młodsza...

- Pani ma takie piękne oczy - odezwała się Inger Johanne i przelknęła ślinę. - One są takie... niebieskie. Niezwykle niebieskie.

Uśmiech Alvhild był tym razem inny. Inger Johanne nie zasłużyła na niego. Pochyliła głowę i zamknęła oczy. Palce Alvhild, suche i twarde niczym gałęzie wyschniętego

drzewa, pogładziły ją po brodzie.

- Sprawiała mi pani radość, Inger Johanne. Mąż mówił mi to samo. Bez ustanku.

Ktoś zapukał do drzwi. Inger Johanne gwałtownie



MHiHi

HH HHHNS9I HM

i;iiSSS



■ ■ 1

wyprostowała się i odsunęła od łóżka, jak ktoś przyłapany na robieniu czegoś nielegalnego.

- Myślę, że czas na odpoczynek - powiedziała pielęgniarka.

- Człowiek jest całkowicie ubezwłasnowolniony - powiedziała ze skargą w głosie Alvhill, przewracając oczami.

Inger Johanne nie zdążyła odsunąć swojej ręki. Ręka Alvhill, niczym szpon, trzymała w uchwycie jej przegub.

- I pani myśli, że może teraz tak zniknąć?

Zniecierpliwiona pielęgniarka stanęła przy łóżku z rękami opartymi na biodrach i wzrokiem skierowanym w górę.

- Tylko chwilę - powiedziała Alvhill sztywno.

- Jeszcze nie skończyłam z tą młodą panią. Gdyby była pani tak miła i zaczekała moment na korytarzu, to ja zaraz będę gotowa do popołudniowej drzemki.

Pielęgniarka z wahaniem wycofała się z pokoju, jakby podejrzewała Inger Johanne o nieczne zamiary. Mogły usłyszeć, że nie odeszła zbyt daleko, a drzwi zostawiła niedomknięte.

- Nie wydaje mi się, że mogłabym jeszcze coś więcej zrobić - powiedziała, jękając się, Inger Johanne.

- Czytałam dokumenty. Zgadza się z panią. Wszystko wskazuje na to, że Akselowi Seierowi wyrządzono wielką krzywdę. Odnalazłam go, pojechałam do niego przez ocean, rozmawiałam z nim. Jeśli w jakimś sensie otrzymałam zadanie, to je wykonałam.

Alvhild zaśmiała się niskim, ochrypłym głosem, który przeszedł w suchy kaszel.



197

- My się tak łatwo nie poddajemy, Inger Johanne.

- Ale co...

- Gdzieś musi znajdować się nekrolog. -Co?

- Syna tej starszej kobiety, która zgłosiła się na policję w 1965 roku. Tej, która uważała, że to jej syn był winny. Zdarzenie, które doprowadziło do wypuszczenia Aksela Seiera na wolność. Na policję zgłosiła się, ponieważ syn już nie żył. Jedyne, co wiem na temat tej kobiety, to to, że mieszkała w Lillestrom. Pani ze swoim internetem... Czy znalazłaby pani nekrolog w lokalnej gazecie z czerwca 1965 roku? To musi być ogłoszenie, gdzie wymieniony jest tylko jeden żałobnik.

Inger Johanne spojrzała szybko na drzwi. Biała postać poruszała się niecierpliwie tam i z powrotem.

- Jeden żałobnik. Skąd pani o tym wie?

- Ja nie *wiem* - odpowiedziała Alvhild. - Ja *przypuszczam*. Sprawa dotyczy dorosłego syna, który mieszkał z matką. Zdaniem pracującego w więzieniu pastora, który był moim źródłem informacji, syn był opóźniony w rozwoju. Wydaje mi się, że chodzi tutaj o jedną z tych smutnych... - Machnęła jednak ręką, przerywając sobie. - Dość już. Proszę próbować. Proszę szukać.

Cierpliwość pielęgniarki wyczerpała się.

- Muszę zaprotestować. Pani Sofienberg potrzebuje jak najwięcej odpoczynku.



m...  
- Pa  
ni  
m  
a  
cz  
as  
,  
dr  
og  
a  
pr  
zy  
ja  
ci  
ól  
ko  
.  
W  
pa

Inge

r

Joha

nne

uśm

iech

nęła

się

potu

lnie

do

Alv

hild.

- Jeśli

znaj

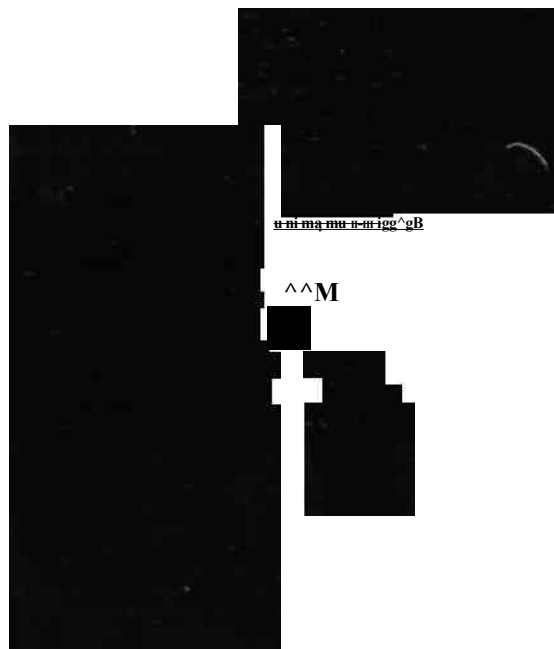
dę

czas

, to

posz

uka



ni  
wi  
ek  
u  
m  
a  
si  
ę  
m  
nó  
st  
w  
o  
cz  
as

u.

*l'Amf'lr-Mh*

Inger Johanne nie pożegnała się nawet porządnie. I dopiero kiedy znalazła się na ulicy, uderzyła ją myśl, że w sypialni Alvhild nie było już zapachu cebuli. Ponadto pomyślała o czymś, o czym nie myślała od chwili powrotu z USA do domu. Otóż coś zauważyła u Aksela Seiera, coś niesprecyzowanego przykuło jej uwagę. Tylko, że zbyt późno. I u Alvhild, podczas rozmowy, pojawiło się z jakiegoś nieznanego powodu coś, co jej o tym przypomniało. Coś, co zostało powiedziane, albo coś, co zobaczyła.

W drodze do domu rozboleła ją głowa.

- Nazywa się Król Ameryki.

-Co?

Inger Johanne nigdy jeszcze nie widziała tak brzydkiego zwierzaka. Kolor jego sierści przypominał zawartość pieluszek Kristiane z najgorszego okresu jej choroby: żółto-brązowy z ciemniejszymi, nieokreślonymi plamami. Jedno ucho sterczało w górę, drugie zwisało. Głowa nieproporcjonalnie duża w stosunku do reszty ciała. Ogon kręcił się niczym wiertarka i zdawało się, że bestia się śmieje. Językiem natomiast niemal zamiatał podłogę.

- Jak się nazywa?

- Król Ameryki. Mój pies. Piesekorzeszek Kristiane postanowiła ponosić bestię, która wyglądała na zbyt wielką, jak na swoje trzy miesiące życia. Szczeniak nie chciał jednak być noszony. Skończyło się na tym, że Kristiane, na czworakach i z wywieszonym językiem, powędrowała za nim do pokoju gościnnego.

- Skąd ona wzięła tę nazwę?

Isak wzruszył ramionami.

- Czytamy teraz *W Dolinie Muminków*. Pamiętasz, jak Muminek zostaje zamieniony w Króla Kalifornii. Może to stamtąd. Nie mam pojęcia.

- Jack - krzyknęła Kristiane z drugiego pokoju. - Nazywa się też Jack.

Inger Johanne przeszedł lekki dreszcz.

- Co się dzieje?

Isak pogłaskał ją po ramieniu.

- Czy dzieje się coś złego?

- Nie. Tak. Ja po prostu nie rozumiem tego dziecka.

- To tylko imię. O mój Boże, przecież to nie jest nic takiego, Inger Johanne, co...

- Nieważne. Jak wam upłynął czas?

Odwróciła się do niego plecami. Król Ameryki nasyślał na dywan. Kristiane próbowała ściągnąć pudełko z ciastkami z górnej półki w kuchni. Stała na najwyższej szafce i w każdej chwili mogła spaść.

- Hoop!

Inger Johanne złapała córkę, próbując ją pocałować.

- Jack lubi płatki kukurydziane - stwierdziła Kristiane i wywinęła się z jej uścisku.

Przykrywka otworzyła się. Pudełko upadło na ziemię. Przybiegł pies. Dziecko i bestia zaczęły tarzać się w płatkach. Na podłodze trzeszczało, a Kristiane śmiała się gwałtownie.

- Przynajmniej sprawia *jej* to radość - uśmiechnęła się z rezygnacją Inger Johanne. - Dlaczego wybrałaś coś



ta	- Cicho	ona odsunęła się.
k..	!	
.	Isak	
br	położ	
zy	ył	
dk	palec	
ie	na jej	
go	ustac	
!	h, a	

fr:hw:1^0^E...^te.  
^?

Hs!

1-0:

^ ^ ^ ^ ^

mmivviiHR

■ ■ •

t

■■■■é  
^ ^ ^

—

- Jack jest piękny. Czy coś się wydarzyło? Wyglądasz tak... Coś jest dzisiaj szczególnego w tobie.
- Pomóż mi - odpowiedziała krótko i wyjęła odkurzacza.

Nie mogła zrozumieć, dlaczego Kristiane postanowiła, że pies ma się nazywać Jack, Król Ameryki.



### 33

Odczuwał dziwne napięcie nerwowe. A może był tylko zmęczony. Dwie godziny snu na bocznej drodze w Lavangsdalen, niecałą godzinę drogi do Tromsø, oczywiście pomogło. Nie czuł się jednak w szczególnie dobrej formie. Bolały go mięśnie kręgosłupa. Miał wysuszone oczy, mrugał więc silnie i próbował, ziewając, wycisnąć choć jedną łzę. Napięcie nerwowe objawiało się kluciem w koniuszkach palców i uczuciem niepokoju i pustki w żołądku. Zaczął pić dużymi haustami wodę z butelki. Samochód stał zaparkowany za domami akademickimi w pobliżu Prestvannet. Studenci wchodzą i wychodzą. Pożyczają samochody. Przyjmują gości. Dlatego tutaj musiał zaparkować. Nie mógł jednak już dłużej siedzieć w samochodzie. Przyciągał w ten sposób uwagę innych. Szczególnie w miejscu, gdzie mieszkała cała masa samotnych kobiet. Zakorkował butelkę, wciągając głęboko powietrze.

Dojście do niewielkiej bocznej drogi, leżącej na szczycie Langnesbakken zabierało mniej niż pięć minut. Wiedział o tym doskonale, gdyż był tam już wcześniej. Znał jej przyzwyczajenia. Wiedział, że była zawsze w domu w każdą ostatnią niedzielę miesiąca. Dokładnie o piątej przyjdzie matka. Tak jak zawsze to robiła. Na kontrolę swojej własności. Zakamuflowaną rodzinnym obiadem. Baranina duszona w kapuście, kieliszek

dobrego wina i  
badawczy wzrok.  
Czy czysto? Czy  
ładnie? Czy  
wymieniona  
uszczelka w  
łazience?

Wiedział, co  
będzie się działo.  
Na wiosnę był tutaj  
trzy razy. Rozejrzał  
się. Zanotował.  
Była za pięć trzecia.  
Minął zakręt i  
spojrzał przez  
ramię. Padał  
deszcz, ale nie za  
wielki. Chmury  
zakryły góry na  
Kvaloya. Od  
zachodu  
pociemniało i  
pogoda z pewnością  
pogorszy się pod  
wieczór. Lekko i  
szybko przeszedł  
przez ogród i  
znalazł się za  
zaroślami. Były  
rzadsze, niż by tego  
sobie życzył. Mimo

że miał szare i  
ciemnoniebieskie  
ubranie, mógł być  
łatwo dostrzeżony  
przez kogoś  
postronnego. Nie  
ogładając się za  
siebie, podbiegł  
małymi krokami do  
ściany domu. Od  
strony północno-  
zachodniej nie było  
żadnych sąsiadów.  
Jedynie zmoknięte  
brzoźki, zarośla i  
kałuże z brudnymi  
resztkami śniegu.  
Ciężko oddychał.  
Nie tak miał to  
odczuwać. Uczucie  
zdenerwowania  
dusiło w krtani,  
powodując, że  
kilkakrotnie szybko  
przełknął ślinę.  
Nigdy mu się to  
wcześniej nie  
zdarzyło. Kurczowo  
przytrzymał  
saszetkę, przy-  
czepioną do paska.  
Podniecenie. Tak  
powinno być.  
Spowodowało to w  
nim wewnętrzny  
okrzyk radości.  
Nadszedł jego czas.  
Nadszedł jego  
czas.

Niewyraźnie  
słyszał jej głos.  
Wiedział bez  
patrzenia na  
zegarek, że jest  
godzina trzecia.  
Wstrzymał oddech.  
Zapadła cisza. A  
kiedy wyjrzał zza  
rogu domu, zrozu-  
miał, iż miał więcej  
szczęścia, niż mógł  
przypuszczać.  
Wystawiła wózek  
na sam trawnik. Na  
tarasie powiewał  
stary hamak i nie  
było miejsca na  
wózek dziecięcy.  
Na świecie nie było  
innych głosów, jak  
tylko jego szybki  
oddech i samolot,  
szykujący się do  
lądowania na  
Langnes.

Siali!

iiifPS

mm\* \$i-<&m?u?&-r

203

ptssi...#EPSE

Otworzył saszetkę. Przygotował się. Zbliżył się do wózka.

Stał pod okapem dachu, chroniony przed kapiącym wiosennym deszczem. Dziecko było tak grubo okryte, jakby wokół domu szalał zimowy sztorm. Do tego podniesiona budka, i przypięte nakrycie przeciwdeszczowe. A na dodatek matka zawiesiła wokół całego wózka rodzaj siatki, może miała to być ochrona przed bezpańskimi kotami. Ciężko mu szło z siatką. Potem odpiął i ściągnął nakrycie przeciwdeszczowe. Dziecko leżało w niebieskim śpiworze i miało na głowie czapkę. Już koniec maja, a dziecko ma na głowie czapkę! Ściśle przylegającą. Troczki, zawiązane pod brodą, znikwały w fałdkach pulchnej szyi. W wózku było ciasno. Dziecko spało głęboko z otwartymi ustami.

Nie wolno mu go obudzić.

Nigdy w życiu nie poradzi sobie ze zdjęciem tego ubrania. Zaklął.

Fala paniki, niczym wzburzone morze, pojawiła się w dole, w stopach, przeszła całe ciało i pozbawiła oddechu. Upuścił strzykawkę. Przecież musi mieć ze sobą strzykawkę. Dziecko z otwartymi ustami zagul-gotało. Dziecko było jednym wielkim otworem, który oddychał. Strzykawka. Schylił się, podniósł ją, schował do saszetki, wyjął kartkę, trzęsły mu się ręce, zgubił plastikową okładkę. Schylił się, podniósł ją, schował do saszetki. Śpiwór był pełen puchu. Przesunął go do otworu, który oddychał. Mocno przytrzymał ciemnoniebieski materiał palcami w rękawiczce, dziecko wykręciło się, próbowało się uwolnić. Dziwnie łatwo przeszkodził temu, trzymał mocno, silniej przycisnął i nie puszczał,

■\*S^W&ŚW&^"-

^^H^H |||itó^!?!;

mSm ppPlljp Ssffe





aż do chwili, gdy pod puchem i niebieską tkaniną nic już więcej nie stawiało oporu. Nie puszczał jednak. Jeszcze nie. Trzymać i przyciskać. Samolot zdążył wylądować i wokół zapanowała cisza.

Na szczęście pamiętał o kartce.

- Pamiętałem o kartce - powtarzał sobie, gdy siedział już w samochodzie. - Pamiętałem o kartce.

Mimo że dwa razy zasnął za kierownicą (na skutek gwałownego skrętu na pas awaryjny zdążył się na czas obudzić i wyprowadzić samochód na drogę), zdołał dotrzeć aż do Majavatn, zatrzymując się jedynie na odosobnionych drogach, aby oddać mocz i napełnić bak benzyną z kanistrów. Potrzebował jednak snu. Na jednej z bocznych dróg znalazł na nieczynnym polu campingowym miejsce do ukrycia samochodu.

To wszystko nie odbyło się tak, jak powinno.

Powinien zachować kontrolę. Powinno być wykonane tak, jak było zaplanowane. Chociaż z powodu braku snu czuł się źle, nie mógł zasnąć. Zaczął płakać. Wszystko poszło nie tak, jak powinno. Przecież nadszedł jego czas. Nareszcie. Jego plan, jego wola. Płacz wzmagął się, powodując uczucie wstydu. Zaklął i zaczął bić się po twarzy.

- Na szczęście pamiętałem o kartce - zamruczał i wytarł palcami nos.

Dźwięk dzwonka wyrwał ją ze snu. Dźwięk był krótki, jakby ktoś próbował ją obudzić, starając się jednocześnie nie przeszkodzić Kristiane. Król Ameryki skomlał w pokoju córki, zanim więc otworzyła drzwi wyjściowe, wypuściła go. Na szczęście dziecko spało spokojnie w ciężkim zapachu snu i psiego moczu. Pies skakał na nią tam i z powrotem, pazury boleśnie drapały jej gołe nogi. Próbowała go odepchnąć, jednak w drodze na korytarz potknęła się, uderzając małym palcem u nogi o próg. Obawiając się, że stojąca na zewnątrz osoba może zadzwonić jeszcze raz, pokuśtykała z przekleństwem na ustach do drzwi, żeby je otworzyć.

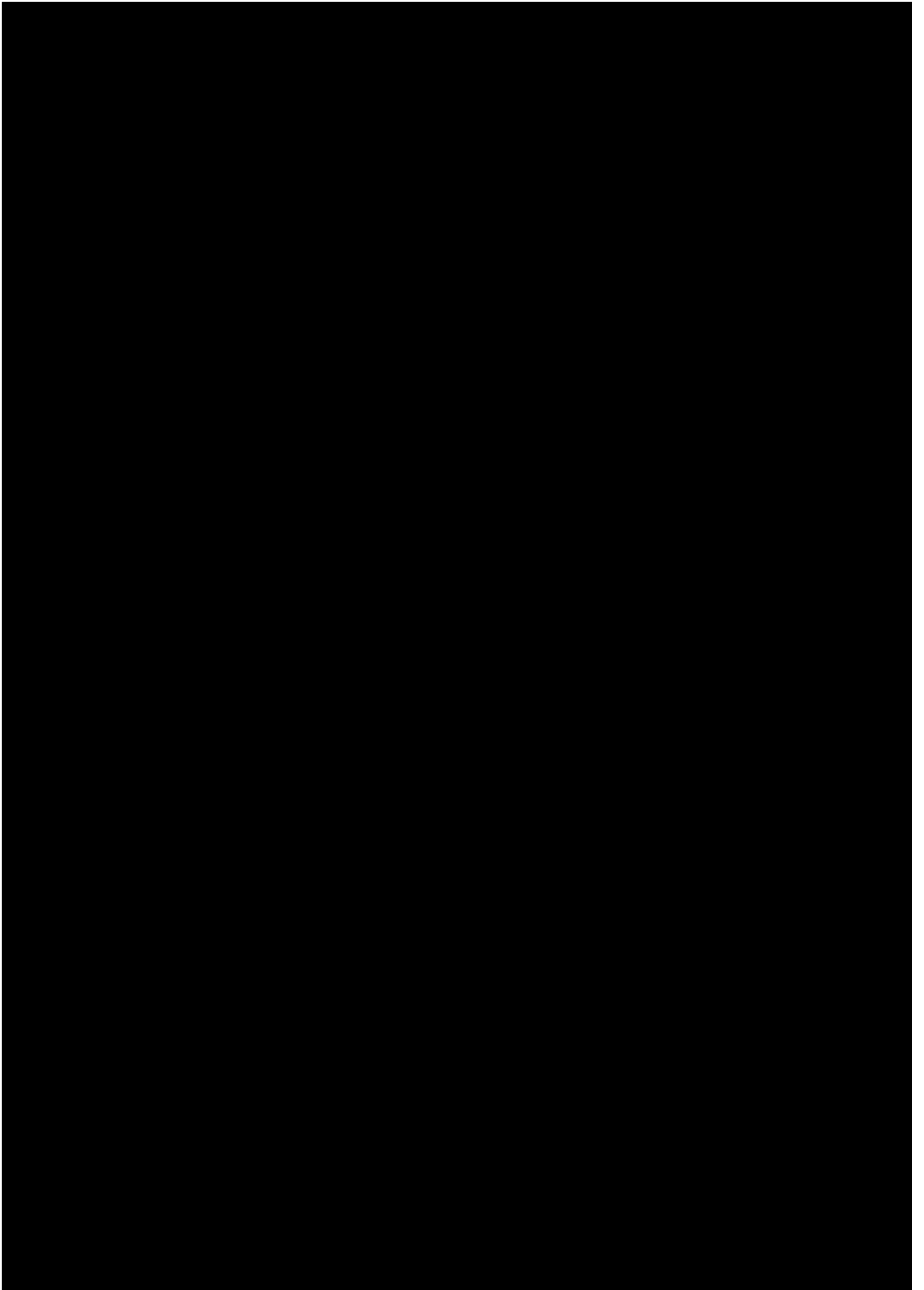
Trudno było zobaczyć jego oczy. Cała postać wydawała się mniejsza, ramiona miał pochylone do przodu, a gdy podniósł rękę w obronnym geście, poczuła lekki zapach potu. Pod pachą trzymał aktówkę. Uchwyt był popsuty, trzymał ją więc niezgrabnie, niczym pudło, z otwartą klapą.

- Niewybaczalne - wymamrotał. - Ale dopiero teraz mogłem przyjść.
- Która godzina?
- Pierwsza. Znaczący, w nocy.
- To wiem - powiedziała ironicznie. - Proszę wejść. Włożę tylko coś innego na siebie.

Usiadł w kuchni. Król Ameryki obgryzał lekko jego

'm







208

rzeczą, ale można się z nią pogodzić. Przynajmniej ona. Wszyscy poza rodziną. Matką. Ojcem.

- Tromso! Nie pasuje!

Pochyliła się do przodu, usiłując spojrzeć mu w oczy. Odwrócił się w stronę ekspresu do kawy. Podniósł się powoli i jakby z trudem. Otworzył górną szafkę i wyjął dwa kubki. Przez chwilę przyglądał się im nieruchomo. Na jednym z nich widniała ferrari, zmyte przez zmywarkę do koloru blad różowego. Drugi kubek miał kształt bezwolnego smoka ze stłuczonym skrzydłem i zwisającym ogonem. Nalał do obu i ten z samochodem podał Inger Johanne. Para z gorącej kawy przykleiła się do jej twarzy. Objęła kurczowo kubek obiema rękami i zapragnęła, aby Yngvar zgodził się z jej poglądem. Tromso leżało zbyt daleko. Wzór się nie zgadza. Sprawca nie znalazł czwartej ofiary. To nie mogło tak wyglądać. Pies zaskomlał przez sen.

- Kartka - powiedział zmęczonym głosem i zaczął siorbać wrzący płyn. - Zostawił kartkę. *Dostajesz to, na co zasługujesz.*

- Ale...

- Nie wyjawiliśmy jeszcze wszystkich szczegółów.

W prasie nie było na ten temat ani słowa. Zdaliśmy do tej chwili zachować to tylko dla siebie. To musi być on.

Inger Johanne spojrzała na zegarek.

- Pięć po wpół do drugiej - odezwała się. - Mamy cztery godziny i trzydzieści pięć minut do momentu, gdy budzik zadzwoni. Zaczniemy więc. Zakładam, że pana aktówka zawiera coś ciekawego. Proszę ją przynieść. Mamy cztery i pół godziny.

- A więc jedyną wspólną cechą jest kartka z przesłaniem?

Odchyliła się z rezygnacją do tyłu i założyła ręce na kark. Wszędzie poprzyczepiane były żółte kartki. Na lodówce wisiał ogromny arkusz papieru. Był wcześniej zwinięty, dlatego teraz przymocowany został solidną taśmą klejącą, aby nie spadł. Nazwiska dzieci wpisano w rubrykach na górze, a pod nimi ciągnęły się różne informacje, poczynając od ulubionych potraw, a kończąc na opisie zdrowia. Rubryka z nazwiskiem Glenn Hugo prezentowała się skromnie. Jedyne informacje, jakie mieli o tym małym chłopcu, nieżyjącym dopiero jeden dzień, dotyczyły najbardziej prawdopodobnej przyczyny śmierci: przez uduszenie. Wiek i waga. Normalny, zdrowy, jedenastomiesięczny chłopczyk.

A poza tym z kartki formatu A4, wiszącej nad kuchenką, wynikało, że rodzice nazywali się May Berit i Frode Benonisen, mieli 25 i 28 lat i mieszkali w domu zamożnej matki kobiety. Oboje pracowali w urzędzie gminy, on jako pracownik asenizacyjny, ona jako sekretarka biura przewodniczącego samorządu gminnego. Frode ukończył dziewięcioletnią szkołę podstawową i miał za sobą dość przeciętną karierę jako piłkarz w drużynie z Tromsø TIL. May Berit studiowała dwa lata historię religii i hiszpański na Uniwersytecie w Oslo. Mijała właśnie druga rocznica ich ślubu.

- Kartka z przesłaniem. Wszystkie ofiary są dziećmi. Wszystkie nie żyją.
- Nie. Nie musi to dotyczyć Emilii. Nic na ten temat nie wiemy.
- To prawda.

^^



Po  
cie  
rał  
sk  
ór  
ę  
gł  
ow  
y  
ko  
stk  
am  
i  
pal  
có  
w  
rą  
k.  
-  
K  
a  
r  
t  
k  
i  
,

n  
a

k  
t  
ó  
r  
y  
c  
h

b  
y  
ł  
o

p  
i  
s  
a  
n  
e

p  
o  
s  
ł  
a  
n  
i  
e  
,

p

o  
c  
h  
o  
d  
z  
ą

z

d  
w  
ó  
c  
h

r  
ó  
ż  
n  
y  
c  
h

b  
l  
o  
k  
ó  
w  
.

A  
l  
b

o

b

a

r

d

z

i

e

j

p

r

e

c

y

z

y

j

n

i

e

,

z

e

s

t

o

s

u

k

a



r  
t  
e  
k  
.

Z  
w  
y  
k  
ł  
y

p  
a  
p  
i  
e  
r

d  
o

k  
o  
p  
i  
a  
r  
k  
i  
,

k  
t

ó  
r  
y

m  
a  
j  
ą

w  
s  
z  
y  
s  
c  
y

p  
o  
s  
i  
a  
d  
a  
c  
z  
e

d  
o  
m  
o  
w  
e  
g

o

k

o

m

p

u

t

e

r

a

.

Ž

a

d

n

y

c

h

o

d

-

c

i

s

k

ó

w

p

a

l

c

ó  
w  
.  
P  
o  
n  
o  
w  
n  
i  
e  
  
p  
o  
t  
a  
r  
ł  
  
s  
k  
ó  
r  
ę  
  
g  
ł  
o  
w  
y  
,  
  
r  
ę  
k

a  
m  
i  
.

N  
i  
e  
m  
a  
l

n  
i  
e  
-  
w  
i  
d  
o  
c  
z  
n  
a

s  
m  
u  
g  
a

ł  
u  
p  
i

e  
ż  
u

p  
r  
z  
e  
b  
ł  
y  
s  
k  
i  
w  
a  
ł  
a

w

ś  
w  
i  
e  
t  
l  
e

p  
a  
d  
a  
j  
ą

c  
y  
m

z

s  
i  
l  
n  
i  
e

ś  
w  
i  
e  
c  
ą  
c  
e  
j

l  
a  
m  
p  
y  
,

k  
t  
ó  
r  
ą

p  
r  
z  
y  
n  
i  
o  
s  
ł  
a

z

p  
o  
k  
o  
j  
u  
.  
-

O  
c  
z  
y  
w  
i  
ś  
c  
i  
e

z



a

w

c

z

e

ś

n

i

e

j

e

s

t

m

ó

w

i

ć

c

o

ś

p

e

w

n

e

g

o

o

t  
e  
j

o  
s  
t  
a  
t  
n  
i  
e  
j

s  
p  
r  
a  
w  
i  
e  
.

W

d  
a  
l  
s  
z  
y  
m

c

i  
ą  
g  
u

j  
e  
s  
t

b  
a  
d  
a  
n  
a  
.

A  
l  
e

n  
i  
e

s  
ą  
d  
z  
ę  
,

ż  
e

b  
y  
ś  
m  
y

m  
o  
g  
l  
i

m  
i  
e  
ć

z  
b  
y  
t

d  
u  
ż  
ą

n  
a  
d  
z  
i  
e  
j  
ę

.

T  
e  
n

t  
y  
p

j  
e  
s  
t

o  
s  
t  
r  
o  
ż  
n  
y

.

B  
a  
r  
d  
z  
o

o  
s  
t

r  
o  
ž  
n  
y  
.

C  
h  
a  
r  
a  
k  
t  
e  
r

p  
i  
s  
m  
a

j  
e  
s  
t

r  
ó  
ž  
n  
y

z

k  
a  
r  
t  
k  
i

n  
a

k  
a  
r  
t  
k  
e  
,

p  
r  
z  
y  
n  
a  
j  
m  
n  
i  
e  
j

n  
a

p  
i  
e  
r  
w  
s  
z  
y

r  
z  
u  
t

o  
k  
a  
.

T  
o

m  
o  
ż  
e

b  
y  
ć

c  
e  
l  
o



w  
e  
.

B  
e  
d  
a

p  
o  
r  
ó  
w  
n  
a  
n  
e

p  
r  
z  
e  
z

e  
k  
s  
-

p  
e  
r  
t  
a

.  
-

A

c  
o  
z  
t  
y  
m

ś  
w  
i  
a  
d  
k  
i  
e  
m

..  
. T  
y  
m

..  
. I  
n  
g  
e  
r

J  
o

h  
a  
n  
n  
e

w  
s  
t  
a  
ł  
a

i

z  
a  
c  
z  
ę  
ł  
a

p  
r  
z  
e  
s  
u  
w  
a  
ć

p  
a

l  
c  
e  
m

p  
o

r  
z  
ę  
d  
z  
i  
e

ż  
ó  
ł  
t  
y  
c  
h

k  
a  
r  
t  
e  
k  
,

w  
i  
s

z  
ą  
c  
y  
c  
h

n  
a

s  
z  
a  
f  
c  
e

.

- O

t  
u  
t  
a  
j.

M

ę  
ż  
c

z  
y  
z  
n  
a

z  
u  
li

c  
y  
S  
o  
lt  
u  
n  
v  
e  
i  
e  
n  
l  
.  
C  
o  
o  
n  
w  
ł  
a  
ś  
c  
i  
w  
i  
e  
w  
i  
d  
z  
i  
a  
ł  
?

- E  
m  
e  
r  
y  
t  
o  
w  
a  
n  
y  
p  
r  
o  
f  
e  
s  
o  
r  
.  
W  
g  
r  
u  
n  
c  
i  
e  
r  
z  
e  
c  
z  
y

t  
o  
b  
a  
r  
d  
z  
o  
w  
i  
a  
r  
y  
g  
o  
d  
n  
y  
ś  
w  
a  
d  
e  
k  
.  
P  
r  
o  
b  
l  
e  
m  
j  
e  
s



t

w

t

y

m

,

ż

e

o

n

..

.

Y

n

g

v

a

r

n

a

l

a

ł

s

o

b

i

e

s

z

ó

s

t  
ą

k  
a  
w  
ę  
.

O  
d  
b  
i  
ł  
o

m  
u

s  
i  
ę

k  
w  
a  
s  
e  
m

i

p  
r  
ó

b  
o  
w  
a  
ł  
  
t  
o  
  
z  
a  
t  
r  
z  
y  
m  
a  
ć  
,  
  
p  
r  
z  
y  
k  
r  
y  
w  
a  
j  
ą  
c  
  
u  
s

t  
a

r  
e  
k  
a

.-

N  
i  
e

w  
i  
d  
z  
i

d  
o  
b  
r  
z  
e  
.

B  
a  
r  
d  
z  
o

s  
i  
l  
l  
n  
e

o  
k  
u  
l  
a  
r  
y  
.

A  
l  
e

z  
o  
-

s  
t  
a  
w  
m  
y

t  
o  
.

R

e  
p  
e  
r  
o  
w  
a  
ł

t  
a  
r  
a  
s

i

m  
i  
a  
ł

s  
t  
a  
m  
t  
ą  
d

d  
o  
b  
r  
y

w  
i  
d  
o  
k

n  
a

d  
r  
o  
g  
ę  
.

Y  
n  
g  
v  
a  
r  
u  
ż  
y  
ł  
d  
r  
e  
w  
n  
i  
a  
n  
e

j  
ł  
y  
z  
k  
i  
d  
o

w  
s  
k  
a  
z  
y  
w  
a  
n  
i  
a  
n  
a



*m*

**SB H**

*rn^Eiσ* 5\*s g«g5-  
^H|HiV

SSMMKS

211

pobieżnie naszkicowanej mapie terenu, przyklejonej taśmą do okna.

- Poinformował, że w interesującym nas czasie zauważył trzy osoby - wyjaśnił. - Kobietę w średnim wieku, ubraną w czerwony płaszcz. Sądzi, że wie, kim ona jest. Chłopaka na rowerze, którego chyba nie musimy brać pod uwagę. Oboje szli drogą w kierunku miejsca zabójstwa. Ale widział też mężczyznę, który mógł być w wieku od dwudziestu pięciu do trzydziestu pięciu lat.

Drewniana łyżka ponownie przesunęła się po mapie.

- Szedł w przeciwnym kierunku, w stronę Langnesbakken. Było kilka minut po trzeciej. Świadek jest o tym przekonany, gdyż zaraz po tym przyszła jego żona, żeby zapytać, kiedy ma być obiad. Spojrzał wtedy na zegarek i uznał, że z nową balustradą będzie gotów na piątą.

- I coś charakterystycznego było w jego sposobie chodzenia?

Inger Johanne mrużąc oczy przyglądała się mapie.

- Tak. Profesor mówił o osobie... - Yngvar poszperał w stosie papierów. - „Która szła pośpiesznie, starając się nie pokazywać tego”.

Spojrzała sceptycznie na notatki.

- I jak to można stwierdzić?

- Uważa, że człowiek ten szedł wolniej, niż pragnął, tak jakby właściwie chciał biec, ale nie miał na to odwagi. Rzeczywiście inteligentna obserwacja. Jeśli jest zgodna z prawdą. Sam próbowałem po drodze tutaj zrobić to samo i coś w tym może być. W ruchach człowieka

>^i;S\*\*^; \*\*V^?y  
1  
M L L  
I A L A ■ ^ ■ ■ ■ 1

MSBBI SSS  
vesamm /SD  
ISfSi FS  
mSSS ■H

^ ^ ^ ^ H  
ISH  
£?

31  
w M m m  
i S S + //

ffite-  
^ ^ H

urn Pil

'siAflil  
H

SK^U^3^?3 SnHlH^H^S^Ri^a^S

ilfl



B

E|§|B§ H  
i

3ppallM@vIKS



.212

jest wtedy pewne staccato, jakieś skrępowanie i brak swobody.

- A czy może podać bliższą charakterystykę?
- Niestety nie.

W ciągu nocy kubek smok stracił drugie skrzydło. Wyglądał teraz bardzo żałośnie, podobny do udomowionego, pozbawionego skrzydeł koguta. Yngvar wlał do kawy trochę mleka.

- Nie więcej jak tylko wiek, tak w przybliżeniu. I że był ubrany w szare albo niebieskie ubranie. Albo w oba kolory. Bardzo neutralnie.
- Rozsądnie z jego strony. Jeśli rzeczywiście był to nasz człowiek.
- A poza tym miał włosy. Gęste, po męsku obcięte. Profesor nie mógł więcej nic pewnego powiedzieć. Oczywiście

wystąpił  
y z  
wezwanie  
m o  
zgłoszeni  
e się  
osób,  
przebywa  
jących w  
tym  
czasie w  
okolicy. I  
zoba-  
czymy.

Inger  
Johanne  
pomasała  
się po krzyżu i  
zamknęła

oczy. Wyglądało na to, że pogrzyła  
się w swoich myślach. Poranne  
światło zaczęło z wolna rozjaśniać  
niebo. Nagle zaczęła zbierać  
wszystkie kartki, zdzierać plakaty,  
demontować mapę i tabele. Po czym  
pieczołowicie złożyła wszystko  
razem w wyraźnie przemyślany  
system. Małe kartki do kopert. Duże  
ułożone w staranny stos. Na koniec  
włożyła wszystko do starej aktówki i  
wyjęła puszkę coli z lodówki.  
Spojrzała pytająco na Yngvara, który  
pokręcił przecząco głową.

- Już pójdę - zapewnił. -

Oczywiście.

- Nie - odpowiedziała. -

Nadszedł czas, żeby zacząć.

Kto zabija dzieci?

■Hi



tmmmi^^iMMmiiM^Mi

mp&zmsi

■■■■■^■■■B

^^^IS^H^fS?^

213

- To ćwiczenie już przerabialiśmy - powiedział z wahaniem. - Zgodziliśmy się, że kierowcy i przestępcy na tle seksualnym. Kiedy jednak zastanawiam się, to myślę, że mówienie o kierowcach w tym kontekście jest nieprzemyślane.
- Nie zmienia to faktu, że to oni zabijają najwięcej dzieci w naszym kraju - powiedziała oschle. - Ale zapomnijmy o tym. Mówimy tutaj o nienawiści. O takiej czy innej formie absurdałnego poczucia sprawiedliwości.
- Skąd pani to wie?
- Ja nie wiem. Ja się zastanawiam, Yngvar!

Białka jego oczu przestały być białe. Yngvar Stubo wyglądał teraz na człowieka, który przez ostatnie trzy dni oddawał się pijaństwu, a zapach wydzielany przez niego podkreślał wrażenie kompletnego upadku.

- Trzeba dość intensywnie nienawidzić, żeby usprawiedliwić to, co ten człowiek zrobił - odezwała się Inger Johanne. - Proszę nie zapominać, że on musi sobie z tym poradzić, żeby dalej żyć. Musi przecież

spać w nocy.  
Musi jeść. I  
prawdopodobnie musi  
poruszać się  
wśród ludzi,  
tam, gdzie  
potępienie  
atakuje go z  
każdej  
strony

gazety - z dziennika, w sklepie, do którego musi  
wstąpić, w miejscu pracy, może...

- Ale on nie może! On nie może nienawidzić *dzieci*

- Ciiiiii.

Inger Johanne podniosła dłoń.

- Mówimy o kimś, kto chce się odegrać. Odegrać.

- Za co?

- Nie wiem. Ale czy Kim i Emilia, Sara i Glenn Hugo  
zostali wybrani przypadkowo?

'mimA^amMm

MEF... 1,0

214

- Oczywiście, że nie.
- Teraz pan wyciąga wnioski bez żadnej podstawy. Oczywiście wybór ten *może* być przypadkowy. Jednak nie jest to *prawdopodobne*. To, że człowiek ten nagle i bez żadnych powodów postanawia, że tym razem kolej na Tromso... Z pewnością nie. Między tymi dziećmi musi istnieć jakiś związek.
- Albo między ich rodzicami.
  - Właśnie - odpowiedziała Inger Johanne. - Czy jeszcze kawy?
  - Zaraz zwymiotuję.
  - Herbaty?
  - Ciepłe mleko byłoby najlepsze.
  - To zaśnie pan.
  - Nie byłoby to całkiem głupie.

Była godzina wpół do szóstej. Królowi Ameryki śniły się koszmary. Jego krótkie nogi przebierały w powietrzu, w ucieczce przed wrogiem ze snu. W kuchni było duszno. Inger Johanne otworzyła okno.

- Problem w tym, że nie możemy *znaleźć* jakiegokolwiek związku między tymi choler... między rodzicami.

Yngvar rozłożył z rezygnacją ręce.

- Nie oznacza to jednak, że taki związek nie istnieje -

zaprotestowała  
Inger Johanne  
i usiadła na  
blacie szafki,  
kładąc stopy  
na  
wyciągniętej

do połowy szufladzie.

- Możemy przez chwilę pobawić się hipotezą - mówiła dalej - że mamy do czynienia z psychopata. Po prostu jego czyny są tak bestialskie, że wydaje się to prawdopodobne. Czego więc szukamy?
- Psychopaty - zamruczał niewyraźnie Yngvar.  
Nie zareagowała na jego słowa.



- Psychopatów nie jest tak mało, jak sądzimy. Niektórzy twierdzą, że stanowią około jednego procenta społeczeństwa. Większość z nas używa tej nazwy, kiedy mówi o ludziach, których twarze im się nie podobają. I to nie jest tak dalekie od prawdy, jak sami sądzimy.

- Myślałem, iż nazywa się to obecnie antysocjalne zaburzenie osobowości - odezwał się Yngvar.
- To jest faktycznie coś innego. Kryteria stawiania diagnoz krzyżują się wzajemnie, ale. Ale proszę zapamiętać. Proszę myśleć ze mną, Yngvar! Ja próbuję tutaj myśleć.
- Oczywiście. Rzecz w tym, że w tej chwili nie jestem w stanie w ogóle myśleć.
- To proszę mi pozwolić. Przynajmniej proszę słuchać! Przemoc możemy w ogólnym zarysie podzielić na dwa rodzaje: przemoc instrumentalna i reaktywna.
- Wiem - mruknął Yngvar.
- Nasze sprawy są wyraźnym rezultatem przemocy instrumentalnej. Przemoc zaplanowana, skierowana na konkretny cel.
- W przeciwieństwie do przemocy reaktywnej - powiedział powoli Yngvar. - Będącej rezultatem zewnętrznego zagrożenia lub frustracji.
- Przemoc instrumentalna jest o wiele bardziej typowa dla psychopatów niż dla nas, nie będących nimi. Zakłada pewien rodzaj zła, może tak to należy ująć. Albo bardziej naukowo: oznacza brak zdolności do empatii.
- Tak, tego rodzaju rzeczy nie męczą zbytnio naszego człowieka.
- Rodzice - powiedziała z namysłem Inger Johanne.

^H^H

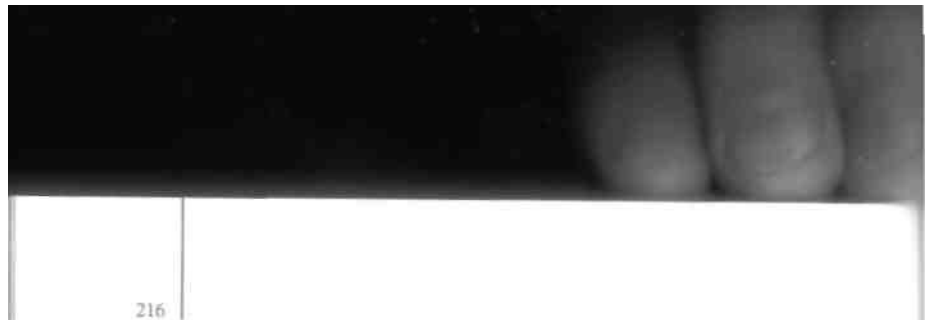


^Bivv&ssu^WISH^fi^>^

SpK



mmn^mmmsm?m



216

'::^K>ggsq?'>:gl

iSiiii§@Sii<>;=yi?;8'

Zeskoczyła na podłogę, po czym otworzyła popsutą aktówkę. Przerzuciła kilka dokumentów, znajdując w końcu kopertę z napisem „rodzice”. Zawartość koperty rozłożyła na podłodze. Jack podniósł łeb i zaraz położył go z powrotem.

- Coś w tym musi być - powiedziała z zacięciem.  
- Między tymi ludźmi musi istnieć jakiś związek. To jest po prostu niemożliwe, żeby mieć w sobie tyle nie nawiści do czworga dzieci, dziewięciolatki, ośmiolatki, pięciolatka i prawie rocznego.

- Tu w ogóle nie chodzi o dzieci - odezwał się Yngvar nieco pytającym tonem i pochylił się nad notatkami.
- Może nie. A może dotyczy to zarówno dzieci, jak i rodziców. Ojców. Matek. Co ja mogę wiedzieć?
- Matka Emilii nie żyje.
- I Emilia jest jedyną, której nie znaleziono.

Przez pokój przeszedł wolno anioł. Ścienny zegar nieubłaganie wskazywał godzinę szóstą.

- Wszyscy rodzice są biali - powiedziała nagle Inger Johanne. - Wszyscy są Norwegami, również etnicznie. Nie znają się. Nie mają wspólnych przyjaciół. Nie pracują razem. To jest, mówiąc łagodnie...
- Zastanawiające. Może zostali wybrani na zasadzie, że nie istnieje między nimi jakikolwiek związek?

-

zek, związek, związek.

Z

Powtarzała to słowo niczym mantrę.

w

- Wiek. Wiek rodziców rozciąga się od 25, matka Glenna Hugo, do 39, ojciec Emilii. Wiek matek rozciąga się od...

i

- Od 25 do 31 - odezwał się Yngvar. - Różnica sześciu lat.

ą

Niezbyt wielka.

- Z drugiej strony wszystkie te kobiety są matkami małych dzieci. Różnica nie jest tak ogromna.
- Myśli pani, że istnieje związek między faktem, że matka Emilii nie żyje a tym, że dziecko może jeszcze

żyć?

Yngvar westchnął ciężko i wstał. Spojrzał na papiery i zabrał się za sprzątanie kubków i dzbanka na kawę.

- Nie mam pojęcia. Może Emilia w ogóle nie należy do tej sprawy. Tak myślę, Inger Johanne. Nie jestem w stanie dłużej myśleć.
- Sądzę, że on akurat teraz cierpi - powiedziała, patrząc przed siebie. - Sądzę, że popełnił błąd w Tromsø. To dziecko miało być zabite w taki sam sposób jak poprzednie. Niezrozumiały. W jakiś niesamowity sposób wypracował metodę zabijania, która...
- Nie pozostawia po sobie śladu - dokończył po sępnie. - I cała armia naszych kompetentnych lekarzy wzrusza ramionami. Przepraszamy, wołają. Żadnego znanego nam powodu śmierci.

Inger Johanne z zamkniętymi oczami siedziała bez słowa.

- Nie zamierzał udusić Glenna Hugo - powiedziała cicho. - To nie tak miało przebiegać. On cieszy się z kontroli, którą w danej chwili posiada. Gra w jakąś grę. W jakiś sposób czuje, że... przywraca coś do dawnego stanu. W Tromsø? wystraszył się. Stracił kontrolę. I jest teraz zdenerwowany. Może to spowoduje, że będzie mniej ostrożny.
- Potwór - stwierdził Yngvar po sępnie. - Przeklęty potwór.

Hi li  
*me*

-

O  
n

t  
a  
k

n  
a  
t  
o

n  
i  
e  
p  
a  
t  
r  
z  
y

-  
o  
d  
p  
o  
w  
i  
e  
d  
z

i p  
- I r  
- A o  
- I  
- K w  
i o  
e k  
d o  
y w  
a  
z n  
o y.  
s K  
t ie  
a d  
j y  
e ni  
e  
s je  
p st  
r ju  
o ż  
w w  
o st  
k a  
o ni  
w e  
a ż  
n y  
y ć  
. z  
K e  
i s  
e w  
d oj  
y ą  
k  
n rz  
i y  
e w  
d  
j ą.  
e K

i a  
e ć  
d ,  
y  
s  
n k  
a r  
d z  
s y  
z w  
e i  
d ł  
ł a  
c  
z s  
a i  
s ę  
n  
a z  
  
o b  
d ó  
e l  
g u  
r .  
a - M  
n o  
i ż  
e l  
i  
s w  
i e  
ę .  
.  
- M A  
ó l  
w e  
i  
ę t  
o  
p  
o p

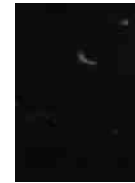
a  
- T

ś  
m  
i  
e  
r  
d  
z  
i  
.





^^^^^^HB



SSiStilfcli ft«l#8SK8i Kilśi

#SIP^sSśy



Kristiane	cz
trzymała się	er
za nos. Pod	w
pachą miała	on
Sulamitę.	y
Król	m
Ameryki	do
lizął ją z	m
zapalem po	u,
buzi.	st
- Hej,	oj
skarbi	ąc
e.	y
Dzień	m
dobry.	w
Zaraz	do
przewi	le
etrzy	uli
my	cy
lepiej.	.
- Ten pan	In
śmierdzi.	ge
- Wiem o	r
tym.	Jo



hanne  
zauważyła,  
że trzeba  
będzie  
umyć okna.  
Na całej  
szybie  
widoczne  
były ślady  
po taśmie.  
A poza tym  
powinna  
zakleić  
plastrem  
mały palec  
u nogi.  
Wprawdzie  
nie zwróciła  
na niego  
uwagi,  
kiedy ude-  
rzyła się o  
próg,  
otwierając  
pięć godzin  
wcześniej  
drzwi  
wyjściowe.  
Teraz  
jednak  
spojrzała,  
że palec  
spuchł, a  
paznokieć  
był prawie  
oderwany.  
Właściwie  
palec bolał  
ją okropnie.  
- Jack  
zrobił kupę  
-  
triumfująco  
krzyknęła  
Kristiane z  
pokoju  
gościnnego.

*wi*  
*s*  
*m*



**35**

Mimo iż Aksel Seier nigdy nie czuł się naprawdę szczęśliwy miewał czasami chwile zadowolenia ze swego życia. W dni takie jak ten miał poczucie pewnego rodzaju przynależności, zakotwiczenia w historii, która mimo wszystko istniała między nim a Harwichport, między Akselem Seierem i jego szarym, wyłożonym drewnem cedrowym domem, stojącym w pobliżu plaży. Deszcz sprawił, że pełen dziur asfalt na Ocean Avenue pociemniał. Samochód zjeżdżał wolno, turkocząc, w stronę domu, tak jakby Aksel nie był pewien, czy chce wracać. Szarość oceanu zlewała się z niebem, a intensywna zieleń koron dębów, pochylonych ciężko ku sobie i zamieniających część ulicy w roślinny tunel, była zgaszona. Aksel lubił ten rodzaj pogody. Było ciepło, a powietrze, muskające jego twarz przez otwarte okno samochodu, orzeźwiające. Truck wjechał na podjazd. Aksel przez jakiś czas pozostał w samochodzie, odchylony do tyłu na przednim siedzeniu, po czym chwycił kluczyki i wysiadł.

Flaga na skrzynce pocztowej była postawiona do góry. Pani Davis nie lubiła skrzynki Aksela. Jej skrzynka była pomalowana na różowo przez Bjorna, twierdzącego, że jest Szwedem, który na Main Street sprzedawał głupim turystom fałszywe drewniane koniki z Dalarna. Bjorn nie znał szwedzkiego, miał do tego czarne włosy

i brązowe oczy. Kiedy jednak malował, używał jedynie niebieskiego i żółtego koloru. Trzeba mu to przyznać. Skrzynka pocztowa, należąca do pani Davis, udekorowana była kwiatami podbiału na tańczących, niebieskich łądygach. Skrzynka Aksela była zupełnie czarna. Swego czasu flaga była czerwona, było to jednak bardzo dawno temu.

- *Youre back!*

Aksel zastanawiał się czasami, czy pani Davis nie ma radaru w kuchni. Była wprawdzie przez wiele lat wdową bez pracy - żyła z niewielkiej polisy na życie po zaginięciu męża na morzu w 1975 roku - i dlatego mogła mieć pełną wiedzę o tym, co się działo w tym małym mieście. Jednak jej efektywność była imponująca. Aksel nie mógł przypomnieć sobie dnia, w którym po przyjściu do domu nie byłby serdecznie powitany przez różowo ubraną kobietę.

Wyciągnął przed siebie butelkę w brązowej papierowej torebce.

- *Oh dear! Liquor? For me, honey?*

- *Maple syrup* - stwierdził zwięźle. - *From Maine.*

*Thanks for taking care of the cat. How much do I owe you?*

Pani Davis w żadnym wypadku nie chciała pieniędzy. Przecież nie był zbyt długo poza domem. Od jego wyjazdu upłynęło zaledwie cztery dni. Pięć? Musi zapomnieć o pieniądzach. To była sama przyjemność z takim pięknym i dobrze wychowanym kotem. Syrop z Maine. Serdeczne dzięki! Maine, co za piękny stan. Dziewiczy i wciąż nieskażony. Powinna wkrótce tam się wybrać. Z pewnością upłynęło już dwadzieścia lat od chwili,

gdy po raz ostatni odwiedziła swoją szwagierkę, mieszkającą w Bangor. Jest tam dyrektorem szkoły, niezwykle bystra kobieta, chociaż można chyba powiedzieć, że zbyt lekkomyślna w obchodzeniu się z mocniejszymi trunkami. Ale prawdę powiedziawszy, nie dotyczy to pani Davis, a właściwie czy Aksel nie wybierał się do New Jersey?

Aksel wzruszył ramionami w geście, który mógł oznaczać cokolwiek. Ze skrzyni ładunkowej wyjął walizkę i skierował się do swojego domu.

*-Butyouvegotmail, Aksel!Dontforgettocheckyour mailbox! And the young lady who visited you last week, she came back. Her card is in the box. I think. What a sweet girl! Cute as a button.*

Spojrzała z ukosa na niebo i podreptała z powrotem do siebie. Krople deszczu, wyglądające jak perły na jej swetrze z angory, zaczęły niszczyć jej fryzurę.

Aksel postawił walizkę na podeście. Nie lubił otrzymywać poczty. Zawsze były to rachunki do zapłacenia. Istniał tylko jeden człowiek, który pisał listy do Aksela Seiera, ale te przychodziły co pół roku - na Święta Bożego Narodzenia i w lipcu. Wiernie i systematycznie, i tak od zawsze. Spojrzał na dom pani Davis. Stała pod okapem i energicznie machała w stronę skrzynki pocztowej. Podał się. Długimi krokami podszedł do czarnej skrzynki i otworzył klapę. Koperta była biała. To nie był rachunek. Wsadził list pod sweter, tak jakby zawartość była nielegalna. Na ziemię upadła wizytówka. Podniósł ją, rzucił na nią wzrokiem i schował do tylnej kieszeni.

W domu panował zaduch, unosił się słodki zapach zmieszany z kurzem, który doprowadzał go do kicha-

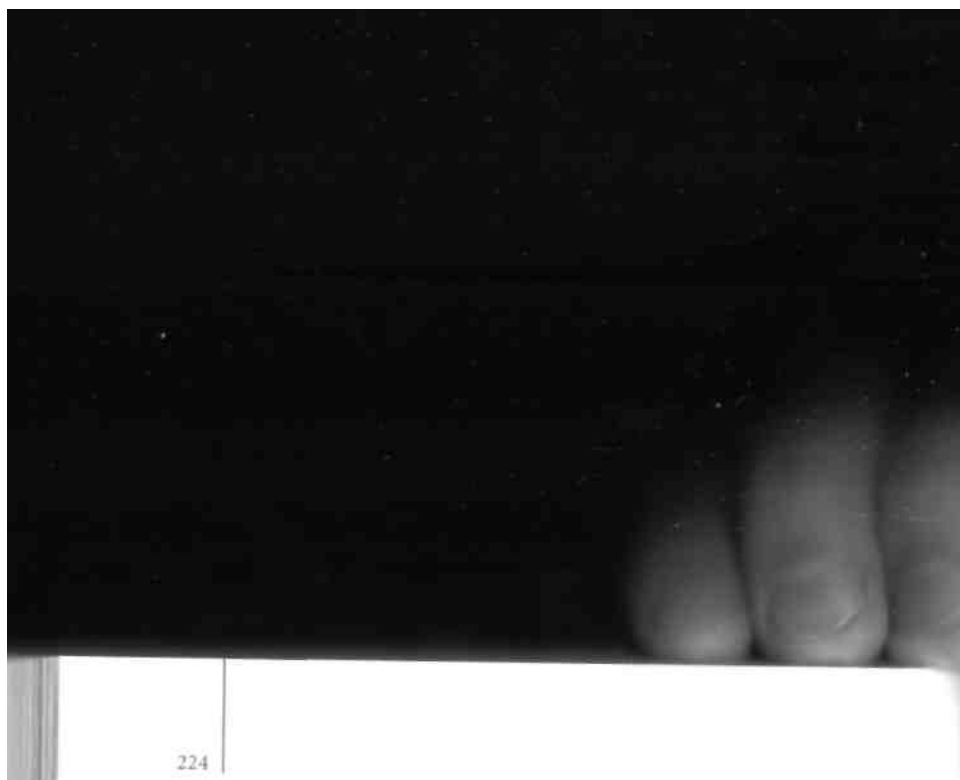
nia. Lodówka była podejrzenie cicha. Powoli otworzył jej drzwiczki. Nie zapaliło się światło nad kartonem z sześcioma puszkami piwa, stojącymi samotnie na górnej półce. Niżej stał talerz z nieokreśloną zawartością, pokrytą zieloną, odpychającą błoną pleśni. Nie upłynęły jeszcze dwa miesiące od chwili, gdy Frank Malloy zre-perował lodówkę, dostając za to haftowaną poduszkę dla żony. Niedługo nie będzie czego więcej reperować, stwierdził Frank. Aksel powinien do diabła szybko rozejrzeć się za pieniędzmi na nową. Aksel chwycił za puszkę. Była letnia.

List był od Ewy. Ale list od niej nie powinien pojawić się teraz. Dopiero w lipcu. W środku lipca i kilka dni przed Wigilią. Tak to powinno wyglądać. Tak było od zawsze. Aksel usiadł na krześle pod lampą rekinem. Cynowym nożem do papieru, dekorowanym motywami wikińskimi, otworzył kopertę. Wyciągnął kartki z dobrze mu znanym charakterem pisma, niewyraźnym i trudnym do odczytania. Linijki biegły ukośnie w dół na prawą stronę kartki. Rozłożył list, położył na nodze, po czym zbliżył do oczu.

Opróżniając puszkę piwa do końca, zdołał przebrnąć przez całą zawartość listu. Aby nabrać zupełnej pewności, przeczytał go ponownie.

A później długo siedział, patrząc niewidzącymi oczami przed siebie.

**n**



## 36

Z jednej strony Inger Johanne Vik była zadowolona z tego, że wszyscy liczyli na to, iż zorganizuje ciasto. Była organizatorką ciast, zarówno we własnych jak i cudzych oczach. Była osobą, która zawsze dopilnowała zaparzenie kawy w pokoju ogólnym. A jeśli jej nie było w pracy przez ponad trzy dni, w lodówce brakowało napojów gazowanych i wody mineralnej Farris, a na półmisku na owoce leżało kilka wysuszonych jabłek i brązowy banan. Nie do pomyślenia było, żeby inni pracownicy biura tym się zajęli. W dalszym ciągu na korytarzach unosiła się atmosfera lat siedemdziesiątych, która w gruncie rzeczy *jej* odpowiadała. Zazwyczaj.

Teraz jednak była dość poirytowana.

Wiedzieli o pięćdziesięcioleciu Fredrika niemal całą wieczność. On sam starał się przypominać o tym wielkim dniu regularnie i dość głośno. Przed trzema tygodniami Inger Johanne zebrała po dwieście koron od każdego i osobiście udała się do sklepu Ferner Jacobsen, aby kupić kosztowny kaszmirowy sweter dla najbardziej



snobistycznego profesora instytutu. Ale o cieście zapomniała. Nikt też jej o tym nie przypomniał. I mimo to wszyscy patrzyli na nią ze zdziwieniem, kiedy wróciła z Biblioteki Uniwersyteckiej. Zakończyła się pora na lunch, a na stole nie pojawiło się ciasto marcepanowe. Żadnego śpiewu, żadnych przemówień. Fredrik był

wściekle zły. Pozostali wyglądali na urażonych, jakby w decydującej chwili zawiodła całe kolegium.

- Czasami ktoś inny mógłby coś zorganizować - powiedziała, zamykając drzwi do swojego biura.

To, że zapomniała o czymś takim, nie było do niej podobne. Pozostali mieli powód, żeby na nią liczyć. Zawsze tak robili, a ona nic na temat nie mówiła. Gdyby pamiętała o tych przeklętych urodzinach, mogłaby poprosić Tinę albo Tronda o kupienie ciasta. Chodziło przecież o pięćdziesiątą rocznicę. Nie mogła też zrzucić winy na Yngvara. Wprawdzie zabrał jej całonocny sen, ale przecież była do tego przyzwyczajona. Miała to jeszcze w ciele po pierwszych latach życia Kristiane.

Wyciągnęła z torby kopię. Biblioteka Uniwersytecka posiadała wszystkie roczniki lokalnych gazet w postaci mikrofilmów. Znalezienie zawiadomienia zajęło jej niecałą godzinę. To musiało być to. Czy to skutkiem ironii losu, czy też bardziej jako rezultat taktu redaktora, znającego dobrze lokalne stosunki, skromne i nierzucające się w oczy zawiadomienie umieszczone było w dolnym rogu strony.

Mój ukochany syn

**ANDERS MOHAUG**

ur. 27.03.1938 roku

odszedł ode mnie 12 czerwca.

Pogrzeb odbył się

w głębokim żalu.

*Agnes Dorothea Mohaug*

W chwili śmierci miał więc dwadzieścia siedem lat. W 1956 roku, kiedy mała Hedvig została porwana, zgwałcona i zamordowana, miał lat osiemnaście.

- Osiemnaście lat...

Ale nie było nic więcej. Inger Johanne próbowała znaleźć jakiś pożegnalne słowa, jednak musiała z tego zrezygnować po przejrzeniu numerów gazety z czterech tygodni po pogrzebie. Nikt nie miał nic do powiedzenia o Andersie Mohaugu. Matka nie miała nawet potrzeby prosić o nieskładanie kwiatów w domu.

W jakim mogła być wieku? Inger Johanne policzyła na palcach. Jeśli w chwili urodzenia syna miała dwadzieścia pięć lat, to dzisiaj miałaby prawie dziewięćdziesiąt. Osiemdziesiąt osiem. Jeśli wciąż żyje. Mogła też być starsza. Jeśli urodziła chłopca w późniejszym wieku.

- Ona nie żyje - szepnęła Inger Johanne i odłożyła kopię zawiadomienia do plastikowej teczki.

A jednak postanowiła spróbować. Znalezienie adresu nie sprawiało trudności. Pomogła książka telefoniczna z 1965 roku. Ale w biurze informacji dowiedziała się, że pod starym adresem Agnes Mohaug mieszka obecnie zupełnie inna kobieta. Metaliczny głos poinformował, że nie ma numeru telefonu, który byłby zarejestrowany na Agnes Mohaug.

Ktoś mógł ją jednak pamiętać. Albo jej syna. Może istnieje ktoś, kto przynajmniej pamięta Andersa.

To było warte sprawdzenia i ten stary adres w Lillestrom był punktem wyjścia. Na pewno Alvild będzie zadowolona. Z nieznanых przyczyn było to ważne dla Inger Johanne. Aby sprawić przyjemność Alvild.

---

*<sup>^</sup>m*

*m*



227

**37**

Emi  
lia  
wydaw  
ała się  
mniej  
za. W  
jakiś  
sposób  
skurcz  
yła się  
i to go  
zirows  
ało.  
Zacisn  
ął  
zęby,  
usłysza  
ł  
trzeszc



zenie  
zębów  
trzone  
wych i  
spróbo  
wał się  
uspok  
oić.  
Emilia  
nie  
mogła  
narzek  
ać na  
zaopatr  
zenie.  
Przecie  
ż  
dostaw  
ała  
jedzeni  
e.

-

Dlac  
zego  
nie  
jesz  
? -  
zapy  
tał  
ostr  
o.  
Dzi  
ecko  
nie  
odpowi  
edziało  
, ale  
przynaj  
mniej

próbo-  
wało  
się  
uśmiec  
hnać.  
Było to  
już  
coś.

-

Mus  
isz  
jeść.  
Tac  
a była  
śliska.  
Kiedy  
pochyl  
ał się,  
aby  
postaw  
ić ją na  
podłód  
ze,  
miec  
ka z  
zupą  
przesu  
wała  
się z  
jednej  
strony  
na  
drugą.

-

Czy  
obie  
casz  
mi,  
że

będz  
iesz  
jadła  
?  
Emi  
lia  
kiwnęł  
a  
głową.  
Naciąg  
nęła na  
siebie  
koldrę  
aż do  
samej  
brody.  
Nie  
widział  
teraz,  
jak  
bardzo  
była  
chuda.  
To  
dobrze.  
Śmierd  
ziała.  
Nawet  
stojąc  
przy  
drzwia  
ch, czuł  
zapach  
moczu.  
Nieświ  
eży.  
Przez  
chwilę  
wahał  
się, czy



nie  
podejść  
do  
umywa  
lki i nie  
sprawd  
zić, czy  
miała  
jeszcze  
mydło.  
Zrezyg  
nował  
jednak.  
Prawdę  
mówią  
c przez  
wiele  
tygodni  
miała  
na  
sobie to  
samo  
ubranie  
, ale nie  
mówim  
y tutaj  
o  
jakimś  
małym  
dziecku  
. Jeśli  
by  
chciała,  
to  
mogła-  
by  
uprać  
majtki.  
Jeśli  
jest

jeszcze  
mydło.

-

Myj  
esz  
się?  
Kiw

nęła  
ostrożn  
ie  
głową.

Uśmiec  
hnęła  
się.

Dziwn  
y

uśmiec  
h u  
tego  
dziecka

. W  
pewien  
sposób  
uległy.

Kobięcy. Dziewczynka miała dopiero dziewięć lat, a już zdążyła nauczyć się uśmiechu posłuszeństwa. Który zupełnie nic nie oznaczał. Jedynie zdradę. Kobięcy uśmiech. Ponownie poczuł ból w głębi szczęk. Musi się opanować. Rozluźnić się. Musi odzyskać kontrolę. Zawiodła go w Tromso. Prawie go zawiodła. Wydarzenia nie potoczyły się zgodnie z planem. To nie był jego błąd. To z powodu pogody. Nie brał pod uwagę deszczu. I takiego zimna. W maju! Tu maj, a dziecko ubrane tak, jakby to był środek mroźnej zimy. To nie mogło przynieść nic dobrego. Ale teraz było to już obojętne. Dziecko nie żyje. Jemu udało się wrócić do domu. To było najważniejsze. W dalszym ciągu miał kontrolę. Ciężko oddychał, zmuszając swe myśli do powrotu na miejsce. Tam, gdzie powinny być. Po co trzymał tutaj tę dziewczynkę?

- Musisz bardziej uważać - powiedział cicho.

Nienawidził zapachu dziecka. Sam brał prysznic kilka razy dziennie. Zawsze był ogolony. Ubranie zawsze świeżo wyprasowane. Kiedy od czasu do czasu pielęgniarka przychodziła spóźniona, od matki unosił się taki sam zapach, jak teraz od Emilii. Nie mógł tego wytrzymać. Ludzki rozkład. Upadający zapach ciała, wynikający z braku kontroli. Przełknął z trudem, usta wypełniły się śliną, gardło wydawało się spuchnięte i sprawiało ból.

- Czy mam wyłączyć światło - zapytał, cofając się o jeden krok.

-Nie!

Wstąpiło w nią życie.

- Nie! Nie!

- Ale musisz jeść.

Stanie w tym miejscu było w jakiś sposób podniecające. Wprawdzie stalowe drzwi były zabezpieczone, można było przyczepić je do ściany hakiem, mogły jednak się zatrzasnąć. Jeśli okazał nieostrożność. Jeśli na przykład przewróciłby się, stracił przez chwilę równowagę i upadł na drzwi, to hak mógłby zeskoczyć z kółka i drzwi zamknęłyby się za nim. Byliby zgubieni. Oboje. On i dziewczynka. Przyspieszył oddech. Mógłby wejść do środka, ufając hakowi. Ten był solidnej konstrukcji, którą sam wykonał. Głęboko wkręcone w ścianę kółko, zabezpieczone wkładką, aby trzymało się dobrze na miejscu. Hak. Duży, solidny, nigdy nie zeskoczyłby sam z siebie. Wszedł głębiej do pokoju.

Kontrola.

Zawiodła go pogoda. Musiał udusić dziecko. Ale nie tak miało to przebiegać. Rzeczywiście, nie miał planów porwania chłopca, tak jak to zrobił z pozostałymi dziećmi. Sprytnie było zmieniać za każdym razem sposób działania. To myłące. Oczywiście nie dla niego, ale dla innych. Dobrze wiedział, że chłopiec będzie spał na dworze po południu co najmniej dwie godziny. Po upływie godziny było już za późno. Nie dla niego, ale dla innych.

Byłoby lepiej, gdyby Emilia była chłopcem.

- Mam syna - powiedział.
- Mhm.
- Jest młodszy od ciebie.

Dziecko wyglądało na przerażone. Zrobił jeszcze jeden krok w stronę łóżka. Emilia wcisnęła się w ścianę. W twarzy pozostały tylko oczy.

- Cholernie śmierdzisz - powiedział powoli. - Czy nie nauczyłaś się dbać o siebie? Jeśli będziesz tak śmier-

dzieć, to nie pozwolę ci przyjść na górę i pooglądać telewizję.

Wparywała się w niego. Twarz jej była biała, nie koloru skóry, nie różowa. Biała.

- Ty jesteś małą damą.

Oddech Emilii był teraz niezwykle przyspieszony. Mężczyzna uśmiechnął się, odprężony.

- Jedz - powiedział. - Najlepiej będzie, jeśli będziesz jadła.

Potem wycofał się do wyjścia. Hak był zimny w dotyku. Zdjął go ostrożnie z kółka. Pozwolił drzwiom powoli prześliznąć się między nim a dzieckiem. Położył rękę na kontakcie i poczuł ogromną satysfakcję z faktu, iż był tak bardzo przewidujący, montując go na zewnątrz. Wyłączył kontakt. Odczuł coś szczególnego w samym pstryknięciu, jakiś przyjemny opór, co spowodowało, że powtórzył tę czynność kilkakrotnie. Włączał i wyłączał. Pstryk, pstryk.

W końcu pozostawił światło zapalone i ruszył na górę, żeby obejrzeć program telewizyjny.

## 38

- Mamy listę wszystkich pasażerów, którzy przylatywali i wylatywali z Tromsø przed i po zabójstwie Glenna Hugo. Tamtejsza policja robi świetną robotę, zbierając taśmy wideo ze wszystkich stacji benzynowych w promieniu trzydziestu mil. Firmy autobusowe próbowały zrobić przegląd swoich pasażerów, jednak było to trudniejsze. Nad podobną listą pracuje Hurtigruta, linia szybkich statków przewozowych. Podobnie pozostałe firmy, właściciele statków pasażerskich.

Sigmund Berli podrapał się po karku, po czym rozluźnił kołnierzyk.

- Innych możliwości wjazdu i wyjazdu z „Paryża Północy” nie ma. Na razie nie prosiliśmy o pomoc hoteli. Dość wątpliwa sprawa, aby facet korzystał z hotelu, zaraz po zabiciu małego dziecka. To miałem na myśli.

- Mówimy tutaj o setkach nazwisk.

- Obawiam się, że o kilku tysiącach. Chłopaki pracują ile sił, aby wprowadzić to wszystko do komputera. Informacje są porównywane z...

Berli rzucił okiem na tablicę Yngvara Stubo, do której wielkimi, niebieskimi pinezkami przymocowane były zdjęcia Emilii, Kima, Sary i Glenna Hugo. Jedynie Kim uśmiechał się zawstydzony, pozostałe dzieci patrzyły poważnie w obiektyw.

- ...z informacjami rodziców na temat wszystkich tych, których kiedykolwiek spotkali lub z którymi się kontaktowali. - kontynuował. - Cholera! Listy te z czasem stały się zupełnie absurdalne, Yngvar. - Głos mu się załamał i musiał odchrząknąć. - Wiem, że to jest konieczne. Ale to jest takie...
  - Frustrujące. Mnóstwo nazwisk i zero związku.
  - Yngvar ziewnął przeciągle i rozluźnił węzeł krawata.
  - A co z mężczyzną, obserwowanym na... - Zamknął oczy z koncentracji. - Na Soltunveien - przypomniał sobie. - Mężczyzna ubrany na szaro czy na niebiesko.
  - Nikt się nie zgłosił - odpowiedział Sigmund Berli. Głos był teraz bardziej ożywiony. - Obserwacja staje się przez to coraz bardziej interesująca. Okazuje się, że świadek miał rację. Kobieta w czerwonym płaszczu jest jego sąsiadką. Ona sama potwierdza, że szła z Langnesbakken mniej więcej za dziesięć trzecia. Zidentyfikowany został także chłopak na rowerze. Zgłosił się razem z ojcem dzisiaj rano i w widoczny sposób nie ma nic do ukrycia. Żadne z nich nie słyszało i nie widziało nic podejrzanego. A mężczyzna, który się spieszył, ale nie chciał tego... okazać? On się nie zgłosił. Więc może to być...
  - Nasz człowiek. - dopowiedział Yngvar Stubo i wstał. - Miał od dwudziestu pięciu do trzydziestu pięciu lat. Miał włosy. Coś więcej?
- Ustawił się przodem do zdjęć z dziećmi. Oczy przebiegały po fotografiach, z jednej strony na drugą.
- Obawiam się, że nic. Nasz świadek, zapomniałem jak się nazywa, jest wprawdzie niezwykle spostrzegawczy, ale nie mówi zbyt dużo. Opisał jego sposób chodzenia

i sylwetkę, ale nie chce wziąć udziału w stworzeniu portretu pamięciowego twarzy.

- Właściwie rozsądnie. Jeśli uważa, że nie zarejestrował tego dobrze. A dlaczego sądzi, że mężczyzna miał około trzydziestu lat?
- Sylwetka. Włosy. Sposób chodzenia. Sprężysty, ale już niezupełnie młodzieńczy. Ubranie. Wszystko. Ale określenie między dwudziestym piątym i trzydziestym piątym rokiem też nie jest zbyt precyzyjne.

Yngvar Stubo kiwał się na piętach.

- Ale *jeśli*... - Odwrócił się gwałtownie w stronę kolegi. - *Jeśli* wkrótce nie zgłosi się ktoś, kto pasuje do tego opisu i kto miał tamtego niedzielnego popołudnia wiarygodny powód, żeby tam być, to definitywnie jesteśmy krok do przodu.
- Krok - powtórzył Berli i kiwnął głową. - I nic więcej. Cały czas przecież uważaliśmy, że mamy do czynienia z mężczyzną. Ściśle mówiąc, mógł mieć od dwudziestu do czterdziestu pięciu. Mamy bardzo wielu mężczyzn w Nowegii w tym przedziale wiekowym. Nawet z włosami. Przecież nie wiemy, czy to nie była peruka. Zadzwonił telefon. Wydawało się przez chwilę, że

Yngvar Stubo nie ma ochoty podnieść śłuchawki. Początkowo wpatrywał się tylko w aparat, ale w końcu chwycił gwałtownie śłuchawkę.



- Stubo - odezwał się krótko.

Sigmund Berli odchylił się na krześle do tyłu. Yngvar nie mówił dużo, więcej słuchał. Twarz nie przybrała szczególnego wyrazu, tylko lekkie podniesienie lewej brwi świadczyło o pewnym zdziwieniu tym, co usłyszał.

Sigmund Berli głaskał palcami etui na cygara,

leżące przed nim na biurku. Okładzina z drewna była gładko wypolerowana i sprawiała przyjemne wrażenie w dotyku. Poczłł nagle puste i nieprzyjemne uczucie głodu. Mimo że piekło go w żołądku, nie miał ochoty na jedzenie. Yngvar zakończył rozmowę.

- Coś nowego?

Yngvar nie odpowiedział. Zamiast tego obrócił krzesło prawie o 180 stopni i mógł ponownie badać dziecięce twarze, wiszące na ścianie.

- Kim miał matkę i ojca, którzy mieszkają razem. Po ślubie. To samo u Glenna Hugo. Matka Sary mieszka sama, ale dziewczynka była u ojca co drugi weekend. Matka Emilii nie żyje. Dziecko mieszkało z tatą.

- Mieszka - poprawił go Berli. - Emilia może w dalszym ciągu żyć. Innymi słowy dzieci te reprezentują zupełnie przeciętną sytuację norweskich dzieci. Połowa ma oboje rodziców, druga zaś mieszka u jedne go z nich.

- Małe ale. Tata Emilii nie jest właściwie jej tatą.

-Co?

Nagle wyłączyło się urządzenie wentylacyjne.

- To był Hermansen z Asker i Baerum - odezwał się Yngvar, wskazując na telefon. - Zgłosił się do nich pewien lekarz. Nie był całkowicie pewny, jakie znaczenie... Albo inaczej, czy to co chciał nam powiedzieć, ma jakiegokolwiek znaczenie dla śledztwa. Jednak po tym, co się stało w weekend, postanowił za zgodą swoich przełożonych złamać zasadę tajemnicy zawodowej i poinformować nas, iż ojciec Emilii nie jest jej biologicznym ojcem.

- Czy Tonnes Selbu powiedział nam o tym?

- On o tym nie wie.

-On nie wie, że nie jest ojcem swego dziecka?

Obaj popatrzyli uważniej na zdjęcie dziewczynki. Zdjęcie, zrobione przez profesjonalnego fotografa, było większe od pozostałych. Dziecko miało wąską brodę, z lekko zaznaczonym dołeczkiem. Oczy były duże i poważne. Usta małe i pełne. Na jasne włosy założony był wianek z kwiatów podbiału. Jeden kwiatek wysunął się i zwisał nad czołem.

- Tonnes Selbu i Greta Harborg byli po ślubie, kiedy Greta zaszła w ciążę. Tonnes został automatycznie wpisany jako ojciec dziecka. Co do tego nikt nie miał wątpliwości. Oprócz matki, musiała przecież... W każdym razie przed dwoma laty Greta i Tonnes zgłosili się jako dawcy szpiku kostnego. Sprawa związana była z chorym kuzynem. I ku zaskoczeniu lekarza, testy wykazały, że Tonnes nie mógł być ojcem własnego dziecka. Zostało to odkryte zupełnie przypadkowo. Od Emilii lekarz pobrał próbkę wcześniej, w związku z innymi badaniami i...
- I nie powiedzieli mu tego?
- A do czego by się to przydało?

Yngvar stał teraz bardzo blisko zdjęcia Emilii, dokładnie je badając. Przesunął palcem wzdłuż wianka z żółtych

wiosennych kwiatów.

- Tonnes Selbu jest tak samo dobrym ojcem, jak każdy inny. A zgodnie z raportami nawet lepszym niż większość ojców. Dobrze rozumiem lekarzy. Dlaczego mieliby wcisnąć człowiekowi informację, o którą on się nie prosił. Której nie potrzebował.

Sigmund Berli wpatrywał się z niedowierzeniem w zdjęcie dziewięciolatki.

- Ja chciałbym wiedzieć! Cholera, jeśli okazałoby się, że Sture i Snorre nie są moi, to...

- To co? To nie chciałbyś ich mieć?

Berli zamknął usta, w dosłownym znaczeniu. Kłapięcie wywołało u Yngvara ironiczny śmiech.

- Zapomnij o tym, Sigmund. Ważniejsze teraz jest zbadanie, czy ta informacja ma dla nas znaczenie. Dla śledztwa.

- A jakie to może mieć znaczenie? - odezwał się nieobecny myślami.

Snorre, podobnie jak Sigmund Berli, był ciemny. Kanciasty. Jakby skóra z niego zdjęta, jak mówili znajomi. I choć nie był zbyt dobry w tych sprawach, mógł sam zauważyć wyraźne podobieństwo między swoimi zdjęciami, kiedy miał pięć lat, i wyglądem syna.

- Tego oczywiście nie wiem. Skoncentruj się!

Yngvar pstryknął palcami przed twarzą kolegi.

- Przede wszystkim musimy sprawdzić, czy to dotyczy również innych.

- Czy pozostałe dzieci są dziećmi swoich ojców? Mamy niby sprawdzić to przed pogrzebem? Mamy zadzwonić do drzwi i powiedzieć: przepraszamy, łaskawy panie, ale podejrzewamy, że nie jest pan tatą dziecka, które właśnie pan utracił, więc czy możemy pobrać krew? *Co? Co? Czy to masz na myśli?*

- Co się z tobą dzieje?

Głos Yngvara był niski i spokojny. Zwykle Sigmund Berli podziwiał go za to. Za zdolność starszego kolegi do opanowania, do jasnego myślenia i precyzyjnego wyrażania swego zdania. Teraz jednak Berli był wściekły.

- Do diabła, Yngvar! Czy myślałeś o wbiciu tym mężczyznom ostatniego gwoźdźcia do trumny?
- Nie. Myślałem o przeprowadzeniu tego w sposób dyskretny. *Bardzo* dyskretny. Wcale nie chcę, aby Tonnes Selbu miał się dowiedzieć tego wszystkiego, o czym tutaj mówiliśmy. Jeśli chodzi o pozostałych ojców, to twoim zadaniem jest znalezienie jakiejś metody, aby w jak najbardziej naturalny sposób pobrać im krew.

Pronto.

Sigmund Berli wciągnął głęboko powietrze. Po czym oparł koniuszki palców o siebie i zaczął kręcić młynka kciukami.

- Propozycje? - zapytał krótko.
- Nie. Ty decydujesz.
- Rozumiem.
- Jestem pewny - zaczął Yngvar z nutą pojednania w głosie, niczym ojciec, wyciągający rękę na zgodę do upartego syna. - Albo powiem inaczej: musimy jak najszybciej wyjaśnić dwie rzeczy. Po pierwsze: czy ci mężczyźni są biologicznymi ojcami dzieci. Po drugie...

Sigmund Berli wstał.

- Jeszcze nie skończyłem - odezwał się Yngvar.
- To skończ. Mam dużo roboty.
- Musimy zbadać, jaka była przyczyna śmierci Kima i Sary.
- Lekarze mówią, że nie wiedzą.
- Niech dokładniej szukają. Niech zrobią nowe badania. Sam nie wiem. Musimy wiedzieć, od czego dzieci zmarły i musimy wiedzieć, czy mają jakiegoś nieznanego ojca.
- Nieznanego ojca?


istfe

238

Sigmund Berli wyraźnie złagodniał. Rozluźnił zaciśnięte pięści i zaczął swobodniej oddychać.

- Myślisz, że te dzieci mogą być przyrodnim rodzeństwem?

- Nic nie myślę - odpowiedział Yngvar Stubo.  
- Musisz znaleźć jakiś sposób, aby przeprowadzić te testy. Powodzenia.

Sigmund Berli zamruczał coś pod nosem. Yngvar Stubo był na tyle rozsądny, że nie zapytał, o co chodzi. Sigmund czasami mówił rzeczy, których naprawdę nie myślał. A przynajmniej niezbyt długo po ich wypowiedzeniu. Poza tym Yngvar dobrze wiedział, o czym jego kolega teraz myśli. Najstarszy syn Sigmunda Berli był jasnowłosym i szczupłym chłopcem. Skóra zdjęta z matki, powtarzał ze źle ukrywaną dumą.

Kiedy za Sigmundem zamknęły się drzwi, Yngvar wykręcił numer do pracy Inger Johanne. Numer nie odpowiadał. Czekał długo. Nie pomogło. Spróbował do domu. Tam też jej nie było. Zirykowało go, że nie wie, gdzie Inger Johanne przebywa.

## 39

Dom zbudowany był z pewnością zaraz po wojnie. Może w latach pięćdziesiątych. Niczym pudełko z czterema mieszkaniami, które, jak można było przypuszczać, były trzypokojowe, z łazienką i kuchnią. Działka była stosunkowo duża, po drugiej wojnie światowej Norwegia nie cierpiała na brak miejsca pod zabudowę. Budynek został świeżo odnowiony. Żółta farba pokrywała grubo ściany, dach wydawał się nowy. Inger Johanne zaparkowała tuż przy furtce. Płot także był świeżo pomalowany. Przez chwilę wydawało jej się, że zielona farba, tak błyszcząca, jeszcze nie wyschła.

Pachniało małym miasteczkiem. Dźwięk jakiegoś samochodu, gwar dochodzący z przedszkola za wysokim parkanem, uderzenia młotka na placu budowy, leżącym po drugiej stronie drogi, nieco wulgarne zawołania stolarza, nagły śmiech kobiety z otwartego okna. Dźwięki małego miasteczka. Zapach chleba, pieczonego przez kogoś, kto zajmuje się domem. Uczucie, że w chwili zbliżania się do małej werandy przed wejściowymi drzwiami jest obserwowana. Nie wiedziała przez kogo, nie znała ich myśli, pewnie po



prostu zastanawiali się tylko nad tym, po co pojawił się obcy, ktoś, kto nie był jednym z nich.

Inger Johanne urodziła się i dorastała w Oslo. Bardzo niewiele wiedziała na temat małych miasteczek, z czego

zdawała sobie sprawę. Mimo to istniało coś, co przyciągało ją do takich miejsc. Przejrzystość. Przeciętność, uczucie, że jest się częścią czegoś, co nie jest zbyt duże i nieprzewidywalne. Coraz częściej przychodziła myśl: przy nowoczesnej technologii komputerowej nie musiała mieszkać w Oslo. Mogła się wyprowadzić, wyjechać na wieś, przeprowadzić w miejsce, gdzie istnieje pięć sklepów, jeden warsztat samochodowy, kawiarenka i stacja autobusów, tanie domy i szkoła dla Kristiane, w której klasy nie mają więcej jak piętnastu uczniów. Oczywiście nie mogła tego zrobić, nie z Isakiem i rodzicami w mieście, nie z Kristiane, tak bardzo potrzebującą wokół siebie ludzi, blisko i nieprzerwanie. Jednak myśl ta pojawiała się od czasu do czasu. Czuła na sobie wzrok z drugiego piętra żółtego domu, z okna panoramicznego w willi po drugiej stronie drogi, spojrzenia oczu zza żaluzji i firanek. Zauważono ją, co w dziwny sposób dawało jej poczucie bezpieczeństwa.

*- Lillestrom! O mój Boże. Widzę romantyzm w Lillestrom!*

Fundusz renowacyjny spółdzielni wyczerpał się pewnie przy dzwonekach. Wisiały bowiem oderwane od ściany, zachlapane żółtą farbą. Inger Johanne próbowała nacisnąć jeden z nich. Musiała jedną rękę przytrzymać urządzenie, a drugą przyciskać. W głębi domu odezwał się okropny dźwięk. Nikt na niego nie reagował, spróbowała więc następnego. Kobieta z drugiego piętra, która przyglądała jej się z kuchennego okna, nie zdając sobie sprawy, że była dobrze widoczna z drogi, wychyliła głowę.

*- Halo!*

- Dzień dobry! Nazywam się Inger Johanne Vik.  
Chciałabym...

- Chwileczkę!

Kobieta zeszła drobnymi krokami ze schodów. Uchylając drzwi wyjściowe, uśmiechała się wyczekująco do Inger Johanne.

- A o co chodzi?

- Nazywam się Inger Johanne Vik. Jestem naukowcem z Uniwersytetu w Oslo i właściwie szukam kogoś, kto mógłby wiedzieć, co się stało z pewną kobietą mieszkającą tutaj dawniej. Mówiąc szczerze, bardzo dawno temu.

-Tak?

Kobieta była dobrze po sześćdziesiątce. Włosy miała ukryte pod szyfonową chustką. Pod niebiesko-zielonym, prawie przezroczystym materiałem Inger Johanne mogła dojrzeć grube wałki, również w kolorze niebieskim i zielonym.

- Wprowadziłam się tutaj w 1967 roku - powiedziała, nie robiąc żadnego gestu, wskazującego, że ma ochotę wpuścić Inger Johanne do środka. - Więc może mogę pomóc? Kim jest ta osoba?

- Agnes Mohaug - odpowiedziała Inger Johanne.

- Nie żyje - odpowiedziała kobieta i uśmiechnęła się szeroko, jakby przekazanie tej wiadomości sprawiło jej przyjemność. - Zmarła w tym roku, w którym się wprowadziłam. Faktycznie zaraz potem. Tam mieszkała.

Kobieta podniosła leniwie rękę. Inger Johanne domyśliła się, że wskazała pierwsze piętro na lewo.

- Czy znała ją pani?

Kobieta zaśmiała się. Nasada zębów rysowała się szaro na tle chorobliwie różowych dziąseł.

- Nie znalazłoby się wielu, którzy znali Agnes Mohaug. Mieszkała tutaj od czasu wybudowania tego domu. Od 1951 roku, jak sędzę. Mimo to nikt tak na prawdę... Miała syna. Czy wiedziała pani o tym?

- Tak, szukam...

- Taki *wariat*, jeśli rozumie pani, co mam na myśli. To znaczy, nie znałam go. On także zmarł.

Ponownie się zaśmiała, ochryple i serdecznie, tak jakby uznała zagładę rodziny Mohaug za niezwykle zabawną.

- Mówią ludzie, że on nie był dobry. Nie był dobry. Ale sama Agnes Mohaug... o niej nikt złego słowa by nie powiedział. Żyła w odosobnieniu. Zawsze. Smutna historia z tym chłopcem, który...

Kobieta przerwała.

- Chłopiec, który co? - spytała Inger Johanne ostrożnie.

- A więc... - powiedziała przeciągle, po czym szybko przesunęła ręką po wałkach na włosach. - To było tak dawno. A poza tym nie znałam specjalnie dobrze pani Mohaug. Zmarła kilka miesięcy po moim wprowadzeniu się. A jej syn nie żył wtedy od wielu lat. W każdym razie od dawna.

- Rozumiem.

- Ale... - Kobieta rozpromieniła się. Jej uśmiech ponownie sprawił, że wąska twarz podzieliła się na dwie części. - Proszę zadzwonić do Hansvolda, pod numer 44! Tam! - Zamachała ręką w stronę bliźniaczego domu, leżącego sto metrów dalej. Szyld wskazywał numery od

46, trawnik był duży, a metalowy parkan sięgał bioder. - Hansvold mieszka tutaj najdłużej ze wszystkich. Ma chyba ponad osiemdziesiąt lat, ale umysł kryształowo jasny. Jeśli poczeka pani chwilkę, to pójdę z panią i ją przedstawię.

Pochyliła się poufale do przodu, nie otwierając jednak szerzej drzwi.

- Przecież znam już panią. Tylko chwilę.

- To zupełnie niepotrzebne - odezwała się pośpiesznie Inger Johanne. - Dam sobie radę. Ale dziękuję pani za pomoc! Bardzo dziękuję.

Nie chcąc, by kobieta w szyfonowej chustce zdążyła się przebrać, zaczęła truchtem biec w stronę furtki. Od strony przedszkola dobiegł krzyk dziecka. Po drugiej stronie ulicy stolarz na rusztowaniu zaklął siarczyście i zaczął wygrażać, iż pozwie jakiegoś mężczyznę w garniturze, rozkładającego bezradnie ręce i wskazującego na wywróconą betoniarę. Kiedy Inger Johanne wychodziła na ulicę, przejeżdżający samochód uderzył o wybrzuszenie na jezdni. Przestraszona, stanęła nogą w kałuży wody.

Czar małego miasteczka zaczął powoli pryskać.

- Ale w dalszym ciągu nie mogę zrozumieć, dlaczego chce pani to wiedzieć.

Harald Hansvold uderzał główką fajki o brzeg dużej, kryształowej popielniczki. Popiół z wypalonego tytoniu pokrył całą błyszczącą powierzchnię. Ten starszy, elegancko ubrany mężczyzna miał wyraźne problemy ze wzrokiem. Szara, matowa błona powodowała, iż kontury źrenic były niewyraźne, a on sam zrezygnował z używania okularów. Inger Johanne podejrzewała,

że widział wokół siebie jedynie niewyraźne kształty. Pozwolił jej, całkowicie obcej osobie, przynieść z lodówki napój jabłkowy i ciasteczka. Ale poza tym wyglądał zdrowo; pewną ręką wkładał tytoń do fajki. Głos miał spokojny i nie miał problemów z przypomnieniem sobie Agnes Mohaug, sąsiadki z synem o nieco ograniczonych zdolnościach, jak to sam sformułował.

- Łatwo można było nim kierować. Sądzę, że w tym tkwił przede wszystkim problem. Oczywiście nie było mu łatwo znaleźć przyjaciół. Mam na myśli takich prawdziwych przyjaciół. Musi pani pamiętać, że to były zupełnie inne czasy, kiedy tolerancja w stosunku do ludzi odmiennych nie była taka jak obecnie. - Uśmiechnął się sztywno.

Inger Johanne nie była pewna, czy mężczyzna próbuje być ironiczny. Zakłuło ją pod mostkiem, wypła więc duży łyk napoju. Był zbyt słodki, stąd też w pierwszym odruchu wypłuła większość płynu z powrotem do szklanki.

- Anders nie był złym chłopcem - niczego nie za uważając, ciągnął dalej Hansvold. - Moja żona zapraszała go czasami do nas. Były okresy, kiedy martwiło mnie to. Dużo wtedy podróżowałem. Jestem, rozumie pani, emerytowanym maszynistą.

To, że Harald Hansvold, zwracając się do niej, konsekwentnie używał staroświeckich form grzecznościowych, nie mogło budzić zdziwienia, biorąc pod uwagę jego wiek. Było coś nieoczekiwane wyrefinowanego w tym starym człowieku i jego mieszkaniu, zapelnionym książkami od podłogi do sufitu i z trzema nowo-

czesnymi litografiami na ścianach. Nie harmonizowało to z długim życiem zawodowym w kolejach państwowych. W obawie przed okazaniem swojego zdziwienia, przytakiwała z ożywionym zainteresowaniem, tak jakby zawsze jej życzeniem było dowiedzenie się jak najwięcej o zawodzie maszynisty.

- Kiedy był jeszcze bardzo młody, nie było to oczywiście niebezpieczne. Kiedy jednak wszedł w okres dojrzewania wyrósł na bardzo silnego człowieka. Okazały mężczyzna. Ale, wie pani... - Zrobił znaczący ruch palcem, wskazując na skronie. - A do tego był jeszcze ten Asbjorn Revheim.

- Asbjorn Revheim?

- Tak. Pani go chyba zna?

Inger Johanne zdezorientowana przytaknęła.

- Oczywiście - mruknęła.

- Wychowywał się niedaleko stąd. Nie wiedziała pani o tym? Powinna pani przeczytać biografię, która ukazała się w zeszłym roku na jesieni. Osobliwy człowiek. Bardzo interesująca książka. Pani rozumie, Asbjorn był rebeliantem od dziecka. Ubierał się w ekstrawagancki sposób. Zachowywał się niezwykle podejrzanie. Prawdę mówiąc odróżniał się od otoczenia.

- No tak - odezwała się niepewnie Inger Johanne. - Nigdy nie był taki sam jak inni.

Harald Hansvold zaśmiał się i pokręcił głową.

- Pewnej niedzieli, to musiało być w 1957 albo 58 roku. To był rok 57! Wkrótce po śmierci króla Haakona, kilka dni później, trwała żałoba narodowa. - Zaczął ssać fajkę, która nie chciała się dobrze rozpalić. - Chłopak zaaranżował przed przedszkolem egzekucję. To znaczy,

wtedy nie było jeszcze tam przedszkola. Przedtem był tam harcówka. W tamtych czasach.

- Egzekucję? Wykonanie wyroku?

- Tak. Upolował dzikiego kota, którego ubrał w królewski strój. Gronostaj i korona. Płaszcz zrobiony był ze skóry królika, z domalowanymi kropkami. Koronę też pewnie zrobił sam. Biedne stworzenie wrzeszczało i jeżyło się, zapłaciło jednak życiem na amatorsko skonstruowanej szubiennicy.

- Ale to było... to było... znęcanie się na zwierzęciem!

- Oczywiście!

Jednakże nie potrafił zapanować nad uśmiechem.

- A potem się zaczęło. Przybyła policja, kobiety przechodzące ulicą krzyczały i wygrażały. Asbjorn zrobił z tego wielki numer, twierdząc, iż była to demonstracja polityczna przeciw monarchii. Chciał spalić zwłoki kota i nawet zdążył przygotować ognisko, ale w tym momencie wkroczyły siły porządkowe, zatrzymując całe to przedstawienie. Rozumie pani, w chwili gdy ukochany przez naród król Haakon odchodzi od nas.

Uśmiech nagle zniknął. Oczy stały się bardziej matowe, tak jakby mężczyzna zagłębił się w sobie, powrócił do przeszłości.

- A najgorsze z tego wszystkiego - powiedział cicho, głosem zupełnie zmienionym. - Najgorsze było to, że



przebrał Andersa za kata. Nagi tors i czarny kaptur na głowie. Agnes Mohaug bardzo ten fakt przeżyła. Ale tak to wszystko wyglądało.

W mieszkaniu zapanowała przejmująca cisza. Żadnego tykania zegara, żadnego radia z oddali, przez niko-

go nie słuchanego. Mieszkanie Haralda Hansvolda nie wyglądało na własność starszego człowieka. Meble były neutralne, zasłony białe, a w oknach nie stały doniczki z kwiatami.

- Czy czytała pani Revheima? - zapytał przyjaznym tonem.

- Tak. Sądzę, że większość. Jest chyba takim pisarzem, który wywołuje dreszcz podniecenia u licealistów. Przynajmniej tak było w moim wypadku. On jest taki... bezpośredni. Rebeliancki, jak pan sam powiedział. Mocny, z pozycji człowieka samotnego. Zupełnie sam ze swymi przekonaniem. Coś takiego trafia do dorastającego człowieka.

- Pewnie były też inne sprawy - odezwał się. - W tym, co pisał. Co interesuje młodzież w tym wieku. W wieku licealnym.

- Tak. Czy Anders Mohaug był...

- Jak już mówiłem - przerwał Hansvold i wesschnął ciężko - łatwo można było kierować Andersem Mohaugiem. Podczas gdy inni okoliczni chłopcy unikali go jak zarazy, Asbjorn Revheim był nastawiony do niego bardziej przyjaźnie - wyjaśnił, a jego oczy ponownie nabrały obcego spojrzenia, tak jakby on sam powrócił myślami do przeszłości i nie wiedział, w którym miejscu powinien się zatrzymać. - Nawiasem mówiąc nie był przyjazny. Wykorzystywał Andersa. Nie ma co do tego wątpliwości. A przy tym był człowiekiem pełnym zła, co wciąż się potwierdzało. Również w tym, co pisał. Anders Mohaug był ociężały i opóźniony w rozwoju. Pod każdym względem. Tu nie było przyjaźni.



248

- Tego nie można stwierdzić - odezwała się Inger Johanne.

- Można.

Po raz pierwszy pojawił się w jego głosie ostry ton.

- Czy kiedykolwiek pan słyszał - wtrąciła szybko Inger Johanne - o sprawie na policji w 1965 roku?

- Że co? O sprawie na policji?

- Tak. Czy Anders miał kiedykolwiek kłopoty z policją?

- No tak. Był wzywany do komisariatu za każdym razem, kiedy Asbjorn wpadał na jakiś pomysł i wciągał w to tego biedaka. Ale nigdy nie była to jakaś poważna sprawa.

- Czy jest pan tego pewien?

- Proszę powiedzieć...

Mogłaby teraz przysiąc, że stał się podobny do orła. Matowoszara rogówka powodowała, że lewe oko wydawało się większe od prawego, od czego nie można było oderwać wzroku.

- Czy mogłaby pani być bardziej precyzyjna?

- Mam podstawy sądzić, że po śmierci Andersa jego matka zgłosiła się w 1965 roku na policję. Uważała, że jej syn wiele lat wcześniej popełnił przestępstwo. Poważne przestępstwo. Za które inny człowiek dostał

wyrok.

- Agnes Mohaug? Pani Mohaug miałyby donieść na swojego syna na policję? Wykluczone.

Pokręcił gwałtownie głową.

- Ale syn wtedy już nie żył.

- Nie ma to większego znaczenia. Ta kobieta żyła dla swojego syna. Był jedyną bliską jej osobą. Zasłużyła na ogromny szacunek, gdyż pielęgnowała go i opiekowała

się nim aż do końca. Donieść na policję w jakiegokolwiek sprawie... Nawet po... - Zrezygnował z fajki, opierając ją o brzeg popielniczki. - Coś mi się tu nie zgadza.

- Nie słyszał pan nigdy żadnych plotek?

Hansvold zaśmiał się pod nosem i zaplótł ręce na brzuchu.

- Słyszałem więcej plotek, niż bym sobie tego życzył.

To małe miasteczko. Ale jeśli ma pani na myśli plotki na temat Andersa, to nie. Nie tego rodzaju, o jakim pani wspomniała.

- To znaczy jakiego rodzaju?

- Że chłopak miał zrobić coś bardziej poważnego, niż dać się nakłonić do zabicia kota.

- No cóż, nie chcę panu zabierać więcej czasu.

- Nie zabiera mi pani czasu. Miło jest mieć gości.

Kiedy odprowadzał ją do drzwi, zauważyła na ścianie w korytarzu wielką fotografię kobiety po pięćdziesiątce. Okulary wskazywały, że zdjęcie musiało być zrobione w latach siedemdziesiątych.

- Moja żona - powiedział Hansvold i wskazał lekko na portret. - Randi. Wspaniała kobieta. Miała własny sposób na Andersa. Pani Mohaug ufała Randi. Kiedy Andres był u nas, mogli godzinami siedzieć i układać puzzle albo grać w remika. Randi pozwalała mu zawsze wygrać. Tak jakby był małym dzieckiem.

- I był takim małym dzieckiem - odezwała się Inger Johanne. - W pewnym sensie.

- Tak. W pewnym sensie był nim.

Odwrócił się twarzą do niej i potarł grzbiet nosa.

- Ale był również mężczyzną. Silnym, dorosłym mężczyzną. Proszę o tym nie zapominać.

- Nie, nie zapomnę - odpowiedziała Inger Johanne.
- Dziękuję serdecznie za pomoc.

W drodze powrotnej do Oslo sprawdziła automatyczną sekretarkę w komórce. Dwie wiadomości od Yngvara, w których dziękował za poprzednią noc i pytał, gdzie obecnie przebywa. Inger Johanne zwolniła, zachowując odpowiednią odległość za samochodem ciężarowym. Odegrała wiadomości jeszcze raz. W ostatniej wyczuła coś, co przypominało irytację, a może niepokój. Próbowała odpowiedzieć sobie, czy podobało jej się to, czy raczej prowokowało.

Trzy razy dzwoniła matka. Inger Johanne od razu oddzwoniła, wiedząc, że matka nie zrezygnuje z ponownych telefonów. Została na zewnętrznym pasie autostrady.

- Cześć mammo.
- Cześć. Dobrze, że oddzwoniłaś. Twój ojciec pytał się właśnie o ciebie, on...
- Przecież może zadzwonić. Powiedz mu to.
- Zadzwonić? Ależ, dziewczyno, ciebie nigdy nie ma w domu! Byliśmy dosyć zaniepokojeni. Od wielu dni nie dawałaś znaku życia, mimo że wróciłaś z dalekiej podróży i w ogóle. Czy zdążyłaś odwiedzić Marion? Jak ona się teraz czuje ze swoim nowym...
- Ja nikogo nie odwiedzałam, mammo. To była podróż służbowa.
- Rozumiem. Ale skoro znalazłaś się w tamtych rejonach, mogłaś...
- Ostatnio mam naprawdę bardzo dużo pracy. Kiedy

zakończyłam to, co miałam tam zrobić, wróciłam do domu.

- Świetnie. Znakomicie, moje dziecko.

- Zostawiłaś wiadomości na mojej sekretarce. Kilka.  
Czy stało się coś szczególnego?

- Chciałam tylko usłyszeć, jak się czujesz. A poza tym zapraszam ciebie i Kristiane na obiad w piątek. To przecież dla twojego dobra, nie będziesz musiała myśleć o...

- W piątek? Muszę się zastanowić.

Ciężarówka miała problemy z jazdą pod górę łagodnymi wzniesieniami w kierunku Karihaugen. Inger Johanne skierowała samochód na lewą stronę, przyspieszając i wyprzedzając ciężarówkę. Wypadły jej słuchawki.

- Poczekaj - krzyknęła w próżnię. - Mamo, nie odkładaj słuchawki.

W chwili, gdy próbowała schwycić przewód, straciła panowanie nad kierownicą. Samochód wjechał na sąsiedni pas i jakieś volvo musiało gwałtownie zahamować, aby uniknąć zderzenia. Inger Johanne chwyciła kierownicę obiema rękoma, wpatrując się sztywno przed siebie.

- Nie odkładaj słuchawki - powiedziała twardo.

Nie odrywając oczu od jezdni, zdołała je odnaleźć.

- Co się stało - usłyszała krzyk matki z drugiej strony przewodu. - Czy znowu jedziesz samochodem, rozmawiając przez telefon?

- Nie, rozmawiam przez telefon, jadąc samochodem.

Nic się nie stało.

- Pewnego pięknego dnia, tak postępując, zabijesz

się. Przecież nie jest konieczne robienie wszystkiego naraz.

- Mamo, przyjdziemy w piątek. I jeszcze jedno...

W dalszym ciągu serce biło mocno i boleśnie pod mostkiem. Przypomniała sobie, że od śniadania nic nie jadła.

- Czy Kristiane mogłaby pobyć u was do soboty?

- Ależ oczywiście! Nie możecie obie przenocować?

- Mam, mamo, plany.

- Plany? W piątkową noc?

- Czy Kristiane może zostać? Tak czy nie.

- Oczywiście, że tak, kochanie. Jest zawsze u nas mile widziana. Ty także. Przecież bardzo dobrze o tym wiesz.

- Tak. To zobaczymy się koło szóstej.

Wyłączyła telefon, zanim matka zdążyła coś więcej powiedzieć. Inger Johanne nie miała żadnych planów na piątkową noc. Nie mogła zrozumieć, dlaczego się o to zapytała. Była z Isakiem zgodna co do tego, że jeśli potrzebowali kogoś do pilnowania Kristiane, mieli się sobie zapytać. W pierwszej kolejności.

Ponownie nacisnęła numer automatycznej sekretarki. Wiadomości od Yngvara były skasowane. Musiała przez pomyłkę nacisnąć jakiś przycisk. Kiedy rozmawiała z matką, dzwoniła również Linę.

*Cześć, tu Linę. Chciałam ci tylko przypomnieć o dyskusyjnym klubie książki w środę. Jak wiesz, twoja kolej.*

*I niech Bóg się nad tobą zlituje, jeśli nie będziesz mogła.*

*Przygotuj coś prostego. Przyniesiemy wino. Przyjdziemy koło ósmej. Cześć, malutka. Ciesz się!*

- Cholera!



Inger Johanne posiadała zdolności symultaniczne. Życie codzienne udawało się zorganizować, ponieważ potrafiła robić wiele rzeczy jednocześnie. Podczas prania układała plany przyjęcia urodzinowego dla Kristiane, rozmawiając jednocześnie przez telefon. Słuchała programów radiowych, czytając gazetę i chwytła z obu stron treść przekazu. W drodze do przedszkola planowała obiad i ubranie dla Kristiane na następny dzień. Myła zęby i przyrządzała owsiankę, czytając głośno Kristiane. Jednocześnie. I kiedy w rzadkich chwilach chciała zabawić się z innymi, zawoziła córkę do Isaka albo do rodziców, malując się po drodze w samochodowym lusterku. Takie były kobiety. A szczególnie ona.

Nie dotyczyło to pracy.

Inger Johanne wybrała pracę badacza, bo lubiła poznawać coś do głębi. Ale było coś więcej. Nigdy nie została by adwokatem albo urzędniczką. Praca badawcza pozwalała na gruntowność. Na robienie w danym momencie jednej rzeczy. Na szersze i głębsze spojrzenie i na poświęcenie czasu, aby dojrzeć wewnętrzny związek. W pracy badawczej było miejsce na wątpliwości. Tam, gdzie życie codzienne wymagało błyskawicznych decyzji i nie do końca dobrych rozwiązań, kompromisów i dróg na skróty, praca stwarzała jej możliwość ponownego rozpatrzenia sprawy, jeśli nie była całkowicie zadowolona.

Teraz musiała wszystkim zonglować.

Zgodziła się z pewnym wahaniem zbadać sprawę prawdopodobnie niewinnie skazanego Aksela Seiera, ponieważ miało to związek z jej projektem. Ale



w jakimś momencie - nie bardzo wiedziała, w którym - sprawa zaczęła żyć swoim własnym, niezależnym życiem. Przestała mieć związek z jej pracą w instytucie i z badaniami naukowymi. Aksel Seier był wielką zagadką, którą dzieliła ze starszą panią. Z jednej strony sprawa ta przyciągała ją, z drugiej zaś - miała ochotę postawić na niej krzyżyk.

A teraz dała się wciągnąć w pracę Yngvara.

*Mogę żonglować wieloma piłkami jednocześnie, myślała, skręcając z Tassenlokket. Ale nie tymi dużymi. Nie w pracy. Nie dwa trudne projekty jednocześnie.*

I nie pięć pań na obiedzie w środę. Nie da po prostu rady.

Poniedziałek, 29 maja. Jest dopiero jedenasta wieczorem, ale Inger Johanne jest już od godziny w łóżku. Była nieładnie zmęczona. Jednak jakiś niepokój, o którym nie wiedziała, z jakiej przyczyny powstał, nie pozwalał jej zasnąć. Zamknęła oczy, rozmyślając nad tym, że jest teraz *Memorial Day*. Na Cape Cod upłynął pierwszy letni weekend. Okienne w oknach zostały zdjęte. Pokoje wywietrzone. Na nowo pomalowanych drzewcach powiewał *The Star-Spangled Banner*, czerwono-biało-niebieski, łopocząca na wietrze duma narodowa, podczas gdy żaglówki pływały między Martha's Vineyard a lądem.

Warren był prawdopodobnie w Orleans, gdzie w domu z widokiem na Nauset Beach umieścił na lato żonę i dzieci. Dzieci z pewnością były już dorosłe. A przynajmniej nastolatki. Nieświadomie zaczęła liczyć lata. Zaraz jednak zmusiła się do skierowania zainteresowania na Aksela Seiera. Przed sobą miała listę pracowników Ministerstwa Sprawiedliwości w latach od 1964 do 1966. Lista była długa. Tożsamość. Ludzie. Osoby, których nie znała i których nazwiska nic jej nie mówiły.

Na Cape Cod cały czas oglądała się przez ramię. Oczywiście, że się nie spotkają. Po pierwsze między Harwichport a Orleans był prawie kwadrans drogi. Po drugie niewiele było powodów, aby przyjeżdżać

z Orleans do Harwichport. Ruch szedł w przeciwną stronę. Orleans było dużym miastem. Przynajmniej większym. Więcej sklepów. Restauracji. Ogromna Nauset Beach nad Atlantykiem sprawiała, że Nantucket Sound wyglądała jak basen dla dzieci. Wiedziała, że go tam nie spotka. Mimo to stale się rozglądała.

Jeszcze raz przebiegła wzrokiem po kartkach. W dalszym ciągu nic jej nie mówiły. Dyrektor departamentu, szef Alvhill w 1965 roku, nie żył już od trzydziestu lat. Wykreślić. Niestety. Najbliżsi koledzy Alvhill nie mieli nic do powiedzenia. Już dawno Alvhill zbadła, czy pamiętali coś i czy zastanawiali się nad dziwnym wypuszczeniem Aksela Seiera na wolność. Ich też wykreśliła.

Inger Johanne upuściła flamaster. Upadł w fałdę poszwy. Wśród bieli zaczęła poszerzać się czarna plama. Zadzwoił telefon.

Numer nieznan, jak pokazywał wyświetlacz.

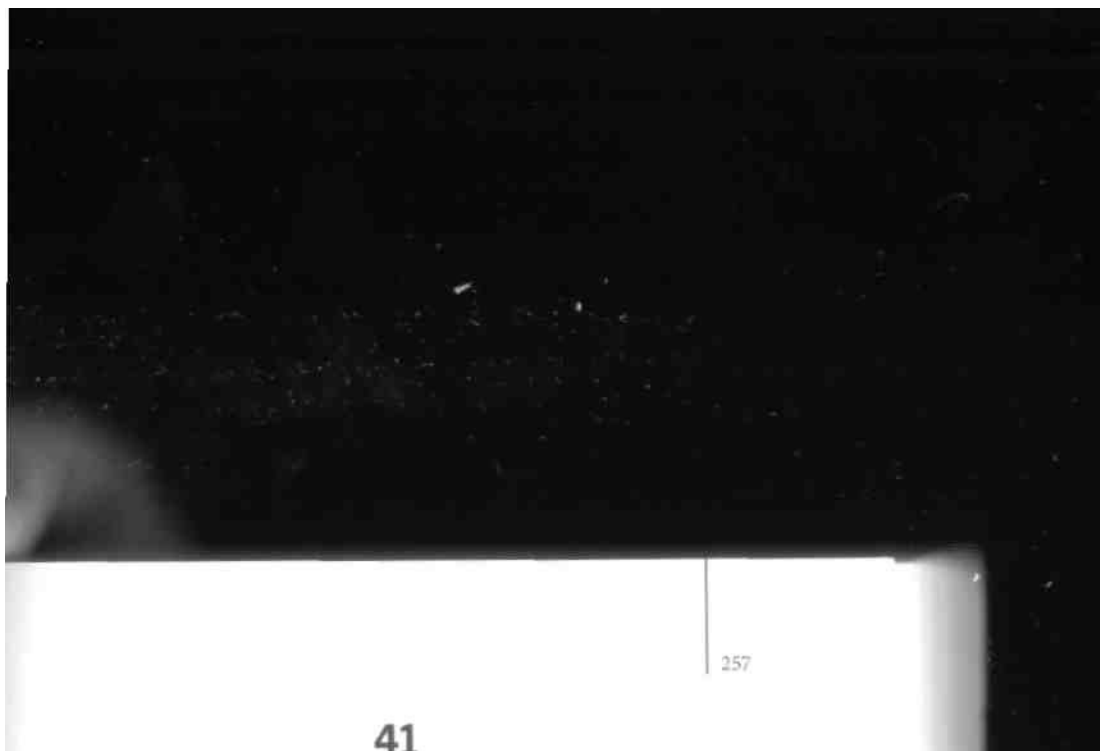
Inger Johanne nie знаła nikogo z zastrzeżonym telefonem.

To musiał być Yngvar.

Pomyślała, że Yngvar i Warren musieli być mniej więcej w tym samym wieku.

Telefon nie przestawał dzwonić, kiedy kładła się, naciągając koldrę na głowę.

Następnego dnia przypomniała sobie, że prawdopodobnie telefon dzwonił jeszcze kilka razy. Nie była jednak tego pewna, gdyż przez całą noc spała mocno i bez snów.



Mimo że z powodu wyjątkowej sytuacji personel został wzmocniony dwiema młodymi dziewczynami ze szkoły zawodowej, niepokój kierowniczkii nie ustawał. To przecież na niej spoczywała odpowiedzialność. Wycieczka do Muzeum Techniki była według jej opinii ryzykowna i niepotrzebna. Przekonali ją jednak do tego. Nie było na tyle daleko, żeby dzieci nie mogły bez trudu dojść, a poza tym na dziesięcioro dzieci było czterech dorosłych. Od dawna cieszyły się na tę wycieczkę i nie chciały pogodzić się z ograniczeniami, wprowadzonymi na skutek postępowania tego nienormalnego porywacza. Był środek dnia i zbliżała się dopiero dwunasta.

Wiek dzieci rozciągał się od trzech do pięciu lat. Szły dwójkami, trzymając się za ręce. Kierowniczkka szła na przedzie, z wyciągniętymi rękami, jakby w ten sposób chciała lepiej je ochronić. Z tyłu szła jedna z dziewczyn, a jedyny mężczyzna w przedszkolu siedł po zewnętrznej stronie i śpiewał wojskową piosenkę, dzięki czemu dzie-

ci maszerowały w takt. Po drugiej stronie szła Bertha, będąca właściwie kucharką.

- Prawa, lewa, raz-dwa-trzy, trzymaj takt też i ty -  
wydzierał się mężczyzna. - Jedna noga, druga  
noga, postaw w dół, napnij dupę i bądź zdrow!
- Och! - odezwała się kierowniczką.

- Dupa - krzyczały przedszkolaki. - On powiedział dupa!

Bertha potknęła się o dziurę w chodniku, zostając w tyle. Jedna z dziewczynek wyrwała się przyjaciółce i podbiegła, żeby pomóc.

- Dupa - powtórzyli dwaj chłopcy. - Dupa, dupa!

Minęli wjazd do sklepu Rema 1000. Jakiś samochód dostawczy próbował wyjechać na Kjelsasveien. Kierowniczka pogroziła mu pięścią, na co ten wystrzelił w górę środkowym palcem. Samochód potoczył się do przodu. Bertha krzyknęła, przed zderzakiem stała jak skamieniała mała Eline. Jakiś pies biegł przez jezdnię w ich kierunku. Machając ogonem, kręcił się wokół trojga dzieci, które z ożywieniem próbowały złapać go za zieloną obrozę. Właściciel psa wrzeszczał ze ścieżki, prowadzącej w dół do rzeki Akerselva. Pies postawił uszy, po czym ruszył biegiem z powrotem. Zapiszczały hamulce w jakimś volvo, które osłoną zahaczyło psa. Ten zawył i, kulejąc, pobiegł dalej na trzech łapach. Eline się rozplakała. Kierowca dostawczego samochodu opuścił szybę i zaczął okropnie kłąć. Młode praktykantki trzymały po jednym przedszkolaku za kołnierz i stojąc z rozstawionymi szeroko nogami na brzegu chodnika, próbowały odgrodzić pozostałe dzieci od ulicy. Bertha wzięła Eline na rękę. Samochód dostawczy przejechał wolno przez chodnik, po czym przyspieszył w kierunku Frysjaveien. W oddali popiskiwał pies. Jego właściciel przykucnął, próbując go uspokoić. Kobieta, kierująca zielonym volvo zatrzymała samochód na środku jezdni i otworzyła drzwi. Widać było, że nie bardzo wiedziała, czy powinna wyjść z samo-

chodu. Za nią stały już cztery inne pojazdy. Dwa z nich trąbiły ze złością.

- Jakub - odezwała się kierowniczką. - Gdzie jest Jakub?

Kiedy Marius Larsen, jedyny mężczyzna pracujący w przedszkolu Frysjakroken, miał opowiedzieć policji, co właściwie wydarzyło się przed Rema 1000 na Kjelsasveien około godziny dwunastej w środę 31 maja, nie był w stanie przedstawić tego chronologicznie. Pamiętał wszystkie elementy historii. Tam był pewien pies i volvo. Kierowca samochodu dostawczego był cudzoziemcem. Właściciel psa miał czerwony sweter. Eline głośno płakała, a Bertha o coś się potknęła. A ponieważ miała dużą nadwagę, sporo czasu zajęło jej podniesienie się. Volvo było zielone. Śpiewali wojskową piosenkę. Szli do Muzeum Techniki. To był szaro-brązowy wyżeł.

Marius Larsen miał wszystkie elementy, ale nie pasowały one do siebie. W końcu zapytał, czy mógłby o wszystkim napisać. Otrzymał od cierpliwego funkcjonariusza żółte kartki post-it. Jedna kartka dla jednego fragmentu. Położył je w kolejności, po czym pozamieniał, zaczął ponownie się zastanawiać, jeszcze raz pisał na nowych kartkach sztywnymi, zabandażowanymi palcami, próbował ponownie.

Jedynie co wydawało mu się pewne, to zakończenie historii.



- Jakub - powiedziała kierowniczka. - Gdzie jest Jakub?

Marius Larsen wypuścił z rąk dwoje dzieci. Obejrzał się do tyłu i zorientował, że Jakub znajduje się sto pięćdziesiąt metrów dalej, pod pachą jakiegoś mężczyzny, otwierającego właśnie drzwi do samochodu zaparkowanego przed garażami, stojącymi w głębi ulicy.

Marius ruszył biegiem.

Po drodze zgubił but.

Kiedy zaczął zbliżać się do samochodu (miał już nie więcej niż dziesięć albo dwanaście metrów do przebiegnięcia), mężczyzna włączył silnik. Jednym szarpnięciem samochód przeskoczył chodnik i znalazł się na jezdni. Marius nie zatrzymał się. Jakub był niewidoczny. Pewnie leżał na tylnym siedzeniu. Rzucił się na klamkę. W stopę bez buta wbiła się mu stłuczona butelka po piwie. Drzwi otworzyły się z łoskotem i Marius stracił równowagę. Kierowca zahamował gwałtownie. Trzasnęło w zawiasach. Jakub zapłakał. Marius nie puścił drzwi; trzymał mocno za szybę; wisiał na palcach i nie puszczał. Samochód ponownie ruszył, podskakując nieregularnie, po czym przyspieszył. Marius nie utrzymał się, stracił czucie w palcach, a zraniona stopa krwawiła. Leżał nagle na asfalcie na środku ulicy Kjelsasveien.

Obok niego leżał Jakub i wrzeszczał.

Później okazało się, że chłopiec złamał podczas upadku nogę. Poza tym był w dobrej formie. Biorąc pod uwagę całą sytuację.

Niemal dokładnie pięć godzin później, w środę za dziesięć piąta po południu, Yngvar Stubo, Sigmund

Berli i czterech śledczych z Komendy Policji w Asker i Baerum stanęli przed drzwiami wejściowymi do mieszkalnego bloku w Rykkinn. Na korytarzu unosił się zapach mokrego betonu i taniego obiadu. Żaden zaciekawiony sąsiad nie wystawił na zewnątrz głowy. A kiedy wcześniej parkowali przed blokiem trzy ciemne samochody, nie pojawiło się przy nich żadne dziecko. Trzy identyczne samochody z niezbyt starannie zakamuflowanymi sygnałami świetlnymi. Wokół panowała cisza. Trzy minuty zajęło otworzenie zamka wytrychem.

- Przypuszczam, że wszystkie formalności są załatwione
- odezwał się Yngvar Stubo i wszedł do mieszkania.
- Wiesz co, cholera mnie to w tym momencie obchodzi.

Funkcjonariusz z komendy w Asker i Baerum szedł za nim. Yngvar odwrócił się i zagroził drogę.

- Właśnie w tym momencie musimy bardzo uważać na takie rzeczy - odrzekł.

- Dobrze, dobrze. Wszystko jest w porządku. Przesuń się.

Yngvar nie bardzo wiedział, czego powinien oczekiwać. Właściwie niczego. Tak jest najlepiej. Nic nigdy nie powinno go zaskoczyć. W takich sytuacjach jak ta miał swoje własne rytuały. Zanim wszedł do środka, krótka, kontemplacyjna chwila z zamkniętymi oczami, żeby opróżnić umysł, pozbyć się z góry powziętych przekonań i gorzej lub lepiej uzasadnionych przypuszczeń.

Teraz jednak chciałby być lepiej przygotowany.

Norwegia weszła w nieformalny stan wyjątkowy.

Informacja rozeszła się kilka minut po wydarzeniu: próbowano porwać jeszcze jedno dziecko. Tym razem policja miała zarówno numer rejestracyjny samochodu, jak i dobry rysopis. Dwa główne kanały telewizyjne, NRK i TV2, przerwały swoje zwykłe programy. Początkowo lakoniczne i skąpe informacje rozwinęły się w krótkim czasie w jeden długi program na obu kanałach. W imponującym tempie redakcje zdobyły ekspertyzy, dotyczące większości spraw, które choćby w najmniejszym stopniu mogły mieć związek z wydarzeniami. Kilku ekspertom przypadła rola specjalistów od każdego tematu; psycholog dziecięcy i emerytowany szef CBS odbywali nieprzerwaną podróż między NRK na Marienlyst a TV2 na Karl Johans gate 14. Redakcje wykazywały wielką pomysłowość. Czasami zbyt wielką. TV2 pokazała piętnastominutowy wywiad z przedstawicielem zakładu pogrzebowego. Chudy, na czarno ubrany człowiek mówił z wielkim przejęciem o przeżyciu żałoby u rodziców, którzy stracili swoje dzieci w traumatycznych okolicznościach. Ilustrował to wieloma, słabo zachowującymi anonimowość, przykładami. Reakcja widzów była tak gwałtowna, iż nim upłynął wieczór, szef redakcji musiał wystąpić z osobistymi przeprosinami.

Świadek z Kjelsasveien dostrzegł, że porywacz miał gips na rękę.

Nieco poirytowany niezbyt wielkim zainteresowaniem policji (zanotowali nazwisko i adres, informując, że zgłoszą się za dzień lub dwa) zadzwonił do TV2 na numer zajmujących się tą sprawą reporterów. Podany przez niego rysopis był tak precyzyjny, że jeden z re-

porterów od spraw kryminalnych przypomniał sobie pewne aresztowanie, dokonane nie tak dawno w Asker Baerum. Reporter, przeglądając swoje notatki, stwierdził zdecydowanie, że chodziło o upośledzonego człowieka. Grupa obywateli, patrolująca okolicę, złamała mężczyźnie rękę, jednak sprawa umarła śmiercią naturalną, gdyż mężczyzna nie chciał rozmawiać z dziennikarzami, a policja uważała, że człowiek ten nie miał nic wspólnego ze sprawą porwań.

Morderca dzieci, który stał się dla Norwegów koszmarem i jak dotąd jego przestępstwa kosztowały życie trojga, a może czworga dzieci, był aresztowany już wcześniej! I wypuszczony na wolność po zaledwie kilku godzinach aresztu. Sprawę pogarszał fakt, że człowiek ten wywinął się również i tym razem. Policja natychmiast otrzymała meldunek o zdarzeniu od spostrzegawczego kierowcy z telefonem komórkowym. Mimo to przestępca zniknął bez śladu. To był skandal o ogromnych rozmiarach.

Szef policji w Oslo odmówił odpowiedzi na jakiegokolwiek pytania. Minister sprawiedliwości w krótkiej notatce prasowej odsyłał do naczelnika policji. Natomiast ten ostatni siedział w swoim gabinecie i nie miał nic do zameldowania.

TV2 uzyskała przewagę nad NRK, które nie miało szans na wyrównanie. Świadek pojawił się w telewizji. I może nie zyskał wielkiej sławy, to jednak wywiad trwał całe dwie minuty. Dodatkowo mógł oczekiwać dziesięciu tysięcy koron na swoim koncie. Jak najszybciej, zapewniał reporter od spraw kryminalnych. Jak tylko zostanie wyłączona kamera.

Pisma pornograficzne, których stosy leżały w całym mieszkaniu, nie były tak naprawdę najgorsze.

Niewiele było rzeczy, których Yngvar Stubo nie widział w swoim życiu. Pisma drukowane były na tanim papierze, ale za to w czterech kolorach. Yngvar zdawał sobie sprawę, że większość z nich produkowana była w krajach Trzeciego Świata, gdzie dzieci kupowano za niewielkie pieniądze, a policjanci odwracali głowę w zamian za garść dolarów. I najgorszy nie był fakt, że niektóre z dzieci, patrzące pustym wzrokiem na niego ze wszystkich tych obrzydliwych zdjęć, nie miały więcej niż dwa lata. Yngvar Stubo widział na własne oczy sześciomiesięczną ofiarę gwałtu, nie miał więc żadnych złudzeń. Bardziej zaskoczyło go, że właściciel mieszkania miał komputer.

- Pomyliłem się co do tego człowieka - wymamrotał i włożył gumowe rękawiczki.

Tutaj najgorsze były ściany.

Wszystko, co napisano o porwaniach, zostało starannie wycięte i na nich powieszono. Od pierwszego wyważonego doniesienia o zniknięciu Emilii po dwu-stronicowy esej pisarza Jana Kjarstada w ostatnim porannym wydaniu gazety „Aftenposten”.

- Wszystko - odezwał się Hermansen. - On, do diabła, zachował wszystko.

- A nawet więcej - powiedział najmłodszy funkcjonariusz i wskazał głową na zdjęcia dzieci.

To były te same zdjęcia, które wisiały w biurze Yngvara. Podszedł do ściany i mrużąc oczy zaczął przyglądać się fotografiom. Chociaż znajdowały się



w plastikowych koszulkach, natychmiast zauważył, że nie były wycięte z gazet.

- Kopie z internetu - stwierdził z własnej inicjatywy najmłodszy funkcjonariusz.
- Nie może więc być całkowitym idiotą - stwierdził Hermansen, nie patrząc na Yngvara.
- Ja już do tego się przyznałem - odezwał się ostro Yngvar.

Pokój stołowy był po prostu biurem. Centrum operacyjne dla jednoosobowej załogi. Yngvar przeszedł powoli wzdłuż pomieszczenia. W tym szaleństwie istniał pewien system. Nawet pisma pornograficzne ułożone były w perwersyjnej chronologii. Zauważył, że pisma leżące najbliżej okna zawierały sceny z trzynasto-, czternastoletnimi dziećmi. Im dalej w głąb pokoju, tym młodsze ofiary. Na chybił trafił chwycił jedno z tych leżących na stoliku przy drzwiach kuchennych. Zerknął na zdjęcia i poczuł duszenie w gardle, co zmusiło go do odłożenia magazynu na miejsce, nim podarłby go na drobne kawałki. Jeden z funkcjonariuszy z Asker i Basrum rozmawiał cichym głosem przez telefon komórkowy. W chwili, gdy skończył rozmowę, pokręcił głową.

- Nie znaleźli nawet samochodu. A na pewno nie znaleźli mężczyzny. Jeśli mieszkanie wygląda w ten sposób, to nie mam ochoty na wejście do sypialni.
- Rozłożył ręce.

Sześciu policjantów stało bez słowa, rozglądając się wo-

kół. Nikt się nie odezwał. Coś wydarzyło się na dworze. Usłyszeli zatrzymujące się samochody. Krzyki. Odgłos obcasów uderzających o asfalt. W dalszym ciągu nikt nie mówił. Policjant, który przed chwilą nie chciał

sprawdzać sypialni, położył kciuk i palec wskazujący na oczach i mocno je przycisnął. Grymas na twarzy sprawił, że najbliższy stojący kolega poklepał go niezdarnie po plecach. Śmierdziało starym, niezmytym seksem. Masturbacją i brudnym ubraniem. Unosiła się woń i grzechu, i wstydu, i tajemnic. Yngvar popatrzył na Emilie na ścianie. Tutaj również była poważna, kwiat podbiału laskotał jej oczy i zdawało się, że wszystko wie-

*mm*

działa.

- To nie on - odezwał się.

-Co!?

Pozostali skierowali twarze w jego stronę. Najmłodszy gapił się głupio i miał wilgotne oczy.

- Pomyliłem się, co do umysłowych zdolności tego faceta - przyznał Yngvar, próbując przeczyścić gardło. - Wyraźnie potrafi posługiwać się komputerem. Potrafił nawiązać kontakt z kolporterami tego gówna. - Zatrzymał się, usiłując znaleźć bardziej odpowiednie słowo, dosadniejsze, lepiej określające te drukowane rzeczy, leżące stosami w całym mieszkaniu. - Tego gówna tutaj - powtórzył zrezygnowanym głosem. - Potrafi rozeznac się w świecie. I wiemy prawie na sto procent, że to on próbował porwania dzisiaj na Kjelsasveien. Jego samochód. Złamana ręka. Rysopis zgadza się we wszystkich punktach. Ale to nie *jest* ten człowiek, który porwał i zabił te dzieci.

- I na to wpadłeś zupełnie sam.

Wyraz twarzy Sigmunda Berli mówił, że nie traktuje już Yngvara Stubo jak swojego partnera. Był w drodze do tych drugich. Do policjantów z Baerum, którzy wiedzieli, że rozwiążali sprawę. Jeśli tylko znajdą mężczy-



znę, który mieszkał w tym mieszkaniu, wśród wycinków z gazet, pornografią i brudnymi ubraniami. Wiedzieli, kim był i wiedzieli, że złapią go.

- Ten człowiek pozwolił się już raz schwytać. Przez dwóch amatorów. Dzisiaj został ponownie niemal zatrzymany. Nasz człowiek, ten, którego szukamy, ten, który zabił Kima, Glenna Hugo i Sarę... - Yngvar nie spuszczał wzroku ze zdjęcia Emilii. - I który może więzi Emilię w jakimś miejscu... On nie pozwoli się schwytać. Nie w ten sposób. On nie próbuje, w biały dzień i własnym samochodem, porwać dziecka, które idzie na spacer w otoczeniu wielu pilnujących go dorosłych. I z ogromnym gipsem na ręku. Mowy nie ma. Wy też o tym wiecie. Tylko, że jesteśmy tak zajęci tym, aby tę świnię...
- To może wytłumaczysz mi, co to jest - przerwał mu Hermansen.

Policjant nie triumfował. Głos miał zdławiony, prawie zrezygnowany. Właśnie wyciągnął teczkę skoroszytową z jakiejś szuflady. Teczka zawierała cienki plik kartek formatu A-4. Yngvar Stubo nie chciał patrzeć. Domyślał się, że zawartość teczki zmieni kierunek śledztwa. Ponad setka policjantów dochodzeniowych, pracujących do tej pory według teorii, że nic nie jest pewne i wszystkie możliwości są aktualne (świetni policjanci, przynajmniej próbujący wszystkich ewentualności i wiedzący, iż dobra praca dochodzeniowa jest rezultatem cierpliwej systematyczności), będzie teraz sterowana w jednym tylko kierunku.

*Emilia, pomyślał. Tu chodzi o Emilię. Ona gdzieś jest. Żyje.*

- Do diabła - odezwał się najmłodszy.

Sigmund Berli przeciągle zagwizdał.

Na zewnątrz słyszeli coraz więcej samochodów. Krzyki i rozmowy. Yngvar podszedł do okna i odsunął ostrożnie żaluzje. Przybyli dziennikarze. Oczywiście. Skupili się na dole przed drzwiami wejściowymi. Dwaj z nich spoglądali w górę, więc opuścił szare żaluzje z powrotem. Odwrócił się w stronę pokoju. Pozostała piątka otoczyła Hermansena, trzymającego wciąż w ręku czerwoną teczkę. W drugiej ręce miał niewielki plik papierów. Kiedy podniósł jedną z kartek w stronę Yngvara, ten łatwo mógł ją przeczytać, mimo że stał tyłem do okna.

*DOSTAJESZ TO, NA CO ZASŁUGUJESZ.*

- Tekst napisany jest na maszynie - stwierdził Yngvar.

- Przestań - odezwał się Sigmund. - Naprawdę przestań, Yngvar. Skąd ten typ mógł wiedzieć...

- Kartki u dzieci pisane były ręcznie. One były pisane ręcznie, panowie!

- Czy ty, czy ja mam rozmawiać z tymi na zewnątrz?

- zapytał Hermansen, wkładając ostrożnie kartki do teczki. - Niewiele możemy powiedzieć, ale właściwie najbardziej naturalne będzie, jeśli ja...

Skoro my jesteśmy z Baerum i w ogóle.

Yngvar Stube wzruszył ramionami. Nie odezwał się też ani słowem, kiedy przeciskał się przez tłum ludzi zebranych przed niskim blokiem w Rykkinn. Dotarł do samochodu i wsiadł do środka. Kiedy już prawie zrezygnował z czekania na Sigmunda Berli, ten zdyszany usiadł na siedzeniu pasażera. W drodze do Oslo nie zamienili ani jednego słowa.

## 42

- Nie rozumiem, jak ty dajesz sobie radę ze wszystkim - powiedziała z podziwem Bente. - To było takie dobre!

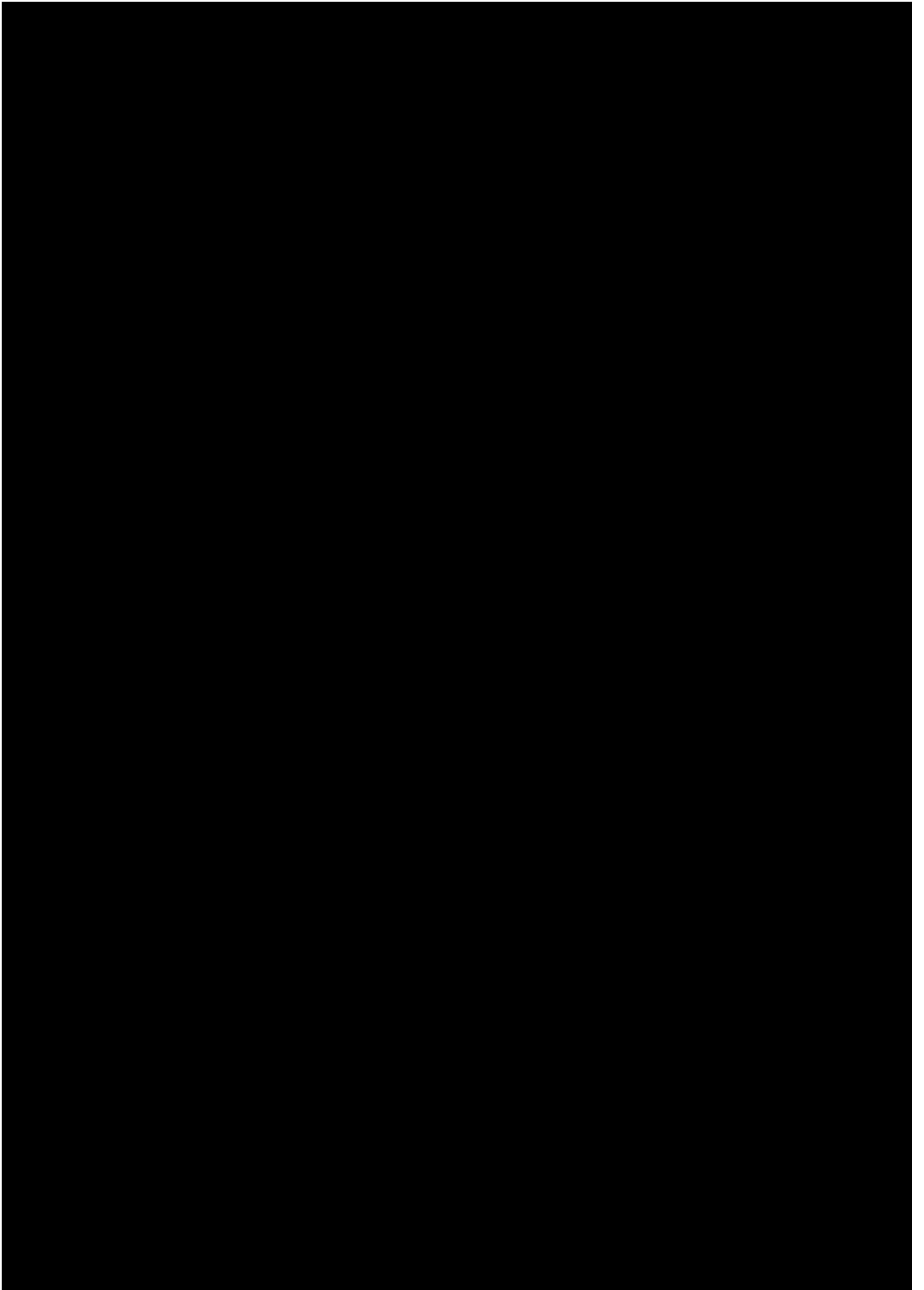
Kristiane spała. Zwykle była niespokojna, kiedy Inger Johanne przyjmowała gości. Już wczesnym popołudniem wchodziła w długotrwałą fazę wewnętrznej izolacji. Kręciła się, biegała z pokoju do pokoju, nie chciała jeść. Ale tego wieczoru najedzona padła na łóżko z Sulamitą z jednej strony i śliniącym się ze szczęścia Jackiem z drugiej. Inger Johanne musiała przyznać, że Król Ameryki dokonał czegoś w Kristiane. Rano dziecko spało aż do wpół do ósmej.

- Przepis - odezwała się, przelękając, Kristin.  
- Muszę dostać przepis.

- Nie ma - odpowiedziała Inger Johanne. - Sama wymyśliłam.

Smakowało jej wino. Była godzina wpół do dziesiątej w środę wieczorem. Miała lekką głowę. Ramiona nie bolały. Dziewczyny wokół stołu mówiły jedna przez drugą. Jedyne Tonę zawiadomiła, że nie przyjdzie. Nie miała odwagi, w obecnej sytuacji, zostawić dzieci. Szczególnie dzisiaj.

- Zawsze była cholernie lękliwa - powiedziała Bente, rozlewając trochę wina na obrus. - Przecież dzieci mają ojca. Oj! Soli. Wody mineralnej! Tonę przesadnie boi



napisał, można przeczytać o tęsknocie za śmiercią. Tak. Pociąg do śmierci.

- Wygląda na powieść kryminalną - powiedziała Kristin. - Czy nie powinniśmy po prostu zdjąć obrus?

Bente ponownie rozlała wino. Zamiast jednak wysypać więcej soli, przykryła niezdarnie czerwoną plamę serwetką. Kieliszek wciąż leżał przewrócony. Plama pod papierem stawała się coraz większa.

- Cholera, nieważne - stwierdziła Inger Johanne, podnosząc kieliszek. - Nic się nie stało. A kiedy on zmarł?

- W 1983 roku. Nawet to pamiętam.

- Mhm. Ja też. Ale to sposób odebrania sobie życia wzbudził wtedy zainteresowanie.

- Mówiąc łagodnie.

- Może powinnaś wziąć więcej wody mineralnej.

Kristin przyniosła z kuchni więcej wody. Bente szorowała plamę, którą sama zrobiła. Linę nalala wina. Halldis przeglądała biografię Asbjorna Revheima.

Inger Johanne czuła się dobrze.

Wcześniej miała dość sił jedynie na pobieżne odkurzenie mieszkania, wrzucenie rzeczy, należących do Kristiane, do dużej skrzyni w jej pokoju i wyczyszczenie łazienki. Przygotowanie jedzenia zajęło jej pół godziny. Nie miała na to ochoty. Mimo to dotrzymała słowa. Panie bawiły się świetnie. Nawet Bente pod zmęczonymi powiekami miała szczęśliwy uśmiech. Inger Johanne mogła jutro przyjść później do pracy. Mogła poleniuchować z Kristiane przez kilka godzin, nigdzie się nie spiesząc. Czuła radość, że mogła spē-

dzić czas z przyjaciółkami. Nie zaprotestowała, gdy Kristin chciała ponownie napelnić jej kieliszek.

- Słyszałam, że wszyscy, którzy odbierają sobie życie, przechodzą właściwie nagłą psychozę - rzekła Linę.

- Co za idiotyzm - odparła Halldis.

- Nie, to jest prawda!

- Że to mogłaś słyszeć, to prawda. Ale tak nie jest.

- A co możesz o tym wiedzieć?

- Jeśli chodzi o Asbjorna Revheima, mogła być to prawda - stwierdziła Inger Johanne. - Z drugiej strony, facet wielokrotnie próbował. Myślicie, że za każdym razem miał psychozę?

- On był wariatem - wymamrotała Bente.

-Całkowitym wariatem.

- To nie to samo co psychoza - zaprotestowała Kristin. - Znam kilkoro ludzi, których scharakteryzowałabym jako całkowitych wariatów. Nigdy jednak nie spotkałam ludzi z psychozą.

- Mój szef jest psychopata - powiedziała głośno Bente. - Cholernie zły człowiek. Zły!

- A tutaj masz więcej wody wody - odezwała się Linę, podając jej półlitrową butelkę.

- Psychopata i psychotyczny to nie całkiem to samo, Bente. Czy któraś z was czytała *Zatopione miasto, wzburzone morze*.

Wszystkie przytaknęły. Oprócz Bente.

- Ukazała się kilka lat po ogłoszeniu wyroku - dodała Inger Johanne. - Zgadza się?

- Czy to w tej książce opisał samobójstwo? - przerwała Kristin. - Mimo że napisał ją wiele, wiele lat przed

odebraniem sobie życia. Właściwie nieprzyjemne, jak się tak pomyśli.

Jej pokaz zgrozy był przesadzony.

- Ale odpowiedz - odezwała się Bente. - Nie możecie mi po prostu powiedzieć, co się wydarzyło?

Nikt nie odpowiedział. Inger Johanne zaczęła sprzątać ze stołu. Wszystkie były najedzone.

- Uważam, że powinniśmy rozmawiać o czymś przyjemniejszym - powiedziała ostrożnie Halldis.  
- Jakie plany macie na wakacje?

Kiedy w końcu przyjaciółki wytoczyły się z domu, minęła już pierwsza. Bente przespała dwie ostatnie godziny i wyglądała na zdezorientowaną na myśl o powrocie do domu. Halldis obiecała, że pojedzie taksówką okrężną drogą do Blindern, aby zobaczyć Bente bezpiecznie w łóżku. Inger Johanne przewietrzyła gruntownie pokój. Godzinę przed pożegnaniem zakaz palenia został zniesiony. Nie pamiętała tylko, kto podjął taką decyzję. Wystawiła cztery miseczki z octem i wyszła na taras.

Mijała druga godzina pierwszego czerwcowego dnia. Na zachodzie przebijało ciemnoniebieskie światło zapowiadające nadejście lata. Przez następnych kilka miesięcy nie pojawi się prawdziwie ciemna noc. Powietrze było ostre, jednak można było pozostać na dworze bez kurtki. Inger Johanne pochyliła się nad skrzynką z kwiatami. Główki rządka bratków zwisały smętnie.

W ciągu ostatnich trzech dni dwukrotnie rozmawiała o Asbjornie Revheimie.

Był on centralną postacią w norweskiej literaturze i najnowszej historii norweskiej. W 1971 albo 1972 ro-

ku - nie była tego pewna - został skazany za napisanie bluźnierczej, nieprzyzwoitej książki. Było to wiele lat po parodystycznej sprawie sądowej przeciwko Jensowi Bjorneboe, po której prokuratura powinna skończyć z zajmowaniem się literaturą piękną. Revheim nie pozwolił się złamać i dwa lata później pojawił się z książką *Zatopione miasto, wzburzone morze*. Była bardziej wulgarna i bluźniercza od jakiegokolwiek książki wydanej kiedykolwiek w Norwegii. Ktoś wspomniał o nagrodzie Nobla. Większość uważała, że człowiek ten zasłużył na następną rundę w systemie sądowym. Prokuratura jednak wyciągnęła wnioski z doświadczenia. Wiele lat później prokurator generalny przyznał, że nie czytał książki.

Revheim odgrywał jako pisarz wielką rolę. Ale już nie żył i to od dawna. Inger Johanne nie mogła sobie przypomnieć, kiedy ostatni raz o nim myślała, a jeszcze rzadziej o nim rozmawiała. Kiedy ostatniej jesieni ukazała się jego biografia, która wzbudziła duże zainteresowanie, nawet jej nie kupiła. Revheim pisał książki, które znaczyły dla niej wiele, kiedy była młodsza. Jednak teraz nie miał jej nic do powiedzenia. W jej obecnym życiu.

Dwa razy w ciągu trzech dni.

Matka Andersa Mohauga uważała, że w 1956 roku syn zamieszany był w zabójstwo małej Hedvig. Anders Mohaug był umysłowo upośledzony. Łatwo było na niego wpłynąć i często przebywał w towarzystwie Asbjorna Revheima.

*To byłoby zbyt proste, pomyślała. To jest zbyt proste.*



Zmarzła, ale nie chciała wejść do środka. Wiatr poruszał rękawami bluzki. Powinna kupić sobie nowe ubranie. Pozostałe dziewczyny wyglądały dużo młodziej od niej. Nawet Bente, która powinna poddać się leczeniu z powodu ilości wypijanego alkoholu, z czego nie można się już było z wyrozumiałością śmiać, i która paliła trzydzieści papierosów dziennie, wyglądała lepiej od Inger Johanne. Przynajmniej bardziej nowocześnie. Linę od dawna zrezygnowała z wyciągania jej na wspólne zakupy.

To byłoby zbyt proste.

A poza tym: kto mógł być zainteresowany uchronieniem Asbjorna Revheima przed dochodzeniem i karą.

*W 1956 roku miał zaledwie szesnaście lat, pomyślała i wciągnęła w płuca nocne powietrze. Chciała mieć bardziej przejrzyste myśli, zanim położy się spać.*

Ale w 1965 roku? Wtedy, gdy Anders umarł i matka poszła na policję? Wtedy, gdy Aksel Seier został wypuszczony na wolność bez żadnego wyjaśnienia, jedynie ze słowami, że i tak powinien być zadowolony.

W tym czasie Asbjorn Revheim miał dwadzieścia pięć lat i był już uznanym pisarzem. O ile pamięta, wydał wtedy dwie książki. Już uznany na podstawie dwóch książek. Obie wzbudziły gwałtowną dyskusję. Asbjorn Revheim stał się wówczas zagrożeniem. Nie był wart ochrony.

Inger Johanne pozostała na miejscu, trzymając w ręku biografię. Linę nalegała, aby Inger Johanne zatrzymała książkę. Spojrzała na nią i pogłaskała okładkę. Zdjęcie było dobre. Revheim miał twarz wąską, ale mę-

ską. Uśmiechał się lekko. Niemal arogancko. Oczy były małe, o podejrzenie długich rzęsach.

Weszła do środka, pozostawiając drzwi uchylone. Poczula nieprzyjemny zapach octu. Złapała się na tym, że odczuwa rozczarowanie faktem, iż Yngvar nie zadzwonił. Kiedy kładła się do łóżka zamierzała zacząć czytać bigrafię. Zanim jednak głowa opadła na poduszkę, zasnęła ciężkim snem.

## 43

Aksel Seier nigdy nie był człowiekiem, który podejmował szybkie decyzje. Z reguły wolał się z tym prześpać. Chętnie zwlekał tydzień albo dwa. Dużo czasu poświęcał nawet na niewielkie i mało istotne sprawy, jak kupno nowej czy używanej lodówki, gdy jego własna dłużej już nie chciała mu służyć. Każda decyzja miała wady i zalety. Musiał je dobrze przemyśleć. Być pewnym. Decyzja o wyjeździe z Norwegii w 1966 roku powinna zostać podjęta rok wcześniej. Powinien szybciej zrozumieć, że nie ma przyszłości w kraju, który wsadził go bez podstaw na dziewięć lat do więzienia, w kraju tak małym, iż nie dawał możliwości zapomnienia ani jemu, ani innym. Ale pośpiech nie leżał w jego naturze. Może był to rezultat pobytu w więzieniu, gdzie czas płynął tak wolno, iż trudno było nauczyć się go wykorzystywać.

Usiadł na kamiennym murze, stojącym niedaleko domu, między ogródkiem a plażą. Granit był czerwony i nagrany słońcem. Czuł przez spodnie ciepło na siedzeniu. Był odpływ. Na wpół martwe skrzypłocze leżały rozrzucone na całej linii wybrzeża. Niektóre ze skorupą do góry wyglądały niczym wozy pancerne z ogonami. Ostrogony przypominały przedpotopowe potwory w miniaturze, niczym zapomniane ogniwo w łańcuchu ewolucji, która powinna już dawno je unicestwić.

On sam tak się czuł.

Przez całe życie czekał na oczyszczenie z zarzutów.

Patrick, jedyny człowiek w USA znający jego przeszłość, prosił go o skontaktowanie się z adwokatem. Albo może z detektywem, mówił, pocierając pożącaną końską uzdę. Karuzela Patricka była najwspanialsza w całej Nowej Anglii. W Ameryce można znaleźć mnóstwo detektywów. I jak twierdził, wielu z nich było świetnych. Jeśli ta kobieta przyjechała specjalnie z Europy, aby mu powiedzieć, że według niej jest niewinny, tak wiele lat po sprawie pokonała długą drogę z Norwegii, to warto było dowiedzieć się czegoś więcej. Wprawdzie adwokaci są drodzy, Patrick wiedział to ze słyszenia, jednak łatwo można było znaleźć takich, którzy brali zapłatę po wygraniu sprawy.

Problem tkwił w tym, że Aksel nie miał żadnej sprawy.

Przynajmniej nie tutaj, w USA.

Nie miał żadnej sprawy, chociaż ciągle czekał. W milczeniu i zrezygnowany nie tracił nigdy nadziei, że ktoś odkryje tę niesprawiedliwość popełnioną wobec niego. Sił starczało jedynie na cichą modlitwę przed snem o to, żeby następny dzień przyniósł dobrą wiadomość. Żeby ktoś mu uwierzył. Nie tylko Ewa i Patrick.

Wizyta Inger Johanne Vik odegrała pewną rolę.

Po raz pierwszy zaczął zastanawiać się nad powrotem do kraju.

Wciąż myślał o Norwegii jako o swoim domu. Jego życie należało do Harwichport. Dom, sąsiedzi, kilka osób, które mógł nazwać przyjaciółmi. Wszystko, co należało do niego, było tu, w tym miasteczku na Cape Cod. Mimo to Norwegia była jego domem.

Gdyby Ewa poprosiła go wtedy, gdy wyjeżdżał, o pozostanie, może nigdy nie wszedłby na pokład M/S Sandefjord. Jeśli w ciągu pierwszych lat pobytu w USA, poprosiłaby o powrót, zaciągnąłby się na pierwszy statek. Poszukałby jakichś przypadkowych prac w Norwegii i żyłby oszczędnie. Przeprowadziłby się do innego miasta, gdzie mógłby popracować przez rok lub dwa, zanim dosięgnęłaby go przeszłość i musiałby przenieść się gdzie indziej. Jeśli Ewa byłaby z nim, mógłby pojechać w jakiegokolwiek miejsce. Ale on miał do zaproponowania tylko siebie, a Ewa nie była wystarczająco silną osobą. Hańba Aksela była zbyt duża. Nie dla niego, ale dla niej. Ona wiedziała, że był niewinny. Wydawało się, że nigdy nie miała co do tego wątpliwości. Ale nie była w stanie znieść ludzkich spojrzeń. Przyjaciele i sąsiedzi krzywo patrzyli i szeptali, a matka pogarszała jeszcze sytuację. Ewa posłuchała i poddała się. Aksel mógłby stanąć przeciwko światu razem z Ewą, ale ona była zbyt słaba, żeby znieść wspólne życie z Akselem.

Później, gdy była już wolna, było za późno dla nich obojga.

Ale może teraz nadszedł czas. Los potoczył się w nieoczekiwanym kierunku, a w domu był ktoś, kto go potrzebował. Wprawdzie Ewa nie prosiła go o powrót w liście, wysłanym do niego poza wszelką rutyną i zwyczajem. Była jednak głęboko zrozpaczona.

Aksel miał wizytówkę Inger Johanne Vik. Gdyby pojechał, mógłby zgłosić się do niej. Patrick miał rację; ta kobieta przyjechała aż z Norwegii, żeby z nim porozmawiać. Musiała więc rzeczywiście wierzyć w niego. Marzenie o oczyszczeniu się z zarzutów mogło się speł-

nić. Przestraszył się tej myśli, wstał więc zeszywniały, rozcierając swoje siedzenie.

Agent nieruchomości zaproponował milion. Jakiś czas temu. Cape Cod był teraz w swoim najpiękniejszym okresie. A ponieważ potencjalny kupiec z pewnością nie będzie zainteresowany samym domem, nie było potrzeby dokładnego czyszczenia i renowacji.

Aksel Seier przewrócił skrzypłocza końcem buta. Przypominał teraz wyrzucony na brzeg morza hełm niemiecki z pierwszej wojny światowej. Podniósł go za ogon do góry, po czym wrzucił do wody. Mimo że nigdy nie podejmował decyzji bez gruntownego przemyślenia, wiedział, iż zrobił pierwszy krok na drodze do dokonania ważnego wyboru. Zaczął zastanawiać się, czy mógłby zabrać ze sobą kota.

## 44

- Jednak pomyliłeś się co do teorii przyrodniego ro-  
dzeństwa - powiedział Sigmund Berli.
- Dobrze - odpowiedział Yngvar Stubo. - Nie miałeś  
zbyt wielu problemów z pobraniem próbek krwi?
- Nie pytaj. W ostatnich dniach nakłamałem więcej  
niż przez całe moje dotychczasowe życie. Nie  
pytaj. Na razie mamy jedynie rezultaty z  
przestarzałych testów na ustalenie ojcostwa.  
Zbadanie DNA potrwa dłużej. Ale wszystko  
wskazuje na to, że pozostali ojcowie w tej sprawie  
są rzeczywiście ojcami dzieci.
- Dobrze - powtórzył Yngvar. - Cieszy mnie to.  
Sigmund Berli zdziwił się.
- No, no - powiedział, kładąc przed swoim szefem  
papiery. - Nie wyglądasz na specjalnie  
zaskoczonego. Dlaczego byłeś tak zainteresowany  
sprawdzeniem czegoś, w co od początku nie  
wierzyłeś?
- Minęło wiele czasu od chwili, gdy po raz ostatni  
byłem czymś zaskoczony. Sam dobrze wiesz, że  
musimy sprawdzić wszystkie ślady. I te, w które  
wierzymy, i te, w które nie wierzymy. Akurat  
teraz wydaje się, że kolektywnie wszyscy tutaj  
pracują nad złą teorią, w której wszystko...
- Yngvar! Przestań!

Polowanie na Olafa „Łazika” Sornesa z Rykkinn stało się sprawą narodową. Wszystko kręciło się wokół niego -

w mediach, przy rodzinnych stołach, w miejscach pracy. Yngvar mógł zrozumieć, że większość ludzi zdecydowała, że Olaf Łazik jest mordercą dzieci. Ale przeraziło go, że jego koledzy, przynajmniej częściowo, zostali złapani w pułapkę tej samej pospiesznej konkluzji. Olaf Łazik był po prostu biednym naśladowcą. Jego policyjna kartoteka wskazywała na perwersyjną seksualność, która dopiero teraz doprowadziła do rzeczywistej próby porwania jakiegoś dziecka. Zarówno literatura, jak i wiele smutnych przykładów z życia mówiło o podobnych przypadkach. Kiedy jakieś przestępstwo zdobyło wystarczająco duży rozgłos, zawsze znajdowali się inni, którzy też pragnęli dokonać takiego samego czynu.

- Ty musisz też to dostrzec - odezwał się Yngvar, kręcąc głową. - Nic się nie zgadza! Weź na przykład przywiezienie Sary przez samochód kurierski. Czy Łazik byłby w stanie to zrobić? Czy mężczyzna, mający iloraz inteligencji osiemdziesiąt jeden, mógł to wszystko sam wymyśleć? Nie mówiąc już o zrealizowaniu!

Uderzył pięścią w teczkę z dokumentami Olafa Sornesa z Biura Opieki Społecznej i szpitala w Baerum, gdzie przebywał na badaniach związanych z podejrzeniem epilepsji.

- Ja spotkałem tego faceta, Sigmund. To żaloszny s..., któremu od chwili dojrzałości płciowej nie starcza rozumu na nic więcej, jak tylko na masturbację. Samochody i seks. To całe życie Łazika Sornesa. Smutne, ale prawdziwe.

Sigmund Berli zaczął świstać przez zęby.

- Ale przecież nie zamknęliśmy się przed innym wyborami. Przestań tak mówić. Śledztwo prowadzone



jest w różnych kierunkach. Ale musisz się zgodzić, że zatrzymanie tego typu jest ważne. Próbował przecież...

Yngvar podniósł do góry ręce, przytakując gwałtownie.

- Ależ tak - przerwał koledze. - Oczywiście, że trzeba go zatrzymać.
- A poza tym - dodał Sigmund. - Jak wytłumaczysz fakt, że wiedział o liście? O zdaniu *Dostajesz to, na co zasługujesz*. Zbadaliśmy papier i masz rację. To nie taki sam rodzaj papieru jak przy pozostałych listach. Ale nie musi to o niczym świadczyć. Jak sam wiesz, kartki z przesłaniem pochodzą z różnych plików. I owszem... - podniósł głos, chcąc nie dopuścić Yngvara do słowa. -Kartka Sornesa napisana była na komputerze. Pozostałe pisane były ręcznie. Ale skąd to mógł wiedzieć? Skąd na miłość boską wiedział o tym groteskowym szczególe, jeśli nie miał z tą sprawą nic wspólnego?

Było popołudnie, czwartek 1 lipca. Dozorca najwidoczniej wyłączył centralne ogrzewanie w tym sezonie. Na dworze padał ulewny deszcz. W pokoju było chłodno, prawie zimno. Yngvar poświęcił czas na wyjęcie cygara z metalowego pudełka. Z kieszeni na piersi wyciągnął powoli nożyczki do cygar.

- Nie mam pojęcia - odrzekł. - Ale z czasem wiele osób się o tym dowiedziało. Wielu policjantów. Trochę lekarzy. Rodzice. Mimo że prosiliśmy ich o to, by nie mówili innym, to jednak byłoby to normalne, gdyby po informowali o tym swoich najbliższych. Podsumowując, o przesłaniu wie co najmniej kilka setek ludzi.

Między innymi Inger Johanne, pomyślał. Zapalił cygaro.

- Nie mam pojęcia - powtórzył, wypuszczając dym w stronę sufitu.

- Czy on może...

Sigmund ponownie zaświstał przez zęby. Yngvar zaproponował mu pudełko wykałaczek.

- Czy można mówić o dwóch sprawcach? - zapytał Sigmund. - Czy Sorens mógł być pewnego rodzaju pomocnikiem kogoś innego, inteligentniejszego niż on sam? Nie, dziękuję.

Podniósł rękę w odmownym ruchu w stronę pudełka z wykałaczkami.

- Oczywiście, jest to możliwe - przyznał Yngvar. - Ale ja tak nie sądzę. Czuję, że ten prawdziwy zbrodniarz, morderca dzieci, którego szukamy, jest człowiekiem samotnym. Samotnie przeciwko światu, tak bym powiedział. Ale kombinacja nie byłaby czymś nowym. Mam na myśli sprytnego człowieka z głupim pomocnikiem. Znany pomysł.

- Zdziwiałem się, że Sorens nie został jeszcze złapany. Samochód znaleziono na parkingu w głębi Maridalen. Nie było raportu o kradzieży samochodu stamtąd, więc jeśli nie miał innego samochodu do ucieczki, to...

- Uciekł do lasu.

- Ale przez lasy Nordmarka o tej porze roku przewija się mnóstwo ludzi!

- Może w dzień się ukrywać, a dopiero nocą poruszać. A na pewno ma więcej szans, by ukryć się w lesie, niż w terenie zabudowanym. I jest adekwatnie ubrany, jeśli można tak powiedzieć. Jeśli nie zmienił ubrania od czasu, kiedy go ostatni raz widziałem. - Ostrożnie stukając, wysypał popiół na rękę. - Może prowadzić tam

wojnę partyzancką. Jak dużo dostaliśmy zgłoszeń?

Sigmund uśmiechnął się drwiąco.

- Ponad trzysta. Z Trondheim, Bergen, Sykkylven i Voss. Ponad pięćdziesiąt obserwacji w samym Oslo. Na komendzie Gronland mieli dzisiaj rano czterech aresztowanych ze złamanymi rękami. Plus jednego z zagipsowaną lewą nogą. Wszyscy dostarczeni przez odpowiedzialnych obywateli.

Yngvar spojrzał szybko na zegarek.

- Mogę sobie wyobrazić. Mam spotkanie. Jeszcze coś?

Sigmund Berli wyciągnął z tylnej kieszeni wydruk z komputera. Wydruk przybrał kształt pośladka, więc Sigmund uśmiechnął się przepaszająco, zanim go rozłożył.

- To jest tylko kopia. Z moimi notatkami. Poprosiłem o czysty i staranny dla ciebie. Nareszcie znaleźliśmy między rodzinami pewne punkty wspólne. Wrzuciliśmy do komputera wszystko, co mamy, absolutnie wszystko. A oto rezultat.

Yngvar spojrzał na wydruk.

NAZWISKO I IMIĘ	ZWIĄZEK	JAK	KIEDY I GDZIE	OSTATNI KONTAKT
Lekarz Fridjof Salvesen, Beerum	Lena Baardsen	Ginekolog	Oslo 1993-94	1994
	Turid S. Oksoy	Ginekolog	Ba:rum 1995-b.r.	22 marca b.r.
Fotograf Helgę Melvfer, Rena	Tonnes Selbu	Zdjęcia rodzinne	Sandefjord 1997	1997
	Lena Baardsen	Znajomy	Sandfj. 1995-b.r.	Lato 1999

Pracownik młodzieżowy Karsten Asli,	May Berit Benonisen	Sympatia	Oslo 1994-95	Wiosna 1995
	Lena Baardsen	Sympatia	Oslo 1991	23 lipca 1991
Hydraulik Cato Sylling,	Lasse Oksoy	Dawny kolega	Oslo 1993-1995	Niepewn
	Tonnes Selbu	Kontakt zawodowy związany z tłumaczeniem	Kontakt telefoniczny i listowny jesienią 1999	Prawd, listopad 1999
Pielęgniarka Sonja V2eroy Johnsen Elverum	Grete Harborg (według męża zmarłej, Tonnesa)	Dobra przyjaciółka	Różne miejsca 1975-1999	1999 (trzy dni przed śmiercią G. Harborg)
	Turid S. Oksoy	Pielęgniarka przy porodzie	1998	Niepewn
	Frode Benonisen	Była dziewczyna dobrego kolegi	Tromso 1992	Niepewn

- Najwyższy czas - powiedział Yngvar. - Jakies po wiązania muszą być między tymi ludźmi.

Przez kilka minut ponownie studiował wydruk.

- Soni Vafray Johnsen nie musimy brać pod uwagę - stwierdził w końcu. - Hydraulik też nie jest dla nas specjalnie interesujący. A dlaczego przy Karstenie Asli adres jest nieznan? Nie możecie go znaleźć w Rejestrze Ludności?

- Nie możemy. Ale czy nie jest to nasze najczęstsze przewinienie w Norwegii? Mam na myśli niemeldowanie o przeprowadzce. Właściwie należy to zrobić w ciągu ośmiu dni. Ale nie ma z tym większego problemu. Po prostu nie zajęliśmy się tym bliżej.

Yngvar złożył wydruk i schował do kieszeni kurtki.

- To zajmij się tym. Zatrzymam ten przegląd do momentu, kiedy dostanę swój. Dobra?

Sigmund wzruszył ramionami.

- Chcę mieć adres Asli - dodał Yngvar. - I chcę wiedzieć coś więcej na temat tego fotografa. I ginekologa.

Dopalił cygaro i wstał z krzesła. Kiedy już zamknął za sobą drzwi, poklepał lekko kolegę po plecach.

- Chcę wiedzieć jak najwięcej o tej trójce - odezwał się. - Pracownik młodzieżowy, fotograf i ginekolog. Wiek, pochodzenie, policyjny rejestr. Wszystko. I jeszcze jedno...

Sigmund Berli zatrzymał się z ręką na klamce do własnego biura.

- Dziękuję - powiedział Yngvar. - Dziękuję ci bardzo. Dobra robota.

## 45

- Potrafisz z nią postępować - odezwała się cicho Inger Johanne. - Lubi cię. Zwykle nie zwraca uwagi na innych ludzi. To znaczy, mam na myśli tych, których nie zna.
- Ona jest naprawdę osobliwym dzieckiem - powiedział Yngvar, okrywając lepiej kołdrą Kristiane, Sulamitę i Króla Ameryki.

Inger Johanne zeszywniała. On zaraz dodał:

- Osobliwym i wspaniałym dzieckiem. Jest niezwykle inteligentna!
- Nie są to pierwsze słowa, używane w stosunku do niej przez innych. Ale masz rację. W swoich dziedzinach jest inteligentna i bystra. Tylko nie zawsze jest to łatwo zauważyć.

Yngvar miał na sobie jej koszulkę. New England Patriots, koloru niebieskiego, z wielkimi liczbami 82 z przodu i z tyłu oraz VIK, napisanym białymi literami na górze. Przyszedł prosto z pracy. Kiedy zapytał, czy może wziąć prysznic, nie patrzył na nią. Zamiast odpowiedzi, poszła po ręcznik. I koszulkę piłkarską, która była na nią za duża. Popatrzył na koszulkę i zaśmiał się.

- Warren uważa, że mógłbym być dobrym piłkarzem.
- Warren ma swoje zdanie na wiele tematów - odpowiedział Inger Johanne i postawiła na stole talerze.

- Za piętnaście minut będzie jedzenie. Musisz się trochę pośpieszyć.

Dokument był nieco zabrudzony i pełen gryzmołów, których nie rozumiała. Mimo to mogła przeczytać zawartość rubryk. Siedział koło niej na sofie i nachylał się na arkuszem, leżącym na jej kolanie. Kolanie znajdującym się blisko Yngvara i dotykającym przelotnie jego uda. Każde z nich trzymało gorący kubek.

- Czy znajdujesz w tym coś ciekawego? - zapytał.
- Niezbyt dużo. Oprócz tego, że zgadzam się, iż pielęgniarka wydaje się nieaktualna.
- Dlatego, że jest kobietą?
- Może. Tak. Hydraulik także. Oprócz tego...

Lodowaty dreszcz sprawił, że złapała się za szyję. Hydraulik mieszkał w Lillestrom.

*Opanuj się, pomyślała. To oczywiście czysty przypadek. Wielu ludzi mieszka w Lillestrom. To w pobliżu Oslo. Ten hydraulik nie ma nic wspólnego ze sprawą Aksela Seiera. Opanuj się.*

- Co jest? - zapytał.
- Nic - zamruczała. - Zajmuję się teraz badaniem innej sprawy, starej kryminalnej sprawy. Zapomnij. To nie ma nic wspólnego z tą sprawą. Prawdopodobnie nie musisz się zajmować hydraulikiem.
- Ja też tak uważam - przytaknął. - Zgadzamy się. Właściwie dlaczego?
- Tak naprawdę to nie wiem. - Jeszcze raz przebiegła palcem po rubrykach. Zatrzymała się przed rubryką „związek”. - Może dlatego, że łączy go coś z ojcami. Jest jedynym spośród tych ludzi, który ma związek wyłącz-

nie z ojcami. Tonnes Selbu, ojciec Emilii, Lasse Oksoy, ojciec Kima. Z jakichś powodów skłaniam się do poglądu, że te sprawy dotyczą matek. Nie wiem. Popatrz, pomógł Tonnesowi Selbu w tłumaczeniu powieści i nigdy się nie spotkali. Luźny związek.

- Dziwne. Rozmawiać z hydraulikiem o powieści
- odezwał się Yngvar z twarzą w kubku.
- Może chodzi tu o techników VVS - powiedziała rzeczowo. - Kto wie. Ale spójrz na to! 23 lipca 1991 roku!
- Co? Gdzie?
- Lena Baardsen podała, że była dziewczyną Karstena Asli w 1991 roku. To musiał być związek, który znaczył bardzo wiele. Pamiętała dzień, w którym widziała go po raz ostatni. Mimo że było to dziesięć lat temu. 23 lipca 1991 roku. Pamiętasz coś takiego?

Siedział zbyt blisko niej. Czują jego oddech, pachnący kawą z ciepłym mlekiem, na swojej twarzy. Wyprostowała plecy.

- Nigdy nie miałem innej dziewczyny oprócz mojej żony - powiedział. - Chodziliśmy ze sobą już w liceum.

Uśmiechnął się, a ona nie mogła siedzieć tak dłużej.

- Tak więc nie mam pojęcia o takich sprawach

- mówił dalej, patrząc na nią, gdy szła do kuchni. - Ale zapamiętywanie takich szczegółów jest chyba częstsze u pań. Tak myślę.

Kiedy wróciła, niczego nie przynosząc, usiadła na krześle po drugiej stronie szklanego stołu. Wyraz jego twarzy był nieprzenikniony.



Nie rozumiała go. W ostatnim czasie okazywał niemal natrętne zainteresowanie. Nie mogło to być uzasadnione tylko kontaktami zawodowymi. Jego postępowanie temu przeczyło: najpierw sprowadzenie jej niemal siłą do swego biura, później odnalezienie jej w USA, a następnie spotkanie w sklepie ICA, właśnie tam, a nie gdzie indziej. Był zainteresowany. Ale ponieważ nigdy nie posunął się dalej, ograniczając się do przychodzenia do niej i rozmowy, czuła się...

*...głupio. Nie rozumiem cię, pomyślała. Zapraszam cię na obiad. Chodzisz po moim mieszkaniu w mojej koszuli z moim imieniem, przykrywasz kołdrą moje dziecko. Pozwalam ci na przebywanie razem z moim dzieckiem, Yngvar. Dlaczego nic się nie dzieje?*

- Uważam to za dziwne - powiedziała lekkim tonem. - Pamiętać taką datę.

Między nimi leżał arkusz.

- Zawsze nosiłem w sobie głęboki sceptycyzm w stosunku do fotografów - odezwał się z uśmiechem.

- Przekręcają rzeczywistość, twierdząc, że nowe jest bardziej autentyczne.

- A ja w stosunku do ginekologów - stwierdziła, nie patrząc na niego. - Są często pozbawieni najbardziej elementarnych form zrozumienia drugiego człowieka. Najgorsi są mężczyźni.

- Jak na ciebie to pogląd, który wydaje się pełen urzędzeń. A co sądzisz o pracownikach młodzieżowych?

Oboje roześmieli się. Dobrze, że siedziała na osobnym krześle. Nie zrobił z tego żadnej sprawy. Jedynie usadowił się lepiej, tak jakby posiadanie całej sofy dla siebie, zapewniało mu większą wygodę.

- Czy posunęliście się do przodu, jeśli chodzi o przy czynę śmierci Kima i Sary?

-Nie.

Dopił resztkę zawartości kubka.

- Jeśli przyjmiemy, że faktycznie istnieje przyczyna śmierci - stwierdziła Inger Johanne - to...

- Oczywiście, że istnieje przyczyna śmierci! Mówimy tutaj o dwojce zdrowych, silnych dzieci!

Kiedy marszczył czoło, wydawał się starszy. Dużo starszy. Od niej.

- Czy mogły być przestraszone na śmierć albo coś podobnego?

- Nie. Nic mi na ten temat nie wiadomo. Czy sądzisz, że jest to możliwe? Przestraszyć na śmierć zdrowych na serce ludzi?

- Nie mam pojęcia. Ale jeśli nasz człowiek znalazł metodę zabijania ludzi bez pozostawiania śladów, to oznacza, że ma całkowitą kontrolę. Patrząc od tej strony, pasuje to do jego profilu.

Ponownie poczuła zimny podmuch na plecach. Poprawiła włosy i przeczesła palcami grzywkę.

- Jakiego profilu?

- Poczekaj.

Zaczęła wpatrywać się w arkusz. Leżał odwrócony do Yngvara. Litery były tak małe, że nie mogła ich odczytać do góry nogami. Trzymała w górze palec, tak jakby potrzebowała całkowitej ciszy na dokończenie myśli.

- Ten człowiek jest mścicielem - powiedziała z wysiłkiem. - Ma poważne antysocjalne zaburzenia osobowości albo jest psychopatą. Jeśli postępuje w taki sposób, to dlatego, że uważa to za słuszne. Albo sprawiedliwe.

Uważa, że ma do czegoś prawo. Do czegoś, czego nigdy nie dostał. Albo do czegoś, co mu odebrano. Do czegoś, co jest jego. Teraz to odbiera. To, co jest jego! - Jej palec wyglądał niczym wykrzyknik, stojący między nimi. Twarz Yngvara była nieruchoma. - Czy on może być... Czy morderca może być ojcem tych dzieci?

Głos jej drżał; słyszała to, więc odchrząknęła. Yngvar był blady.

- Nie - odezwał się w końcu. - Nie jest. Inger

Johanne powoli opuściła palec.

- Już to sprawdzaliście - powiedziała z rezygnacją.

- Czy ojcowie są biologicznymi ojcami.

-Tak.

- Dobrze byłoby o tym wiedzieć - zauważyła. - Jeśli uważasz, że powinnam ci pomóc.

- Jeszcze nie doszliśmy do tego. Wiemy, że Tonnes Selbu nie jest biologicznym ojcem Emilii. Ale sądzimy, że on sam o tym nie wie. Jeśli chodzi o pozostałe dzieci... - Opadł powoli na sofę i rozłożył bezsilnie ręce.

- Wszystko wskazuje na to, że ojcostwo u pozostałych dzieci nie budzi wątpliwości.

Inger Johanne nie spuszczała wzroku z arkusza. Król Ameryki piszczał z drugiej strony zamkniętych drzwi do pokoju Kristiane. Nie podniosła się. Skomlenie psa wzrastało.

- Czy mam... - zaczął Yngvar.

- Wczoraj był tutaj dziewczęcy wieczór - przerwała mu. - Trochę za dużo wypiliśmy.

Jack zaczął wyć.

- Wypuszczę go - odezwał się Yngvar. - Na pewno chce się wysikać.

- Jeszcze nie jest nauczony czystości - odpowiedziała zmęczonym głosem. - Chce po prostu towarzystwa. Kristiane się obudziła. No to załatwione.

Mimo to nie podniosła się. Yngvar wypuścił psa z dziecinnego pokoju. Pies posikał się na podłogę. Yngvar przyniósł kubek i ścierkę. A kiedy wyszedł do łazienki i wrócił z psem na rękach, w całym pokoju pachniało ajaksem.

- Przyjęcie - stwierdził z udawaną wesołością. - W środku tygodnia.

- Właściwie to rodzaj klubu książki. Pomijając fakt, że rzadko mamy czas na czytanie. Przynajmniej jeśli chodzi o te same książki. Ale spotykamy się już od czasów liceum. Raz w miesiącu. I byliśmy, jak już wspomniałam, trochę...

Zaczerwieniła się. Nie dlatego, że poprzedniego wieczoru wypila za dużo. Yngvar nie miał nic do tego. Zadomowił się w jej mieszkaniu, a teraz siedział na jej sofie z jej psem na kolanach. Jego ręce były nadal wilgotne z powodu jej wody i jej środków czystości.

- Z upływem wieczoru jedna z nas musiała za wszelką cenę dowiedzieć się, z iloma każdą z nas spała.

Yngvar nigdy nie spotykał się z innymi, tylko ze swoją żoną. Inger Johanne nie wierzyła, że można spotkać mężczyznę, który mógł coś takiego powiedzieć.

*Czy mówisz prawdę, pomyślała. Albo jest to sposób, żeby zrobić wrażenie. Żeby być innym.*

- Nie bardzo...

- ...rozumiesz? - dokończyła i natychmiast pożałowała. -

W tej historii jest pewien sens - dodała szybko. -

Oczywiście było z tego wiele śmiechu. Dobre przyja-

ciółki mają czasami takie zabawy. Podobnie jak chłopaki mówią o pięciu najlepszych albumach rockowych. Dziesięciu najlepszych piłkarzach w ataku. I podobne rzeczy.

U Yngvara na kolanach wiele mogło się zmieścić. Miał szerokie uda, na których starczyło miejsca dla całego Króla Ameryki. Pies leżał tam teraz z otwartym pyskiem i zmrużonymi oczami i był szczęśliwy.

- Wszystkie trochę kłamałyśmy. Ale sedno sprawy jest...

- Muszę powiedzieć, że zamieniam się w słuch!

Słowa były sarkastyczne, ale ton głosu przyjazny. Nie bardzo wiedziała, jak zareagować.

- Nie o wszystkim mówimy - dodała. - Wszyscy mamy kogoś, do kogo nie chcemy się przyznać.

Oderwał wzrok od psa i popatrzył prosto na nią.

- No, nie wszyscy - stwierdziła, wskazując na stół, tak jakby chciała wyjaśnić, kogo miała na myśli. - Mówię o nas, które wczoraj tutaj siedziałyśmy. Pomijałyśmy pewne znajomości. Z biegiem lat wchodziłyśmy w związki z różnymi ludźmi. I z takimi, których szybko przestawałyśmy lubić. I z takimi, o których szybko chcieliśmy zapomnieć, gdyż nieprzyjemna była sama myśl, iż mogliśmy być razem. Mija czas i zapominamy o tym. Świadomie lub nieświadomie. Mimo że z reguły zarejestrowane są jakieś nazwiska w naszej korze mózgowej, to nie wspominamy o tym. Nawet najlepszym przyjaciółkom.

Postawił ostrożnie szczenię na ziemię. Pies zapiszczał, chcąc z powrotem na kolana. Yngvar odsunął go zdecydowanie i pochylił się nad arkuszem z tabelą. Pies

powędrował w róg pokoju i położył się z głośnym uderzeniem na podłogę.

- Tutaj jest tylko jedna „sympatia” - odezwał się Yngvar. - Karsten Asli. A inna osoba podała go jako przyjaciela, właściwie byłego przyjaciela. Chcesz powiedzieć, że ten Asli był związany też z innymi matkami?

- Niekoniecznie. Może to był ktoś zupełnie inny. Ktoś, kto nie został przez nikogo wspomniany. Albo został z pamięci wyparty, albo nikt nie chce się przyznać do znajomości.

- Ale przecież te matki rozumieją powagę sytuacji - przerwał jej. - Wiedzą, jak ważne jest, żeby mówiły prawdę i żeby listy, o które prosiliśmy, były zgodne z prawdą.

- Tak - przytaknęła. - One nie kłamią. One wyparły to z pamięci. Czy chciałbyś się czegoś napić? Whisky? Dżin z tonikiem?

Spojrzał na zegarek, jakby automatycznie, co sprawiło wrażenie, że nie potrafił podjąć decyzji o wypiciu alkoholu, nie sprawdzając najpierw pory dnia. Może Inger Johanne miała rację. Istniała możliwość, że Yngvar w ogóle nie pił.

- Jestem samochodem - powiedział z wahaniem - więc dziękuję. Choć niechętnie odmawiam.

- Możesz zostawić samochód - odpowiedziała srogo i szybko dodała: - Nie próbuję namawiać. Przecież nie wiem, czy te kobiety mogły mieć tego samego kochanka. Głośno się tylko zastanawiam. Ale w przestępstwach tego człowieka jest jakaś wściekłość. Rozgoryczenie. Zło! Łatwiej jest przyjąć, że coś takiego powstało na skutek odrzucenia przez kobietę, wiele kobiet, przez wszystkie

kobiety, niż myśl, że mógł być wściekły na przykład na... urząd skarbowy.

- Nigdy nie wiadomo - odezwał się Yngvar. - W USA...

- W USA znajdziesz przykłady na to, że ludzie zabijają z powodu zimnego hamburgera - stwierdziła Inger Johanne. - Myślę, że powinniśmy trzymać się naszych krajowych realiów.

- Co właściwie stało się między tobą a Warrenem?

Zdziwiła się, że nie zareagowała silniej. Od chwili, gdy Yngvar oznajmił, że zna Warrena, czekała na to pytanie. A gdy nie nadchodziło, uznała, że nie jest tym zainteresowany. Rozczarowało ją to, ale także ucieszyło. Nie chciała mówić o Warrenie. Fakt, że nie zapytał wcześniej, mógł wskazywać na obojętność, która jej się nie podobała.

- Nie chcę rozmawiać na temat Warrena - powiedziała spokojnym tonem.

- Rozumiem. Jeśli cię uraziłem w jakiś sposób, to przepraszam. Nie było to moim zamiarem.

- Nie uraziłeś mnie - odpowiedziała, zmuszając się do uśmiechu.

- Chyba jednak się napiję.

- A jak pojedziesz do domu?

- Taksówką. Dżin z tonikiem, jeśli masz.

- Już ci proponowałam.

Kiedy wracała z kuchni z dwiema szklankami dżinu, kostki lodu brzęczały głośno.

- Niestety nie mam cytryny - rzekła. - Warren za wiódł boleśnie moje zaufanie. Od strony zawodowej, jak i uczuciowej. Wtedy byłam bardzo młoda, więc strona

uczuciowa znaczyła więcej. Natomiast obecnie jestem bardziej zła za to pierwsze.

Naląła za dużo dżinu. Skrzywiła się i dodała:

- Oczywiście, jeśli w ogóle na ten temat myślę. To było tak dawno. I jak mówiłam, nie chcę na ten temat rozmawiać.

- Na zdrowie! Może innym razem.

Podniósł szklankę i napił się.

- Nie - odpowiedziała. - Nie chcę na ten temat rozmawiać. Ani teraz, ani później. Sprawa z Warrenem jest zakończona.

Cisza, która zapadła, nie była z jakichś powodów nieprzyjemna. W ogrodzie hałasowały dzieci, które przyszły po piłkę, która znalazła się tam po chybionym rzucie. Były to odgłosy zbliżającego się lata, sprawiające, że oboje uśmiechnęli się, niekoniecznie do siebie. Minęła godzina wpół do dziesiątej. Inger Joahanne poczuła dżin w głowie. Już po pierwszym łyku pojawiło się lekkie i przyjemne kołowanie. Odstawiła szklankę. Odprężyła się.

- Jeśli przyjmiemy, że szukamy byłego kochanka albo kogoś, kto chętnie byłby kochankiem którejś z tych matek, to kartka z przesłaniem pasuje do całości. *Dostajesz to, na co zasługujesz.* Nie można wyrządzić kobiecie większej krzywdy, niż zabierając jej dziecko - powiedziała.

- Również mężczyźnie nie można wyrządzić większej krzywdy.

Inger Johanne, nieobecna myślami, popatrzyła na niego. Dopiero po chwili zrozumiała jego słowa.

- Och. Przepraszam. Wybacz mi, Yngvar, nie pomyślałam.



- W porządku. Większość ludzi łatwo o tym zapomnia. Prawdopodobnie dlatego, że wypadek był tak bardzo... groteskowy. Mam kolegę, który przed rokiem stracił syna w wypadku samochodowym. Wszyscy rozmawiają z nim na ten temat. Wypadek samochodowy jest czymś, do czego można się ustosunkować. Upadek z drabiny, który powoduje śmierć własną i matki jest bardziej... - Uśmiechnął się sztywno i pociągnął ze szklanki. - Jakby z Johna Irvinga. Więc nikt nic nie mówi. I chyba tak jest lepiej. Ale byłaś w środku jakiejś myśli.

Nie chciała kontynuować. Jednak coś w jego wzroku spowodowało, że powróciła do tematu.

- Załóżmy, że mówimy o pozornie normalnym człowieku. Może ładnym. Przystojnym. Może być czarującym mężczyzną, który łatwo nawiązuje kontakt z kobietami. A ponieważ potrafi dobrze manipulować, takie znajomości mogą trwać przez jakiś czas. Ale nie długo. On ma w sobie jakieś zło, jakąś niedojrzałość i jest skoncentrowany na sobie, co w kombinacji z paranoją szybko wychodzi na wierzch, powodując, iż kobiety zaczynają go unikać. Klęska za klęską. Uważa, że to nie jego wina. Nie robi przecież nic złego. To kobiety sprawiają mu zawód. Są podstępne i wyrachowane. Nie można na nich polegać. I nagle coś się wydarza.

- Na przykład co?

Był w trakcie opróżniania szklanki. Inger Johanne nie była pewna, czy powinna zaproponować mu dolewkę. Zamiast tego mówiła dalej:

- Tego nie wiem. Ponowne odrzucenie. Może. Ale chyba coś bardziej poważnego. Coś, co spowodowało,

że miarka się przebrała. A czy wiecie coś więcej na temat tego mężczyzny, którego widziano w Tromsø?

- Nie. Nikt się nie zgłosił. Może to oznaczać, że to właśnie nasz człowiek. Ale może to być ktoś zupełnie inny. Ktoś, kto nie miał nic wspólnego ze sprawą, miał natomiast coś do załatwienia i nie był zachwycony faktem, że policja się tym interesuje. Innymi słowy, nie posunęliśmy się zbyt daleko.

- Całą tę teorię psuje Emilia - stwierdziła Inger Johanne. - Nalać ci?

Wziął do ręki szklankę i długo ją badał. Kostki lodu roztopiły się. Nagle wlał wszystko w siebie i powiedział:

- Nie, dziękuję. Tak, Emilia jest zagadką. Gdzie ona jest? A ponieważ jej matka prawie od roku nie żyje, nie można uznać porwania Emilii za atak na matkę. Twoja teoria nie trzyma się kupy.

- Tak...

Powiedziała to przeciągłym tonem.

- Nie została odesłana z powrotem, tak jak pozostałe dzieci. Przynajmniej nie do ojca. A czy przeszukaliście...

Wbili się w siebie spojrzeniem.

- Cmentarz - powiedział cicho, niemal szeptem.

- Mogła zostać odesłana do swojej matki.

- Tak. Nie!

Naciągnęła rękawy swetra na dłonie. Było jej zimno. Niemal krzyknęła:

- Minęło prawie cztery tygodnie od momentu jej zniknięcia! Ktoś by to zauważył! Przez cmentarz w Asker musiało przewinąć się w tym czasie wiele osób.

- Nawet nie wiem, czy Grete Harborg tam jest pochowana - powiedział urywanym głosem. - Cholera. Dlaczego nie pomyśleliśmy o tym wcześniej?

Wstał gwałtownie. Wskazał pytająco na pokój Inger Johanne.

- Zadzwoń - odpowiedziała. - Ale może jest już za późno na zbadanie tego?

- Za późno? - zdziwił się, zamykając za sobą drzwi.

Przenieśli się na taras. On wyraził takie życzenie. Minęła północ. Sąsiedzi zwołali już dzieci do domów. Ze wschodu dochodził słaby zapach dopalającego się grilla. Korzystny kierunek wiatru sprawiał, że odgłosy samochodów jadących obwodnicą były przytłumione. Inger Johanne zaproponowała mu śpiwór, gdy około jedenastej przyniosła kołdrę. Najpierw podziękował, później jednak zaakceptował pled na swoich ramionach. Widziała, że zmarzł. Uderzał rytmicznie udami i od czasu do czasu ogrzewał ręce swoim oddechem.

- Fascynująca historia - odezwał się i sprawdził po raz czwarty, czy na włączoną komórkę. - Prosiłem, żeby na nią dzwonili. Żeby nie...

Wskazał głową do tyłu. Kristiane spała głęboko.

Inger Johanne opowiedziała mu o Akselu Seierze. Zastanowiło ją trochę, dlaczego nie wspomniała o tym wcześniej. W ciągu niemal całego tygodnia spędziła z Yngvarem jeden dzień, cały wieczór i nieprzespaną noc. Wielokrotnie myślała o podzieleniu się z nim historią Aksela. Coś jednak powstrzymywało ją do tej pory. Może była to wieczna niechęć do mieszania różnych spraw zawodowych. Teraz już nie wiedziała, jak miała

nazywać Yngvara. Wciąż nosił jej koszulę. Słuchał jej z zainteresowaniem. Jego krótkie, rzadkie pytania dotyczyły sprawy. I były fachowe. Powinna jednak to zrobić wcześniej. A teraz z jakichś powodów nie wspomniała o Asbjornie Revheimie i Andersie Mohaugu. W ogóle nie opowiedziała o podróży do Lillestram. Wydawało się, że chciała najpierw sama przemyśleć sprawę.

- Czy sądzisz - odezwała się z namysłem - że norweska prokuratura w niektórych wypadkach może być...

Jakby nie miała odwagi użyć tego słowa.

- Skorumpowana - pomógł jej. - Nie. Jeśli przez korupcję uważasz sytuację, w której ktoś z prokuratury miałby za pieniądze wpłynąć na określony rezultat sprawy, to niemal w stu procentach wykluczam to.

- To bardzo uspokajające - powiedziała rzeczowo.

Na stoliku z drewna tekowego, znajdującym się między nimi, stał termos z herbatą i miodem. Od zakrętki dochodziło irytujące syczenie, spróbowała więc mocniej ją dokręcić.

- Dodam jednak, że istnieje wiele wariantów ludzkiej niedoskonałości - odrzekł, silniej ściskając kubek, aby się ogrzać. - Korupcja jest w tym kraju niemal nie do pomyślenia. Z różnych powodów. Przede wszystkim nie mamy takiej tradycji. Może to zabrzmieć dziwnie, ale korupcja wynika z pewnej narodowej tradycji. Na przykład w wielu krajach afrykańskich...

- Uważaj, co mówisz!

Roześmieli się.

- W ostatnich latach widzieliśmy w Europie korupcję na wysokim szczeblu - stwierdziła Inger Johanne.

- Belgia. Francja! Tak daleko nie musimy szukać. Nie musisz jechać do Afryki.

- To prawda - przyznał Yngvar. - Ale my jesteśmy małym krajem. Bardzo przejrzystym. To nie korupcja jest problemem.

- To w czym tkwi problem?

- Brak kompetencji i prestiż.

- Hmm.

Zrezygnowała z dokręcania termosu. W dalszym ciągu świszczała, wydając cienki, irytujący dźwięk. Yngvar odkręcił go i wlał resztę herbaty do swojego kubka. Po czym ostrożnie położył zakrętkę obok termosu i zapętał:

- Ale do czego właściwie zmierzasz?

- Czy jest możliwe, że Aksel Seier został swego czasu skazany, mimo że istniał w systemie ktoś, kto wiedział, że był niewinny?

- On został skazany przez ławę przysięgłych - odpowiedział Yngvar. - W ławie zasiada dziesięciu ławników. Trudno mi uwierzyć, żeby dziesięciu ludzi zgadzało się na dokonanie czegoś złego i fakt ten nigdy nie ujrzał światła dziennego. Przez wszystkie te lata.

- No tak. Ale dowody zostały przedstawione przez prokuraturę.

- To prawda. Uważasz więc, że ktoś...

- Właściwie to nic nie uważam. Po prostu pytam cię, czy sądzisz, że w 1956 roku policja i prokurator mogli doprowadzić do skazania Aksela Seiera, chociaż wiedzieli, że nie popełnił przestępstwa.

- Czy wiesz, kto był prokuratorem w tej sprawie?

- Astor Kongsbakken.

Yngvar odstawił kubek i zaczął się śmiać.

- Według relacji prasowych był, łagodnie mówiąc, głęboko zaangażowany w sprawę - dokończyła Inger Johanne.
- Mogę sobie wyobrazić. - Uśmiechał się teraz szeroko, patrząc prosto na nią. Wpatrywała się w płamę z herbaty na kółdrze, naciągając ją lepiej na siebie.
- Jestem za młody, abym uczestniczył w sprawach z jego udziałem. Ale był legendarny. Można powiedzieć, że był odpowiedzią prokuratury na słynnego adwokata Alfa Nordhusa. Zaangażowany i świetny. W przeciwieństwie do niektórych sław adwokackich, miał na tyle rozumu, że zakończył swą karierę w odpowiednim czasie. Nie pamiętam, co się z nim później stało.
- Chyba od dawna nie żyje - powiedziała cicho.
- Tak, albo nie żyje, albo jest bardzo starym człowiekiem. I mogę cię zapewnić o jednej rzeczy: prokurator Kongsbakken nie przyczyniłby się nigdy do tego, żeby skazać niewinnego człowieka.
- Ale w 1965 roku, kiedy Aksel bez żadnego powodu i wyjaśnienia został wypuszczony na wolność...

Komórka zadzwiała cyfrową wersją *Dla Elizy*.

Yngvar przyłożył telefon do ucha. Rozmowa, w której Yngvar wypowiadał jedynie „tak” i „nie”, trwała zaledwie minutę.

- Nic nie znaleziono - powiedział głośno i wyłączył komórkę. - Grete Harborg została pochowana obok swoich dziadków, tu w Oslo, na cmentarzu Ostre Gravlund. Trzy patrole z tutejszej Okręgowej Komendy Policji dokładnie przeszukało teren wokół grobu. I nic. Żadnej podejrzanej paczki, żadnej kartki z przesłaniem.

Przeszukają jeszcze jutro w dzień, są jednak przekonani, że nie znajdą tam nic dla nas ciekawego.

- Bogu dzięki - szepnęła Inger Johanne, odczuwając niemal fizyczną ulgę. - Całe szczęście.

Popatrzył na nią. Przy nocnym świetle jego oczy wydawały się ciemne, prawie czarne. Powinien się ogolić. Z jego pleców zsunął się pled. Kiedy odwrócił się, aby go podnieść, zobaczyła na szerokich plecach swoje nazwisko. Przełknęła ślinę i nie miała ochoty spojrzeć na zegarek.

- Ale to oznacza, że wciąż nie możemy być pewni, iż Emilia została porwana przez tę samą osobę, co pozostałe dzieci - odezwała się. - To może być ktoś zupełnie inny.

- Tak - przyznał. - Ale ja tak nie sądzę. Ty w to nie wierzysz. I na miłość boską, mam taką nadzieję.

Intensywność tej wypowiedzi zaskoczyła ją.

- Dlaczego? Co masz na myśli?

- Emilia żyje. Ona może żyć. Jeśli nasz człowiek ją ukrywa, to ma jakiś powód, żeby nie pozbawiać jej życia. Dlatego mam nadzieję, że to jest on. Musimy tylko...

- Go znaleźć - dokończyła.

- Muszę już iść - powiedział.

- Tak, rozumiem - odparła. - Zadzwoń po taksówkę.

Yngvar był dobrze zbudowany i minęło już trzy godziny od chwili, gdy wypił dzin z tonikiem. Mógł prawdopodobnie sam kierować samochodem, o czym oboje wiedzieli.

- Przyjadę po samochód jutro - rzekł. - Wezmę też

ze sobą twoją koszulkę. Jeśli ci nie przeszkadza, że jej przedtem nie upiorę.

Przy drzwiach wyjściowych poklepał jeszcze Jacka.

Po czym podniósł rękę do czoła, uśmiechnął się i skierował kroki do czekającej taksówki.



## 46

Mężczyzna kulił się przy ścianie domku letniskowego. Był odpowiednio ubrany, jak na porę roku. Mimo to marzył. Dzwonił zębami i próbował lepiej naciągnąć kurtkę. Nie wiedział, gdzie się znajdował. Drzewa otaczały ciasno plac przed małym, rozpadającym się domkiem. Łatwo mógł włamać się do środka. Nie było nawet pewne, czy domek jest zamknięty. Na wschodzie nieba pojawiła się wąska smuga różowego światła. Musi znaleźć miejsce na kryjówkę. Domki letniskowe niespecjalnie się do tego nadawały. Przychodzili do nich ludzie. Ten wyglądał na niezamieszkały. Pachniało starą smołą i ustępem na dworze.

Mężczyzna próbował wstać. Ale nogi nie chciały go nieść. Chwiał się, wiedział, że powinien szybko coś zjeść.

- Jedzenie - mruczał. - Jedzenie.

Same drzwi były żartem. Luźno zbite deski, wiszące niedbale na jednym zawiasie. Potykając się, wszedł do środka.

W środku było ciemniej niż na zewnątrz. Ktoś przybił gwoździami okiennice, zasłaniając okna. Mężczyzna dotarł po omacku do ściany. Ręce trafiły na szafkę. Na szczęście miał ze sobą zapalniczkę. Papierosy wypalił już dawno. Chęć zapalenia wywołała ostry ból pod mostkiem. Papieros i jedzenie. Potrzebował papierosa

i jedzenia, nie wiedząc, jak miałby to zdobyć. Ogień z zapalniczki pozwolił mu otworzyć szafkę. Była pusta. Następna też. Jedynie pajęczyna i popsute radio turystyczne.

Domek ograniczał się do jednego dużego pokoju. Na stole stało coś podobnego do garnuszka. Była to duża popielniczka. Leżały w niej cztery niedopałki. Kiedy podniósł jednego, drżały mu ręce. Tytoń był tak suchy, że wyleciał z papieru. Ostrożnie włożył go z powrotem. Zabrało to trochę czasu. Musiał trzymać otwór do góry. Zapalając papierosa, odchylił głowę do tyłu. Po czterech niedopałkach nie odczuwał już tak bardzo głodu. Poczul się jednak trochę niedobrze. Wczołgał się pod prymitywnie zrobiony stół i zasnął.

## 47

Wyglądało na to, że dziewczynka postanowiła umrzeć. Nie mógł zrozumieć dlaczego. Dostawała wystarczającą ilość jedzenia. Dostawała wodę. Powietrza. Dostarczał jej wszystkiego, czego potrzebowała do życia. A mimo to tylko leżała. Kiedy zadawał *jej* pytania, nie odpowiadała. Irytowało go to. Była to zuchwałość. Ponieważ nie mógł wytrzymać jej zapachu, wziął parę swoich starych slipek i zaszył rozporek. Przecież nie mógł kupić pary dziewczęcych majtek, nie zwracając uwagi. Znali go w wiosce. Oczywiście mógł pojechać do miasta, lepiej było jednak znajdować się po bezpiecznej stronie. Cały czas znajdował się po bezpiecznej stronie. Nigdy go nie znajdą. Nie chciał tego wszystkiego popsuć tylko dlatego, że ktoś mógłby zareagować na to, iż bezdzietny mężczyzna kupuje dziewczęce majtki. Ludzi opanowała całkowita histeria. O niczym innym nie rozmawiali. W spółdzielczym sklepie, na stacji benzynowej u Bobba. W pracy mógł założyć słuchawki ochronne, odgradzając się od innych, ale w przerwie na lunch zmuszony był wysłuchiwać ich głośnych rozmów. Kilkakrotnie zjadł, niemal połykając swoje śniadanie w tartaku. Pojawił się wtedy szef z pytaniem, co mu się stało. Lunch był dla wszystkich świętą sprawą i miał być spożywany w baraku. Tu nie było dyskusji, więc uśmiechnął się i podążył za szefem.

Kiedy kilka dni temu polecił jej wstać z łóżka i umyć się, sprawiała wrażenie sztywnej niczym robot. Jednak wykonała polecenie. Ciężko i niezgrabnie podeszła do umywalki. Rozebrała się do naga. Umyła się ścierkami, które jej przyniósł. Założyła czyste slipy, w kolorze wyblakłej zieleni z nieskromnym słoniem z przodu. Zaśmiał się. Slipy nie trzymały się dobrze, a ona sama wyglądała bardzo śmiesznie, gdy odwróciła się w jego stronę. Chuda, blada, prawą ręką trzymająca trąbę i opadające slipy.

Później zajął się upraniem jej ubrania. Włączył pralkę, do płukania użył płynu. Wprawdzie nie chciało mu się tego wszystkiego prasować, mogła jednak okazać większą wdzięczność. Leżała w łóżku w samych slipach. Obok łóżka złożone ubranie.

- Hej - powiedział gniewnie, stojąc przy drzwiach. - Żyjesz jeszcze?

Cisza.

Ta gówniara nie zamierzała mu odpowiedzieć.

Przypominała mu ładną dziewczynkę, która chodziła z nim do szkoły podstawowej. Klasa miała wystawić przedstawienie. Miała przyjść jego matka. Uszyła kostium. On miał być gęsią domową i miał do powiedzenia jedynie dwie kwestie. Kostium nie prezentował się specjalnie dobrze. Skrzydła zrobione były z tektury, a jedno z nich było złamane. Śmieli się z niego. Ta ładna dziewczynka grała łabędzia. Śnieżnobiałe pióra z cienkiego papieru puszyły się wokół niej. Nagle zawadziła o coś i spadła ze sceny.

Matka nie pojawiła się. Nigdy się nie dowiedział dlaczego. Kiedy wrócił do domu, siedziała w kuchni

i czytała. Babcia dała mu kawałek chleba i szklanę wody. Następnego dnia zmusiła go do odwiedzenia łabędzia w szpitalu i przeproszenia go.

- Hej - powiedział ponownie. - Czy możesz odpowiedzieć!

Pod kołdrą poruszyło się coś słabo, ale nie doszedł żaden dźwięk.

- Uważaj - powiedział przez zaciśnięte zęby i zatrzasnął metalowe drzwi.

Panowała zupełna ciemność.

Emilia wiedziała, że nie jest ślepa. To mężczyzna zgasił światło.

Tata pewnie przestał jej szukać. Może odbył się już pogrzeb.

Pewnie nie żyła i została pogrzebana.

- Mamo - powiedziała zdławionym głosem.

**48**

Kristiane obudziła się w piątek rano z gorączką. To znaczy, nie obudziła. Kiedy Inger Johanne wstała dziesięć po ósmej, zbudzona przez Jacka, dziecko jeszcze spało. Z otwartymi ustami i oddechem o niezdrowym zapachu. Policzki były zaczerwienione, a czoło gorące.

- Boli - zamruczała, gdy Inger Johanne przysła ją obudzić. - Pić.

Właściwie Inger Johanne pasowało pozostanie w domu. Założyła na siebie stary dres i zadzwoniła do pracy z zawiadomieniem. Po czym wykręciła numer do matki.

- Mamo, Kristiane jest chora. Nie możemy dzisiaj przyjść.

- Jaka szkoda. Wielka szkoda! Zdołałam najlepszego marynowanego łososia, twój ojciec zna przecież...

Czy mam przyjść, żeby ją popilnować?

- Nie, to nie jest konieczne. Chociaż...

Inger Johanne chciała zostać sama w domu. Mogłaby wysprzątać mieszkanie na weekend. Mogłaby zreperować krzesło w kuchni, które się rozchybotowało pod ciężarem Yngvara. Kristiane była niezwykłym dzieckiem. Chorobę przesypiała w dosłownym tego znaczeniu. Kiedy była poprzednim razem chora na grypę, spała niemal bez przerwy przez cztery dni, po czym wstała o drugiej w nocy i oświadczyła:

- Zdrowa. Zdrowa jak ryba.

Mogłaby też wreszcie nałożyć na włosy maseczkę, którą dostała od Linę. Mogłaby poleżeć sobie w spokoju w wannie. Ale miała kilka rzeczy do załatwienia przed sobotą.

- Czy mogłabyś później przyjść? Około drugiej?

- Oczywiście że mogłabym, kochanie. Kristiane jest podczas choroby taka spokojna. Wezmę ze sobą haftowanie i wideo, które niedawno dostałam od twojej siostry. Stary film, który, jak twierdzi, sprawi mi dużą przyjemność. *Stalowe magnolie* z Shirley McLaine i...

- Mamo, tutaj jest cały stos filmów.

- Wiem, ale ty masz taki odmienny gust! Inger

Johanne zamknęła oczy.

- Wcale nie mam dziwnego gustu! Tutaj są filmy...

- Ależ tak, kochanie. Masz nieco specyficzny gust. Po prostu musisz przyznać. Czy obcięłaś włosy? Twoja siostra tak ładnie teraz wygląda. Była u nowego fryzjera na ulicy Prinsens. Nazywa się... - Matka zachichotała. - On jest trochę... Ale oni, ci fryzjerzy, często są tacy. Ale, mój Boże, jak ładnie Marie wygląda.

- Z pewnością. Przyjdziesz więc?

- Dokładnie o drugiej. Czy mam zrobić zakupy na obiad dla nas trzech?

- Nie, dziękuję. Mam w zamrażarce zupę warzywną. Jedyne to mogę wcisnąć Kristiane, gdy jest chora. Dla nas też wystarczy.

- Świetnie. Do zobaczenia.

- Do zobaczenia.

Woda w wannie była o dwa stopnie za gorąca. Inger Johanne oparła głowę o plastikową poduszkę, wciągając głęboko parę. Cytryna i rumianek z drogiego flakonu, przywiezionego przez Isaka z Francji. Wciąż kupował jej prezenty ze swoich zagranicznych podróży. Nie rozumiała właściwie, dlaczego to robił, ale sprawiało jej to przyjemność. Miał dobry gust. I dużo pieniędzy.

- Ja też mam dobry gust - zamruczała pod nosem.

Na ścianie wisiały trzy zniszczone frotowe ręczniki. Jeden z nich miał duże zdjęcie Tygryśka, pozostałe dwa były sprane do koloru pastelowego różu.

- Nowe ręczniki - powiedziała do siebie. - Dzisiaj.

Przyjaciółki zazdrościły jej matki. Linę ją kochała. Ona jest taka miła - mówiły pozostałe dziewczyny. Pomaga ci w różnych sytuacjach. Jest tak dobrze zorientowana. Czyta, chodzi do kina i teatru, a jeszcze jak się ubiera!

Matka była miła. Zbyt miła. Matka była generałem wojsk w służbie dobra, przyjacielem więźniów i członkiem honorowym charytatywnej organizacji Norske Kyinners Sanitetsforening, zręczna w palcach i pozbawiona umiejętności bezpośredniej komunikacji. Może wynikało to z faktu, że nigdy nie pracowała poza domem. Jej życie skupiało się wokół męża, dzieci i wolontariatu, będącego dla niej nieskończoną listą nieodpłatnych funkcji i zadań, wymagających przyjacielskiego nastawienia do wszystkich i wszystkiego. Matka była urodzoną dyplomatką. Niemal nie była w stanie sformułować zdania, którego sens wyrażałby to, co chciała powiedzieć. *Twój ojciec boi się o ciebie* oznaczało *Umieram ze strachu. Marie pięknie ostatnio wygląda* było



sposobem zakomunikowania Inger Johanne, że ona wygląda jak strach na wróble. Kiedy matka przynosiła stos kobiecych pism, Inger Joahanne wiedziała od razu, że dotyczyły nowych trendów w modzie i tysięcy sposobów na znalezienie męża.

- Masz wymagającą pracę - powiedziała matka i poklepała ją lekko po ramieniu.

Inger Johanne natychmiast odgadła, że w oczach matki jej dzinsy, bluza z college'u i okulary, noszone od czterech lat, nie były zbyt twarzowe.

Maseczka do włosów od Linę była całkiem przyjemna. Skóra głowy lekko szczypała i Inger Johanne mogła prawie czuć, jak pod plastikowym czepkiem zniszczone końcówki włosów wciągały odżywkę. Woda zaróżowiła jej skórę. Jack spał, a w pokoju Kristiane panowała cisza. Drzwi pozostawiła na wszelki wypadek otwarte.

Książka o Asbjornie Revheimie niemal wpadła do wody. Uratowała ją w ostatniej chwili, po czym przestała wylać kubek do kawy z brzegu wanny na podłogę.

Pierwszy rozdział przedstawiał śmierć Revheima. Uznała ten sposób rozpoczęcia biografii za dość dziwny. Nie była pewna, czy chciała czytać o końcu Revheima i przerzuciła szybko kartki dalej. Rozdział drugi opowiadał o dzieciństwie. W Lillestrom.

Książka wpadła nagle do wody. Błyskawicznie wyłowila ją. Niektóre strony skleily się. Zabrało jej trochę czasu odnalezienie miejsca, w którym przedtem czytała.

Tutaj.

Asbjorn Revheim już jako trzynastolatek uparł się, żeby zmienić nazwisko. W biografii poświęcono pół-

torej strony na omówienie tej specyficznej sprawy, jaką był fakt, iż rodzice pozwolili w 1953 roku tak jeszcze młodzieńkiemu chłopcu odrzucić swoje rodowe nazwisko. Ale trzeba przyznać, że rodzice nie byli zwykłymi ludźmi.

Asbjorn Revheim urodził się jako Kongsbakken. Matka, Unni Kongsbakken, była znaną artystką, zajmującą się tkactwem artystycznym, a ojciec, Astor Kongsbakken, był sławnym, a może osławionym prokuratorem.

Woda zrobiła się letnia. Niemal zapomniała splukać z włosów maseczkę. Kiedy o drugiej zjawiała się matka, Inger Johanne nie miała prawie czasu na poinformowanie, że Kristiane powinna za godzinę dostać pół tabletki aspiryny, rozpuszczonej w letniej coca-coli i że mogła pić to, na co miała ochotę.

- Będę z powrotem o piątej - odezwała się. - Jack może być na smyczy w ogrodzie. I bardzo ci dziękuję, mammo!

Zapomniała tylko wyjaśnić, dlaczego na sznurku, przymocowanym do dwóch krzeseł, suszy się książka biograficzna.

Stan Alvhild pogorszył się. Powrócił zapach cebuli. Stara kobieta leżała w łóżku, a pielęgniarka wydała Inger Johanne surowe polecenie, aby nie pozostawała zbyt długo.

- Przyjdę za piętnaście minut - oświadczyła groźnie.
- Dzień dobry - powiedziała Inger Johanne. - To ja, Inger Johanne.

Alvhild z wysiłkiem otworzyła oczy. Inger Johanne przysunęła bliżej krzesło, po czym położyła ostrożnie swoją rękę na rękę chorej. Była zimna i wysuszona.

- Inger Johanne - powtórzyła Alvhild. - Czekałam na panią. Opowiadaj.

Zakaślała sucho i próbowała się odwrócić. Ale poduszka była zbyt głęboka i unieruchamiała jej głowę, tak że mogła jedynie patrzeć prosto w sufit. Inger Johanne chwyciła papierową chusteczkę z pudełka, stojącego na nocnym stoliku, i wytarła chorej usta.

- Czy chce pani trochę wody?

- Nie. Chciałabym jedynie usłyszeć, co znalazła pani w Lillestrom.

- Czy jest pani pewna, że... Mogę przyjść jutro. Jest pani zbyt zmęczona.

- O tym ja decyduję! Ponownie zakaślała nieprzyjemnie.

- Proszę opowiadać - zarządziła.

Inger Johanne zaczęła opowiadać. Przez chwilę nie była pewna, czy Alvhild nie zasnęła. Jednak na ustach starej pani pojawił się uśmiech. Inger Johanne mogła mówić dalej.

- A dzisiaj - powiedziała na koniec. - Dzisiaj odkryłam, że Astor Kongsbakken był ojcem Asbjorna Revheima.

- Wiedziałam o tym - wyszeptała Alvhild.

- Wiedziała pani o tym?

- Tak. Kongsbakken miał wybitną osobowość. W latach pięćdziesiątych i na początku sześćdziesiątych odgrywał dominującą rolę w środowisku prawniczym. Często szeptano między sobą o tym, jak bardzo musiał

być zażenowany faktem, że jego własny syn pisał takie książki. Ale nie miałam pojęcia, że Revheim mógł mieć do czynienia ze sprawą Seiera.

- To nie jest jeszcze pewne.

Alvhild nie mogła poradzić sobie z poduszką. Chciała usiąść. Po omacku szukała przycisku, regulującego położenie łóżka.

- Czy jest pani pewna, że to nie zaszkodzi - zapytała Inger Johanne i nacisnęła ostrożnie zielony przycisk.

Chora skinęła słabo głową, a potem znowu, gdy była już zadowolona. Krople potu zbierały się w bruzdach na czole.

- Kiedy *Zimna gorączka* ukazała się w...

- W 1961 roku - wtrąciła Inger Johanne, która zdążyła przeczytać większą część biografii.

- Zgadza się. Książka wywołała gwałtowną burzę. Nie tylko z powodu pornografii, ale przede wszystkim z powodu wściekłego ataku na Kościół. To chyba było w tym samym roku, w którym Astor Kongsbakken przestał pracować w prokuraturze i został dyrektorem administracyjnym ministerstwa. On... - Alvhild próbowała zaczerpnąć powietrze. - Woda w płucach - uśmiechnęła się blado. - Proszę poczekać.

Powróciła pielęgniarka.

- Ja mówię teraz poważnie - odezwała się, a jej ogromne piersi podskakiwały w takt słów. - To nie jest dobre dla Alvhild.

- Astor Kongsbakken - mówiła, oddychając z wysiłkiem - był przyjacielem mojego szefa, dyrektora departamentu. To ten, który mnie poprosił...

- Proszę iść - powiedziała pielęgniarka, wskazując

na drzwi. Przygotowywała doświadczonymi rękami zastrzyk.

- Idę - odrzekła Inger Johanne. - Już idę.
- Byli kolegami ze studiów - wyszeptała Alvhild. - Proszę mnie odwiedzić, Inger Johanne.
- Tak - odpowiedziała. - Przyjdę, jak tylko będzie pani zdrowsza.

Po spojrzeniu pielęgniarki mogła poznać, że szybciej doczeka się końca świata.

Kiedy Inger Johanne wróciła do domu, pachniało czystością. Kristiane spała. Pokój gościnny był przewietrzony, a zasłony zdjęte. Nawet biblioteczka była uporządkowana. Książki, położone w pośpiechu poprzecznie na innych, były teraz starannie ustawione na miejsce. Spory stos starych gazet, leżący przy drzwiach wyjściowych, zniknął. Zniknął także Jack.

- Twojemu ojcu dobrze zrobi spacer - poinformowała matka. - Poszli niedawno. Zasłony trzeba było po prostu uprać. A to ...

Podala córce biografię Asbjorna Revheima. Książka wyglądała na zniszczoną, ale kartki trzymały się razem i były suche.

- Użyłam suszarki do włosów - wyjaśniła matka, uśmiechając się. - Właściwie ratowanie jej było całkiem zabawne. - Prawie niezauważalnie przechyliła głowę na bok i podniosła do góry brew. - Był tutaj jakiś mężczyzna. Yngvar Stubo. Oddał koszulkę. Najwyraźniej twoją, bo na plecach był napis „Vik”. Czy pożyczył ją od ciebie? Kto to jest? Uważam, że powinien uprać koszulkę.

## 49

Patolog był w pracy sam. Była niedziela, 4 czerwca, a on pozostawał beznadziejnie w tyle ze swoją pracą. Zbliżał się do sześćdziesięciu pięciu lat i czuł, że w wielu sprawach pozostawał w tyle. I chociaż przez wiele lat akceptował złe środowisko pracy, zbyt dużo zadań do wykonania i zarobki, które - jego zdaniem - nie były odpowiednie w stosunku do obciążenia pracą, ostatnio zaczął się tym wszystkim irytować. Miał zawsze dużą satysfakcję z pracy. Ale zbliżając się do emerytury, życzyłby sobie solidniejszego wynagrodzenia. Rocznie zarabiał nieco poniżej sześciuset tysięcy, wliczając prowadzenie wykładów i wszystkie nadgodziny. Te ostatnie już przestał liczyć. Jego żona uważała, że chodziło tutaj o tysiąc nadgodzin rocznie. Nie interesowało go, że większość ludzi uważała jego pensję za imponującą. Jego brat bliźniak, który także był lekarzem, zrobił majątek na chirurgii. Miał własną klinikę, dom w Prowansji i według urzędu skarbowego posiadał majątek, podlegający opodatkowaniu, który przekroczył wartość siedmiu milionów.

Mało czasu poświęcał na lekturę. W godzinach pracy powinien mieć również czas na zawodowe doszkalać się. Ale przez ostatnie dziesięć lat niewiele artykułów mógł przeczytać między dziewiątą a szesnastą. Wstawał więc w niedzielę wcześniej rano, zakładał

na ramiona plecak, w którym miał kanapki i termos, po czym szedł niecałe pół godziny do pracy.

Był przygnębiony, kiedy sortował na dwa stosy magazyny, czasopisma i prace doktorskie: jeden stos to te, które musiał przeczytać i drugi - te, które mogły poczekać. Ostatni stos był minimalny. Pierwszy natomiast sięgał do kolan. Zniechęcony złapał broszurę, przypadkowo leżącą na wierzchu, i nalał do kubka mocnej kawy.

*Excitation-contraction coupling in normal and failing cardiomyocytes.*

Była to praca doktorska ze stycznia 1999 roku, która leżała tu już długo. Nie znał autora. Właściwie trudno było powiedzieć, czy praca jest ważna, bez dokładniejszego przejrzania. Poczul chęć sięgnięcia po inne pisma. Opanował się jednak i zaczął czytać.

Patologowi trzęsły się ręce. Odłożył doktorat. To wszystko było tak przerażające, a jednocześnie tak oczywiste, że poczul strach. Odpowiedź nie znajdowała się w pracy doktorskiej. Ale zainspirowała go do myślenia. Czuł, jak wzrasta poziom adrenaliny, puls przyspiesza, a oddech staje się krótszy. Musiał porozmawiać z jakimś farmaceutą. Książka telefoniczna upadła na ziemię, kiedy próbował odnaleźć numer do przyjaciółki swojej żony. Była właścicielką apteki na Tasen. Była w domu. Rozmowa trwała dziesięć minut. Patolog zapomniał podziękować za pomoc.

Gdzieś leżała wizytówka Yngvara Stubo. Zaczął jej szukać między luźno leżącymi kartkami i notatkami, podstawkami do piór i raportami. Wizytówka zginęła. Wreszcie przypomniał sobie, że powiesił ją na tablicy

korkowej. Musiał dwukrotnie wstukować numer komórki.

Palce odmawiały mu posłuszeństwa.

- Stubo - zabrzmiało krótko w słuchawce.

Patologowi zabrało jedną minutę wyjaśnienie, dla czego zadzwonił. Zapadła cisza.

- Halo?

- Jestem w dalszym ciągu przy telefonie - odpowiedział

Stubo. - Jaka to substancja?

- Potas.

- Co to jest?

- To pierwiastek chemiczny, który znajduje się w naszych komórkach.

- Ja tego po prostu nie rozumiem. W jaki sposób...

Patolog wciąż dygotał. Trzymał kurczowo słuchawkę, spróbował więc odprężyć się, rozluźniając uścisk.

- Powiem jak najprościej, ale ryzykujemy wtedy niemal błędną definicję - zaczął, chrząkając. - Otóż w ludzkich komórkach znajduje się pewna ilość potasu. Jest dla naszego życia bardzo ważny. Kiedy umieramy, to komórki, powiedzmy to tak, zaczynają przeciekać. W ciągu godziny albo dwóch poziom potasu w płynie otaczającym komórki zaczyna gwałtownie wzrastać. Jest to faktycznie wyraźny znak, że po prostu nie żyjemy.

Patolog oblał się potem. Koszula przyłgnęła do ciała, a on sam próbował zwolnić oddech.

- Zwiększenie poziomu potasu wokół każdej komórki po śmierci nie jest więc jakimś szczególnie zwracającym uwagę zjawiskiem. Rzecz zupełnie normalna.

-1 co dalej?



- Problem polega na tym, że poziom ten również wzrośnie, jeśli potas wprowadzimy do ciała z zewnątrz. Wtedy, gdy jeszcze żyjemy. I wtedy umieramy. Zbyt wysoki poziom potasu doprowadza do zatrzymania akcji serca.

- Ale taką substancję można łatwo odkryć!

Patolog podniósł głos:

- Nie słyszałeś, co przed chwilą powiedziałem? Jeśli ktoś dostanie zastrzyk z potasem i z tego powodu umrze, to powodu śmierci nie będzie można ustalić, chyba że obdukcja nastąpi bezpośrednio po śmierci. Wystarczy godzina później i podwyższony poziom potasu zostanie przypisany samej śmierci. Obdukcja nic nie wykaże, jedynie stwierdzi fakt, że dana osoba nie żyje, a powód śmierci jest nieznany.

- O mój Boże!

Stubo przełknął tak głośno, że patolog to usłyszał.

- Ale w jaki sposób można zdobyć taką truciznę?

- To nie jest, do cholery, trucizna! - Głos patologa przeszedł niemal w krzyk. Kiedy otworzył ponownie usta, głos miał niski i drżący. - Po pierwsze, i ty, i ja otrzymujemy potas każdego dnia. W zwykłych potrawach, które jemy. Wprawdzie nie w dużych ilościach, ale jednak. W aptece można kupić potas w kilogramowych puszkach. A dokładniej, można kupić chlorek potasu. Jeśli zostanie on wstrzyknięty do krwi, to rozkłada się na jony potasu i chloru. Mówiąc znowu jak najprościej, jeśli nie chcemy zniszczyć tkanki lub żył, musimy chlorek potasu wymieszać z rozpuszczalnikiem, którego działanie nie jest zbyt silne.

- Można kupić w aptece. Ale kto...

- Bez recepty.
  - Bez recepty?
    - Tak. Ale, o ile się orientuję, niewiele aptek ma to w magazynach. Można zamówić. A poza tym można kupić na receptę preparat infuzyjny z tym chlorkiem. Używa się go w leczeniu pacjentów z niedoborem potasu. Przypuszczam, że większość oddziałów intensywnej terapii ma ten środek.
    - Popraw mnie, jeśli coś źle zrozumiałem - powiedział wolno Stubo. - Otóż jeśli ktoś da mi zastrzyk z odpowiednią ilością rozcieńzonego potasu, to umrę. I jeśli dostaniesz mnie na swój stół godzinę później, to stwierdzisz, że nie żyję, nie znając jednak przyczyny śmierci. Czy tak uważasz?
    - Tak. Ale ja zauważyłbym ukłucie po zastrzyku.
    - Ale u Kima i Sary nie było takich ukłuć.
    - Nie, nie zauważyłem.
      - Nie zauważyłeś? Ale sprawdzałeś, czy dzieci miały ukłucia po zastrzykach?
    - Oczywiście.

Patolog poczuł się zmęczony. Wciąż miał przyspieszony puls i ciężko oddychał.

      - Ale muszę się przyznać, że nie ogoliłem dzieci.
      - Ogolenie? Przecież mówimy o dwojgu małych dzieci!
      - Ogolenie głowy. Próbowaliśmy zostawić jak najmniej śladów po obdukcji. Musimy tak przeprowadzić obdukcję, aby bliscy zmarłego nie czuli się zranieni lub urażeni. Ale można zrobić zastrzyk w skroń. Nie jest to łatwe, ale możliwe.
- Słyszał oddech Stubo z drugiej strony linii.

- Muszę przyznać, że nie patrzyłem, czy są ukłucia na skroniach. Po prostu nie myślałem o tym.

Pomyśleli o tym samym. Nie mieli jednak siły o tym powiedzieć. Ciało Sary wciąż było dostępne dla patologa. Kim został już pochowany.

- Dzięki Bogu, że nie zgodziliśmy się na kremację - odezwał się w końcu Stubo.
- Proszę mi wybaczyć - powiedział patolog. - Proszę mi naprawdę wybaczyć. Proszę o to z całego serca.
- Jak rozumiem, opisałeś właśnie perfekcyjne morderstwo - odrzekł Stubo.

**50**

- Mój zięć jest w Kopenhadze - powiedział Yngvar i postawił na ziemię małego chłopca.

Dziecko mogło mieć dwa, trzy lata. Miało brązowe oczy i czarne włosy. Uśmiechało się nieśmiało do Inger Johanne, trzymając się mocno kolana dziadka.

- Przyjedzie z powrotem jutro rano. Zwykle mam u siebie Amunda w każdy wtorek i co drugi weekend, ale w ostatnim czasie... nie miałem możliwości uczestniczyć we wszystkim. A teraz był kryzys, więc nie mogłem się nie zgodzić.

Przykucnął. Chłopiec nie chciał zdjąć kurtki. Yngvar rozpiął suwak i pozwolił chłopcu zatrzymać kurtkę. Po czym uderzył go lekko w pupę i powiedział:

- Inger Johanne ma na pewno dużo fajnych zabawek. Jestem tego pewien.

*Dlaczego nie zaprosiłeś mnie do siebie, pomyślała. Nigdy u ciebie nie byłam, a teraz jest ósma wieczorem. Wiedziałaś, że Kristiane jest u Isaka, a to dziecko powinno być już w łóżku. Mogłam przyjść do ciebie.*

- Chodźmy - powiedziała i wzięła chłopca za rękę.  
- Zobaczymy, co my tam mamy.

Amund rozpromienił się, gdy zaprowadziła go do pudełka pełnego samochodów. Chwycił traktor i podniósł go do góry.

- Czerwony traktor - odezwał się. - Czerwona ciężarówka. Czerwony autobus.
- Ostatnio jest zainteresowany kolorami - powiedział Yngvar.
- To tutaj będzie mu nudno - odpowiedziała, pomagając Amundowi wyjąć buldożer, który stracił przednie koła. - Mija dokładnie miesiąc od chwili zniknięcia Emilii. Czy myślałeś o tym?
- Nie - odpowiedział. - Ale masz rację. 4 maja. Gdzie jest Jack?
- Uważam, że... - zaczęła Inger Johanne. Chłopiec zostawił buldożer i zaczął oglądać karetkę pogotowia, pomalowaną przez Isaka na jaskrawą czerwień.
- Czerwona karetka - stwierdził chłopiec sceptycznie.

Inger Johanne usiadła przy stole.

- Uważam, że cała rzecz polega na tym, że pies musi być z Kristiane. I mówiąc szczerze, cieszę się z tego. Godzinę poświęciłam na zlikwidowanie zapachu szczecięcia i jego moczu. I obawiam się, że bez sukcesu.

Powąchała wokół i marszcząc nieznacznie nos dodała:

- Wygląda na to, że czymś się martwisz.

Yngvar Stubo wyglądał na grubszego. Nie było to tylko złudzenie. Rzeczywiście w ciągu ostatnich kilku tygodni przybyło mu kilka kilogramów. Policzki były bardziej zaokrąglone, a koszula bardziej napięta wokół szyi. Przez cały czas dotykał palcem kołnierzyka. Krawat miał rozluźniony. Inger Johanne zwróciła uwagę na to, że zawsze jadł za dużo i za szybko.

- Przepraszam, że pytam, ale czy masz może coś do

jedzenia? - spytał zmęczonym głosem. - Jestem taki głodny.

Amund spał w jej łóżku. Uśpienie go zajęło godzinę. W końcu w drzwiach sypialni pojawił się Yngvar. Krawat schowany miał do kieszeni, a dwa górne guziki koszuli były rozpięte. Podwinął rękawy i opadł ciężko na sofę. Zatrzeszczała pod nim. Chwycił ze szklanego talerza croissanta, którego pochłonął w trzech szybkich kęsach.

- Ta teoria o potasie jest, prawdę mówiąc, przerażająca - odezwał się, wycierając kąciki ust. - Sądzę, że jest już dosyć grozy w naszej sprawie, ale jeśli teraz ludzie dowiedzą się o...

- Problemem jest ślad po ukłuciu - odezwała się Inger Johanne z namysłem. - Ale jeśli ofiara miała je wcześniej, jeśli jest to narkoman lub osoba chora albo mająca z jakichś innych powodów, nie wzbudzających podejrzenia, ślad po ukłuciu, to wtedy...

- Straszne.

- Ale mówiłeś przedtem, że ta substancja do wstrzyknięcia składa się z potasu i jeszcze czegoś innego.

- Chlorek potasu, który we krwi rozkłada się na potas i chlorek.

Inger Johanne skrzywiła się.

- Czy jednak nie byłoby śladu po chlorku?

Yngvar sprawiał wrażenie, jakby miał ochotę na jeszcze jednego croissanta. Wylał jednak rękę i założył je z tyłu głowy.

- Nie wiem, czy to wszystko dobrze zrozumiałem,

ale faktem jest, że poziom chlorku w ciele jest o wiele wyższy od poziomu potasu.

Yngvar zamknął oczy i zaczął się zastanawiać. Po czym otworzył je, pochylił się do przodu i zaczął rysować palcem na szklanym blacie.

- Może być tak, że nie zapamiętałem prawidłowo cyfr, ale w każdym razie ilustrują istotę sprawy. Otóż powiedzmy, że twój poziom potasu to trzy jakiejś jednostki.

- Dobrze. Trzy jednostki potasu.

- To wtedy masz faktycznie sto jednostek chlorku. Wzrost poziomu chlorku do stu pięciu nie jest ani niebezpieczny, ani zbyt zastanawiający u człowieka. Natomiast podobny wzrost potasu z trzech jednostek do ośmiu jest dla człowieka śmiertelny. To jest naprawdę metoda na perfekcyjne morderstwo.

- To wyjaśnia, dlaczego musiał porwać dzieci - stwierdziła. - Musiał zabrać dzieci w jakieś miejsce, aby je uspokoić, podając valium, po czym robił im zastrzyk w skronie.

- Jeśli rzeczywiście tak robił.

- Hm. Jeśli rzeczywiście tak robił. Kiedy dowiemy się czegoś więcej?

- Patolog zbada Sarę dopiero jutro rano. Zrobimy wszystko, aby nie otwierać grobu Kima.

Spojrzeni oboje w stronę sypialni. Drzwi były lekko uchylone.

- Jeśli okaże się to prawdą, przynajmniej będziemy wiedzieli więcej o mordercy - stwierdziła.

- To znaczy co?

- Że ma dostęp do potasu.

- Wszyscy mamy dostęp.
- Ale sam mówiłeś, że niewiele aptek trzyma potas w magazynach.
- Oczywiście zbadamy to we wszystkich krajowych aptekach. Patolog uważa, że zamówienie potasu zostałyby zauważone. Ale morderca mógł kupić to za granicą. Wiemy, że jest bardzo ostrożny. I mamy naturalnie problem ze szpitalami. Oddziały intensywnej terapii trzymają taki środek u siebie. A w Norwegii mamy dużo takich oddziałów.
- Ale wiemy jeszcze coś innego - powiedziała z namysłem. - Wiemy, że nasz morderca jest nie tylko inteligentnym człowiekiem. Posiada także wiedzę na temat takiej metody zabójstwa, o której, jak sam mówisz, jedynie nieliczni lekarze mają jakieś pojęcie.

Przerwał jej.

- Patolog był naprawdę wstrząśnięty. Ma około sześćdziesięciu pięciu lat, i jak sam mówi, nigdy w życiu nie przyszłoby mu do głowy, że w taki sposób można zabijać ludzi. Nigdy. A przecież jest patologiem!

Podniósł się nieco z sofy i wyjął z tylnej kieszeni spodni tabelę z notatkami Sigmunda Berli. Kartka była rozerwana i nie chciała leżeć płasko na stole.

- To czyni naszego ginekologa bardziej interesującym - powiedział z namysłem i wskazał nazwisko lekarza. - Również z tego powodu pielęgniarkę. Ale ona jest kobietą. Więc pewne rzeczy nie pasują.
- Nie szukamy kobiety - odrzekła Inger Johanne. - Lekarz też raczej odpada.

Spojrzał na nią i spytał:

- A z jakiego powodu jesteś taka pewna?



- Te nowe informacje nie mogą spowodować, że zapomnimy o naszych wcześniejszych przemyśleniach - powiedziała zdecydowanie. - Mówimy w dalszym ciągu o człowieku z psychicznym urazem. O psychopacie albo osobie z wyraźnymi psychopatycznymi zaburzeniami. Myślę, że szukamy mężczyzny z wieloma zerwanymi związkami za sobą. Dotyczy to również wykształcenia. Mógł studiować, nie byłby jednak w stanie dokończyć studiów, do których potrzebne są obowiązkowość i poświęcenie. Jest wystarczająco inteligentny, a nawet bardzo inteligentny i dlatego potrafi wykorzystać wiedzę, którą tu i tam zdobył. W ostatnich latach dzięki Internetowi otworzył się przed nami ocean informacji. Możesz tam znaleźć przepis na bombę i kluby dla samobójców. I nie zdziwiłoby mnie, gdyby istniała strona internetowa z przepisami na sprytne morderstwa. Ale nasz człowiek może być wystarczająco inteligentny, aby wymyślić sposób na własną rękę, korzystając jedynie z informacji zawartych na licznych internetowych stronach medycznych. Zdecydowanie jest pojętny. Nie miałby jednak szans na ukończenie studiów. Ile lat trzeba obecnie poświęcić na szkołę pielęgniarstwa? Cztery lata? Uważam, że nie jest możliwe dla tego człowieka zrealizowanie czegoś takiego.

- Ale skąd takie wyrafinowanie?

- Masz na myśli potas?

- Tak. Dlaczego tak wyrafinowana metoda zabójstwa? Mógł przecież je udusić, zastrzelić albo utopić!

- Potrzeba kontroli - odpowiedziała. - Poczucie wyższości. Chce pokazać swoją przewagę. Pamiętaj, że jest to człowiek uważający się za znieważonego. Głęboko

znieważonego. Nie przez jedną osobę, nie przez jedno zdarzenie. On ma cały magazyn przeżytych klęsk, które chce pomścić. To, że nie rozumiemy, w jaki sposób dzieci zostały zabite, jest...

- Dziadzia - rozległ się cienki głos. Nie słyszała pojawienia się chłopca i to ją przestraszyło. Stał w pokoju, trzymając pod pachą misia. Na koszulce widniała duża plama po keczupie. Yngvar odrzucił propozycję pożyczania jednej z nieużywanych już przez Kristiane piżam. Brzeg pieluchy zsunął się pod pępek i wydobywająca się stamtąd woń spowodowała, że Inger Johanne wstała i zaprowadziła malca do łazienki. Z nieznanego jej powodu miała nadzieję, że Yngvar nie podąży za nią. Amund był pełen ufności. Kiedy usiadła na klapie od sedesu i zdjęła z chłopca brudną pieluchę, ten szeroko się uśmiechnął.

- Ingeljoanne - powiedział i pogłaskał pulchną rączką jej policzek.

Yngvar umieścił w łazience torbę z neutralnym mydłem, trzema dodatkowymi pieluchami i smoczkiem.

*Liczyłeś na to, że chłopiec będzie tutaj spał, pomyślała. Zabranie piżamy byłoby zbyt oczywiste. Ale trzy nocne pieluchy?*

- Dziadek jest sprytny - powiedziała, podnosząc dziecko na wysokość umywalki.

- Nie myć pupy - powiedział Amund zdecydowanie i zaczął machać nogami. - Nie.

- O tak - odpowiedziała Inger Johanne. - Zrobiłeś kupkę. Wyrzucamy kupkę!

Dała rącznikiem lekkiego klapsa w okrągłą pupę. Amund zaczął się śmiać.

- Nie - zawołał i zachłysnął się powietrzem, kiedy letnia woda polała się po jego skórze.
- Musisz być czysty i świeży, żeby dobrze spać.
- Ambulans jest biały - odezwał się Amund. - Nie czerwony.
- Masz zupełną rację. Karetki są białe.
- Bulans.
- Ambulans. Jak ty ładnie mówisz.  
Dziecko wtuliło się w ręcznik.
- Nie będę spać - powiedział ze śmiechem.
- Myślę, że będziesz - odezwał się Yngvar, stojąc w drzwiach. - Chodź tutaj, dziadek położy cię do łóżka. Dziękuję ci, Inger Johanne.

Nie udało się. Po pół godzinie z sypialni wyszedł Yngvar z chłopcem pod pachą.

- Uśnie tutaj - powiedział niemal przepraszająco i popatrzył surowo na chłopca, uśmiechającego się i po prawiającego smoczek. - Położę go na kolana.

Malec niemal zniknął w objęciach dziadka. Spod zielonego pledu wystawał koniuszek nosa. Po kilku minutach powieki opadły, a rytmiczne ssanie stało się słabsze. Yngvar odsunął pled z twarzy dziecka. Ciemne włosy zdawały się prawie czarne na tle białej koszuli Yngvara. Rzęsy były wilgotne i tak długie, że się poskręcały.

- Dzieci - rzekła cicho Inger Johanne, nie mogąc oderwać oczu od Amunda. - Nie mogę pozbyć się myśli, że kluczem do zrozumienia tej sprawy są dzieci. Początkowo myślałam, że sprawa związana była przede wszystkim z dzieciństwem samego mordercy. Z jakąś utratą. Tęsknotą. Tęsknotą odczuwaną w dzieciństwie.

I może... - Oddychała głęboko. - Może mam rację. Ale istnieje coś więcej. Coś szczególnego jest w tych dzieciach. Mimo że nie są jego. Wydaje się, że... - zaczęła się zacinać.

Yngvar nie odzywał się. Amund spał głęboko. Inger Johanne potrząsnęła nagle głową, tak jakby powracała z ucieczki w myśli i stwierdziła:

- Czy może mieć dziecko, którego nie widuje?
- Myślę, że się zagalopowałaś - odezwał się cicho Yngvar i ułożył wygodniej główkę wnuka. - Co sprawiło, że wpadłaś na taką myśl?
- Pasuje w jakiś sposób do całości. Powiedzmy, że jest to mężczyzna, który podoba się kobietom, ale nigdy nie potrafi ich przy sobie zatrzymać. Jedna z tych kobiet zachodzi w ciążę. Postanawia urodzić. Ale przeraża ją myśl, że dziecko może mieć z nim kontakt. Ona może mieć...
- Ale dlaczego właśnie te dzieci? Jeśli masz rację, że Glenn Hugo, Kim, Sara i Emilia nie są wybrani przypadkowo, to co jest w nich takiego specjalnego? Gdyby ten facet przez szereg lat płodził dzieci z przypadkowymi kobietami, i wszystkie ofiary były jego dziećmi, to... Ale on nie jest ich ojcem. Tak w tej chwili to wygląda. Więc co powoduje, że wybiera w ten sposób?

- Nie wiem - powiedziała zmęczonym głosem. - Nie wiem niczego poza tym, że istnieje jakiś powód. Ten człowiek ma plan. W tym, co robi, występuje jakaś absurdalna logika. Chociaż pod wieloma względami różni się od typowego seryjnego mordercy. Na przykład w porwaniach nie ma wyraźnej regularności. Żadnego rytmu czy przejrzystego systemu. Nawet nie wiemy, czy zakończył swą sprawę.

Zapadła cisza. Yngvar lepiej otulił kocem Amunda i przywarł wargami do jego ciemnej główki. Oddech dziecka był lekki i spokojny.

- Tego najbardziej się obawiam - powiedział cicho Yngvar. - Tego, że jeszcze nie zakończył swojej sprawy.

Do białego domu na skraju lasu, oddalonego od Oslo o półtorej godziny jazdy samochodem, powrócił morderca po ukończeniu biegu. Z kolana leciała krew. Na dworze panowała ciemność, na skutek czego zawadził o korzeń i przewrócił się. Rana nie była głęboka, mimo to krwawił obficie. Plaster leżał zwykle w trzeciej szufladzie, obok zlewozmywaka. Opakowanie było puste. Zirytowany znalazł sterylny kompres w szafce na lekarstwa wiszącej w łazience. Ponieważ nie miał więcej taśmy klejącej, musiał owinąć opatrunek bandażem. Oczywiście nie powinien biegać tak późno. Ale był tak pełen niepokoju. Kulejąc, wszedł do pokoju i włączył telewizor.

Dzisiaj nie pojawił się w piwnicy. Emilia napawała go wstrętem większym niż kiedykolwiek. Chciał się jej pozbyć. Problem polegał na tym, że nie miał komu dostarczyć tego cholernego dziecka.

- Dziewiętnastego czerwca - powiedział do siebie półgłosem, przeskakując jednocześnie pilotem z kanału na kanał.

Wtedy będzie po wszystkim. Sześć tygodni i cztery dni od zniknięcia Emilii. Ruszy do działania, porwie piąte dziecko i dostarczy je z powrotem tego samego dnia. Data nie została wybrana przypadkowo. Nic na

tym świecie nie było przypadkowe. Za wszystkim krył się jakiś plan.

W piątek zawołał go do biura szef. Dał mu pisemne ostrzeżenie. A przecież jedynie wziął do domu trochę narzędzi. Nawet nie miał zamiaru ich ukraść. A zresztą narzędzia były stare. Poza tym miał zamiar przynieść je z powrotem. Jednak szef mu nie uwierzył. Pewnie ktoś o tym doniósł.

Wiedział, kto chciał mu zaszkodzić.

Wszystko układało się w plan.

On również potrafił układać plany.

- Dziewiętnastego czerwca - powtórzył i przełączył na telegazetę.

Do tego czasu musi się pozbyć Emilii. Może nie będzie już żyła. Ani myślał dostarczać jej teraz jedzenie.

Kolano bolało go jak cholera.

- Listy - powiedziała głośno i nagle przerwała.

Yngvar miał w dalszym ciągu na kolanach Amunda, tak jakby rozmowa nie pozwalała mu położyć dziecka do łóżka.

- Listy - powtórzyła i uderzyła się lekko w czoło. -

Na stoliku do szachów u Aksela.

- Nie bardzo rozumiem, o czym mówisz.

Inger Johanne w końcu opowiedziała Yngvarowi o swojej wyprawie do Lillestrom. O związku między niedorozwiniętym umysłowo Andersem Mohaugiem i pisarzem Asbjornem Revheimem, który był najmłodszym synem Astora Kongsbakkena, prokuratora w sprawie przeciwko Akselowi Seierowi. Trudno było odgadnąć reakcję Yngvara, ale wydawało się jej, że

dostrzegła zmarszczkę na jego czole, wskazującą na to, iż również on uznał ten zbieg okoliczności za zbyt rzucający się w oczy, żeby nie brać go pod uwagę.

- Listy - odezwał się z pewnym zdziwieniem w głosie.

- Tak! Kiedy wyszłam od Aksela Seiera, zdawało mi się, że zobaczyłam coś, co nie pasowało do jego mieszkania. Teraz wiem, co to było. Stos listów na stoliku do szachów.

- Przecież wszyscy dostajemy od czasu do czasu listy.

- Znaczki - dodała Inger Johanne. - Były norweskie. Listy związane były kawałkiem sznurka.

- Innymi słowy, widziałaś tylko ten na wierzchu - stwierdził Yngvar.

- To prawda. - Skinęła głową i kontynuowała: - Ale jestem pewna, że był to stos listów od jednej i tej samej osoby. Były z Norwegii, Yngvar. Aksel Seier otrzymuje listy z Norwegii. Ma kontakt z kimś tutaj.

-I co?

- Nic mi o tym nie powiedział. Wydawało się, że od chwili wyjazdu nie miał nic do czynienia z krajem.

Yngvar przeniósł dziecko na drugą stronę. Chłopiec zamruczał i spał głęboko dalej.

- Ale przecież bardzo krótko rozmawiałaś z tym człowiekiem! Nie ma w tym nic dziwnego, że utrzymuje z kimś kontakt: może z przyjacielem, członkiem rodziny.

- On nie ma rodziny w Norwegii. Przynajmniej nic o tym nie wiem.

- Uważam, że wyolbrzymiasz coś, co ma całkowicie racjonalne wytłumaczenie.

- Czy on może otrzymuje od kogoś pieniądze? Czy może być opłacany przez kogoś, żeby nie stwarzał problemów? Czy dlatego nigdy nie szukał sprawiedliwości? Czy to mogłoby wyjaśnić, dlaczego uciekł, gdy chciałam mu pomóc?

Yngvar uśmiechał się. Wyraz jego oczu nie spodobał się jej.

- Zapomnij o tym - odezwał się. - To jakaś teoria spiskowa. Ja mam coś bardziej interesującego do powiedzenia. Astor Kongsbakken jeszcze żyje.

-Co?

- Tak. Ma 92 lata i mieszka razem z żoną na Korsyce.

O ile wiem, mają tam gospodarstwo, właściwie winnicę. Od początku sądziłem, że nie umarł, gdyż taki fakt zarejestrowałbym w pamięci. Dlatego sprawdziłem. Przed dwudziestu laty wycofał się całkowicie z życia publicznego i przeprowadził na południe.

- Muszę z nim porozmawiać!

- Możesz spróbować zadzwonić.

- Czy masz jego numer telefonu?

Yngvar zaśmiał się cicho.

- No nie, istnieje jakaś granica. Nie. Zadzwon do informacji telefonicznej. Według moich informacji jest sprawny na umyśle, czego nie można powiedzieć o no gach.

Powoli, nie budząc dziecka, podniósł się z sofy. Staranniej przykrył malca kocem i popatrzył pytającym wzrokiem na Inger Johanne. Kiwnęła obojętnie głową i poszła do sypialni po rzeczy Amunda.

- Odniosę jutro koc - odezwał się, z trudem utrzymując wszystko w rękach.



- Rozumiem, przyniesiesz jutro - powiedziała bez barwnym głosem.

Stał wyprostowany i spoglądał na nią z góry. Amund spał z głową na jego ramieniu i mruczał coś przez sen. Smoczek spadł na podłogę, pochyliła się, żeby go podnieść. Kiedy podawała go Yngvarowi, ten chwycił ją za rękę i nie chciał puścić.

- To, że Astor Kongsbakken i dyrektor departamentu, szef Alvhildy, byli dobrymi przyjaciółmi, nie jest czymś zaskakującym - stwierdził z naciskiem. - Wielu prawników dobrze się zna. Wiesz przecież, jak to obecnie wygląda. Norwegia jest małym krajem. Jeszcze mniejszym była w latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych. Wszyscy prawnicy dobrze się wtedy znali!

- Ale nie wszyscy prawnicy byli zamieszani we wzbudzające sensację morderstwo.

- Nie - odpowiedział z rezygnacją w głosie. - Ale nie wiemy też, czy byli zamieszani.

Towarzyszyła mu do samochodu, żeby pomóc przy otwieraniu drzwi. Nie zamienili ze sobą ani słowa, zanim Amund nie został przypięty pasami do fotelika, a bagaż postawiony obok niego.

- Do zobaczenia - powiedział lekkim tonem.

- Mhm - odpowiedziała i poszła z powrotem do pustego domu.

Chciała, aby przynajmniej Król Ameryki czekał na nią w środku.

## 51

Yngvar Stubo czuł się okropnie. Spodnie uciskały na brzuch, a pas bezpieczeństwa był zbyt napięty. Miał problemy z oddychaniem. Minęło właśnie dziesięć minut od chwili, kiedy zjechał z głównej szosy. Jechał teraz wąską drogą i na zakrętach robiło mu się niedobrze. Kiedy dotarł do przystanku autobusowego, zjechał i zatrzymał się. Rozluźnił krawat, rozpiął kołnierzek i oparł głowę na podglówku.

Yngvar Stubo miał czterdzieści pięć lat i czuł się staro.

Kiedy miał szesnaście lat, spotkał Elisabeth. Kiedy tylko osiągnęli odpowiedni wiek, pobrali się i wkrótce urodziła się Trine. Wiele lat później wrócił z pracy i zastał śpiące niemowlę w pustym domu.

Był środek lata. Nad willami w dzielnicy Nordstrand unosił się zapach jaśminów. Stara fiesta, należąca do Trine, zaparkowana była przednimi kołami na trawniku. Zirytowało go to. W złym humorze wszedł do domu. Dokuczał mu głód. Obiecał być w domu o piątej, a był już kwadrans po szóstej. Panowała niezwykła cisza. Zatrzymał się w holu i zaczął nasłuchiwać. Dom był pusty. Nie było dźwięków, nie było ludzi. Żadnego zapachu obiadu, żadnych odgłosów ustawianych talerzy i szklanek. Panując nad sobą, zaczął skradać się w głąb domu, jakby wiedział, co za chwilę go spotka.

W ciągu dnia pojawiła się na spodniach plama z atramentu. Obok kieszeni. Bawił się przedtem flamastrzem, który w końcu się popsuł. Dwa dni wcześniej Elisabeth kupiła mu nowe ubranie. Kiedy je mierzył, kręciła głową, zwracając uwagę na to, że śmieszne jest kupowanie dla takiego jak Yngvar mężczyzny spodni khaki. Śmiejąc się, pocałowała go.

Zatrzymał się w pokoju gościnnym. Nie słyszał nawet ćwierkania ptaków w ogrodzie. Wyjrzał przez okno i dojrzał je, krążące nad czymś. Nie słyszał jednak nic, choć francuskie drzwi były otwarte.

Na piętrze leżał Amund. Miał dwa miesiące i spał.

Kiedy Yngvar znalazł Elisabeth i Trine, zamarł. Nie sprawdził im pulsu. Trine wpatrywała się w niego. Jej brązowe oczy zaszły matową błoną. Elisabeth patrzyła na popołudniowe niebo; przednie zęby wbite były do środka, a nos prawie zniknął.

Yngvar drgnął przestraszony. Trąbił autobus.

Powoli włączył bieg i wyjechał na drogę. Musi znaleźć nowe miejsce na zatrzymanie się. Chciało mu się wymiotować.

Przy jakimś zjeździe otworzył drzwi i zwrócił zawartość żołądka, zanim samochód zdążył się całkowicie zatrzymać. Na szczęście miał przy sobie butelkę z wodą.

Całą tamtą noc przesiedział w pralni. Plama z atramentu była uparta. Próbował wszystkiego. Etanolu, wywabiacza plam, szarego mydła. Zięć był w Japonii i wrócił do domu o czterdzieści godzin za późno. Yngvar kurczowo trzymał w ramionach Amunda i zaczął narreszcie płakać. Nie chciał oddać dziecka. Zięć wprowadził się do niego i pozostał z nim ponad rok.

Butelka z wodą została opróżniona. Yngvar próbował rytmicznie i głęboko oddychać.

Nie miał pojęcia, co powinien zrobić z Inger Johanne. Właściwie nie wiedział, co należało zrobić. Nie rozumiał jej. Zabierając ze sobą Amunda, miał nadzieję, że coś się wydarzy, że dostrzeże, kim on jest i poprosi o pozostanie. Koleżanka z pracy powiedziała mu kiedyś, że urocze jest to jego zajmowanie się wnukiem. Seksowne, powiedziała, uśmiechając się, co sprawiło, że niemal spłonął rumieńcem.

Nie powinien tak dużo jeść. Pogładził ręką brzuch, odczuwając po zwymiotowaniu ból w przeponie. Stwierdził, że stawał się coraz grubszy.

Inger Johanne sprawiała wrażenie, jakby sądziła, że ma około sześćdziesiątki.

Wypił z butelki ostatnie krople wody i włączył silnik. Nie miał siły zapiąć pasów.

Zbadanie Sary Baardsen potwierdziło makabryczną teorię o zabójstwie potasem, głoszoną przez patologa. Znalazł on prawie niewidoczny ślad przy skroni, u nasady włosów. Ślad po igle. Delikatny, powiedział zrezygnowanym głosem i odłożył słuchawkę. Nie podjęto natomiast decyzji, co zrobić z ciałem Kima, który został już pochowany.

Ginekolog, potrafiący prawdopodobnie zrobić zastrzyk, okazał się zupełnie nieistotny dla sprawy. Był przyjacielsko nastawiony. Wyraził zrozumienie dla powodów, dla których przybył Yngvar. Odpowiadał na każde pytanie. Patrzył prosto w oczy. Kręcił przepaszając głową. Mówił przechodzącym z wysokich na niskie tony głosem. Pozostałości po niemal zapomnianym

dialekcie sprawiły, że Yngvar pomyślał o żonie. Lekarz był żonaty, miał troje dzieci i dwoje wnucząt. Pół etatu w szpitalu i własną praktykę.

Cato Sylling, hydraulik w Lillestrom, był właśnie w pracy w Fetsund. W czasie rozmowy przez komórkę okazał dobrą wolę. Mógł przyjechać do Oslo już następnego dnia. Żaden problem. Sprawa była cholerna, współczuł Lasse i Turid i jeśli będzie mógł, to chętnie pomoże.

- Sam mam dzieciaki. Gdybym spotkał typa, zadu siłbym własnymi rękami. Do jutra o pierwszej.

Znalezienie adresu Karstena Asli nie sprawiło większego kłopotu. Miał telefon, zarejestrowany w Telenor. Gorzej było ze znalezieniem drogi. Yngvar zatrzymywał się trzy razy, żeby o nią zapytać. Wreszcie znalazł stację benzynową, na której śmieszny grubas z jaskrawoczerwonymi włosami, przykrywającymi łysinę, znał drogę.

- Trzy przecznice dalej - wskazał ręką. - Najpierw w prawo, potem dwa razy w lewo. Sześćset, siedemset metrów dalej i zobaczy pan dom. Ale jedź pan ostrożnie. Bo inaczej koniec z podwoziem.

- Dziękuję - mruknął Yngvar i wrzucił bieg.

Karsten Asli postanowił właśnie dać Emilii ostatni posiłek. Nie miało to większego znaczenia. Ona i tak nic nie jadła. Nie wiedział, czy piła. Kiedy przynosił jej jedzenie, nie ruszała niczego. Miała jednak wodę w kranie.

Jakiś samochód jechał pod górę.

Karsten Asli spojrzął przez kuchenne okno w dół, gdzie biegła polna droga.

Samochód był ciemnoniebieski. O ile mógł się zorientować, było to volvo.

Nikt się tutaj nigdy nie pojawiał. Jedyne listonosz, ale ten jeździł białą toyotą.

Sądziła, że dobrze przygotowała się do tego, co miała powiedzieć i w jaki sposób formułować pytania. Jednak czuła się zaskoczona, kiedy w słuchawce usłyszała głos Astora Kongsbakkena. Nagle pojawił się po drugiej stronie słuchawki, a Inger Johanne nie miała pojęcia, od czego powinna zacząć.

Mówił głośno. To mogło oznaczać, że słabo słyszał. Ale mogło też oznaczać, że był wściekły. A kiedy zbyt szybko wspomniała nazwisko Aksela Seiera, była pewna, że rzuci słuchawką. Jednak nie zrobił tego. Tylko rozmowa potoczyła się w kierunku, którego zupełnie nie wzięła pod uwagę. To on pytał, a ona odpowiadała.

W każdym razie miał jasne i wyraźne przesłanie. Niewiele pamiętał ze sprawy i nie miał absolutnie zamiaru na głębsze przeszukanie swej pamięci tylko dla Inger Johanne Vik. Trzykrotnie zwrócił jej uwagę na swój podeszły wiek i na koniec rozmowy zagroził jej adwokatem. Nie do końca było jasne, co adwokat miałby z nią zrobić.

Przekartkowała książkę Asbjorn Revheim *Opowiadanie o zapowiedzianym samobójstwie*.

Istniało wiele powodów, które mogły wywołać wściekłość Astora Kongsbakkena. Miał dziewięćdziesiąt dwa lata i mógł być notorycznie zrzędlwym starcem. Anegdoty o jego temperamencie krążyły już

w latach pięćdziesiątych. W biografii widnieją jego dwa zdjęcia, na których jawi się jako krępy mężczyzna o szerokich barach i wystającej dolnej szczęce. Całkowite przeciwieństwo długiej, niemal ektomorficznej sylwetki syna. Na pierwszym zdjęciu ten znany prokurator stoi w czarnej todze, trzymając w podniesionej prawej ręce zbiór praw, tak jakby nosił się z zamiarem rzucenia go w kierunku sędziowskiego stołu. Spod zwisających brwi spoglądają ciemne oczy i wydaje się, że prokurator krzyczy. Astor Kongsbakken zawsze był mężczyzną z temperamentem. I nie wszyscy łagodnieją z wiekiem.

Istniał też brat, starszy syn Astora i Unni. Inger Johanne, pośliniwszy palce, przekartkowała książkę, dochodząc do odpowiedniego miejsca. Geir Kongsbakken był adwokatem i prowadził niewielkie biuro przy Ovre Slottsgate. Jemu poświęcono nie więcej niż pięć linii. Postanowiła do niego zadzwonić. Choćby w nadziei, że pomoże jej w przeprowadzeniu jeszcze jednej rozmowy z ojcem. Warto było przynajmniej spróbować.

Zadzwoniła do sekretarki i uzgodniła termin spotkania na wtorek, 6 czerwca, o dziesiątej. Kiedy sekretarka spytała, czego sprawa dotyczy, Inger Johanne zawahała się przez chwilę, po czym odpowiedziała:

- To sprawa kryminalna. Ale prawdopodobnie nie zajmie dużo czasu.
- Więc jutro - potwierdził uprzejmy kobiecy głos. - Rezerwuję dla pani pół godziny. Życzę przyjemnego dnia!



**53**

Karsten Asli wstrzymał oddech. Przez podwójne okno słyszał, jak volvo zmieniło bieg z drugiego na pierwszy, pokonując ostatni odcinek stromej drogi.

W Snaubu mieszkał prawie rok. Niewielkie gospodarstwo kosztowało go niedużo, gdyż obciążone było obowiązkiem stałego zamieszkania, chociaż utrzymanie się z małego poletka ziemi i niecałej morgi lasu nie było możliwe. Ale dla niego miejsce było idealne. Pierwsze miesiące upłynęły na rozbudowie piwnicy. Ponieważ część domu stała na skarpie, nie było trudne dobudowanie dużego pomieszczenia, które miało tę dodatkową zaletę, iż leżało pod pierwotną piwnicą na kartofle. Był dumny z rezultatów swojej pracy. Nikt nigdy nie zapytał, do czego potrzebne mu były zakupione materiały: cement i beton, drewno budowlane i narzędzia, rury i kable. Dom był zniszczony. Na wypadek, gdyby ktoś się u niego pojawił, wymienił trochę desek na zewnętrznych ścianach domu i zaczął betonować fundament pod nowy garaż. Snaubu leżało w odosobnionym miejscu, piętnaście minut drogi od wsi. Swoboda i niezakłócony spokój, tak jak tego chciał. I nikt nie pojawiał się w Snaubu. Aż do tej pory.

Na podwórku stało ciemnoniebieskie volvo. Karsten Asli stał nieruchomo w kuchni. Nie cofnął się i nie próbował ukryć. Stał jedynie bez ruchu

i patrzył, jak otwierają się drzwi samochodu. Po chwili wysiadł jakiś mężczyzna. Wyglądał na zdętwiałego. Niedysponowanego. Mężczyzna przetarł najpierw mocno twarz, po czym próbował wyprostować plecy. Twarz przeszył grymas, jakby jazda trwała cały dzień. Tablica rejestracyjna z Oslo, niecałe dwie godziny drogi. Przybyły rozejrzał się wokół. Karsten Asli w dalszym ciągu stał nieruchomo. Kiedy w końcu tamten dostrzegł go przez szybę i podniósł rękę w niezdecydowanym pozdrowieniu, Karsten Asli wyszedł na korytarz. Z wieszaka zdjął czerwony sweter i założył na siebie. Po czym otworzył wyjściowe drzwi.

- Dzień dobry - powiedział.

- Dzień dobry!

Mężczyzna zaczął iść w jego kierunku z wyciągniętą na powitanie ręką. Był wysoki. Gruby, pomyślał Karsten Asli. Zmęczony i gruby.

- Yngvar Stubo - przedstawił się mężczyzna.

- Karsten - odpowiedział Karsten Asli, myśląc o betonie, który mu pozostał po przebudowie piwnicy.

Narzędzia. Nikt nigdy nie pojawił się tu z wizytą.

Oprócz tego człowieka.

- Piękne miejsce - powiedział gość i rozejrzał się. -

Wspaniały widok. Długo pan tu mieszka?

- Już jakiś czas.

- Musi pan zgłosić przeprowadzkę. Trudno było pana znaleźć. Czy mogę wejść?

Niczego nie było w środku. Karsten Asli przebiegł myślami z pokoju do pokoju. Niczego. Żadnego dziecięcego ubrania. Żadnych zabawek. Żadnych zdjęć lub wycinków prasowych. Posprzątane. Poukładane. Czysto.

- Proszę.

Szedł pierwszy. Słyszał za sobą ociężałe i powolne kroki obcego. Mężczyzna był wyraźnie zmęczony. Karsten był wysportowany i młody.

- Jezu! - wykrzyknął Stubo. - Ale ma pan porządek!

Karstenowi Asli nie podobały się oczy gościa. Krążyły po całym pokoju. Jakby facet miał w głowie aparat fotograficzny i nic przed nim nie mogło się ukryć. Sofa, telewizor, plakaty z wakacji w Grecji, gdzie był razem z Ellen, zanim wszystko nie poszło w złym kierunku.

- A właściwie czego pan chce ode mnie?

- Jestem z policji.

Karsten Asli wzruszył ramiona i usiadł na krześle. Policjant chodził po pokoju i badał oczami.

Na pewno niczego nie znajdzie. Nie było nic do znalezienia.

- A w czym mógłbym pomóc? Czy napije się pan kawy, a może czegoś innego?

Mężczyzna był odwrócony do niego plecami. Może przyglądał się widokowi. Może myślał.

- Nie, dziękuję. Zastanawia się pan pewnie, dlaczego tu przyjechałem?

Karsten Asli nie zastanawiał się. Wiedział.

- Tak - odezwał się. - Dlaczego pan tu przyjechał?

- Z powodu tych porwań dzieci. -Aha.

- Okropna sprawa - powiedział policjant i odwrócił się do niego twarzą.

Fotograficzne oczy zarejestrowały Karstena.

- Tak, straszne - odezwał się i skinął wolno głową.

Patrzył prosto w oczy. Oddychał spokojnie. Wiedział, że któregoś dnia mogło to się zdarzyć. Brał to pod uwagę. Nie było niebezpieczne. Zupełnie. A poza tym policjant był starszy od niego. Stary. Niewysportowany.

- Śledztwo prowadzone jest bardzo mozolnie, musimy badać wszystko, co może dotyczyć sprawy. Pana nazwisko też się pojawiło.

Policjant za często się uśmiechał. Właściwie uśmiech nie zniknął z jego twarzy.

- Dwoje rodziców dzieci mówi, że znają pana z dawniejszych czasów.

Dwoje. Dwoje!

Karsten Asli pokręcił nieznacznie głową.

- Mówiąc szczerze, nie interesowałem się za bardzo tą sprawą. Oczywiście nie jest możliwe, aby nie znać głównych faktów, ale... A kto mówi, że mnie zna?

- Turid Sande Oksoy.

Turid na pewno nie powiedziałaaby. Nigdy. Nawet teraz. Karsten wyczytał to z twarzy Stubo. W innym wypadku policjant zamrugałby lewym okiem, a nie zrobił tego. To wymuszone zachowanie zdemaskowało kłamstwo.

Ponownie pokręcił głową.

- Jestem pewny, że nie znam tego nazwiska - powiedział i dotknął skroni nie spuszczać wzroku ze Stubo.

- Ale zaraz...

Pstryknął lekko palcami prawej ręki.

- Słyszałem o niej w telewizji. Jak już mówiłem, nie śledziłem sprawy zbyt dokładnie. Uważam, że za dużo było tego wszystkiego, ale... Tak. To matka tego chłopca. Najstarszego. Nie myłę się?

- Nie.

- Nie znam jej. Dlaczego miałaby twierdzić coś takiego?

- Lena Baardsen.

Policjant wpatrywał się w niego. Lewe oko było spokojne, nieruchome.

- Lena Baardsen - Karsten powtórzył wolno. - Lena. Miałem kiedyś dziewczynę o imieniu Lena. Czy miała na nazwisko Baardsen? Naprawdę nie pamiętam.

Uśmiechał się do Stubo. Ten jednak nie odwzajemnił uśmiechu.

- To musiało być z dziesięć lat temu. Co najmniej! Znałem dwie, może trzy dziewczyny o imieniu Lenę. Z e na końcu. Koleżanka z pracy też nazywa się Lenę. Ale to chyba nie ma związku ze sprawą.

-Nie.

Policjant w końcu usiadł na sofie. Od razu wydał się mniejszy.

- A gdzie pan pracuje? - zapytał lekkim tonem, bez specjalnego zainteresowania, jakby właśnie spotkali się w jakimś pubie, każdy z nich zajęty swoim kuflem piwa.

- Pracuję w tartaku. We wsi. Tam na dole.

- Myślałem, że jest pan pracownikiem młodzieżowym.

- Byłem. Zajmowałem się różnymi rzeczami. Bardzo różnymi.

- Wykształcenie?

- Cała masa.

- Na przykład?

- Tutaj też różne rzeczy. Czy jest pan pewny, że nie chce pan kawy?

Stubo kiwnął głową i podniósł do góry rękę.

- W takim razie chciałbym sobie przynieść kawę.
- Ależ proszę.

Karstenowi nie podobała się myśl o pozostawieniu policjanta samego w pokoju. Mimo że nie było tam nic specjalnego - zwykłe meble, trochę książek i nic więcej - to jednak miał wrażenie, że mężczyzna znieważał to miejsce samą swoją obecnością. Był tutaj obcy i nikt go nie zapraszał. Policjant powinien opuścić jego dom. Karsten chwycił mocno kant kuchennego blatu. Chciało mu się pić. Język przywarł do podniebienia i dziąseł. Z kranu pociekła woda. Nachylił się i zaczął zachłannie pić. W piwnicy przechowywał beton i narzędzia, a wkrótce pozbędzie się Emilii. Nie mógł ugasić pragnienia. Przednie zęby przeszył lodowaty ból. Zajęczał cicho i wypił więcej. Jeszcze więcej.

- Źle się pan czuje?

Na twarzy policjanta pojawił się znowu - niczym odrażająca szrama - uśmiech. Karsten nie słyszał, kiedy tamten pojawił się tuż za nim. Powoli wyprostował się. Bardzo powoli, gdyż kręciło mu się w głowie i musiał przytrzymać się kuchennego blatu.

- Nie, nie. Tylko pić mi się chce. Właśnie wróciłem z biegów.
- Dba pan o formę.
- Tak. Czy mogę jeszcze w czymś... Czy ma pan więcej pytań?
- Jeśli mam być szczery, to wygląda pan na trochę spiętego.

Policjant skrzyżował ręce na piersi. Oczy ponownie zamieniły się w kamerę, rejestrującą wszystko w kuch-

ni. Górne szafki. Ekspres do kawy. Nóż do krojenia chleba. I jego.

- Nie - odpowiedział. - Jestem tylko zmęczony. Biegałem półtorej godziny.

- Imponujące. Ja sam jeżdżę konno. Mam własnego. Gdybym mógł mieszkać tak, jak tutaj... - Stubo wskazał ręką okno. - To miałbym ich więcej. Czy zna pan May Berit?

Mówiąc to, odwrócił się. Na tle światła z pokoju gościnnego profil policjanta pozostawał w cieniu. Lewe oko, ten wykrywacz kłamstw, było niewidoczne. Karsten przełknął ślinę.

- A nazwisko? - zapytał, wycierając usta.

- Benonisen. Nazywała się wcześniej Saether.

- Zupełnie nie pamiętam.

Pragnienie nie zniknęło. Wydawało mu się, że jama ustna była pełna grzybów. Lepka i nabrzmięta błona śluzowa, która stawała na drodze wypowiedzanym słowom.

- Ma pan właściwie dość ograniczoną pamięć - powiedział mężczyzna, wciąż nie odwracając się do niego. - Musiał pan mieć wiele przyjaciółek.

- Trochę miałem.

Za każdym razem po jednym słowie. Trochę. Miałem. Udało się.

- Czy ma pan dzieci, Asli?

Język rozluźnił się. Puls zwolnił. Czuł to, słyszał to. Słyszał swoje własne serce, które w coraz wolniejszym tempie uderzało o mostek. Miał swobodniejszy oddech, ucisk w gardle zniknął. Uśmiechając się szeroko, usłyszał siebie, jak mówi:

-Tak.

Ten człowiek nie był gorszy od innych. Był tak zły jak inni. Był jednym z nich. Policjant Stubo stoi tutaj i pokazuje, jaki jest ważny, podczas gdy dziecko, którego szuka, znajduje się piętnaście, a może dziesięć metrów od niego. Facet nie ma o tym pojęcia. Pewnie jeździł z miejsca na miejsce, od domu do domu i zadawał beznadziejne pytania, uważając się za kogoś ważnego i nie mając o niczym żadnego pojęcia. Nazywali to rutyną. W rzeczywistości był to jedynie sposób na zabicie czasu. Na liście, którą pewnie trzymał w kieszeni, musiało widnieć wiele nazwisk. Policjant cały czas wkładał rękę pod kurtkę i przykładł do serca, jakby zastanawiał się, czy mu czegoś nie pokazać.

Był taki sam jak wszyscy inni.

W rysach jego twarzy widział Karsten kobiety i mężczyzn, starych i młodych. Nos, prosty i dosyć duży, przypominał starego nauczyciela, który zabawiał się zamykaniem go w szafie, pełnej pulek medycznych i woreczków z grochem. Trzymał go w niej aż do momentu, gdy z powodu kurzu tracił oddech i zaczynał płakać. Policjant miał włosy zaczesane do tyłu, na ukos, dokładnie tak samo jak instruktor harcerski, ten, który zabrał Karstenowi wszystkie odznaki, gdyż uznał, że chłopiec oszukiwał. W ustach Stubo widział kobiety, wiele kobiet. Pełne wargi, różowoczerwone i pulchne. Dziewczyny. Kobiety. Cipy. A oczy miał niebieskie, podobne do oczu babci.

- Mam syna - odezwał się Karsten i nalał sobie kawę.

Miał teraz opanowane ręce, solidne dłonie z widocznymi żyłami. Karsten poczuł się silny. Palcem potarł



nóż, włożony do drewnianego stojaka dla zabezpieczenia ostrza.

- W tej chwili jest ze swoją matką za granicą. Na wakacjach.

- Aha. Jesteście po ślubie?

Karsten Asli wzruszył ramionami i podniósł kubek do ust. Pierwszy łyk mocnej kawy sprawił mu przyjemność. Smak grzybów zniknął. Język był cienki i ostry.

- Nie. Nie jesteśmy nawet razem. Wie pan...

Zaśmiał się.

Zadzwoiła komórka, należąca do Stubo. Rozmowa nie trwała długo. Policjant zatrzasnął przykrywkę telefonu.

- Muszę już iść - powiedział krótko.

Karsten odprowadził go. Lekkie krople deszczu spadały na trawę. Nocą będzie ponownie zimno. Może mróz. W słabym wietrze odczuwalne było ostre powietrze, które zapowiadało, że przynajmniej tu w górach będzie przymrozek. Do nosa wdarł się zapach nadchodzącego chłodnego lata. Karsten wciągnął głęboko powietrze.

- Nie mogę powiedzieć, że miło było pana tu widzieć - wyznał z uśmiechem. - Ale życzę przyjemnej jazdy do domu.

Stubo otworzył drzwi samochodu i odwrócił się twarzą do niego.

- Chciałbym z panem porozmawiać w mieście - poinformował.

- W mieście? Ma pan na myśli Oslo?

- Tak. Jak najszybciej.

Karsten Asli zastanawiał się. W rękę trzymał kubek. Zajrzał do środka, jakby był zdziwiony, że nic więcej tam nie ma. Po czym podniósł wzrok i zaczął wpatrywać się w Stubo, mówiąc jednocześnie:

- W tym tygodniu nie mogę. Ale może na początku następnego. Nie mogę obiecać. Może ma pan wizytówkę albo coś podobnego?

Stubo nie spuszczał z niego wzroku. Karsten nie zamrugał. Między nimi latała jakaś zdeorientowana mucha. Znad chmur dobiegał dźwięk lecącego samolotu. Mucha wzbiła się do góry.

- Zgłoszę się - powiedział w końcu Stubo. - Niech pan będzie pewny.

Ciemnoniebieskie volvo, podskakując, wyjechało przez otwartą bramę i zaczęło powoli zjeżdżać w dół. Karsten Asli towarzyszył mu wzrokiem aż do skraju lasu, gdzie, jak wiedział, droga się rozdzielała. Nie mógł sobie przypomnieć, czy kiedykolwiek wcześniej widok okolicy był tak piękny, tak czysty jak dzisiaj.

To należało do niego. To było jego miejsce. Na niebie ujrzał smugę kondensacyjną samolotu, lecącego na północ.

Wrócił do domu.

Yngvar Stubo zatrzymał się, kiedy tylko stwierdził, że jest poza polem widzenia Karstena Asli. Trzymał kurczowo kierownicę. Uczucia bliskości dziecka było tak silne, tak wyczuwalne, iż jedynie dwadzieścia pięć lat doświadczenia zawodowego nie pozwoliło mu rozebrać domu na kawałki. Nie istniał paragraf na zrobienie czegoś takiego. Nie miał żadnych podstaw.

Jedynie przeczucie. Ale nie znalazłby ani jednego prawnika w Norwegii, który jedynie na podstawie jego instynktu wydałby nakaz rewizji domu.

- Myśl - powiedział przez zaciśnięte zęby. - Myśl, do cholery.

Podróż do Oslo zajęła mu mniej niż osiemdziesiąt minut. Zatrzymał się przed blokiem, gdzie mieszkała Lena Baardsen. Był 5 czerwca, poniedziałkowy wieczór, właśnie minęło wpół do dziewiątej. Obawiał się, że niewiele czasu mu zostało.

## 54

Aksel Seier stał w pokoju gościnnym przed zniszczonym lustrem. Przygładził włosy. Pachniało pomarańczami. Grzywka została ścięta, a kiedy wolno przesuwiał ręką od tyłu głowy do przodu, krótkie włosy kłuły go w palce. Pani Davis uważała, że przynajmniej raz w życiu jego wygląd powinien wskazywać na to, że pochodzi z cywilizowanego kraju. Przecież wyruszał w daleką podróż do kraju, gdzie ludzie, jak sądziła pani Davis, widzieli w Amerykanach wulgarnych barbarzyńców. Tak zwykle sądzili ci Europejczycy. Czytała o tym w „National Enquirer”. Musiał im pokazać, że był dobrze sytuowanym człowiekiem. Te długie, siwe kudły może były wystarczająco dobre dla Harwichport, teraz jednak miał spotkać zupełnie inny świat. Wprawdzie dość mocno zacięła go w ucho, ale włosy wyglądały na równo obcięte. Cała głowa krótko przystrzyżona. Miała resztkę olejku pomarańczowego, pozostałość po jednym z sześciu zięciów. Podobno był dobry dla skóry głowy. Akselowi nie podobał się cytrusowy zapach. Miał wyjechać dopiero następnego dnia, postanowił więc zmyć cały olejek, zanim wyruszy autobusem do Logan International Airport w Bostonie. Matt Delaware proponował mu podwiezienie do przystanku w Barnstable. To było zrozumiałe, przecież chłopak odkupił trucka i łódkę za śmiesznie niską cenę.

Natomiast dom na Ocean Avenue sprzedany został za milion dwieście tysięcy dolarów.

W takim stanie, w jakim był.

Jedynie godzinę zajęło mu wybranie rzeczy, które chciał wziąć ze sobą. Pani Davis miała przejąć szklane żołnierzyki, które robił przez cztery zimy z rzędu. Ryzyko stłuczenia ich podczas podróży przez ocean było zbyt duże. Wzruszyła się do łez i obiecała, że żadne z jej wnucząt nie będzie się nimi bawiło. Oświadczyła też głośno, że kota będzie kochała jak swego. Matt dziękował z uniżeniem, kiedy Aksel zaoferował mu szachy i ogromną narzutę na łóżko. Warunkiem było wysłanie figury galionowej do Aksela, kiedy ten będzie miał nowy adres w Norwegii.

Figura przypominała Ewę. Jedyna rzecz, która go tak naprawdę obchodziła.

Akselowi nie podobała się jego nowa fryzura. Przez nią wyglądał na starszego. Twarz stała się wyraźniejsza. Zmarszczki, pory i zęby w złym stanie, którymi już dawno powinien się zająć, stały się bardziej widoczne. Zniknęła grzywka, więc twarz była odkryta i bez ochrony. Spróbował ukryć się za starymi okularami w brązowej oprawce. Jednak szkła nie pasowały i zakreśliło mu się w głowie.

Złatwił sprawy w banku. Kwota za sprzedaż domu wyniosła około dziesięciu milionów norweskich koron. Cheryl, której dzieciństwo i młodość upłynęły w Harwichport i która dwa miesiące temu rozpoczęła pracę w banku, uśmiechnęła się szeroko, szepcząc *you lucky son of a gun*, po czym wytłumaczyła mu, w jaki sposób reszta sumy ze sprzedaży zostanie wypłacona

w ciągu sześciu tygodni. Aksel miał skontaktować się z bankiem w Norwegii, założyć konto i cała sprawa zostanie szybko załatwiona, jeśli oczywiście władze nie będą sprawiały kłopotów. Ale z pewnością wszystko pójdzie dobrze, zapewniła, śmiejąc się ponownie.

Dziesięć milionów koron.

Dla Aksela była to astronomiczna suma. Próbował trzymać się myśli, że od dawna nie znał wartości korony, a Norwegia była kosztownym krajem. Tyle zrozumiał ze sporadycznych artykułów, z którymi czasami się stykał. Ale ponad milion dolarów, to ponad milion dolarów, mimo wszystko. Nawet na Beacon Hill w Bostonie mógł sobie kupić za taką sumę jakieś mieszkanko. Przecież w Oslo nie mogło być drożej niż na Beacon Hill.

Pani Davis udała się z nim do Hyannis, żeby kupić nowe ubranie. Nie mógł się od tego wywinąć. Aksel Seier niezupełnie jej ufał i szczególnie spodnie w kratkę z K-mart wydawały mu się niewygodne. Natomiast pani Davis uważała, że kratka i pastelowe kolory sprawiały, iż wyglądał na bogatego, a przecież takim był i basta. Wymamrotał coś o Cape Cod Mail, ale zamrugła oczami i stwierdziła, że tamtejsze sklepy zedrą z niego skórę, zanim jeszcze przekroczy ich próg. To, czego nie znalazłeś w K-mart, nie było warte kupna. Więc teraz miał walizkę pełną ubrań, które mu się nie podobały. Natomiast jego stare koszule flanelowe i dzinsy zarekwirowała pani Davis. Zamierzała je uprać i wszystko razem oddać do Armi Zbawienia.

Musi pamiętać, żeby zadzwonić do Patricka.

Aksel zrobił krok do tyłu. Światło z okna padało na ukos, co sprawiało, że miał problemy z poznaniem

samego siebie w porysowanym lustrze. Nie tylko włosy wydawały mu się obce. Spróbował wyprostować plecy. Jednak coś mu przeszkadzało w karku i ramionach. Zbyt wiele lat chodził ze wzrokiem utkwionym w ziemię. Stał się takim po latach schyłania się nad ciężką pracą, odwracania się od innych i pochylania karku nad precyzyjną pracą modelarską i nad własnymi myślami przez długie wieczory.

Podniósł ponownie głowę. Zakłuło go między łopatkami. Wydawał się teraz szczuplejszy. Zmusił się do tego, by stać wyprostowany. Poglądził lekko brązową marynarkę, zastanawiając się nad tym, czy powinien na podróż założyć krawat. Krawat wzbudza wiele szacunku. Przynajmniej tak twierdziła pani Davis.

Jeśli okaże się, że wystarczy mu pieniędzy, to opłaci Patrickowi podróż przez ocean. Mimo że przyjaciel dobrze zarabiał w okresie letnim, to jednak większość pieniędzy szła na opłacenie karuzeli i przeżycie długich zimowych miesięcy bez zarobków. Patrick nigdy nie odwiedził Irlandii. Mógłby więc przyjechać do Oslo, pobyc tam tydzień albo dwa i - jeśli by chciał - w drodze powrotnej zatrzymać się w Dublinie.

Nagle poczuł napływający strach. Wciąż było dużo do zrobienia przed podróżą. Musiał ruszyć do działania.

I chociaż nigdy nie leciał samolotem, to jednak nie to napelniało go strachem.

Może Ewa nie chciała, żeby przyjechał. Nigdy go przecież o to nie prosiła. Aksel Seier zdjął z siebie nową kurtkę, po czym zaczął pakować szklane żołnierzyki w bibułę, o którą postarała się pani Davis.

Skaleczył się w palec połamaną niebieską figurą. Była to reszta po generale, którego zgmiotła Inger Johanne Vik. Aksel włożył palec do ust. Może wtedy, gdy po prostu zniknął, ta młoda kobieta straciła zainteresowanie nim.

Tak jak teraz nie bał się od 1993 roku, gdy koszmar z zażawionym policjantem z kluczami przestał go prześladować.



**55**

- Był zupełnym wariatem - powiedziała. - Po prostu kompletnie zwariowany.

Mimo że nie było jeszcze tak późno, Lena Baardsen wyglądała na zaniepokojoną, kiedy zadzwonił do jej drzwi. Miała zapłakane oczy, a worki pod oczami przybrały niemal liliową barwę na tle bladej twarzy. W mieszkaniu panowała duszna i przygnębiająca atmosfera, choć Lena Baardsen wyraźnie próbowała utrzymać pewien porządek. Nic mu nie zaproponowała, sama zaś usiadła z dużą szklanką z czymś w środku, co Yngvar uznał za wino. Może zrozumiała, o czym myślał, gdyż podniosła szklankę do góry i odezwała się:

- Zalecenie lekarza. Dwa kieliszki przed snem. Lekarz twierdzi, że lepsze to od środków nasennych. Ale szczerze mówiąc ani to, ani to nie pomaga. Tylko wino lepiej smakuje.

Wypiła resztę jednym haustem.

- Karsten jest czarujący. Przynajmniej był taki. Bardzo szarmancki. Byłam wtedy bardzo młoda. Nie przyzwyczajona do wzbudzania takiego zainteresowania. Po prostu...

Powieki opadły na oczy.

- ...zakochałam się - dokończyła wolno.

Uśmiech miał być prawdopodobnie ironiczny.

A był jedynie pełen smutku, szczególnie kiedy ponownie otworzyła oczy.

- Ale kiedy staliśmy się parą, coś mu się stało. Cholernie zazdrosny. Chciał mnie posiadać. Nigdy mnie nie uderzył, jednak z czasem zaczęłam się go śmiertelnie bać. - Podciągnęła nogi pod siebie i wstrząsnęła się, tak jakby poczuła zimno. W mieszkaniu z pewnością było trzydzieści stopni ciepła. - Szybko się zorientowałam, że ma nie całkiem w porządku z głową. W nocy budził się nawet wtedy, gdy wyszłam do ubikacji. Pojawiał się w łazience, żeby sprawdzić, czy sikam. Tak jakby uważał, że chcę odejść. Nie mieszkaliśmy razem. Tak naprawdę. Ja miałam kawalerkę, a on mieszkał wspólnie z grupą ludzi, których właściwie nie znosił. Przeprowadził się więc częściowo do mnie. Nie pytając. Nie zabrał ze sobą swoich rzeczy, na to nie było u mnie miejsca. Ale jakby przejął mieszkanie. Sprzątał, mył i rządził się. Na punkcie porządku jest zupełnie zwariowany. To znaczy był. Nie znam go przecież teraz. Był okropnie zajęty sobą. Cały czas ja, ja, ja. Ale był przystojny. I bardzo mną zainteresowany, na początku. A ja byłam tak bardzo młoda.

Uśmiechnęła się słabo i przepaszająco.

- Czy wie pani - odezwał się Yngvar, po czym zaczął jeszcze raz: - Czy znała pani jego sytuację rodzinną?

- Sytuację rodzinną? - powtórzyła bezbarwnym głosem. - Na pewno miał matkę. Spotkałam ją dwa razy. Słodka. W jakiś sposób. Niezwykle uległa. Karsten potrafił jej bardzo dokuczać. Choć wyglądało na to, że właściwie ją kochał. Przynajmniej od czasu do czasu. Jediną osobą, której się chyba bał, była jego babcia.

Nigdy *jej* nie spotkałam, ale opowiadał o niej takie rzeczy, że... - Nagle na jej twarzy odbiło się zdumienie.

- Wie pan co, właściwie nie pamiętam, co to było. Nie mam żadnych przykładów. Dziwne. Pamiętam bardzo dobrze, że jej nienawidził. Przynajmniej tak się wydawało. Zaciekle nienawidził.

- A co z ojcem?

- Ojcem? Hm... Wydaje mi się, że nigdy o ojcu nie mówił. W ogóle nie lubił mówić o sobie i swojej sytuacji. O dzieciństwie i podobnych rzeczach. Odniosłam wrażenie, że wychowywały go matka i babka. Myślę, że babka była ze strony matki. Ale nie jestem tego pewna. Tyle już czasu minęło. Karsten był zwariowany. Zrobiłam wszystko, co mogłam, aby o nim zapomnieć.

Złożyła usta w coś, co miało przypominać uśmiech. Yngvar zaczął wpatrywać się w duże zdjęcie, stojące na stoliku. Fotografia Sary w srebrnej ramce. Obok różowa świeca i mała róża w wąskim wazonie.

- Nie potrafię zasnąć - wyszeptała Lena. - Tak boję się zdmuchnąć tę świecę. Chcę, żeby cały czas się paliła. Na zawsze. Tak jakby wszystko było nieprawdą, aż do chwili zgaśnięcia płomienia.

Yngvar nieznacznie skinął głową.

- Wiem - powiedział spokojnym głosem. - Wiem, jak się pani obecnie czuje.

- Nie - odpowiedziała gwałtownie. - Pan nie wie, jak ja się czuję.

Patrząc na jej zapłakaną twarz z nagle pojawiającymi się oznakami gniewu, uznał, że Lena Baardsen poradzi sobie. Choć jeszcze o tym nie wiedziała. Śmierć córki będzie dla niej długo niepojęta. Lena Baardsen trzy-

mała się teraz kurczowo żałoby, zewsząd ją otaczającej. Nieustannie. Jej obecne życie leżało poza wszelką rzeczywistością, która była nie do zniesienia.

I będzie jeszcze gorzej. Aż nadejdzie w końcu czas, gdy będzie możliwy powrót do życia. Pojawi się wtedy ta właściwa żałoba. Ta, która nigdy nie opuści i którą nie można się z nikim podzielić. Ta, która pozwoli jej się śmiać i żyć, a może nawet urodzić więcej dzieci. I która nigdy tak naprawdę nie zniknie.

- Wiem - odezwał się Yngvar. - Naprawdę wiem, jak pani się czuje.

W pokoju było ciepło. Podniósł się i otworzył drzwi, prowadzące na mały balkon.

- Czy on to zrobił?

Yngvar odwrócił się w połowie. Jej głos był tak słaby, że wydawało się, iż wkrótce zniknie zupełnie. Powinien już iść. Lena Baardsen da sobie radę. A on otrzymał odpowiedzi, których potrzebował.

- Czy pamięta pani datę, kiedy ostatni raz go widziała?

- Ja uciekłam - odpowiedziała. - Wyjechałam do Danii. Oddałam mieszkanie, gdy był w pracy. Wszystkie moje rzeczy zniosłam do mamy i wyjechałam na czas nieokreślony. Przez kilka tygodni robił piekło mojej mamie. Po czym uspokoił się. Jak przypuszczam. Czy to on zabił Sarę?

Yngvar tak mocno zacisnął pięści, że paznokcie wbiły się w ręce.

- Nie wiem - powiedział krótko.

Pozostawił drzwi na balkon otwarte i skierował się do wyjścia. W połowie drogi zatrzymał się i ponownie

popatrzył na zdjęcie dziecka. Róża była nieco przywiędła i potrzebowała więcej wody.

Kiedy doszedł do samochodu, odwrócił się i zaczął odliczać siedem pięter. Lena Baardsen stała na balkonie, trzymając na ramionach koc. Nie pomachała mu. Schylił głowę i wsiadł do środka. Kiedy przekręcał kluczyk, włączyło się radio. Gdy zorientował się, że program dotyczył czasów morowej zarazy i jej zniszczeń, mijał już Hovik.

Najchętniej uderzyłby ją w twarz. Turid Sande Oksey nie była dobrym kłamcą. I pewnie z tego powodu ukryła starannie twarz przed mężem, kiedy powtórzyła:

- O żadnym Karstenie Asli nigdy nie słyszałam. Nigdy.

W domu szeregowcu w Baerum panował inny typ żałoby niż w małym mieszkaniu w dzielnicy Torshov. Tutaj mieszkali też żywe dzieci. Na podłodze poniewierały się zabawki i unosił się zapach zjedzonego obiadu. Wprawdzie twarze Turid i Lasse Oksoy naznaczone były małą ilością snu i płaczem, jednak w tym domu życie w jakiś sposób toczyło się dalej. Było to konieczne, bliźniaki miały dopiero dwa lata. Turid Oksoy próbowała się umalować. Yngvar zadzwonił do nich z komórki i zapytał, czy mógłby do nich wpaść, mimo późnej już pory. Tusz do rzęs zdążył już zebrać się w kącikach oczu, niczym czarne placki. Szminka sprawiła, że w jej bladej twarzy usta wyglądały na zbyt duże. Wskazującym palcem rozdrapała odruchowo ranę u nasady nosa. Rana zaczęła krwawić i Turid Oksoy uciekła przed płaczem.

- Słowo honoru - wykrztusiła. - Proszę mi uwierzyć.  
Nigdy nie znałam żadnego Karstena.

Yngvar powinien z nią porozmawiać na osobności.

Odwiedzenie jej w domu było ogromnym błędem. Lasse, jej mąż, nie chciał ze zrozumiałych względów pozostawić jej samej. Jego ręka leżała całym ciężarem na jej ramieniu, nawet wtedy, gdy odwracała się od niego. Yngvar powinien poczekać do jutra i poprosić ją o przybycie do biura. Samą, bez męża. Potrzebował więcej haków, na których mógłby zawiesić Karstena Asli. Potrzebował czegoś więcej niż tylko instynktowna pewność, iż mężczyzna ten jest niebezpieczny. Czegoś, co dałoby podstawę do bardziej szczegółowego śledztwa. Jeśli mógłby udowodnić, że Karsten Asli był jedynym człowiekiem, znającym wszystkie matki, których sprawa dotyczyła, to dzięki swemu doświadczeniu i renomie może dostałby pozwolenie na rewizję. Szczególnie że Asli się tego wypierał. Yngvar mógłby wyjaśnić to Turid Oksoy i spowodować jej przyznanie się do znajomości.

Kobieta bała się potwornie. Yngvar nie mógł zrozumieć powodu. Jej syn nie żył, zabity przez szaleńca, którego ta kobieta chroniła. Yngvar miał ochotę ją uderzyć. W tej chwili największym jego pragnieniem było pochylenie się przez stół, złapanie jej za tę idiotyczną różową bluzkę i uderzenie w twarz. Pragnął wytłuc prawdę z tego chudego ciała. Była brzydka. Miała matowe włosy, makijaż spływał jej po twarzy. Nos za duży, oczy osadzone zbyt blisko siebie. Turid Sande Oksoy przypominała sępa, a on miał ochotę zdrapać z jej twarzy ten okropny makijaż i wyrwać prawdę z tego kurzego mózdzku.

- I tego jest pani absolutnie pewna - zapytał spokojnym tonem i przeczesał palcami włosy.
- Tak - zapewniła i popatrzyła na niego, pocierając kciukiem skórę pod oczami.
- Więc przepraszam za najście - odpowiedział.
- Proszę się nie fatygować. Znajdę drogę do wyjścia.

- Cholera. Cholera!

Yngvar uderzył tak mocno pięścią o drzewo, że ręka zaczęła krwawić. Mięśnie karku spięły się. Drżał. Trudno mu było znaleźć cyfry na komórce. Próbował głębiej oddychać, ale płuca odmówiły posłuszeństwa. Akurat teraz nie był pewien, kto był bardziej przerażony, on sam czy Turid Sande Oksoy.

Oparł się o pień sosny w nadziei, że się rozluźni. W domu, który przed chwilą opuścił, gasły lampy, jedna po drugiej. Na koniec pozostało jedynie przygaszone żółte światło, ledwo widoczne za zasłonami.

- Halo?

-Hej.

- Czy cię obudziłem? -Tak.

Nie przeprosił. Jej głos sprawił, że mógł swobodniej oddychać. Dziesięć minut zabrało mu opowiadanie o tym, co wydarzyło się w ciągu dnia. Czasami powtarzał zdanie, jednak opanował się, próbując zachować spokój. I zachować chronologię wydarzeń. Fakty. Precyzję. W końcu zamilkł. Inger Johanne nie odzywała się.

- Halo?

- Tak, jestem przy telefonie - usłyszał z oddali.

Przycisnął telefon mocniej do ucha.

- Dlaczego? - zapytał. - Dlaczego kłamie?

- To oczywiste - odpowiedziała Inger Johanne.

- Spotykała się pewnie z Karstenem Asli, będąc już żoną Lassego. Nie może być innego powodu. Ale może mówi prawdę. Może faktycznie nigdy tego człowieka nie spotkała.

- Ona kłamie. Ona kłamała. Ja wiem, że kłamie!

Ponownie uderzył pięścią o twardą korę. Po ręce ciekła krew.

- Co mam zrobić? Co do cholery mam teraz zrobić?

- Nic. W dzisiejszą noc nic. Jedź do domu, Yngvar.

Musisz się wyspać. Wiesz o tym. Jutro możesz

spróbować porozmawiać z Turid na osobności.

Możesz poruszyć niebo i ziemię, aby dowiedzieć

się wszystkiego o Karstenie Asli. I może coś

znajdziesz. Coś, co przy odrobinie kreatywności

może dać podstawę do zezwolenia na rewizję.

Jutro. A teraz jedź do domu.

- Masz rację - powiedział krótko. - Zadzwoń do ciebie w ciągu dnia.

- Zrób to - odpowiedziała. - Do usłyszenia.

I odłożyła słuchawkę. Na kilka sekund zamarł ze wzrokiem utkwionym w telefonie. Bolała go prawa ręka. Inger Johanne nie zaproponowała mu, żeby do niej przyjechał. Powłócząc nogami doszedł do samochodu, po czym posłusznie ruszył do domu w dzielnicy Nordstand.



## 56

Nareszcie znalazł trochę jedzenia. W pierwszych trzech miejscach, do których Łazik się włamał, nie miał szczęścia. Natomiast w tym letniskowym domku znalazł w wielu szafkach hermetyczne puszki. Jeszcze niedawno ktoś musiał tutaj być, gdyż w skrzynce leżał zapomniany chleb. Spróbował zeskrobać niebieskobiały nalot. Niewiele z chleba zostało. Zaczął uważnie badać niewielką, ciągnącą się grudkę, po czym włożył ją do ust. Smakowała zgnilizną.

Przed kominkiem leżało równo poukładane drewno na opał. Rozpalenie ognia poszło mu łatwo. Z pokoju miał dobry widok na drogę, jeśli więc ktoś by się pojawił, mógł szybko uciec przez okno na tyłach domu. Od ciepła z paleniska ogarnęła go senność. Najpierw jednak chciał więcej zjeść, może trochę zupy. To było najprostsze. A potem chciał pospać. Minęła czwarta nad ranem, wkrótce będzie całkiem jasno. Musiał jednak przygotować trochę jedzenia. I zapalić. Na kominku leżała do połowy pełna paczka marlboro. Oderwał filtr, zapalił i głęboko wciągnął dym. I tak nie położy się spać, zanim nie zgaśnie w kominku.

Zupa pomidorowa z makaronem. Dobra.

W kranie była woda. Porządny domek. Zawsze chciał mieć taki domek letniskowy. Miejsce, gdzie mógłby znaleźć zupełny spokój. Nie tak jak w bloku na Rykkinnie,

gdzie sąsiedzi byli od razu źli, kiedy w jakąś sobotę zapomniiał wmyć schody. Zawsze czuł się obserwowany, chociaż nigdy nie wpuszczał nikogo do mieszkania. W takim miejscu, jak tutaj, byłoby zupełnie inaczej. Jeśli będzie dalej szedł w głąb lasów, może znajdzie podobne miejsce, w którym mógłby mieszkać sam przez całe lato. W lecie właściciele takich domków wyjeżdżali nad morze. Potem mógłby uciec do Szwecji. Jesienią. Ojciec uciekł w czasie wojny do Szwecji. Dostał nawet medal za to wszystko, co zrobił.

A na pewno nie dopuści, żeby go ponownie złapała policja.

Papieros smakował cholernie dobrze. Najlepszy, jakiego kiedykolwiek palił. Świeży i dobry. Kiedy skończył jedzenie, wypalił jeszcze jednego. Później wyjął pozostałe papierosy z paczki i policzył. Jedenaście. Musiał oszczędzać.

Policja miała go za idiotę. Kiedy go aresztowali, rozmawiali ze sobą tak, jakby był głuchy albo co. Ludzie tak zwykle postępowali. Większość sądziła, że nie słyszy.

Ten facet, który porywał dzieci, był całkiem inteligentny. Kartki były inteligentne. *Dostajesz to, na co zasługujesz*. Dwaj policjanci, którzy stali koło niego, właśnie o tym rozmawiali. Tak jakby był idiotą bez uszu. Nauczył się tekstu od razu. *Dostajesz to, na co zasługujesz*. Świetnie. Znakomicie. Inni ponosili winę. Nie był jednak pewny, kto na to zasługiwał. Ale byli to inni, a nie on. Facet, który porywał dzieci, był z pewnością sprytny.

Łazik był już wcześniej aresztowany.

Zawsze traktowali go jak śmiecia.

Kiedy dzieciaki latały nago po plaży, nie mogły oczekiwać czegoś innego. Popisywały się. Szczególnie dziewczynki. Kręciły się i wierciły. Pokazywały to, co było do patrzenia. Ale to na niego zrzucano zawsze winę. Dlatego Internet był lepszy. Biuro Socjalne zapłaciło za komputer. Zafundowało też odpowiedni kurs.

Niebezpieczne były helikoptery.

Był w dalszym ciągu za blisko Oslo i cały czas sły-  
szał helikoptery. A ponieważ jasno było jeszcze późnym  
wieczorem i wcześniej rano, mógł poruszać się jedynie  
w środku nocy. Szedł zbyt wolno. Wiedział, że powinien  
znajdować się dużo dalej od Oslo. Myślał o ukradzeniu  
samochodu. Potrafił włączyć zapłon bez kluczyka (była  
to pierwsza rzecz, jakiej się w życiu nauczył). Policja  
brała go za idiotę, a włączenie zapłonu bez kluczyka za-  
bierało mu tylko trzy minuty. No, może nie te najnow-  
sze samochody, mające zabezpieczenia. Te pozostawi  
w spokoju. Może przecież znaleźć starszy model. Mógłby  
wtedy przejechać dobry kawałek drogi. W kierunku  
północnym. Kierunek, którego łatwo się było trzymać.  
W ciągu dnia wystarczyło patrzeć na słońce. Natomiast  
w nocy wiedział, jak znaleźć Gwiazdę Polarną.

Ogarnęła go senność po jedzeniu. Od kominka było  
ciepło. Zanim nie wygaśnie ogień, nie wolno mu zasnąć.  
Nie obchodziło go niebezpieczeństwo pożaru. Ale ktoś  
na widok dymu mógłby zjawić się tutaj, dlatego musiał  
czuwać. Być przygotowanym.

- Bądź gotów - zamruczał i zasnął.

## 57

Karsten Asli usilnie próbował przekonać siebie, że nie musi się niczego obawiać.

- Zwykła rutyna - powiedział przez zaciśnięte zęby i omal nie upadł. - Rutyna. Ru-ty-na. Ru-ty-na.

Addidasy były przemoczone, do oczu spływał pot. Spróbował zetrzeć go z czoła rękawem swetra, który był jednak zbyt wilgotny od rosy na mijanych przez niego krzakach.

Yngvar Stubo nie mógł nic zobaczyć. Nic usłyszeć. W ogóle nie mógł zauważyć nic, co mogłoby wzbudzić podejrzenia. Cholera jasna, facet sam przecież powiedział, że przyjechał tutaj, ponieważ chciał rutynowo sprawdzić wszystkich, którzy mieli styczność z rodzinami ofiar. Oczywiście, że była to rutyna. Policja wiedziała już przecież, kogo szuka. Gazety nie pisały o niczym innym. Wielkie polowanie.

Karsten Asli przyspieszył kroku. Był bardzo bliski utraty kontroli. Yngvar Stubo był przebiegły. Mimo że nie potrafił tak dobrze kłamać, jak policja powinna to robić według wyobrażeń Karstena, to jednak był przebiegły. Turid była tamtym razem przerażona. Śmiertelnie się bała, że Lasse mógłby się dowiedzieć. Bała się teściowej. Bała się wszystkiego. Kiedy Yngvar twierdził, że Turid oświadczyła, iż się znają, to kłamał. Mimo to Karsten mógł wtedy stracić kontrolę.

Yngvar Stubo nigdy nie powinien się pytać, czy ma dzieci.

Karsten czuł aż do tego momentu, że tonie. Ale pytanie policjanta o dziecko zjawilo się niczym koło ratunkowe. Morze uspokoiło się. Na horyzoncie pojawil się ląd.

Dziecko. Chłopiec. Syn Karstena. 19 czerwca miałby trzy lata. W tym dniu nastąpi zakończenie akcji. Gdyż nic na tym świecie nie jest przypadkowe.

Strumień, jak zwykle wiosną, zamienił się w małą rzekę.

Zatrzymał się, żeby nabrać powietrza. Zrzucił z siebie plecak i wyjął pudełko z potasem. Wcześniej przelożył do małej plastikowej torebki kilka gramów substancji, ilość wystarczającą do przeprowadzenia ostatniego zadania. Oczywiście wszystko to robil poza domem. Wiedzial dobrze, że nawet najmniejszy ślad potasu mógł być dowodem przeciwko niemu. I nie chodziło o to, że istniała realna możliwość, iż policja miałaby to sprawdzić. Mimo to Karsten zachowywał dużą ostrożność. Całą drogę. Nigdy nie otworzył pudełka w domu.

Proszek zmieszał się z wodą. Mleczna woda. Polała się w dół, coraz cieńszą strugą, wodnistą i przezroczystą. I wreszcie, półtora metra dalej od miejsca, gdzie stał, nie pozostało żadnego śladu. Uderzył ostrożnie pudełkiem o kamień. Potem rozpalil małe ognisko. W plecaku miał zabrane suche wióry. Kartonowe pudełko nie chciało się dobrze palić, dopiero gdy podarł całą gazetę i wlożył do ogniska, rozpalilo się na dobre. Na koniec zdeptał wszystko butami.

Potas kupił w Niemczech siedem miesięcy temu. Dla bezpieczeństwa przez trzy tygodnie hodował brodę i dopiero potem udał się do apteki na przedmieściach Hamburga. Broda została zgolona tego samego wieczora w jakimś tanim motelu, po czym wrócił do domu promem z Kilonii.

Teraz po potasie nie został żaden ślad. Oprócz tej minimalnej ilości, której będzie potrzebował 19 czerwca.

Karsten Asli poczuł ulgę. Do domu przybiegł zaledwie w piętnaście minut.

Kiedy rozciągał mięśnie na schodach przed domem, pomyślał nagle, że przez wiele dni nie widział Emilii. Wczoraj, przed pojawieniem się Stubo, postanowił, że zanieś jej ostatni posiłek. Musiała zniknąć. Nie zdecydował się jeszcze, w jaki sposób to zrobi. Po wizycie policjanta musi być jeszcze bardziej ostrożny. Emilia poczeka. Przynajmniej kilka dni. Miała na dole wodę, a i tak nic nie jadła. Nie było żadnego powodu, aby schodzić do piwnicy.

Zupełnie żadnego powodu. Uśmiechnął się i zaczął szykować do pracy.

Mężczyzna zniknął. Nie istniał.

Chciało jej się cały czas pić. W kranie miała wodę. Spróbowała się podnieść. Miała teraz takie cienkie nogi. Spróbowała iść. Nie mogła, mimo że trzymała się ściany.

Mężczyzna zniknął. Może tata go zabił. Pewnie tata go znalazł i pokroił na kawałki. Ale tata nie wiedział, że ona była tutaj. Nigdy jej nie znajdzie.

Pragnienie było okropne. Emilia podczołgała się do umywalki. Po czym oparła się o ścianę i odkręciła kran. Majtki spadły na łydki. To były majtki chłopięce, mimo zaszytego rozporka. Wypiła.

Złożone ubranie wciąż leżało koło łóżka. Niepewnym krokiem wróciła do łóżka, ledwo trzymając się na nogach. Majtki zostały przy umywalce. Żołądek był jedną wielką dziurą, nie odczuwającą głodu. Później założyła na siebie własne ubranie. To było jej ubranie i chciała je mieć na sobie. Ale najpierw musi się wyspać.

Najlepiej było spać.

Tata pokroił mężczyznę na kawałki i wrzucił do morza.

W dalszym ciągu chciało jej się okropnie pić.

A może tata też nie żył. Przecież nie przyszedł po nią.

## 58

Pierwszą myślą, która przyszła Inger Johanne do głowy było, że to on był zbędną osobą.

Już po wprowadzających frazach rzucało się to po prostu w oczy. Geir Kongsbakken nie miał przyciągającej osobowości i czarującego wyglądu. Wprawdzie nigdy nie spotkała brata ani ojca, to jednak miała jasne wyobrażenie o tym, że obaj byli mężczyznami, którzy fascynowali ludzi przebywających w ich pobliżu. Na dobre lub na złe. Asbjorn Revheim był aroganckim prowokatorem i wielkim artystą. Niezwykle wyrazisty i przekraczający granice człowiek, który doprowadził się do samobójstwa. Natomiast Astor Kongsbakken wciąż żył w aurze anegdot o swym zaangażowaniu i przenikliwym umyśle. Jego najstarszy syn, Geir, prowadził niewielką kancelarię adwokacką na ulicy Øvre Slottsgate w centrum Oslo. Jednoosobowe biuro, o którym Inger Johanne nigdy nie słyszała. Ściany wyłożone drewnianymi panelami. Regały na książki, brązowe i ciężkie. Mężczyzna, siedzący za olbrzymim biurkiem, był także ciężki, chociaż nie gruby. Wydawał się człowiekiem bez wyraźnych kształtów i nie budzącym zainteresowania. Rzadkie włosy. Biała koszula. Nudne okulary. Monotonny głos. Był jakby złożony z części, których pozostali członkowie rodziny nie chcieli.



- A w czym mógłbym szanownej pani pomóc? - zapytał, uśmiechając się.

- Ja... - Inger Johanne chrząknęła i zaczęła od początku. - Czy pamięta pan sprawę Hedvig?

Zaczął się zastanawiać. Przymknął do połowy oczy powiekami.

- Nie - powiedział przeciągłym głosem. - Czy powinienem pamiętać? Czy mogłaby mi pani podać więcej szczegółów?

- Sprawa Hedvig - powtórzyła. - Z 1956 roku.

Jednak w dalszym ciągu wyglądał na lekko dezorientowanego. Było to zastanawiające. Kiedy wspomniała o sprawie swojej matce, zupełnie *en passant*, bez wgłębiania się w sprawę, była zaskoczona, jak wiele szczegółów z zabójstwa małej Hedvig matka pamiętała.

- A! - Podniósł nieznacznie brodę do góry. - Wstrząsająca sprawa. To chodzi o tę małą dziewczynkę, zgwałconą, zamordowaną i znaną później w worku? Zgadza się?

- Właśnie.

- Ach, tak. Pamiętam. Byłem w tamtym czasie bardzo młody. W 1956 roku? Nie miałem wtedy więcej niż osiemnaście lat. W tym wieku człowiek nie czyta gazet zbyt chętnie. - Uśmiechnął się, jakby chciał przeprosić za swój brak zainteresowania.

- Może nie - odezwała się Inger Johanne. - To zależy od sytuacji. Pana ojciec był oskarżycielem w tej sprawie, więc przypuszczam, że powinien pan ją dobrze pamiętać.

- Proszę posłuchać - zaczął Geir Kongsbakken i potarł dłonią czoło. - W 1956 roku miałem osiemnaście

lat. Byłem w ostatniej klasie licealnej. Byłem więc zajęty zupełnie innymi rzeczami niż praca mojego ojca. I mówiąc szczerze, nasze stosunki nie należały do najbardziej serdecznych. Właściwie nie rozumiem, w jaki sposób ta sprawa dotyczy pani. W jakim celu pani pyta? Rzucił wzrokiem na zegarek.

- Powiem wprost - wtrąciła szybko. - Mam podstawy, aby sądzić, że pański brat...

Okazało się jednak, że powiedzenie wprost nie było takie łatwe, jak początkowo myślała. Założyła nogę na nogę i zaczęła od początku.

- Sądzę, że Asbjorn Revheim ma w jakiś sposób związek ze śmiercią Hedvig.

Na czole Geira Kongsbakkena pojawiły się trzy głębokie zmarszczki. Inger Johanne z uwagą przyglądała się jego twarzy. Nawet z wyrazem zdumienia wydawała się zadziwiająco neutralna. Miała wątpliwości, czy byłaby w stanie rozpoznać go na ulicy, gdyby spotkała go później przypadkowo.

- Asbjorn - odezwał się, poprawiając krawat. - Skąd, na miłość Boską, przyszło to pani do głowy? W 1956 roku? Mój Boże, miał wtedy... szesnaście lat. Szesnaście! A poza tym Asbjorn nigdy nie mógłby...

- Czy pamięta pan Andersa Mohauga? - przerwała mu.

- Oczywiście, że pamiętam Andersa - odpowiedział, wyraźnie zirytowany. - Imbecyl. Może nie jest politycznie poprawne używanie takiego określenia w obecnych czasach, ale wtedy tak go nazywano. W tamtych czasach. Oczywiście, że pamiętam Andersa. W pewnym okresie przebywał bardzo często z moim bratem. Dlaczego pani o to pyta?

- W 1965 roku matka Andersa, Agnes Mohaug, zjawiła się na policji. Zaraz po śmierci Andersa. Jedyne, co wiem, to informacja o tym, że Agnes Mohaug uważała, iż w 1956 roku jej syn zamordował Hedvig. Przez wiele lat chroniła swego syna, ale kiedy nie mógł już być sądzony, chciała przynajmniej ulżyć swemu sumieniu.

Geir Kongsbakken wyglądał teraz rzeczywiście na dezorientowanego. Odpiął kołnierzyk i pochylił się nad biurkiem.

- Aha - powiedział wolno. - Ale co to ma wspólnego z moim bratem? Czy pani Mohaug twierdziła, że Asbjorn jest zamieszany w sprawę?

- Nie. Raczej nie. Przynajmniej ja o tym nie wiem. W ogóle wiem bardzo niewiele o tym, co mówiła i...

Przerwał jej, parszkając i kręcąc gwałtownie głową.

- Czy pani zdaje sobie sprawę, co robi? Ten zarzut, z którym pani tu występuje, jest tak ciężką potwarzą i...

- Ja nikomu nic nie zarzucam - powiedziała spokojnym głosem. - Przyszłam tutaj, żeby zadać panu kilka pytań i prosić o pomoc. A ponieważ umówiłam spotkanie w normalny sposób, jestem oczywiście gotowa za nie zapłacić.

- Zapłacić? Zamierza pani zapłacić za to, że przychodzi tutaj z zarzutami wobec osoby z mojej najbliższej rodziny, która już nie żyje i nie jest w stanie się obronić? Zapłacić!

- Czy nie byłoby lepiej wysłuchać tego, co mam do powiedzenia? - odpowiedziała.

- Dziękuję, usłyszałem więcej niż trzeba.

Wokół nozdrzy zarysowały się białe koła. W dalszym ciągu miał przyspieszony oddech. Mimo to wzbu-

dziła w tym człowieku pewien rodzaj zainteresowania. Dostrzegła to w jego oczach, które teraz wyrażały czujność. Miał ostrzejszy wzrok niż na początku rozmowy. Nie patrząc na nią zbyt uważnie, poprosił o zajęcie miejsca.

- Anders Mohaug nie był w stanie działać samodzielnie - stwierdziła zdecydowanym głosem. - Według informacji, które uzyskałam o nim, miałby problemy z przyjechaniem do Oslo bez czyjejs pomocy. Pan doskonale wie, że był wciągany w dosyć nieciekawe sytuacje. Przez pana brata.

- Nieciekawe sytuacje? Czy pani zdaje sobie sprawę z tego, co mówi? - Na biurko opadł deszcz śliny. - Asbjorn był dla Andersa miły. Miły! Inni omijali tego goryla niczym zarazę! Asbjorn był jedynym, który zabierał go na cokolwiek!

- Na przykład na obcinanie kotu głowy w proteście przeciwko monarchii?

Geir Kongsbakken wznosił oczy do góry.

- Kot. Tylko kot! Oczywiście maltretowanie biednego zwierzaka nie było czymś dobrym i za to został za równo aresztowany, jak i otrzymał grzywnę. Swoją karę otrzymał. Asbjorn po tamtym epizodzie nigdy nikomu nie wyrządził krzywdy. Asbjorn był...

Wydawało się, jakby z tego szarego adwokata uleciało całe powietrze. Zapadł się w sobie i Inger Johanne miała wrażenie, iż jego oczy stały się wilgotne.

- Może to trudne do zrozumienia - powiedział, wstając sztywno - ale ja naprawdę kochałem brata.

Stał przy regale z książkami. Przebiegł palcami po sześciu oprawionych w skórę tomach.

- Nigdy nie czytałem tego, co napisał - powiedział cichym głosem. - To było zbyt bolesne. Sposób, w jaki ludzie o tym mówili. Mimo to otrzymałem oprowione pierwsze wydania. Piękne do patrzenia, nieprawdaż? Piękne na zewnątrz i, jak zrozumiałem, brzydkie we wnętrzu.

- Nie powiedziałabym tego - stwierdziła Inger Johanne. - Kiedy je czytałam, znaczyły dla mnie bardzo wiele. Szczególnie *Zimna gorączka*. Mimo że przekroczył wszelkie granice i...

- Asbjorn był lojalny wobec tego, w co wierzył - przerwał jej.

Właściwie mówił jakby do samego siebie. W rękę miał jedną z książek. Była duża i ciężka. Inger Johanne pomyślała, że mogła to być powieść *Zatopione miasto, wzburzone morze*. W świetle wiszącej lampy błyszczał złocony brzeg. Skórzana oprawa była ciemna, niczym polerowane drewno.

- Problem zaczął się wtedy, gdy stracił to, w co wierzył - odezwał się. - Nie istniało nic więcej, w stosunku do czego mógł być lojalny. Nie mógł tego dłużej wytrzymać. Ale przedtem... - Niemal załkał i wyprostował plecy. - Asbjorn nigdy nie skrzywdziłby drugiego człowieka. Na pewno nie fizycznie. Nigdy. Ani jako szesna stolatek ani później. Gwarantuję.

Odwrócił się do niej. Broda wyskoczyła wyraźnie do przodu. Zaczął się w nią wpatrywać, prawą rękę trzymając płasko na książce, jakby to była Biblia, na którą przysięgał.

*Czy dobrze znamy naszych najbliższych?* pomyślała Inger Johanne. *Mówisz prawdę. Wiesz, że Asbjorn nie*

*mógł nikogo skrzywdzić. Ponieważ kochałeś go. Ponieważ był twoim jedynym bratem. Myślisz, że wiesz. Wiesz, że wiesz. Aleja nie wiem. Nie znalazłam go. Czytałam jedynie to, co napisał. Wszyscy jesteśmy złożeni z różnych ludzi. Asbjorn mógł być mordercą, mimo że nigdy nie chciałbyś tego dostrzec.*

- Chciałabym bardzo porozmawiać z pana ojcem

- odezwała się.

Geir Kongsbakken włożył książkę z powrotem na miejsce.

- Proszę bardzo - powiedział bez specjalnego zainteresowania. - Ale musi pani pojechać na Korsykę. Wątpię, czy kiedykolwiek jeszcze przyjedzie do kraju. Ostatnio źle się czuje.

- Dzwoniłam do niego wczoraj.

- Dzwoniła pani? Z tymi nonsensami? Czy zdaje sobie pani sprawę, ile on ma lat?

Ponownie wokół nozdrzy pojawiły się białe koła.

- Nie mówiłam nic o Asbjornie - powiedziała szybko Inger Johanne. - Właściwie niewiele zdążyłam powiedzieć. Był zły, wściekły, mówiąc szczerze.

- To zrozumiałe - zamruczał Geir Kongsbakken i spojrzał na zegarek.

Inger Johanne zauważyła, że nie nosi obrączki. Nie było też żadnych fotografii w tym brunatnym biurze. Pokój był pozbawiony wszelkich osobistych przedmiotów, oprócz książek zmarłego brata, pisarza, którego zachowano w pamięci poprzez kosztownie oprawione, ale nigdy nieczytane utwory.

- Myślałam, że może pan by z nim porozmawiał

- odezwała się. - Wyjaśnił, że moim celem nie jest

wyrządzenie komukolwiek krzywdy. Chciałabym się po prostu dowiedzieć, co się wtedy naprawdę wydarzyło.

- Co pani ma na myśli, mówiąc „co się naprawdę wydarzyło”? O ile pamiętam, jakiś człowiek został skazany za zamordowanie Hedvig. Skazany przez ławę przysięgłych. Chyba w oczywisty sposób widać, co się stało! Ten człowiek był winny.

- Nie sądzę - odezwała się. - I gdybym mogła skorzystać z tych dziesięciu minut, które zostały z mojej pół godziny, mogłabym to wyjaśnić.

- Pani nie ma tych dziesięciu minut - przerwał zdecydowanym głosem. - Uważam naszą rozmowę za skończoną. Proszę już iść.

Chwytał jakiś dokument i zaczął czytać, jakby Inger Johanne opuściła już pokój.

- Człowiek został niewinnie skazany - powiedziała.

- Nazywa się Aksel Seier. Stracił wszystko. Powinno to pana, choćby jako adwokata, martwić. Jako prawnika.

Nie podnosząc wzroku znad dokumentu, powiedział:

- Swoimi spekulacjami może pani wyrządzić niepowetowane szkody. Proszę już iść.

- Kogo mogę skrzywdzić? Asbjorn nie żyje. Już od siedemnastu lat.

- Proszę iść.

Nie pozostawało jej nic innego, jak tylko wykonać jego polecenie. Bez słowa wstała i skierowała się do drzwi.

- Nie musi pani płacić - powiedział twardym głosem. - I proszę tu więcej nie przychodzić.

W Oslo wiał ciepły wiatr. Inger Johanne przez chwilę stała, wahając się, przed biurem Geira Kongsbakkena, po czym postanowiła pójść do pracy piechotą. Zdjęła żakiet i dopiero teraz zauważyła, że spociła się pod pachami.

Ta sprawa powinna być wyjaśniona wiele lat wcześniej. Teraz było już za późno. Ogarnęło ją zniechęcenie. Ktoś powinien oczyścić Aksela Seiera z zarzutów, kiedy było to jeszcze możliwe. Kiedy żyli jeszcze ci, którzy mieli ze sprawą do czynienia. Kiedy ludzie jeszcze pamiętali. Natomiast teraz gdziekolwiek próbowała, uderzała głową w mur.

Właściwie miała już dość tej sprawy. I w końcu Aksel Seier sam odrzucił jej propozycję. Myśl o Alvhild Sofienberg wywołała ukłucie pod mostkiem, ale szybko zagłuszyła pojawiające się wyrzuty sumienia. Nie miała żadnych zobowiązań ani w stosunku do Aksela, ani do Alvhild.

Śmiało mogła powiedzieć, że dała z siebie więcej, niż można było od niej oczekiwać.



## 59

- I to wszystko, co mamy - odezwał się Yngvar Stubo z niezadowoleniem.

-No.

Sigmund Berli wciągnął powietrze przez zapchany nos i wytarł go rękawem.

- Obawiam się, że niewiele. Czysta kartoteka. Jeśli kiedykolwiek było na niego jakieś doniesienie, to musiało to być dawno temu. Nie ma żadnych dyplomów z uniwersytetu ani tutaj, ani w innym miejscu w Norwegii, więc wykształcenie, którym tak się chwalił, musiało być zdobyte za granicą albo...

- Niedokończone studia. Miała rację.

-Kto?

- Nieważne.

Sigmund ponownie wciągnął powietrze i wyciągnął z ciasnej kieszeni dżinsów papierową chusteczkę.

- Przeziębienie - wymamrotał. - Porządne. Karsten Asli bardzo często się przeprowadzał, przynajmniej to mogę z całą pewnością powiedzieć. Nic dziwnego, że zaczął w końcu olewać zgłaszanie przeprowadzki do ewidencji. Niezły wagabunda. Aha, ma też certyfikat na prowadzenie taksówek. W Oslo. Jeśli można to nazwać wykształceniem.

- Raczej nie. A co to jest?

Yngvar wskazał palcem na żółtą karteczkę post-it.

-Co?

Sigmund pochylił się nad biurkiem.

- Kilka lat temu zrobił kurs na kierowcę karetki pogotowia. Mówiłeś, że miałem wszystko zbadać.

- A co z chłopcem?

Yngvar z trudem ściągał celofan z nowego pudełka cygar.

- Pracuję nad tym. Ale dlaczego mielibyśmy wątpić, że facet mówi prawdę? Czy istnieje jakikolwiek powód, żeby mógł przypisać sobie posiadanie syna?

Yngvar ostrożnie wsunął cygaro do srebrnego etui i schował do kieszonki koszuli.

- Nie sądzę, żeby kłamał - odezwał się. - Chcę tylko wiedzieć, jak częsty kontakt ma z chłopcem. Jego dom nie wskazywał na to, żeby mieszkało tam regularnie dziecko. A co z Tromso? Czy był tam?

Sigmund spoglądał na pudełko z jasnego drewna balsa.

- Proszę bardzo - Yngvar kiwnął głową.

- Najlepiej byłoby spytać Karstena Asli. Sprawdziłem wszystkie listy i nie był na pokładzie żadnego samolotu, lecącego tam w interesującym nas czasie. Przynajmniej nie pod swoim nazwiskiem. Dostałem kopię jego paszportowego zdjęcia. Zostało wysłane do Tromso. I zobaczymy, co ten profesor powie. Prawdopodobnie nic. Utrzymuje, że nie widział dobrze twarzy. To całe śledztwo... - Nakreślił w powietrzu cudzysłów i poczęstował się cygarem. - Nie będzie specjalnie proste, chociażby z tego powodu, że Karsten Asli nie powinien się o tym dowiedzieć. Czy nie możemy go po prostu

wezwać na normalne przesłuchanie? O Boże, przecież tak postępujemy z każdym człowiekiem.

- Karsten Asli nie jest każdym człowiekiem - przerwał Yngvar. - Jeśli mam rację, to więzi dziecko w nieznanym nam miejscu. Nie chcę, żeby ten człowiek miał choćby najmniejszą podstawę do podejrzeń, że go rozpracowujemy.

Sigmund Berli trzymał cygaro pod nosem.

- Yngvar - odezwał się, nie patrząc komisarzowi w oczy.

-No?

- Czy było coś innego, coś innego niż to... Czy było coś bardziej konkretnego, coś więcej niż...

- Nie. Jedynie przecucie. Bardzo silne przecucie.

W pokoju zapanowało milczenie. Z korytarza dochodziły szybkie kroki, gdzieś zadzwonił telefon. Ktoś podniósł słuchawkę. W pobliżu drzwi rozległ się kobiecy śmiech. Yngvar wpatrywał się w cygaro Sigmunda, wciąż tkwiące między nosem a górną wargą.

- Intuicja nie jest niczym innym niż przetworzeniem przez podświadomość znanych faktów - powiedział w końcu, zanim pomyślał, skąd wziął ten cytat. Pochylił się nagle nad stołem. - Ten facet był przerażony - powiedział przez zaciśnięte zęby. - Kiedy się tam pojawiłem, był całkowicie ogłuszony. Byłem o tak... - Pokazał centymetr odległości między palcem wskazującym a kciukiem. - Tak blisko, aby doprowadzić go do załamań. I nagle coś się stało. Nie wiem co, ale on...

Yngvar powoli usiadł z powrotem na krześle.

- Zapanował nagle nad sytuacją. Nie wiem w jaki sposób i dlaczego. Jedynie co wiem, to że zachowywał się

w sposób, który... Do cholery, Sigmund! Ze wszystkich ludzi tutaj przynajmniej ty powinieneś mieć zaufanie do mojej intuicji. To dziecko jest tam! Karsten Asli więzi Emilię, a my kręcimy się z helikopterem i Bóg raczy wiedzieć jaką ilością ludzi i samochodów w poszukiwaniu niedorozwiniętego głupka na wyprawie w lesie! Sigmund uśmiechnął się prawie nieśmiało.

- Ale nie jesteś zupełnie pewien - odezwał się. - Do tego możesz się przyznać. Nie możesz być absolutnie pewny. To jest niemożliwe.
- Nie - przyznał Yngvar. - Oczywiście, nie mogę być absolutnie pewien. Ale znajdź coś więcej na temat syna. Proszę cię.

Sigmund skinął nieznacznie głowę i wyszedł. Pozostało po nim cygaro. Yngvar podniósł je i przyjrzał mu się uważnie. Po czym wyrzucił do kosza i przypomniał sobie, że musi zadzwonić do hydraulika w Lillestrom. Nie było żadnych podstaw do zakłócania spokoju Cato Syllingowi niepotrzebnym przyjazdem do Oslo.

Turid Sande Oksoy nie dała jeszcze żadnego znaku życia, mimo że dzwonił do niej trzy razy i nagrał wiadomość na sekretarce.

Aksel Seier siedział w Theatercafeen i przyglądał się z uwagą kunsztownie przygotowanemu sandwiczowi, postawionemu przed nim przez kelnera. Zupełnie zapomniał, że sandwich nie był kanapką i nie był pewien, jak ma to jeść. Rozejrzył się ukradkiem. Przy sąsiednim stoliku starsza kobieta jadła widelcem i nożem, mimo że jej sandwich nie był aż tak wysoki jak jego. Z wahaniem wziął do ręki sztucce. Na talerzyk upadł pomidor. Ostrożnie wyjął spod kawałka pasztetu liść sałaty. Nie lubił sałaty. Sandwich dobrze smakował. Również piwo. Pił zachłannie, po czym zamówił jeszcze jedną szklankę.

- Z przyjemnością - powiedział kelner.

Aksel Seier próbował się odprężyć. Przyłożył rękę do kieszeni na piersiach. Do tej pory skorzystał z karty kredytowej dwa razy. Poszło dobrze. Nigdy w swoim życiu nie miał plastikowej karty. Cheryl w bankowej kasie nalegała. Visa i American Express. Uważała, że będzie wtedy bezpieczny. Wiedziała przecież, o czym mówi. Karta Visa miała srebrny kolor. Platynowa, szepnęła Cheryl. *Youre rich, you know!* Zwykle załatwienie wszystkich formalności zajmowało ponad tydzień, jednak Cheryl załatwiła to w niecałe dwa dni.

Wydarzenia potoczyły się tak szybko.

Kręciło mu się od tego wszystkiego w głowie. A do tego nie spał od półtora dnia. Podróż samolotem prze-

biegła szczęśliwie, jednak spanie przy huku silników nie było możliwe. Na Keflavik sądził przez chwilę, że dotarł do celu podróży. Kiedy zaczął rozglądać się za swoim bagażem, jakaś miła pani w mundurze poprowadziła go do następnego stanowiska. Spojrzał na zegarek, wybrany przez panią Davis w Hyannis. Powoli odliczył sześć godzin. Na Cape Cod była teraz dziewiąta rano. Słońce stało wysoko nad zatoką od strony Nantucket Island. Trwał odpływ wody w oceanie. Przy dobrej pogodzie można było dostrzec na horyzoncie ciągnącą się na południowy zachód Monomoy. Dla rybaków dobry dzień. Może Matt Delaware już wypłynął swoją łodzią.

- Czy coś jeszcze?

Aksel pokręcił przecząco głową. Zaczął szukać karty kredytowej, a kiedy ją w końcu wy dostał z wewnętrznej kieszeni, kelnera już nie było. Z pewnością wróci.

Musi spróbować się odprężyć.

Nikt mu się nie przygląda. Nikt go nie rozpoznał.

Tego się najbardziej bał. Tego, że ktoś odkryje, kim on był. Kiedy lądował na Gardermoen, żałował swego kroku. Najbardziej pragnął wsiąść do pierwszego powrotnego samolotu. Cofnąć sprzedaż. Wprowadzić się z powrotem do domu, wrócić do łódki, kota i szklanych żołnierzy. Wszystko wróciłoby na swoje dawne miejsce. Właściwie żyło mu się dobrze. Przynajmniej bezpiecznie, szczególnie od chwili, gdy w marcową noc 1993 roku zniknęły nocne koszmary.

Norwegia zmieniła się.

Ludzie mówili inaczej. Młodzież, siedząca przed nim w autobusie do Oslo, rozmawiała w języku, którego niemal nie rozumiał. Nastąpiła jednak poprawa, jak tylko

zjawił się w Continental. Aksel Seier pamiętał jedynie dwie nazwy lepszych hoteli w Oslo: Grand i Continental. Druga nazwa brzmiała wytworniej od pierwszej. Z pewnością potwornie drogo, ale on miał pieniądze i platynową kartę. Kiedy położył swój amerykański paszport na ladzie w recepcji, kobieta tam pracująca zaczęła do niego mówić po angielsku. Kiedy odpowiedział po norwesku, uśmiechnęła się. Była życzliwa. Wszyscy byli życzliwi, a tutaj, w Theatercafeen kelner rozmawiał z nim tak, jak Aksel Seier pamiętał i rozumiał.

- Czy jest pan przejazdem? - zapytał chudy kelner i położył na stoliku rachunek.

- Tak. Nie. Przejazdem.

- Może zatrzymał się pan tutaj w hotelu? - odezwał się mężczyzna i wziął do ręki kartę. - Pragnę życzyć panu przyjemnego pobytu. Zbliża się prawdziwe lato. Wspaniale.

Aksel Seier chciał teraz pójść do pokoju i kilka godzin pospać. Musi się przyzwycząić do bycia tutaj. Później chciałby wyjść na spacer po mieście. Z nadzieją wieczoru. Chciałby sprawdzić, jak wiele pamięta. Chciałby ponownie poznać Norwegię. Zobaczyć, czy Norwegia rozpoznała jego. Aksel nie wierzył w to. Wszystko było tak dawno temu. Bardzo dawno temu. Jutro odwiedzi Ewę. Ale dopiero jutro. Zanim ją spotka, chciałby poczuć się wypoczęty. Wiedział, że jest chora, i przygotował się na każdą możliwość.

Przed położeniem się zadzwoni do Inger Johanne Vik. Była przecież dopiero trzecia po południu. Na pewno jeszcze pracowała. A może była na niego zła z powodu jego zniknięcia. Z drugiej strony, przyje-

chała aż do USA, żeby się z nim spotkać. Pozostawiła swoją wizytówkę, zarówno w skrzynce pocztowej, jak i w drzwiach wyjściowych.

Powinna być przynajmniej zainteresowana rozmową z nim.



## 61

Inger Johanne miała dziwne uczucie, że jest już piątek. Kiedy o drugiej wyszła z biura pod pozorem udania się do księgarni, musiała kilkakrotnie uświadamiać sobie, że minęło zaledwie kilka dni tygodnia i jest dopiero środa, 7 czerwca. W księgarni Norii znalazła kieszonkowe wydanie *Grzechu pierwotnego, czternastego listopada*, ostatniej z sześciu powieści Asbjorna Revheima. Inger Johanne przypuszczała, że czytała książkę już wcześniej. Po trzydziestu stronach uznała, że się myliła. Była to powieść utopijna i Inger Johanne nie była pewna, czy jej się podoba.

Zbliżały się wiadomości. Włączyła telewizor.

Łazik Sornes został zauważony na drodze krajowej, w kierunku północno-wschodnim od Oslo. Szedł piechotą. Relacje trzech, niezależnych od siebie świadków zgadzały się co do szczegółów, poczynając od ubrania kamuflującego do ręki w gipsie. Zanim jednak ktoś zdążył zatrzymać uciekiniera, zniknął w lesie. Policja otrzymała asystę dwóch fińskich myśliwych polujących na niedźwiedzie. Kanał telewizyjny TV2 miał w okolicy helikopter, natomiast drugi kanał NRK uległ na razie gorącemu apelowi policji, żeby trzymać się ziemi. Ale za to operowali pięcioma różnymi zespołami, które właściwie nie miały zbyt wiele do opowiedzenia.

Gdy przełączała z jednego kanału na drugi, przeszły po niej ciarki.

Zadzwonił telefon. Zanim podniosła słuchawkę, zdążyła ściszyć telewizor. Głos po drugiej stronie był jej nieznanym.

- Czy rozmawiam z Inger Johanne Vik?

- Tak...

- Przepraszam, że dzwonię tak późno. Nazywam się Unni Kongsbakken.

- Tak, słucham.

Przełknęła ślinę i przełożyła słuchawkę z prawej ręki do lewej.

- Pani rozmawiała z moim mężem w poniedziałek, prawda?

- Tak, ja...

- Astor zmarł przed południem - powiedział głos.

Inger Johanne próbowała wyłączyć telewizor, jednak zamiast tego nacisnęła przycisk zwiększający głośność. Redaktor ryczał, że program w całości zostanie poświęcony wielkiemu polowaniu. Trafiła w końcu na właściwy przycisk i nastąpiła cisza.

- Przepraszam - zająknęła się. - Składam kondolencje.

- Dziękuję - odpowiedział głos. - Dzwonię, gdyż bardzo chciałabym panią spotkać.

Głos Unni Kongsbakken był niezwykle spokojny, biorąc pod uwagę fakt, że była wdową od kilku godzin.

- Spotkać mnie... Tak. Oczywiście.

- Mój mąż bardzo był wzburzony po rozmowie z panią. Wczoraj dzwonił syn i opowiedział o pani wizycie w jego biurze. Astor... No cóż. Zmarł dzisiaj, wcześniej rano.

- Bardzo mi przykro, jeśli... To znaczy, nigdy nie miałam zamiaru...
- To nie była dramatyczna śmierć, pani Vik. Proszę się nie obawiać. Astor miał dziewięćdziesiąt dwa lata i bardzo słabe zdrowie.
- Rozumiem. Ale ja...  
Rzeczywiście nie wiedziała, co ma powiedzieć.
- Ja również jestem coraz starsza - stwierdziła Unni Kongsbakken. - Jutro przyjeżdżam z moim mężem do domu. Chciał być pochowany w Norwegii. Byłoby miło z pani strony, jeśli poświęciłaby mi pani trochę czasu i spotkała się ze mną już jutro po południu. Samolot ląduje około dwunastej. Czy mogłybyśmy się spotkać o trzeciej?
- Ale możemy poczekać! Może po pogrzebie?
- Nie. To już długo czekało. Proszę być tak miłą, pani Vik.
- Inger Johanne - odezwała się cicho Inger Johanne.
- O trzeciej, tak? Czy pasuje w Grandzie? Tam można zwykle posiedzieć w spokoju.
- Dobrze. O trzeciej. Grand Cafe.
- Do zobaczenia. Żegnam.

Zanim Inger Johanne zdążyła coś odpowiedzieć, starsza pani odłożyła słuchawkę. Długo siedziała z telefonem w ręku. Niełatwo było odgadnąć, co spowodowało, że oddychała szybko i płytko. Czy były to wyrzuty sumienia, czy ciekawość.

*Czego ty na miłość boską ode mnie chcesz, pomyślała, odkładając słuchawkę. I co już tak długo czekało?*

Nagle poczuła, jak policzki oblewają się rumieńcem.

*Zabiłam Astora Kongsbakkena!*

Yngvar Stubo siedział sam w swoim biurze i czytał po raz drugi maila. Policja w Tromsø uzyskała od May Berit Benonisen jedynie to, że kiedyś znała Karstena Asli, zupełnie powierzchownie, o czym już wcześniej mówiła. Mail był lakoniczny. Widocznie funkcjonariusz nie zrozumiał, jaką wagę miała prośba Yngvara. A przesłuchanie przeprowadzone było telefonicznie.

Tønnes Selbu nigdy nie słyszał o Karstenie Asli.

Turid Sande Oksoy była niedostępna. Kiedy po południu Yngvar w końcu nawiązał kontakt z rodziną, Turid wyjechała właśnie do domku letniskowego. Bez telefonu. W Telemarku, poinformował Lasse ze złością i nieprecyzyjnie, prosząc o pozostawienie ich w spokoju do czasu, gdy policja będzie miała jakieś konkretne fakty.

Sigmund Berli nie dowiedział się niczego o synie Karstena Asli. Yngvar podejrzewał go o niezbyt duży entuzjazm w realizowaniu polecenia. Mimo że Sigmund był jego najbardziej zaufanym kolegą w pracy, to jednak wydawało się, że Yngvar powoli go tracił.

Po tragicznym wypadku wszystko się zmieniło. Po utracie Elisabeth i Trine czuł się naznaczony. Nosił piętno, które wywoływało u innych zażenowanie. Kiedy podczas lunchu siadał do wspólnego stołu, zapadała cisza. Upłynęło wiele miesięcy zanim ktoś w jego obecności zaśmiał się. W pewien sposób był w dalszym ciągu szanowany. Ale jego intuicja, tak wcześniej legendarna i podziwiana, była teraz zredukowana do śmiesznego dziwactwa ciężko doświadczonego i nieszczęśliwego człowieka.

Yngvar nie był nieszczęśliwy.

Zapalił cygaro, delektując się nim.

- Nie jestem nieszczęśliwy - odezwał się półgłosem i wypuścił dym do góry.

Cygaro było zbyt suche. Zgasił je z irytacją.

Jeśli do jutrzejszego dnia, w godzinach pracy, nie będzie miał dostatecznych dowodów na przeprowadzenie rewizji w domu Karstena Asli, zastanowi się, czy nie pojechać tam bez podstawy prawnej. Tam znajdowała się Emilia. Był tego pewien. Może zostanie wyrzucony z pracy. Ale przynajmniej może uratować dziecko.

- Jedyne dobre - pomyślał i opuścił biuro. - Tylko na tyle mogę pozwolić.

## 62

Rozpoznali się natychmiast. Przed laty stała na przystani i machała na pożegnanie. Próbował towarzyszyć jej wzrokiem, kiedy okrywała się ciasniej szalem, prowadząc rower wzdłuż przystani, podczas gdy M/S Sandefjord wypływał w morze. Wiatr targał brzeg spódnicy. Rower był pomalowany na czerwono. Była szczupła i miała niebieskie oczy. A teraz od jedenastu lat leżała w łóżku. Pozbawione życia ręce wyciągnięte były wzdłuż ciała. W chwili, gdy wszedł do jej pokoju, podniosła wolno prawą rękę i wyciągnęła w jego kierunku. W jednym ze swoich listów napisała, że jedynie z woli Boga zachowała czucie właśnie w prawej ręce. Mogła więc wciąż pisać listy. Nogi były sparaliżowane. Lewa ręka nie do użytku.

- Aksel - powiedziała cicho i spokojnie, tak jakby oczekiwała go. - Mój Aksel.

Przysunął do łóżka krzesło. Nieśmiało przesunął ręką po krótko ostrzyżonej głowie, próbując się uśmiechnąć. Kiedy dotknęła jego policzków palcami, poczuł, że były zimne. Kiedyś były ciepłe: suche, żartobliwe i ciepłe. Mimo to były to te same dłonie. Rozpoznał je i zaczął płakać.

- Aksel - odezwała się Ewa. - I pomyśleć, że przyjechałeś do mnie.

## 63

Od poniedziałku Karsten Asli źle spał. W ciągu dnia udawało mu się przekonać samego siebie, że nie było podstaw do zmartwień. Przecież Yngvar Stubo nie pojawił się ponownie. We wsi panowała normalna atmosfera. Nikt go tam o nic nie pytał.

Gorzej było, kiedy przychodziła noc. Mimo że każdego wieczoru przebiegał długie dystanse, nie oszczędzając się, nie mógł zasnąć, przewracając się z boku na bok aż do białego rana. Dzisiaj rano zgłosił, że jest chory. Później żalował. Krążenie po domu było jeszcze gorsze. Nie miał nic do roboty. Plan na 19 czerwca był gotowy. Pozostawało jedynie wykonanie planu.

Mógłby pomalować ścianę od strony zachodniej.

Pojechanie do wsi po farbę było niemożliwe. Ktoś z tartaku mógł go zauważyć. Najlepiej byłoby pojechać do Elverum. Jeśli ktoś mimo wszystko podszedłby do niego, mógłby powiedzieć, że był u lekarza.

To był całkiem niegłupi pomysł. Kiedy usiadł za kierownicą, poczuł się spokojniejszy.

Łazik Sornes znalazł w końcu samochód, który mógł ukraść. Mazda 323, rocznik 1987. Ktoś po prostu zostawił go na jednej z leśnych dróg, częściowo w rowie. Nawet drzwi były otwarte. Łazik uśmiechnął się. W zbiorniku była benzyna. Silnik lekko zakasłał, ale

w końcu wystartował. Na szczęście udało mu się wyjechać na drogę. Musiał zawrócić, gdyż kilkaset metrów w głębi lasu był niewielki zjazd.

Najlepiej byłoby pojechać od razu do Szwecji.

Wszędzie latały helikoptery. Łazik przemieszczał się wolno piechotą, pod osłoną drzew. Właściwie chciał iść tylko nocą, jednak nie przeszedł zbyt dużej odległości. Musiał więc poruszać się i za dnia. Dwukrotnie widział ludzi, gdy był na tyle głupi i szedł główną drogą. Był wtedy tak zmęczony, że łatwiej mu było poruszać się po równym asfalcie. Dlatego wrócił do lasu i ponownie pojawiły się helikoptery. Musiał unikać otwartych przestrzeni. Czasami tracił poczucie kierunku i musiał długo odpoczywać.

W samochodzie było bezpieczniej, jednak najważniejsze to uciec jak najdalej.

Szwecja leżała na wschodzie. Gdy świeciło słońce, nie było trudno zorientować się, w jakim kierunku miał jechać.

W magnetofonie leżała kasetka z muzyką country. Śpiewał razem z zespołem. Wkrótce wjedzie na większą drogę. Opanował go teraz spokój. To, że usiadł za kierownicą sprawiło, iż poczuł się dobrze. Poprzednim razem złamali mu rękę. Teraz z pewnością zabiliby go. Jeśli nie dostanie się do Szwecji. I to zamierzał zrobić. Nie powinno zająć mu to zbyt dużo czasu. Jedyne kilka godzin. Maksymalnie. Gdy był poprzednio w Szwecji, jadł w gospodzie przy drodze „pokusę Janssona”. Najlepsze danie, jakiego kiedykolwiek próbował. A poza tym papierosy były tam tańsze. Przynajmniej tańsze niż w Norwegii. Zwiększył prędkość.



Karsten Asli starał się nie jechać zbyt szybko. Nie chciał zwracać na siebie uwagi. Najlepiej było od pięciu do sześciu kilometrów ponad dozwoloną prędkość. Najbardziej typowo.

Żałował tego wyjazdu.

Prawdopodobnie Bobb widział go, kiedy mijał stację benzynową. Wyglądał na ożywionego, chociaż Karsten udawał, że go nie zauważył. Musiałoby się dużo wydarzyć, żeby Bobb wspomniał o tym komuś z tartaku. Jednak Karstenowi nie bardzo się to wszystko podobało. Po pisemnym ostrzeżeniu w związku z kradzieżą, prawdopodobnie niewiele było trzeba, żeby został z pracy wyrzucony. Pomysł zgłoszenia, że jest chory, a potem wyjazd na zakupy do Elverum, nie wydawał się zbyt mądry. Oczywiście mógłby usprawiedliwić się lekarzem, ale szef mógłby zechcieć to sprawdzić. Szef był draniem i zrobiłby wszystko, żeby się go pozbyć.

Jechał teraz z szybkością stu dziesięciu kilometrów na godzinę. Zaklął, zdejmując nogę z gazu i zwolnił.

Może po prostu powinien zawrócić.

- Podejrzany jedzie ciemnoniebieską mazdą 323  
- poinformował pilot helikoptera głośno i wyraźnie. Głos nabrał niezwykle dramatycznego tonu. - Numer rejestracyjny wciąż nieznany. Czy mamy obserwować? Powtarzam: czy mamy obserwować?

- Z odległości - zatrzeszczało w słuchawkach.  
- Obserwuj z odległości. W drodze są trzy samochody.

- Przyjąłem - odpowiedział pilot i wykonał okrężenie nad wierzchołkami drzew, po czym wzniósł się na siedemset metrów wysokości.

Nie spuszczał wzroku z samochodu.

## 64

Inger Johanne siedziała w Grand Cafe już kwadrans. Bała się tego spotkania i próbowała nie obgryzać paznokci. Jeden z palców już krwawił. Dokładnie o trzeciej w restauracji zjawiała się starsza pani. Zatrzymała ręką kelnera i zaczęła się rozglądać. Inger Johanne nieco się podniosła i pomachała.

Silnie zbudowana i wysoka Unni Kongsbakken podeszła do niej. Ubrana była w tkaną, barwną kurtkę i sięgającą do kostek spódnicę. Kiedy zbliżała się do stołu, Inger Johanne dostrzegła czubki solidnych, czarnych butów.

- Więc to pani jest Inger Johanne Vik. Dzień dobry.

Miała ciężką i suchą rękę. Usiadła. Na pierwszy rzut oka wydawało się niepojęte, że kobieta ta przekroczyła osiemdziesiąt lat. Ruchy pewne, ręce spokojne, kiedy je kładła przed siebie na stole. Dopiero gdy Inger Johanne przyjrzała się bliżej, mogła zobaczyć, że oczy pokrywała blada matowość, pojawiająca się wtedy, gdy człowiek jest już tak stary, iż nic nie jest w stanie go zaskoczyć.

- Jestem bardzo wdzięczna, że zechciała się pani ze mną spotkać - powiedziała Unni Kongsbakken spokojnym głosem.

- Ależ to oczywiste - odpowiedziała Inger Johanne i opróżniła szklankę z wodą. - Czy zamówimy coś do jedzenia?

- Dla mnie tylko filiżanka kawy. Jestem po podróży trochę zmęczona.
- Poproszę dwie kawy - zwróciła się Inger Johanne do kelnera, mając nadzieję, że nie będzie nalegał na zamówienia jedzenia.
- Kim pani jest? - zapytała Unni Kongdbakken. - Zanim opowiem moją historię, chciałabym wiedzieć więcej o pani. Myślę, że Astor i Geir byli trochę... nieprecyzyjni. - Uśmiechnęła się słabo.
- Nazywam się Inger Johanne Vik - zaczęła Inger Johanne. - I jestem naukowcem.

W biurze Yngvara Stubo włączony był telewizor. Sigmund Berli i jedna z pracowniczek stali przy drzwiach i śledzili relację. Yngvar siedział z nogami na biurku i ssał niezapalone cygaro. Dużo godzin zostało do zakończenia dnia pracy. Musi mieć coś do zjedzenia. Coś bez kalorii. Wypluł suchy tytoń i poczuł się wygłodniały.

- Dosyć to amerykańskie - odezwał się Sigmund i pokręcił głową. - Telewizyjny pokaz polowania na człowieka. Groteska. Czy nie możemy nic zrobić, żeby to zatrzymać?
- Tylko to, co do tej pory zrobiliśmy - odpowiedział Yngvar.

Musi znaleźć coś do zjedzenia. Mimo że zaledwie godzinę temu wrzucił w siebie dwie duże bułki z salami i pomidorem, z głodu piekło go teraz pod mostkiem.

- To może się zakończyć tragedią - stwierdziła kobieta, wskazując na ekran. - Ta dzika jazda i wszyscy ci dziennikarze. To nie skończy się dobrze!

Zdjęcie z helikoptera pokazywało, że mazda przyspieszyła. Na zakręcie zarzuciło tyłem samochodu, a głos dziennikarza przeszedł w falset.

- Łazik Sornes zauważył nas - wykrzykiwał z zachwytem.
- Łącznie z pięcioma patrolami i parą myśliwych - powiedział pod nosem Sigmund Berli. - Facet musi być przerażony.

Mazda wjechała w następny zakręt. Pobocze drogi nie miało ubitej nawierzchni, kamienie i żwir rozpryskiwały się po lewej stronie samochodu. Przez chwilę wydawało się, że pojazd zjedzie z drogi. Minęła sekunda lub dwie, zanim kierowca ponownie uzyskał kontrolę i zwiększył jeszcze bardziej prędkość.

- Samochodem potrafi jeździć - stwierdził sucho Yngvar. - Czy wiesz już coś na temat syna Karstena Asli?

Sigmund Berli nie odpowiedział, wpatrując się sztywno w ekran. Otworzył usta, jakby próbował wycisnąć z siebie ostrzeżenie, wiedząc jednocześnie, że niewiele można było w tej sytuacji powiedzieć.

- O mój Boże! - wykrzyknęła kobieta. - Co...

Później okazało się, że podczas transmisji pogoni za samochodem kanał TV2 miał więcej niż siedemset tysięcy widzów. Ponad siedemset tysięcy ludzi, większość z nich jeszcze w pracy, gdyż było dopiero dwanaście minut po piętnastej, śledziło ciemnoniebieską mazdę 323, rocznik 1987, gdy tą zarzuciło na zakręcie, w wyniku czego uderzyła w nadjeżdżającego z naprzeciwka opla vectrę. Również ciemnoniebieskiego.

Mazda została niemal przecięta na pół, zanim nie przekoziółkowała, lądując na dachu opla, a ten jechał jeszcze kawałek drogi. Mazda tkwiła w opolu w jakimś absurdalnym, metalowym uścisku. Z bariery drogowej sypały się iskry na drzwi samochodu, który wkrótce skręcił na przeciwną stronę drogi, wciąż z mazdą na dachu. Karoseria samochodu została przecięta na dwie części.

Siedemset czterdzieści dwa tysiące widzów patrzyło z zapartym tchem.

Wszyscy czekali na eksplozję, która nie nastąpiła.

Jedyny dźwięk, dochodzący z głośników telewizorów, pochodził z kręcącego się śmigła helikoptera, unoszącego się teraz jedynie pięćdziesiąt metrów nad miejscem wypadku. Fotograf przybliżył obraz mężczyzny, który przed kilkoma sekundami uciekał w ukradzionym samochodzie przed policją. Łazik Sornes wystawał w połowie przez boczną szybę. Twarz miał skierowaną w stronę nieba, kręgosłup wydawał się złamany. Jego ręka, jego zagipsowana lewa ręka, wyrwana była z ramienia i leżała osobno, w odległości kilku metrów od splątanych ze sobą wraków samochodów.

- O cholera. - ryknął dziennikarz.

Po czym dźwięk się urwał.

- Zdarzyło się to w wieczór, poprzedzający mowy końcowe - odezwała się Unni Kongsbakken i wlała odrobinę mleka do wypełnionej w połowie filiżanki kawy. - I przy tym musi pani pamiętać, że...

Jej grube, siwe włosy ułożone były w luźny kok, umocowany japońskimi, czarno lakierowanymi pałeczkami.

Jeden lok wysliznął się z boku. Wprawnymi palcami ułożyła włosy na nowo.

- Astor był naprawdę przekonany o winie Aksela Seiera - mówiła dalej. - Całkowicie przekonany. Mimo wszystko wiele przemawiało na niekorzyść tego czło wieka. Poza tym od chwili aresztowania był pełen sprzeczności i nie wykazywał chęci współpracy. Łatwo o tym zapomnieć... - Przerwała i wciągnęła powietrze. Inger Johanne dostrzegła, że Unni Kongsbakken była teraz zmęczona, mimo iż rozmawiały ze sobą zaledwie piętnaście minut. Prawe oko miała zaczerwienione i po raz pierwszy Inger Johanne odniosła wrażenie, że tamta zawahała się. - Zwłaszcza tak wiele lat później - wes tchnęła. - Astor był... przekonany. Tak to było, tak ja... Nie, teraz mieszam wszystko.

Uśmiech był zażenowany, a może bardziej zdeorien towany.

- Proszę posłuchać - odezwała się Inger Johanne i pochyliła się do Unni Komgsbakken. - Naprawdę uważam, że powinniśmy z tym poczekać. Możemy się spotkać później. W przyszłym tygodniu.
- Nie - nieoczekiwanie gwałtownie odpowiedziała Unni Kongsbakken. - Jestem stara, ale nie bezradna. Proszę pozwolić mi mówić. Astor siedział w swoim niewielkim gabinecie. Zawsze poświęcał dużo czasu na przygotowanie mowy oskarżycielskiej. Nigdy nie pisał w całości. Słowa kluczowe, pewien rodzaj dyspozycji na niewielkiej kartce. Wielu sądziło, że improwizował podczas swoich wystąpień. - Zaśmiała się ironicznie. - Astor nigdy nie improwizował. Przeszkodzenie mu podczas pracy nie należało do przyjemności. Ale by-

łam wtedy w pralni. W kącie, za rurami znalazłam ubranie Asbjorna. Sweter, który mu zrobiłam, to było jeszcze przed... Jeszcze wtedy nie rozpoczęłam tkania. Sweter był poplamiony krwią. Naprawdę dużą ilością. Ogarnęła mnie złość. Wściekłość! Oczywiście pomyślałam, że pewnie urządzał ponownie swoje akcje, zabił jakieś zwierzę. No coż. Wkroczyłam do jego pokoju. I nie wiem, co spowodowało...

Wydawało się, że szuka odpowiedniego słowa. Tak jakby długo nad tym pracowała, a jednak nie znalazła słowa, które wyrażałoby to, co chciała powiedzieć.

- To było tylko odczucie. Kiedy wchodziłam po schodach. Naszła mnie myśl o wieczorze, kiedy zniknęła mała Hedvig. To znaczy, pomyślałam o następnym dniu. O wczesnym ranku. Oczywiście nie wiedzieliśmy jeszcze wtedy nic o Hedvig. Wiadomość o tym, że to dziecko zniknęło, pojawiła się dzień lub dwa później. - Dotknęła palcami skroni, jakby naszedł ją ból głowy. - Obudziłam się o piątej rano. Często to robię. Tak miałam przez całe życie. Ale właśnie tego poranka, który, jak się później okazało, nastąpił po dniu zamordowania Hedvig, coś usłyszałam. Oczywiście przestraszyłam się. Asbojrn przechodził okres ciężkiej psychozy i robił rzeczy, przekraczające granice, o których nie sądziłam, że nastolatek może je przekroczyć. Ale nie byłam w stanie wstać. Byłam całkowicie wyczerpana. Coś zatrzymało mnie. Nie wiem co. Później przy śniadaniu Asbjorn siedział cicho i milczący. Nigdy przedtem taki nie był. Ten chłopak mógł mówić bez wytchnienia. Nawet gdy pisał, mówił. Opowiadał i gestykulował. Cały czas. Miał coś do powiedzenia na każdy temat. Może na zbyt wiele tematów.



- Dostyc już o tym - przerwała sama sobie, a na jej twarzy ponownie pojawił się zażenowany uśmiech. - W każdym razie był wtedy milczący. Natomiast Geir był wesoły i miły.

Przymknęła oczy i wstrzymała oddech. Wydawało się, że próbowała odtworzyć tamtą chwilę, zobaczyć ten poranek wokół stołu ze śniadaniem w małym miasteczku, niedaleko Oslo, który zdarzył się dawno temu, w 1956 roku.

- Zrozumiałam, że coś musiało się stać - kontynuowała z namysłem. - Geir był tym cichym chłopcem. Zwykle nic rano nie mówił. Siedział tylko, bierny... Zawsze pozostawał w cieniu Asbjorna. Zawsze. Także u ojca. Mimo że Asbjorn był niezwykle prowokującym młodym człowiekiem i nawet nie chciał nosić nazwiska ojca, to jednak wydawało się, że Astor, chyba można tak powiedzieć, podziwiał go. Myślę, że widział w nim trochę siebie. Swoją własną siłę. Upór. Pewność siebie. Było tak zawsze. Natomiast Geir był jakby zbędny. Jednak tego dnia był miły i rozmowny. Zrozumiałam, że nie wszystko było w porządku. Oczywiście nie myślałam o Hedvig. Jak już wspomniałam, nic nie wiedzieliśmy wtedy o losie tej dziewczynki. Dopiero trochę później. Ale w zachowaniu chłopców było coś, co wywołało we mnie lęk i nie miałam odwagi się spytać. A kiedy później, po wielu tygodniach, w wieczór poprzedzający rozprawę sądową Aksela Seiera oskarżonego o morderstwo Hedvig Gasoy... Kiedy szłam, pełna złości, po schodach, trzymając w ręku sweter Asbjorna z plamami krwi i nagle...

Zaplotła ponownie ręce. Włosy opadły ciężko na ramię. Z zaczerwienionego oka popłynęła łza. Inger

Johanne nie była pewna, czy starsza kobieta płacze, czy też ma zapalenie oka.

- Uderzyła mnie myśl, niezym jakies przeczucie - powiedziala z trudem. - Weszlam do pokoju Asbjorna. Siedzial jak zwykle i pisal. Kiedy rzucilam mu sweter, wzruszil ramionami i pisal dalej. Bez slowa. Hedvig, powiedzialam. Czy to krew Hedvig? Wzruszil ponownie ramionami i dalej pisal w niesamowitym tempie. Myslalam, ze zaraz umre. Na miejscu. Stracilam niemal przytomnosc. Musialam doslownie oprzec sie o sciane, zeby nie upasc. Ten chlopak kosztowal mnie wiele nieprzespanych nocy. Zawsze przysparzal mi zmartwień. Ale nigdy, nigdy... nie myslalam, ze bylby zdolny cos takiego zrobic - zakonczyła Unni Kongsbakken.

Uderzyła ręką o biały obrus. Inger Johanne drgnęła wystraszona. Zabrzęczały sztućce i kelner zbliżył się pospiesznie.

- Nie, dziękuję - Inger Johanne zwróciła się do kelnera, który wycofał się z ociąganiem. - Co na to powiedział?

-Nic.

-Nic?

-Tak.

- Ale... Czy się przyznał...

- Jak się później okazało, nie miał do czego się przyznać.

- Obawiam się, że nie...

- Więc stałam tak, oparta o ścianę. Asbjorn pisał i pisal. Do dzisiejszego dnia nie jestem pewna, jak długo to trwało. Może było to jakieś pół godziny. Wydawało się, że wszystko straciłam. Możliwe, że ponownie go

pytałam. Na pewno nie odpowiedział. Jedyne pisał, tak jakbym była powietrzem. Tak jakby... - Teraz rzeczywiście płakała. Z obu oczu płynęły łzy. Wyciągnęła z rękawa chusteczkę do nosa. - A później pojawił się Geir. Początkowo nie słyszałam go. Nagle znalazł się przy mnie i wpatrywał się w sweter, który upadł na ziemię. Zaczął płakać. „Ja nie chciałem. To nie miało tak być”. Dokładnie takich słów użył. Miał wtedy osiemnaście lat, a płakał jak dziecko. Asbjorn gwałtownie wstał, po czym rzucił się na brata. „Zamknij się”, powtarzał.

- Geir? Geir powiedział, że nie chciał, żeby...
- Tak - odpowiedziała Unni Kongsbakken i wyprostowała się, przyciskając ostrożnie chusteczkę do oczu i chowając ją ponownie do rękawa. - Więcej nie zdążył powiedzieć. Asbjorn pobił go do utraty przytomności.
- Ale czy to oznacza... Nie całkiem rozumiem...
- Asbjorn był najmilszym człowiekiem, jakiego pani może sobie wyobrazić - powiedziała starsza pani, już spokojniej, oddychając swobodniej i nie płacząc. - Asbjorn był kochanym chłopcem. Wszystko to, co później pisał, te okropne, odrażające rzeczy... Blasfemia. Gwałt. To były tylko słowa. Asbjorn jedynie o tym pisał. W rzeczywistości był bardzo dobrym człowiekiem. I bardzo kochał swojego brata.

Inger Johanne poczuła ucisk w krtani, próbowała więc przełknąć ślinę. Sprawiało jej to trudność. Chciała coś powiedzieć, nie wiedziała jednak co.

- To Geir zamordował małą Hedvig - odezwała się Unni Kongsbakken. - Jestem o tym całkowicie przekonana.

Wydobycie kierowcy z wraku niebieskiego opla zajęło służbom ratowniczym czterdzieści pięć minut. Noga na wysokości uda została odcięta. Lewa gałka oczna była zmiażdżona (krwawa bryła wypadła z oczodołu i

zwisła bezsensownie nad policzkiem). Kierownica leżała sto metrów dalej, w pobliżu korzeni jakiegoś świerka. Drażek kierownicy wbił się głęboko w jego brzuch.

- On żyje - wykrzyknął, ciężko dysząc ratownik. -O cholera! Facet żyje!

Niecałą godzinę później kierowca niebieskiego opla leżał na stole operacyjnym. Sytuacja nie wyglądała dobrze, jednak trwała walka o jego życie.

Natomiast Łazik Sornes patrzył nieruchomo w niebo, zwisając w połowie z bocznego okna ukradzonej mazdy 323. Młody, niedoświadczony policjant stał nachylony nad potokiem i płakał. Nad miejscem wypadku wciąż krążyły trzy helikoptery. Tylko jeden z nich należał do policji.

TV2 była w trakcie osiągnięcia rekordu oglądalności popołudniowych programów.

Za wielką szybą Grand Hotelu widać było przechodzących ludzi. Niektórzy spieszyli się. Inni szli swobodnym krokiem, może bez celu, mając mnóstwo wolnego czasu. Inger Johanne towarzyszyła im wzrokiem. Próbowwała zebrać myśli. Unni Kongsbakken wstała przepaszając i odeszła od stołu, nie mówiąc, dokąd idzie. Dużą torebkę z brązowej skóry i z metalowymi okuciami pozostawiła na miejscu. Prawdopodobnie musiała udać się do toalety.

Inger Johanne była wykończona.

Próbowała zobaczyć oczami wyobraźni Geira Kongsbakkena. Jednak jego twarz rozmywała się, mimo iż upłynęła zaledwie doba od chwili ich spotkania. Pamiętała jedynie, że miał przeciętny wygląd. Krępy i ciężki, podobnie jak jego rodzice. Pamiętała zapach wosku i brązowego drewna. Pamiętała neutralny garnitur. Natomiast w jej pamięci twarz zupełnie się zatarła.

Unni Kongsbakken wróciła z powrotem i bez słowa usiadła.

- Co pani ma na myśli, mówiąc „jestem o tym całkowicie przekonana”? - spytała Inger Johanne.

- Słucham?

- Pani powiedziała... Pani powiedziała, że była pani przekonana, że Geir zamordował Hedvig. Dlaczego tylko całkowicie przekonana?

- Przecież nie mogę wiedzieć - powiedziała sarkastycznie Unni Kongsbakken. - Na pewno nie w sensie prawnym. Nigdy się nie przyznał.

- Ale...

- Proszę pozwolić mi mówić dalej.

Podniosła filiżankę. Była pusta. Inger Johanne pomachała, prosząc o dolewkę. Kelner był coraz bardziej zły. Unni Kongsbakken musiała dwukrotnie prosić, zanim przyniósł mleko.

- Geir był nieprzytomny - odezwała się w końcu.

- A Asbjorn milczał jak mur. Upłynęła zaledwie minuta, może dwie, gdy Geir przyszedł do siebie. Milczał, podobnie jak jego brat. Przyproceedziłam Astora. Jak mówiłam wcześniej, siedział w swoim gabinecie. Była już późna godzina. - Ponownie wzrok jej przybrał nieobecny wyraz, jakby próbowała cofnąć czas. - Astor był

wściekły. Oczywiście na początku za przeszkadzanie. Później za to, co miałam do powiedzenia. Krzyczał, że to zupełnie szaleństwo. Bzdury. Krzyczał do mnie, że to brednie. Rozkazał chłopcom usiąść na sofie i zaczął bombardować ich pytaniami. Żaden z nich nie powiedział ani słowa. Oni po prostu nie odpowiadali. Na żadne pytanie. Dla mnie była to wystarczająca odpowiedź. Mimo że Asbjorn był rebeliantem, to jednak zawsze miał pewien rodzaj szacunku do swojego ojca. Nigdy go takim wcześniej nie widziałam. Patrzył bezczelnie ojcu w oczy i nie odpowiadał. Geir patrzył w ziemię. Też milczał, mimo że Astor dał mu w twarz, aż zadzwięczało. W końcu Astor poddał się i posłał ich do łóżka. Dawno minęła już północ. Kiedy w ciemności kładł się obok mnie, drżał na całym ciele. Powiedziałam mu, co myślę. Że to Geir zabił Hedvig, a później poprosił Asbjorna o pomoc, żeby pozbyć się ciała. Mieliśmy tylko jeden telefon, który stał przy pokoju Asbjorna. Geir mógł więc zadzwonić w nocy i nie musieliśmy tego słyszeć. Tak powiedziałam mężowi. Nie odpowiadał, jedynie cicho płakał. Nigdy przedtem nie słyszałam mojego męża płaczącego. W końcu odezwał się, stwierdził, że się mylę. To było niemożliwe. Hedvig została zabita przez Aksela Seiera i tak ma być. Ale ja się nie poddałam. Swoją analizę zaczęłam od początku. Zakrwawiony sweter. Podejrzone zachowanie chłopców. Tego wieczoru, kiedy zniknęła Hedvig, Geir poszedł na spotkanie młodzieżówki Partii Pracy. Asbjorn był w domu. We wczesnych godzinach porannych słyszałam... Ale o tym już mówiłam. Przepraszam. Powtarzam się. W każdym razie Astor nie chciał tego słuchać. Kiedy zaczęło

się rozjaśniać, wstał z łóżka. Wziął prysznic, ubrał się i poszedł do pracy. Z tego, co wywnioskowałam z gazet, wygłosił płomienną mowę oskarżycielską. Kiedy wrócił do domu, zjedliśmy w zupełnym milczeniu obiad. Cała czwórka.

Unni Kongsbakken uderzyła ręką lekko w stół, jakby chciała postawić kropkę.

- Nie wiem, co mam na to wszystko powiedzieć  
- odezwała się Inger Johanne.

- Właściwie nie musi pani nic mówić.

- A Anders Mohaug, to przecież on był...

- Anders również się zmienił. Nie zwróciłam na to wcześniej uwagi, przecież chłopiec był cudakiem. Ale po tym wieczorze zauważyłam, że stał się bardziej milczący. Bardziej zgarbiony. W pewien sposób bardziej przestraszony. Nietrudno było odgadnąć, że Asbj0rn wziął ze sobą Andersa. Był bardzo wyrośniętym chłopcem. Silnym. Przy jakiejś okazji próbowałam porozmawiać z panią Mohaug. Podobna była do wylęknionego zwierzęcia. Nie chciała rozmawiać.

Oczy Unni Kongsbakken wypełniły się znowu łzami, które popłynęły wzdłuż zmarszczki w dół. Lekko obliżała górną wargę.

- Pewnie myślała, że Anders sam dokonał przestępstwa - powiedziała cichym głosem. - Powinnam bardziej nalegać na rozmowę. Po tamtej zimie pani Mohaug nigdy nie była już sobą.

- Kiedy Anders zmarł... - zaczęła Inger Johanne, ale ponownie musiała przerwać.

- Od tej fatalnej nocy nigdy z mężem nie rozmawialiśmy na temat Hedvig. Tak jakby cały ten potworny

dzień został włożony do jakiejś szuflady, zamknięty na klucz, schowany na zawsze. Ja... Z upływem czasu wydawało się, że całe to wydarzenie zniknęło. Geir został, podobnie jak ojciec, prawnikiem. We wszystkim, co robił, próbował być podobny do Astora, ale nigdy mu się to nie udało. Natomiast Asbjorn zaczął pisać te swoje książki. Innymi słowy, było dosyć spraw, o które trzeba było się martwić. - Głęboko westchnęła, zadrżał jej głos, potem jednak mówiła dalej: - Pewnego dnia, a było to chyba latem 1965 roku, Astor wrócił z pracy... Tak, został w tym czasie dyrektorem administracyjnym ministerstwa.

- Wiem o tym.

- Odwiedził go dobry przyjaciel, dyrektor departamentu Einar Danielsberg. Pytał o sprawę Hedvig i Aksela Seiera. Pojawiły się nowe informacje, które wskazywały na... - Ukryła twarz w dłoniach. Obrączka, wąska i starta, wrosła w prawy serdeczny palec. Zniknęła niemal w skórze. - Astor poinformował mnie, że wszystko zostało załatwione - powiedziała cichym głosem. - Nie powinnam się niczego obawiać.

- Obawiać się?

- Tak powiedział. Nie wiem, co się stało.

Nagle podniosła twarz do góry.

- Astor był prawym człowiekiem. Najbardziej rzetelnym człowiekiem, jakiego w życiu spotkałam. Mimo to pozwolił na skazanie niewinnego człowieka. O czymś to świadczyło. Nauczyłam się, że... - Oddychała z trudem. - Dla najbliższych robimy wszystko, co w naszej mocy. Tak jesteśmy, my, ludzie, stworzeni. Dbamy o to, co nasze.



Jej starość bardziej się teraz uwidoczniła. Podniosła się ciężko i z wysiłkiem. Była bardzo starą kobietą. Włosy wysunęły się spod japońskich pałeczek. Oczy były spuchnięte.

- Jak pani rozumie, nie mogłam niczego udowodnić.

Zdawało się, że torebka stała się cięższa w ciągu tego popołudnia. Próbowала zarzucić ją na ramię, ale ta zeslizgiwała się w dół. W końcu złapała ją obiema rękami, prostując z wysiłkiem plecy.

- Długo się tym pocieszałam. Przecież nie byłam niczego pewna. Chłopcy nie chcieli nic mówić. Astor postarał się, żeby sweter został spalony. Po śmierci Asbjorna przeczytałam po raz pierwszy jego książki. W *Grzechu pierwородnym, czternastego listopada* znalazłam ostateczne potwierdzenie moich podejrzeń.

*Rozumiem, że chronisz swojego męża, pomyślała Inger Johanne, szukając jednocześnie słowa, które by nie raniło. Ale teraz zdradzasz swojego syna. Wydajesz na hup. Po tych wszystkich latach. Swojego własnego syna. Dlaczego?*

- Geir otrzymał ponad czterdzieści lat wolności - odezwała się Unni Kongsbakken bezbarwnym głosem. - Otrzymał czterdzieści lat, które nie należały do niego. Myślę, że on... Zakładam, że nie powtórzył swojego czynu.

Uśmiechnęła się wstydliwie, tak jakby nie wierzyła w to, co mówi.

- Nie mogłam tego wcześniej powiedzieć. Astor nie mógłby... Astor nie przeżyłby tego. Wystarczyło z Asbjornem. Z jego okropnymi książkami, z całym za-

mieszaniem, samobójstwem. - Westchnęła bezsilnie. -Dziękuję, że zechciała pani mnie wysłuchać. Sama pani zadecyduje, co z tymi informacjami chce zrobić. Ja zrobiłam swoje. Oczywiście zbyt późno, ale jednak... Pani zadecyduje, co ma się stać z Geirem. Prawdopodobnie niewiele będzie pani mogła zrobić. Naturalnie zaprzeczy wszystkiemu. A ponieważ nie ma żadnych dowodów... Ale może to pomoże temu... Akselowi Seierowi. To, co się naprawdę wydarzyło. Żegnam.

Kiedy Inger Johanne patrzyła na jej zgarbione plecy, znikające w drzwiach Grand Cafe, pomyślała, że zbladły nawet kolory kurtki. Stara Unni Kongsbakken ledwo unosiła nogi. Przez okno dostrzegła, że ktoś pomógł jej wsiąść do taksówki. Kiedy zamykały się drzwi, z torebki wypadła szczotka do włosów. Inger Johanne wpatrywała się w nią jeszcze długo po odjeździe taksówki.

Szczotka pełna była martwych włosów. Była zdumiona, że mimo odległości były takie wyraźne. Włosy były siwe i przypominały jej Aksela Seiera.

Yngvar Stub0 siedział w swoim biurze i starał się zapanować nad niezbyt stosownym uczuciem ulgi.

Łazik Sornek zmarł tak jak żył, podczas ucieczki przed społeczeństwem, które nim pogardzało. Było to tragiczne. Jednak Yngvar nie mógł pozbyć się uczucia zadowolenia. W chwili, gdy ze świata zniknął Łazik Sornes, zaistniała możliwość, że znajdzie się wielu, którzy skoncentrują się na właściwym sprawcy. Ruszą na właściwe polowanie. Myśl ta sprawiła, że Yngvar zaczął lżej oddychać. Poczul się silniejszy, bardziej energiczny, czego nie odczuwał od wielu dni.

Od dawna nie oglądał telewizji. Patrzenie na dziennikarzy, kręcących się w krwawej mgłę, niezastanawiających się nad tragedią, która rozegrała się na telewizyjnym ekranie, wywoływało uczucie odrazy. Wstrząsnął się i zaczął sortować dokumenty.

Do pokoju wpadł Sigmund Berli.

Yngvar spojrzał na niego i zmarszczył brwi.

- Co za gwałtowność - powiedział sarkastycznym tonem, stukając palcem o biurko i wskazując głową na drzwi. - Czyżbyśmy zapomnieli o dobrym wychowaniu?
- Zderzenie - wykrztusił Sidmund Berli. - Na pewno słyszałeś, że Łazik Sornes zginął. Ale ten drugi... - Złapał oddech i oparł ręce o kolana. - Ten drugi... Mężczyzna w tym drugim samochodzie...

Yngvar wskazał na krzesło dla gości.

- Tym drugim był, do cholery... Karsten Asli!

Yngvar poczuł, że jego serce na moment zatrzymało się. Wszystko wokół znieruchomiało. Próbował skoncentrować wzrok, ale oczy utknęły na piersi Sigmunda. Krawat kolegi tkwił między dwoma guzikami koszuli. Był zbyt czerwony i miał motywy ptaków. Ogon żółtej gęsi wystawał z rozchylonej na piersiach koszuli. Yngvar nie był pewien, czy jeszcze oddycha.

- Czy słyszysz, co do ciebie mówię - darł się Sigmund. -

To był Karsten Asli, który zderzył się z Łazikiem.

Jeśli miałeś rację, to znaczy, że Emilia...

- Emilia - powtórzył Yngvar. Załamał mu się głos.

Próbował odchrząknąć.

- Karsten Asli może również umrzeć. Jeśli masz rację,

to, jak do cholery, będziemy mogli odnaleźć Emilię?

Jeśli Karsten Asli ją gdzieś ukrył, a teraz zamierza się odmel-dować?

Yngvar podniósł się wolno zza biurka. Musiał przytrzymać się blatu. Musiał się zastanowić. Musiał się skupić.

- Sigmund - odezwał się wyższym tonem. - Jedź do szpitala. Zrób wszystko, aby zaczął mówić. Jeśli jest to możliwe.

- On jest, idioto, nieprzytomny!

Yngvar wyprostował się.

- Rozumiem - powiedział wolno. - Dlatego musisz tam być. Na wypadek, gdyby się obudził.

- A ty? Co będziesz w tym czasie robił?

- Jadę do Snaubu.

- Ale, Yngvar, nie masz więcej dowodów przeciwko niemu niż wczoraj! Mimo iż Karsten Asli jest ciężko

ranny, nie możesz po prostu wparować do jego domu bez podstawy prawnej.

Yngvar założył kurtkę i popatrzył na zegarek.

- Gówno mnie to obchodzi - powiedział spokojnym tonem. - Akurat teraz nic mnie to nie obchodzi.

Aksel Seier był zdziwiony tym, jak dobrze się czuł w małym pokoju, gdzie żyła Ewa. Ściany miały ciepłóżółty kolor i chociaż łóżko było metalowe, a na pościeli widniał napis *gmina Oslo*, to był to jej pokój. Rozpoznał kilka przedmiotów z kawalerki na Brugata, gdzie pewnego wieczoru w 1965 roku myła jodyną ranę, którą miał z tyłu głowy. Porcelanowego anioła z rozpostartymi skrzydłami, z wyblakłym niebieskim kolorem i resztkami złocień, którą dostała na konfirmację. Kiedy przeciągnął palcem po zimnej figurce, od razu sobie ją przypomniał. Obraz zachodzącego słońca na Hovedoya był prezentem od niego. Wisiał teraz nad łóżkiem, bardziej zmatowiały niż wtedy, gdy rzucił na ladę antykwiariatu pięćdziesiąt koron i wyszedł z obrazem, zapakowanym w szary papier i obwiązany sznurkiem.

Ewa też wyblakła.

Ale była to wciąż jego Ewa.

Ręce były stare i zniszczone chorobą. Twarz wyglądała na zmęczoną i zamarłą w bólu, który nigdy nie mijał. Ciało zdawało się być nieruchomą skorupą kobiety, którą Aksel Seier wciąż kochał. Nie mówił wiele. Ewie zajęło dużo czasu opowiedzenie swojej historii. Od czasu do czasu musiała odpocząć. Aksel milczał i słuchał.

Czuł się w tym pokoju jak w domu.

- On się całkowicie zmienił - mówiła Ewa cichym głosem. - Wszystko się rozpadło. Zabrakło mu pieniędzy na dalsze prowadzenie sprawy. Nie miałby gdzie mieszkać, jeśli poświęciłby resztę spadku po matce. A wtedy na pewno nie miałby już żadnej szansy. To go zniszczyło, Aksel. W ostatnich miesiącach nawet mnie nie odwiedził.

Aksel uważał, że wszystko się dobrze ułoży. Wyciągnął karty Platynowa, poinformował, podsuwając pod jej oczy błyszczący kawałek plastiku. Takie karty dostawali tylko ci, którzy mają dużo pieniędzy. On ma dużo pieniędzy. Wszystko więc załatwi.

Teraz wszystko ułoży się dobrze. Teraz, kiedy Aksel w końcu wrócił.

- Mogłem wrócić wcześniej.

Ale ona nigdy go o to nie poprosiła. Nie mógł wrócić do Norwegii, zanim Ewa go tu nie chciała. Mimo że właściwie nie zaprosiła go wprost, to jednak w tym, co napisała, ukrywała się prośba o pomoc. List przyszedł w maju, a nie jak zwykle w lipcu. List był pełen rozpaczy i jego odpowiedzią było zerwanie ze wszystkim i powrót do domu.

Aksel napił się soku z dużej szklanki, stojącej na nocnym stoliku. Smakował orzeźwiająco. Smakował Norwegię: zmieszany z wodą syrop z czarnej porzeczki. Prawdziwe produkty. Norweski sok. Wytrzeł usta i uśmiechnął się.

Aksel coś usłyszał i odwrócił się bokiem. Jego ciałem wstrząsnęło uczucie przerażenia. Wypuścił dłoń Ewy i nieświadomie zacisnął pięści. Policjant z kluczami i mokrymi oczami, ten który chciał, aby Aksel przyznał się do czegoś, czego nie zrobił i który przychodził do

niego w snach, pojawił się teraz w innym przebraniu. Może bardziej staroświeckim. Ten tutaj miał luźniejszą kurtkę i wzór szachownicy na dole spodni. Ale na pewno był policjantem. Aksel od razu to zrozumiał i zerknął na okno. Pokój Ewy był na parterze.

- Ewa Asli? - zapytał mężczyzna i zbliżył się.

Ewa potwierdziła szeptem. Gość chrząknął i jeszcze bardziej zbliżył się do łóżka. Aksel poczuł zapach skóry i oleju samochodowego.

- Bardzo mi przykro, ale muszę poinformować, że pani syn miał poważny wypadek. Karsten Asli. To pani syn, prawda?

Aksel wstał, prostując plecy.

- Karsten Asli jest naszym synem - powiedział wolno. - Ewy i moim.



Inger Johanne przemierzała ulice miasta, nie wiedząc właściwie, dokąd miała iść. Ostry wiatr pędził między blokami osiedla Ibsena. Zarejestrowała apatycznie, że była w drodze do biura. Nie chciała tam iść. Mimo że marzła, pragnęła pozostać na dworze. Przyspieszyła kroku, postanawiając, że odwiedzi Isaka i Kristiane. Mogli później całą trójką wyruszyć na Bygdoy. Potrzebowała tego teraz. Po prawie czterech latach dzielenia się z Isakiem obowiązkami w wychowywaniu Kristiane, zdołała wreszcie zaakceptować ten porządek. Gdy tęsknota była zbyt silna, mogła po prostu odwiedzić córkę u Isaka. Isak doceniał, że przychodziła i zawsze okazywał zyczliwość. Inger Johanne przyzwyczaiła się do sytuacji. Ale przyzwyczajenie nie oznaczało, że jej się to podobało. Gdy obejmowała Kristiane, przytulała ją do siebie lub doprowadzała do śmiechu, odczuwała w ciele wzruszenie. Czasami było to uczucie tak silne, że trudno jej było wytrzymać. I tak było teraz. Zwykle pocieszeniem była myśl, że Kristiane czuła się u ojca dobrze. Że był dla córki równie ważny jak ona. I że tak musiało być.

I że Kristiane nie była jej własnością.

Z jednego oka płynęły łzy. To mogło być spowodowane wiatrem.

Mogli we trójkę coś wymyślić.

Kiedy Unni Kongsbakken wchodziła do Grand Cafe, wydawała się silną osobą, kiedy wychodziła - sprawiała wrażenie zmęczonej i wyczerpanej. Młodszy syn od dawna nie żył. Wczoraj straciła męża. Dzisiaj zaś oddała to, co jeszcze posiadała: przemilczaną historię i swojego starszego syna.

Inger Johanne włożyła ręce do kieszeni i postanowiła udać się do byłego męża.

Zadzwoiła komórka.

Telefon musiał być z biura. Nie była tam od wczoraj. Wprawdzie zadzwoniła rano i poinformowała, że będzie pracować w domu, ale nie wchodziła nawet do Internetu, żeby sprawdzić, czy ma jakąś pocztę. Nie chciała z nikim mieć kontaktu. Akurat teraz chciała być sam na sam z prawdą o zabójstwie małej Hedvig w 1956 roku. Musiała przetrwać wiedzę, że Aksel Seier odsiedział karę za kogoś innego. Nie miała pojęcia, co powinna teraz zrobić i z kim rozmawiać. Właściwie nie wiedziała nawet, czy chciała pójść do Alvhill z całą tą historią. Komórka pozostała w torbie.

Przestała dzwonić.

Po czym zadzwoniła ponownie.

Zirytowana sięgnęła po nią. Display wyświetlił niezidentyfikowany numer. Nacisnęła przycisk i przyłożyła telefon do ucha.

- Nareszcie - odezwał się Yngvar. - Gdzie jesteś?

Inger Johanne rozejrzała się.

- Na Rosenkrantzgate - odpowiedziała. - A właściwie na placu CJ Hambro. Niedaleko Gmachu Sądów.

- Pozostań tam, proszę. Nie ruszaj się. Będę za trzy minuty.

- Ale...

On jednak już odłożył słuchawkę.

Policjant czuł się nieswojo. Wpatrywał się w kartkę, którą trzymał w ręku, mimo że nie widniało tam nic takiego, co mogłoby poprawić sytuację. Kobieta w łóżku płakała cicho i nie miała żadnych pytań.

Aksel Seier pozostanie w Norwegii.

Poślubi Ewę. Ślub będzie skromną uroczystością bez gości, podczas której jedynym prezentem będzie bukiet kwiatów od Inger Johanne Vik. O tym jeszcze nie wiedział, kiedy stał w tym ciepłóżłtym pokoju swojej przyszłej żony, z opuszczonymi w dół zaciśniętymi pięściami, krótko ostrzyżony i ubrany w spodnie golfowe w różową i turkusową kratkę. I chociaż nigdy nie zostanie oficjalnie oczyszczony z zarzutów, które posłały go do więzienia, będzie mógł z czasem podnieść głowę do góry, wiedząc, co naprawdę się wydarzyło. Dziennikarz z „Aftenposten” napisze artykuł, zrecznie omijający niebezpieczeństwo zniesławienia. I mimo że nazwisko Geira Kongsbakkena tam się nie pojawi, to jednak sześćdziesięciodwuletni adwokat uzna, że najlepiej będzie zamknąć swoją niewielką kancelarię na Øvre Slottsgate. Rezultatem artykułu i podania od Inger Johanne Vik będzie przyznanie Akselowi Seierowi przez Parlament rekompensaty, którą uzna za oczyszczenie z winy. Towarzyszący rekompensacie list oprawi w ramkę i powiesi nad łóżkiem Ewy. Będzie tam wisiał aż do jej śmierci, która nadejdzie czternaście miesięcy po ślubie. Aksel nigdy nie spotka człowieka, za którego siedział w więzieniu. Nie będzie też czuł potrzeby, żeby to zrobić.

Jednak nic o tym jeszcze nie wiedział, gdy tak stał i szukał odpowiedzi na pytania mężczyzny z szachownicą wokół nogawek spodni. Był jedynie w stanie myśleć o pewnym lipcowym dniu 1969 roku. Właśnie przeprowadził się z Bostonu do Cape Cod. Była piękna pogoda. Wrócił do domu z wyprawy na morze. Chorągiewka na skrzynce pocztowej była postawiona. W skrzynce znajdował się list od Ewy, lipcowy list. Podobnie przychodziły listy poprzedniego lata i rok wcześniej. W każde Święta Bożego Narodzenia i w każde lato, od 1966 roku, kiedy Aksel opuścił Norwegię, nie wiedząc, że pięć miesięcy później Ewa urodziła syna. Syna Aksela Seiera. Dopiero w 1969 roku napisała mu o Karstenie.

Aksel siedział nad brzegiem morza na czerwonym kamieniu. Ręce mu się trzęsły, gdy przeczytał, że ma prawie trzyletnie dziecko.

Na powrót do domu nie miał zgody. Ewa mieszkała u swojej matki, w małej miejscowości niedaleko Oslo i nic nie mogło ulec zmianie. Napisała, że matka zabiłaby ją. Matka zabrałaby jej chłopca, gdyby Aksel powrócił do Norwegii. Ewa nie pozwoliła mu wrócić, a on mógł dostrzec, że płakała. Jej łzy utrwaliły się na kartce. Plamy rozmazanego atramentu, sprawiające, że słowa były niemal nieczytelne.

Aksel nie mógł nigdy zrozumieć, dlaczego Ewa czekała tak długo. I nie miał siły zapytać o to.

Nawet teraz. Stał, skubiąc kant spodni i nie wiedząc, co ma powiedzieć.

- Rozumiem - powiedział policjant sceptycznym tonem i jeszcze raz przyjrzał się swej małej kartce. - Tutaj

nic nie jest napisane o ojcu... - Wzruszył ramionami. - Ale jeśli...

Spojrzenie, które skierował w stronę kobiety, leżącej w łóżku, było pełne wątpliwości, tak jakby uważał, że Aksel kłamie. Przecież Ewa Asli nie była w stanie zaprzeczyć twierdzeniu mężczyzny, że jest ojcem. Kobieta jedynie niepokojąco cicho płakała i policjant zastanawiał się, czy nie powinien zadzwonić po lekarza.

- Proszę mnie zawieźć do Karstena - odezwał się Aksel, gładząc się po głowie.

Policjant ponownie wzruszył ramionami.

- No dobrze - zamruczał i spojrzał na Ewę. - Jeśli się pani zgadza...

Dostrzegł w odpowiedzi jakiś ruch. Może kiwnięcie głową na zgodę.

- Proszę iść ze mną - zwrócił się do Aksela. - Zawiozę pana. Możliwe, że to pilne.

- To pilne - powiedział gwałtownie Yngvar. - To pilne, do cholery! Nie rozumiesz tego!

Inger Johanne już trzykrotnie powtarzała, że powinien zwolnić. Za każdym razem odpowiedzią było zwiększenie szybkości. Przy dużej prędkości, na zakręcie, wrzucił na dach syrenę. Inger Johanne zamknęła oczy, mając nadzieję, że wszystko dobrze się skończy.

Od chwili, gdy ją poinformował, gdzie i dlaczego jadą, nie zamienili ze sobą słowa. Ponad godzinę pędzili samochodem w milczeniu. Powinni się już zbliżyć. Na mijanej stacji benzynowej zauważyła grubego mężczyznę z jaskrawoczerwonymi włosami, okrywającego brezentem stos drewna opałowego. Kiedy samochód

zarzuciło lekko na zakręcie, podniósł rękę w automatycznym pozdrowieniu.

- Gdzie, do cholery, był ten zjazd?

Yngvar niemal krzyknął i gwałtownie wcisnął hamulec, gdy dostrzegł wijącą się w górę wąską, nieoznaczoną drogę.

- Najpierw w prawo, potem dwa razy w lewo - przy pominął sobie, po czym zaczął powtarzać: - W prawo, dwa razy w lewo. W prawo. Dwa w lewo.

Snaubu leżało pięknie na szczycie góry, z widokiem na dolinę, pełne słońca i nieskalane obecnością ludzi. Z odległości dom wydawał się zniszczony. Kiedy zbliżali się, Inger Johanne zauważyła na jednej ze ścian nowe deski i świeżą farbę. Rozpoczęta budowa fundamentu może miała być garażem. Albo dodatkowym pomieszczeniem. Kiedy samochód zatrzymał się, czuła w skroniach szybko bijący puls. Na tej wysokości wiatr był ostry i kiedy wysiadła z samochodu, zachłysnęła się powietrzem.

- Myślisz, że ona naprawdę jest tutaj? - zapytała, wzdrygając się.

- Nie myślę, ja wiem - odpowiedział Yngvar i pobiegł szybko w stronę domu. - Ja wiem.

Aksel Seier siedział na metalowym krześle ze splecionymi na kolanach rękami.

Karsten Asli był nieprzytomny. Wewnętrzny krwotok został zatrzymany. Lekarz wyjaśnił Akselowi, że istniała konieczność przeprowadzenia kilku operacji, z którymi jednak należało poczekać, aż stan pacjenta się ustabilizuje. Jednak z oczu lekarza Aksel wyczytał, iż szanse były niewielkie.

Karsten umrze.

Respirator wydawał ciężkie, mechaniczne westchnienia. Aksel koncentrował uwagę na tym, żeby nie oddychać w takt ogromnego miecha. Zakręciło mu się w głowie.

Syn podobny był do Ewy. Aksel dostrzegł to, mimo rurek w nosie, ustach, niemal w każdym miejscu i bandażu na głowie. Te same rysy, te same duże usta i oczy, które na pewno były niebieskie pod pełnymi obrażeń i opuchlizny powiekami. Pogłaskał palcem dłoń syna. Była lodowata.

- To ja - wyszeptał. - *Your Dad is here.*

Ciałem Karstena wstrząsnął dreszcz. Po czym ponownie zastygł w bezruchu, w pokoju gdzie jedyny dźwięk pochodził od sapiącego respiratora i monitora pracy serca, pulsującego czerwonym kolorem nad głową Aksela.

- Jej tutaj nie ma. Musimy to przyjąć do wiadomości.

Inger Johanne próbowała położyć rękę na jego przedramieniu. Yngvar wyrwał się jej i skierował w stronę schodów do piwnicy. Byli już tam trzy razy. I na strychu. Przeszukali każdy kąt i każdą szafę. Yngvar rozebrał nawet na części podwójne łóżko, żeby sprawdzić wszystkie schowki. Sprawdził - bez rezultatu - szafki kuchenne i kilkakrotnie otwierał bez sensu zmywarkę.

- Jeszcze jeden raz - poprosił zrozpaczony i nie czekając na odpowiedź, zbiegł schodami do piwnicy.

Inger Johanne pozostała w pokoju gościnnym. Yngvar włamał się. Oboje włamali się do obcego domu,

nie mając podstawy prawnej. Stan wyższej konieczności, wymamrotał pod nosem, gdy udało mu się w końcu otworzyć drzwi wejściowe. Bzdura, odpowiedziała i weszła za nim. Ale w domu nie było Emilii. I teraz, kiedy Inger Johanne miała czas, żeby pomyśleć, stwierdziła, że to, co robili, było szaleństwem. Yngvar coś przeczuwał. Przeczuwał, że Emilia została uwięziona i ukryta w tym niewielkim gospodarstwie przez człowieka, który nie był rejestrowany na policji. I jedyne, co mogło wzbudzać podejrzenie, to nieco przypadkowe kontakty z kilkoma bliskimi ofiar.

To przeczuwał Yngvar. I na takiej podstawie stała nieproszona w obcym pokoju w niewielkim domu w górach, daleko od ludzi.

- Inger Johanne!

Nie chciała ponownie tam schodzić. Piwnica była wilgotna i pełna kurzu. Miała już problemy z oddychaniem i kasłała od czasu do czasu.

- Tak - odkrzyknęła, nie podchodząc do schodów. -

Co się stało?

- Zejdź na dół! Czy słyszysz ten dźwięk?

- Jaki dźwięk - mruknęła z irytacją.

- Zejdź na dół!

Zaczęła niechętnie schodzić po stromych schodach. Yngvar miał rację. Kiedy oboje stali cicho na nierównej betonowej podłodze, docierał do nich niewyraźny szum. Mechaniczny dźwięk, rytmiczny i niski.

- Prawie tak jak w moim komputerze - wyszeptwała.

- Albo jak... wentylator. To może być...

Yngvar zaczął ostukiwać rękami ścianę. Z kilku miejsc odpadł tynk. Przy krótszej ścianie (według Inger



Johanne musiało to być od strony wschodniej), stała duża szafa na ubrania bez drzwi. Yngvar próbował zajrzeć za tył szafy. W końcu kucnął i zaczął badać podłogę.

- Pomóż mi - poprosił, próbując odsunąć wielki mebel. - Na podłodze są ślady. Szafa była przesuwana wiele razy.

Jednak nie potrzebował *jej* pomocy. Z łatwością odsunął mebel od ściany, gdzie ukryte były niewielkie drzwiczki, sięgające Yngvarowi do bioder. Nowe, z błyszczącymi zawiasami i bez zamka. Otworzył je. Za nimi znajdował się wąski korytarz, biegnący na skos w dół, w którym z ledwością mieścił się dorosły człowiek. Yngvar wszedł tam na czworakach, za nim zaś podążyła schylona Inger Johanne. Trzy, cztery metry niżej ukazał się niewielki pokój, w którym oboje mogli się wyprostować, z betonową podłogą i ostrym światłem świetlówek na suficie. Żadne z nich się nie odezwało. Szum wentylatora była teraz wyraźniejszy. Oboje wpatrywali się w drzwi w ścianie, w ciężkie i błyszczące metalowe drzwi. Yngvar wyjął z kieszeni kurtki chusteczkę, położył ostrożnie na klamce i powoli ją nacisnął. Zawiasy były naoliwione i bezdźwięczne.

Ostry zapach niemytego ciała wywołał u Inger Johanne odruch wymiotny.

Ostre światło paliło się również w środku. Pokój, mający niecałe dziesięć metrów kwadratowych, mieścił umywalkę, ubikację i wąskie drewniane łóżko.

Na łóżku leżało dziecko. Było nagie. Nie ruszało się. Na podłodze umieszczone było starannie złożone ubranie, a w nogach łóżka brudna kołdra bez poszwy. Inger Johanne weszła do środka.

- Uważaj - odrzegli Yngvar.

Zauważył wcześniej, że drzwi nie miały od środka klamki. Umieszczony na drzwiach hak umożliwił przymocowanie ich do ściany, jednak dla bezpieczeństwa pozostał w wejściu, przytrzymując otwarte drzwi.

- Emilia - odezwała się cicho Inger Johanne i kucnęła przy łóżku.

To była dziewczynka. Otworzyła oczy, które miały zielony kolor. Zamrugła kilkakrotnie, nie zdołała jednak skoncentrować wzroku. Na wychudzonej piersi leżała lalka Barbie, z rozrzuconymi nogami i w kowbojskim kapeluszu na bakier. Inger Johanne położyła swoją rękę ostrożnie na dłoni dziecka i powiedziała:

- Mam na imię Inger Johanne. Jestem tutaj, aby cię zabrać do twojego taty.

Wzrok jej ogarnął ciało dziewczynki, wychudzone i z dużymi strupami na kolanach. Kości biodrowe były niczym dwa ostre noże, które w każdej chwili mogły przeciąć bladą i przezroczystą skórę. Inger Johanne, płacząc, zdjęła z siebie kurtkę, sweter i bluzkę. Stojąc tylko w biustonoszu włożyła ubranie na ciało dziecka, które nie powiedziało ani słowa.

- Na podłodze leży ubranie - odezwał się wolno Yngvar.

- Nie wiem, czy to jej - odpowiedziała Inger Johanne. Załkała i podniosła Emilię z łóżka.

Dziecko było lekkie jak piórko. Inger Johanne ostrożnie przytuliła je do siebie.

- To mogą być jego rzeczy. Jego ubranie. To może być tego cholernego...

- Tata - odezwała się Emilia. - Mój tata.

- Pojedziemy teraz do twojego taty - odpowiedziała Inger Johanne i pocałowała dziecko w czoło. - Wszystko będzie dobrze, skarbie.

*Tak jakby po tym wszystkim cokolwiek mogło wrócić do normalnego życia, pomyślała, dochodząc do metalowych drzwi, gdzie Yngvar delikatnie okrył ją swoją szorstką kurtką. Tak jakbyś była w stanie zapomnieć o tym, co wydarzyło się w tym grobowcu.*

Kiedy wychodziła z pokoju, powoli i ostrożnie, nie chcąc wystraszyć dziecka, zwróciła uwagę na slipy, leżące na podłodze przy zlewozmywaku. Sprany, zielony kolor, ozdobiony słoniem, z trąbą wyzywająco umieszczoną przy rozporku.

- O mój Boże - szepnęła Inger Johanne, z ustami ukrytymi w potarganych włosach Emilii.

## 68

Oslo, 9 czerwca 2000 roku. Piątek, godzina druga w nocy. Z niskich chmur sący się deszcz. Meteorolodzy obiecywali wyż i łagodną noc, jednak na dworze nie było więcej niż pięć stopni. Inger Johanne zamknęła drzwi na werandę. Czowała się tak, jakby nie spała już od tygodnia. Rozboliła ją głowa, gdy tak stała przed oknem, patrząc na spływające po szybie krople deszczu. Poczowała ból w kręgosłupie, kiedy próbowała się przeciągnąć. Mimo to nie byłaby w stanie zasnąć. Na szybie, na wysokości bioder, zauważyła na tle kropli deszczu po zewnętrznej stronie okna odcisk dłoni Kristiane. Pulchne palce układały się niczym liść w nierównym kole. Inger Johanne pogładziła odcisk.

- Czy Emilia kiedykolwiek zdoła o tym wszystkim zapomnieć? - zapytała cichym głosem.

- Pewnie nie. Ale teraz jest już w domu. Chcieli zatrzymać ją w szpitalu, ale ciotka nie zgodziła się na to. Sama jest lekarzem. Uważa, że dziecko będzie czuło się najlepiej w domu. Emilia otoczona jest dobrą opieką, Inger Johanne.

- Ale czy kiedykolwiek zapomni o tym?

Kiedy dotykała szyby ręką, teraz lekko i niezwykle delikatnie, wydawało jej się, że czuje ciepło ręki Kristiane.

- Nie. Czy nie chciałabyś usiąść?

Próbowała się uśmiechnąć.

- Bola mnie plecy.

Yngvar przetarł twarz i gwałtownie ziewnął.

- To była jakaś okropna sprawa o prawa do opieki nad dzieckiem - zaczął w trakcie ziewania. - Karsten Asli chciał mieć z synem kontakt od chwili jego urodzenia, kiedy to matka dziecka opuściła szpital dzień przed zaplanowanym wypisaniem. W trzech instancjach sądu i podczas pięciu rozpraw sądowych twierdziła, że Karsten Asli nie nadaje się do sprawowania roli ojca. Twardo głosiła, że jest niebezpiecznym mężczyzną. Dziś po południu Sigmund zdobył kopie wszystkich dokumentów. Karsten wygrał sprawę we wszystkich instancjach, ale matka dziecka odwoływała się od wyroków i występowała o rewizję, przeciągając w ten sposób sprawę... W końcu gdzieś wyjechała. Prawdopodobnie za granicę. Wszystko wskazuje na to, że Karsten Asli nie wiedział dokąd. Nawiązał kontakt z biurem detektywistycznym... - Yngvar uśmiechnął się smutno. - Kiedy policja stwierdziła obojętnie, że nic nie może w tej sprawie pomóc. Biuro wystawiło rachunek na sześćdziesiąt pięć tysięcy koron za podróż do Australii. Z tej podróży pozostał jedynie trzystronicowy raport o tym, że Ellen Kverneland i jej synek prawdopodobnie nigdy tam nie przebywali. Biuro chciało jeszcze zbadać ślad, prowadzący do Ameryki Południowej, ale Karsten Asli nie miał już więcej pieniędzy. To mniej więcej wszystko, co w tej chwili wiemy. Może za kilka dni będziemy mieli pełniejszy obraz. Ogólnie, paskudna sprawa.
- Wszystkie tego rodzaju sprawy są paskudne - odezwała się Inger Johanne bezbarwnym głosem. - Jak

my-

ślisz, dlaczego zgodziłam się na podział praw do opieki nad Kristiane?

- Myślałam, że może...

Przerwała mu:

- Innymi słowy, ta Ellen Kverneland miała rację. Nic dziwnego, że wyjechała. Karsten Asli akurat nie okazał się idealnym ojcem. Ale coś takiego nie jest łatwe do udowodnienia podczas rozprawy sądowej. Miał czystą kartotekę na policji i najwidoczniej wiedział, jak się zachowywać, żeby sprawiać jak najlepsze wrażenie.

- Ale sama sprawa, sama walka o te prawa, nie mogła sprawić, że...

- Że stał się psychopata? Nie. Oczywiście, że nie.

- Może to jest najgorsze - stwierdził Yngvar. - To, że nigdy nie dowiemy się, dlaczego on... Kim właściwie był Karsten Asli. Dlaczego zrobił to, co zrobił.

Inger Johanne pokręciła wolno głową. Okienna szyba była teraz lodowata, schowała więc ręce do kieszeni.

- Najgorsze jest to, że nie żyje troje dzieci - powiedziała. - I że Emilia najprawdopodobniej nigdy nie wróci do...

Nie miała już siły na dalszy płacz. Mimo to oczy przepełniły się łzami. Poczula skurecz pod mostkiem, nachyliła się do przodu, oparła czoło o szybę i próbowała spokojnie oddychać.

- Nie wiesz, jak dalej potoczy się życie Emilii - odezwał się Yngvar i wstał. - Czas leczy wszelkie rany. W każdym razie pomaga nam o tyle, że możemy dalej żyć.

- Czy jej nie widziałeś? - odezwała się gwałtownie i wysunęła się spod jego ręki, opierającej się o jej lewe

ramię. - Czy nie widziałeś, jak ona się czuła? Nigdy nie będzie już sobą. Nigdy!

Objęła się ramionami. Ze schyloną głową zaczęła kołysać się z boku na bok, tak jakby wciąż trzymała w rękach dziecko.

*Damaged goods*, powiedział pewnego dnia Warren o chłopcu, którego znaleziono po pięciu dniach od chwili porwania. *Those kids are damaged goods, you know.*

Chłopiec stracił mowę, jednak lekarze oświadczyli, że istniała nadzieje na jej odzyskanie. Potrzeba jedynie czasu. Również rany w odbyciu w jakimś stopniu zbliznią się. Potrzeba jedynie czasu. Warren pokręcił zimno głową, wzruszył ramionami i ponownie stwierdził: *Damaged goods.*

Była wtedy zbyt młoda, zakochana i pełna ambicji, żeby zrobić karierę w FBI. Dlatego nie zareagowała na te słowa.

- Czy mogę przenocować? - zapytał Yngvar.

Podniosła do góry twarz.

- Zrobiło się późno - powiedział.

Próbowała wciągnąć głębiej powietrze. Czuła ucisk w gardle i było jej zimno.

- Czy mogę? - powtórzył.

- Na sofie - odpowiedziała i przełknęła ślinę. - Jeśli chcesz, możesz spać na sofie.

Obudziły ją promienie słońca, które przecisnęły się przez szparę między żaluzją a ramą okna. Leżała długo w łóżku, nasłuchując. Na dworze panowała cisza, jedynie czasami słyhać było ptaki, rozpoczynające dzień. Budzik wskazywał za dziesięć szóstą. Spała zaledwie



trzy godziny, mimo to wstała. Dopiero gdy znalazła się w łazince, przypomniała sobie, że Yngvar nocował u niej. Cicho wśliznęła się do pokoju gościnnego.

Spał na plecach, z otwartymi ustami. Oddychał jednak bezgłośnie. Koc zsunął się w połowie z niego, odsłaniając muskularne udo. Miał na sobie niebieskie bokserki i jej piłkarską koszulkę. Ramię spoczywało na oparciu sofy, palce przytrzymywały szorstki materiał, jakby w obawie, że spadnie na ziemię.

Był zewnętrzeńnie tak podobny do Warrena. I tak różnił się we wszystkim innym.

*Przyjdzie taki dzień, kiedy opowiem ci o Warrenie, pomyślała. Opowiem ci o tym, co się stało. Ale jeszcze nie teraz. Myślę, że mamy dużo czasu.*

Chrząknął lekko i krótkie chrapnięcie sprawiło, że podskoczyło jabłko Adama. Przekreślił się we śnie, żeby znaleźć lepszą pozycję. Koc upadł na ziemię. Ostrożnie go przykryła. Wstrzymała oddech, otulając go kocem w czerwoną kratkę. Potem skierowała się do swojego gabinetu.

Promienie słońca wdarły się do pokoju przez okno od wschodniej strony i trudno było jej cokolwiek zobaczyć. Spuściła żaluzje i włączyła komputer. Sekretarka z pracy przesłała maila z pięcioma sprawami. Jedynie jedna była ważna.

Aksel Seier był w Norwegii. Chciał się z nią spotkać, zostawił dwa numery telefonów. Jeden z nich był do hotelu Continental.

Inger Johanne nie myślała o Akselu od chwili, gdy znaleźli Emilię. Historia, opowiedziana przez Unni Kongsbakken, zniknęła w grobowcu w gospodarstwie

Snaubu. Tego dnia, kiedy Inger Johanne chodziła bez celu po ulicach Oslo, zanim Yngvar zabrał ją do amatorsko zbudowanego bunkra, leżącego w górach, oddalonych kilka mil na północny wschód od Oslo, nie wiedziała właściwie, co powinna zrobić z opowieścią starej kobiety. Jeśli w ogóle mogła coś z tym zrobić.

Teraz wątpliwości zniknęły.

Historia o zabójstwie Hedvig Gasoy była historią Aksela Seiera. Należała do niego. Inger Johanne chciała go spotkać, przekazać mu jego własność, a później zaprowadzić go do Alvhild. Dopiero wtedy mogła zakończyć sprawę Aksela Seiera.

Odwróciła się. W drzwiach stał bosy Yngvar. Drapał się po brzuchu, uśmiechając się krzywo.

- Wcześniej. Cholernie wcześniej. Czy mam zrobić kawę?

Nie czekając na odpowiedź, podszedł do niej i objął rękami jej twarz. Nie pocałował jej, jednak wciąż się uśmiechał, teraz szerzej. Inger Johanne poczuła na swych nogach, ukrytych pod spodniami piżamy, muskanie rześkiego porannego powietrza, napływającego z uchylonego okna. Okazało się, że meteorolodzy dobrze przewidzieli.

- Będzie dzisiaj ładna pogoda - odezwał się Yngvar, nie wypuszczając jej. - Myślę, że nareszcie nadeszło lato, Inger Johanne.

## 69

Kiedy 9 czerwca, w piątek przed południem Inger Johanne spotkała w recepcji Continentalu Aksela Seiera, niemal go nie poznała. W Harwichport, ubrany w dżin-sy i flanelową koszulę w kratkę, wyglądał na rybaka i „złotą rączkę” z miasteczka w New England. Teraz przypominał bardziej turystę ze statku wycieczkowego z Florydy. Miał przy tym obcięte włosy. Nie musiał już ukrywać oczu za grzywką. Twarz była poważna. Nawet nie uśmiechnął się na powitanie, nie poprosił jej też, by usiadła. Tak jakby nie miał czasu do stracenia. Kiedy poinformował ją o synu, leżącym w szpitalu po poważnym wypadku samochodowym, mówił po angielsku. Pozostało kilka godzin, powiedział smutnym głosem. Musi zaraz jechać.

- Czy chciałby pan - zaczęła i przerwała z wahaniem, całkowicie zdezorientowana informacją, że Akseł Seier miał syna, syna mieszkającego w Norwegii, leżącego teraz w szpitalu i mogącego w każdej chwili umrzeć.

- Czy chciałby pan mieć kogoś do towarzystwa? *Do you want me to come? Keep you company?*

Skinął głową.

- *Yeah. I think so. Thanks.*

Dopiero w taksówce zrozumiała.

Później, w ciągu następnych dni i tygodni, za każdym razem, gdy próbowała zrozumieć, co stało się

w taksówce w drodze do szpitala, gdzie umierał Karsten Asli, myślała o swym dawnym nauczycielu matematyki.

Z jakichś powodów wybrała w gimnazjum profil matematyczny. Może dlatego, że była dobrą uczennicą, a ten profil był dla takich uczniów. Ale Inger Johanne nigdy matematyki nie rozumiała. Liczby i matematyczne wzory były dla niej pozbawione sensu, niczym hieroglify. Milczące symbole, które zamykały się przed nią, kiedy z poświęceniem próbowała je zrozumieć. Na jednej z klasówek w drugiej klasie doznała jednak swoistego objawienia. Nagle liczby coś jej powiedziały. Zadania zaczęły się rozwiązywać. Niczym wejrzenie w nieznaną świat, w którym panowała surowa logika. Odpowiedzi pojawiały się pod kolumną znaków i liczb. Nauczyciel schylił się nad nią, pachniał starym człowiekiem i dropami Kongen av Danmark, i szepnął:

- No proszę, Inger Johanne. No proszę. Ta młoda panienska ujrzała światło!

Aksel opowiedział o Karstenie. Nie zareagowała. Opowiedział o Ewie. Zaczęła słuchać. I jakby przypadkowo, w chwili, gdy zatrzymywali się przed szpitalem, wspomniał nazwisko obojga.

I nic już więcej nie mogło jej zaskoczyć.

Poczuła jedynie gęsią skórę na ramionach. To wszystko.

Rachunek się zgadzał. Karsten Asli był synem Aksela.

- No proszę, Inger Johanne - powiedział cichym głosem nauczyciel matematyki, ssąc głośno dropa. - Ta młoda panienska ujrzała światło!

Na korytarzu stało dwóch policjantów w cywilu. Aksel Seier nie zwrócił jednak na nich uwagi. Zrozumiała, że nie wiedział jeszcze o tym, co zrobił jego syn. Zaczęła się cicho modlić, żeby Aksel dowiedział się o tym, jak już będzie po wszystkim.

Położyła rękę na ramieniu Aksela. Zatrzymał się i spojrzał jej w oczy.

- Mam dla pana pewną historię - powiedziała ci chym głosem. - Wczoraj usłyszałam prawdę o zamordowaniu Hedvig. Jest pan niewinny.

- *I know that* - odezwał się matowym głosem i nawet nie zamrugął.

- Opowiem panu wszystko dokładnie - mówiła dalej Inger Johanne. - Jak już to... - Spojrzała szybko na pokój Karstena Asli. - Kiedy to wszystko się zakończy. Opowiem wtedy, co się zdarzyło.

Aksel położył rękę na klawce.

- I jeszcze jedna rzecz - powiedziała, zatrzymując go. - Istnieje pewna stara kobieta. Jest bardzo chora. To jej zasługa, że prawda ujrzała nareszcie światło dzienne. Nazywa się Alvhild Sofienberg. Chciałabym, żeby ją pan ze mną odwiedził. Później, gdy już będzie po wszystkim. Czy obieca mi pan to?

Aksel skinął nieznacznie głową i wszedł do środka.

Inger Johanne weszła za nim.

Twarz Karstena Asli była sina, spuchnięta i prawie niewidoczna między śnieżną pościelą, bandażami i bulgoczącymi aparatami, które miały go utrzymać przy życiu jeszcze kilka godzin. Aksel usiadł na jedynym krześle w pokoju. Inger Johanne podeszła do okna. Nie zwracała

uwagi na pacjenta. Kiedy odwróciła się, widziała jedynie Aksela Seiera. Jej myśli skierowane były jedynie na niego-

*Odsiadywałeś karę za syna. Odpokutowałeś za grzechy syna. Mam nadzieję, że będziesz w stanie tak na to patrzeć.*

Aksel Seier siedział ze schyloną głową i rękami obejmował prawą dłoń Karstena.

*Sufit stał się niebieski. Mężczyzna w sklepie twierdził, że ciemna farba spowoduje, iż pokój będzie wydawał się mniejszy. Pomylił się. Zamiast tego sufit się podniósł, niemal znikając. Kiedy byłem mały, tak właśnie chciałem, żeby było. Sklepienie ciemnej nocy, gwiazdy i cienki sierp księżycy nad oknem. Wtedy wybrała tak dla mnie babcia. Babcia i mama wybrały chłopięcy pokój w żółtych i białych kolorach.*

*Mam uczucie, jakby ktoś tutaj był.*

*Ktoś trzyma mnie za rękę. To nie jest mama. Robiła tak, czasami, kiedy przychodziła do mnie nocą, gdy babcia położyła się już spać. Mama tak niewiele mówiła. Inne dzieci zasypiały w takt bajki na dobranoc. Ja zawsze zasypiałem w takt mojego własnego głosu. Mama tak niewiele mówiła.*

*Uczucie szczęścia jest tym, co zaledwie pamiętam, jakby lekkie dotknięcie wśród obcych ludzi; znikające, zanim zdążysz się obrócić. Kiedy pokój był już gotów i pozostało dwa dni do przybycia Prebena, poczułem się zadowolony. Szczęście jest dziecięcą sprawą, a ja przecież skończę niedługo 34 lata. Ale oczywiście byłem wtedy szczęśliwy. Cieszyłem się.*

*Pokój był gotów. Na sierpie księżycy siedział chłopiec. Jasnowłosy, z bambusową wędką, z przyczepioną żyłką i splanikiem. W dole, nasadzona na róg: gwiazda.*

*Kropła złotej farby sphywała cienką strugą w stronę rami okna, jakby niebo za chwilę miało się roztopić.*

*Nareszcie przyjedzie mój syn.*

*Odczuwam ból.*

*W całym ciele boli. Ogromny ból, bez początku i końca.*

*Myślę, że powoli umieram.*

*A ja nie mogę umrzeć. 19 czerwca muszę ukoczyć mój projekt. W dzień urodzin Prebena. Straciłem Prebena, ale go odzyskałem, dając innym to, na co zasłużyli. Tym, którzy mnie zawiedli. Wszyscy mnie zawsze zawadzili.*

*Zgadzałiśmy się co do tego, że będzie miał na imię Joakim. Miał mieć moje nazwisko. Miał się nazywać Joakim Asli. Kupiłem pociąg. Ellen zezłościła się, kiedy przyniosłem pociąg do szpitala. Chyba oczekiwała ode mnie biżuterii, tak jakby zasłużyła na jakiś medal. Przejechałem lokomotywą firmy Mdrklin nad jego twarzą, a on faktycznie otworzył oczy i uśmiechnął się. Wtedy Ellen odwróciła się tyłem, stwierdzając, że to był tylko grymas.*

*Byłbym świetnym ojcem. Taką mam naturę.*

*Pamiętam, jak byłem mały i stałem na stole w kuchni w kombinezonie, który ktoś mi przysłał. Później zapytałem mamy, czy to tata chciał mi dać prezent. Nigdy na to pytanie nie odpowiedziała. Mimo że miałem tylko cztery lata, pamiętam znaczki pocztowe, duże i obce. Szary papier pełen był pieczętek i dziwnych znaczków. Kombinezon był niebieski i lekki jak piórko, chciałem wyjść w nim na śnieg. Babcia wyrwała mi go. Ktoś inny dostał go później.*

*Ktoś inny dostał to, co było moje. Zawsze tak było.*



*Ellen i dziecko zniknęli. Ona nawet nie podała mnie jako ojca. Zabrało mi cztery miesiące, zanim dowiedziałem się, że dziecko ma na imię Preben.*

*Muszę to zakończyć. Muszę dalej żyć.*

*Ktoś trzyma mnie za rękę. To nie jest mama. To jest mężczyzna.*

*Nigdy nie miałem ojca. Kiedy się pytałem, babci zwały się oczy. Mama odwracała wzrok. W małym mieście dziecko bez ojca ma ich tysiąc. Wciąż nowe nazwiska szeptane są po kątach, w szkole, w domach kultury, podczas zabawy. Było to nie do wytrzymania. Jedyne, co chciałem, to wiedzieć. Nie potrzebowałem ojca, ale chciałem wiedzieć. Potrzebowałem jedynie nazwiska.*

*Emilia. Umrze w piwnicy. Ona, podobnie jak Preben, też jest moja. Grete płakała i zaprzeczała, chcąc wrócić do swojego i swoich. Byłem wtedy młody i pozwoliłem jej odejść. Nie dbałem o to dziecko. Nie dbałem o nią. Chciałem tylko Prebena.*

*Emilia może sobie umrzeć.*

*Pozostałe dzieci też mogły być moje. Ich matki były moją własnością. Ale nie rozumiały tego.*

*Ktoś trzyma mnie za rękę, a w oknie pełnym światła stoi anioł.*

## Posłowie

Na wiosnę 2000 roku usłyszałam historię, opartą na autentycznych faktach. Dotyczyła Ingvalda Hansena, który w 1938 roku dostał dożywotni wyrok. Oskarżony został o gwałt i zamordowanie siedmioletniej dziewczynki o imieniu Mary. Historia, opowiedziana nad restauracyjnym stolikiem, wydawała się niezwykle fascynująca. Wiele wskazywało na to, że wyrok na tego człowieka był sądowym morderstwem.

Najpierw przyszło mi do głowy, że powinna sprawę bliżej zbadać. Zamiast tego historia zainspirowała mnie do stworzenia postaci z innego czasu. Był nim Aksel Seier. Losy Hansena i Seiera w pewnych istotnych punktach są do siebie podobne, ale obie postaci nie są oczywiście tą samą osobą. Moja wiedza o Ingvaldzie Hansenie pochodzi z artykułu prof. Andersa Bratholma, opublikowanego w piśmie „Tidsskrift for lov og rett”, 2000, s. 443 i z reportażu w „Aftenposten” z 4 listopada 2000 roku. Pochodzi z nich między innymi informacja, że Hansem umarł kilka lat po zaskakującym i pozornie niewytłumaczalnym wypuszczeniu na wolność.

Ci z czytelników, którzy znajdą czas na przeczytanie tych artykułów, dostrzegą, że również w innym punkcie uległam inspiracji rzeczywistych faktów. Kiedy w 1950 roku Ingvald Hansen wystąpił o ulaskawienie, prośba jego rozpatrywana była przez młodą prawnicz-

kę. Dzięki tej kobiecie o nazwisku Anna Louise Beer, wcześniej przewodniczącej sądu do spraw majątkowych i spadkowych w Oslo, historia Ingvalda Hansena stała się na nowo aktualna. Nigdy o sprawie nie zapomniała, mimo że okoliczności w tamtych czasach nie stwarzały możliwości zbadania, czy mężczyzna ten został niesprawiedliwie potraktowany. Jak wynika z wymienionych artykułów, w latach pięćdziesiątych próbowała zdobyć dokumenty dotyczące sprawy. Ale dokumenty zniknęły bez śladu.

Nie znam sędzi Beer i - o ile wiem - nigdy jej osobiście nie spotkałam. Dlatego postać Alvhild Sofienberg jest, podobnie jak pozostałe postacie powieści, fikcją literacką. Jednocześnie przeżycia Alvhild, związane ze sprawą Aksela, są w niektórych punktach identyczne z doświadczeniami sędzi Beer w związku ze sprawą Ingvalda Hansena.

Kiedy w tej powieści „rozwiązuję” zagadkę Aksela Seiera, opieram się na czystej fantazji. Nie mam żadnych podstaw, żeby wypowiadać się na temat tego, co się stało, gdy Ingvald Hansen został najpierw skazany, a później w dziwnych okolicznościach wypuszczony na wolność.

W pracy nad książką korzystałam z bezcennej pomocy wielu osób. Chciałabym szczególnie wspomnieć mojego brata Evena, który podczas pisania doktoratu z medycyny dał mi przerażający przepis na morderstwo, a także moją bliską przyjaciółkę i mądrego krytyka, Berit Reiss-Andersen. Dziękuję mojemu najważniejszemu doradcy, redaktorce Evie Groner i mojemu szwedzkiemu wydawcy Ann-Marie Skarp, za jej entuzjazm

i cenne wsparcie w trakcie tworzenia. Dziękuję także Oysteinowi Madandowi za ważne uwagi. Jestem szczególnie wdzięczna Linę Lunde, wiernie mnie wspierającej od czasów *Blindgudinne* (Ślepa bogini). To ona opowiedziała mi tę ciekawą historię, która stała się punktem wyjścia dla *To co moje*.

I oczywiście: dziękuję tobie, Tinę.

Annę Holt Cape Cod, 18

kwietnia 2001